



- NIC -  
ZOBOWIAZUJĄCEGO

Magdalena Kalisz

O miłości, niekoniecznie romantycznej,  
o życiu, niekoniecznie jak z filmu.

NOVAE RES

# NIC ZOBOWIĄZUJĄCEGO



Magdalena Kalisz



**NOVAE RES**

## **Spis treści**

Nic zobowiązującego

Podziękowania

Nigdy nie należałam do tych dziewczyn, które uważają, że jedna wspólnie spędzona z kimś noc świadczy o wielkiej miłości i wróży świetlaną przyszłość we dwoje.

Nigdy nie planowałam zadurzyć się w facecie, który potraktował seks jak jednorazową rozgrywkę sportową. W facecie, który – i owszem – postarał się wytrzymać, jak najdłużej mógł, ale który nawet się ze mną nie całował.

Nigdy nie planowałam rościć sobie do kogoś praw tylko dlatego, że moje narządy płciowe złączyły się z jego narządami na czterdzieści pięć minut na tylnym siedzeniu sportowego samochodu.

Nigdy nawet nie wpadłabym na to, że będę chciała mieć coś wspólnego z facetem, który potraktował mnie jak instrument, na którym zagrał koncert, dając popis swoich zdolności, a potem odłożył go w kąt i patrzył, jak zarasta kurzem. W optymistycznej wersji. Bo w pesymistycznym wariacie stosunku „na wirtuoza” odrzucił sprzęt na bok i zapomniał, że kiedyś go używał...

Nigdy nie zastanawiałam się, co będzie, jeśli poczuję do mężczyzny, z którym się prześpię, coś więcej, bo uważałam, że nigdy, przenigdy nie przywiążę się do osoby, z którą połączył mnie tylko seks.

Tylko seks!

Tylko raz.

W dodatku – bez miłości.

Nigdy nie wyobraziłam sobie takiego scenariusza.

Nigdy.

Szkoda.

Może powinnam choćby przelotnie o tym pomyśleć. Bo jednak chcę wierzyć, że chłopak, z którym kochałam się przez trzy kwadransy, poczuje na mój widok coś więcej niż twardość w spodniach. A jednak wciąż o tym myślę i raz za razem rozpamiętuję tę chwilę. A jednak łudzę się, że ten seks to nie był tylko seks i że mimo wszystko dla niego też coś znaczył. I co najgorsze – wszystko doskonale pamiętam. Wspomnienie nie wyblakło, choć minęło parę tygodni. Uczucia wciąż są żywe i realne, jakbyśmy robili to wczoraj. Wciąż widzę zarys jego sylwetki w ciemnym wnętrzu auta. Wciąż słyszę jego przyspieszony oddech. Czuję drżące dłonie, rozpinające guzik od moich dżinsów. I pulsowanie w dole brzucha, jakby ktoś wlał mi do pępka czarę płynnej lawy. Wciąż widzę to roziskrzone, nieobecne spojrzenie, te rozchylone usta, niecierpliwe dłonie...

No cóż. Wpadłam jak śliwka w kompot. Bo osobnik, który był ze mną, na mnie i we mnie, teraz nie pamięta o moim istnieniu.

\*

Piję zwykłą herbatę. Taką jak lubię. Czarną, bez cukru, bez miodu i bez mleka. Za to z grubym, pływającym na wierzchu plasterkiem cytryny. Siedzę na krześle, z nogami wyłożonymi na stole. Mieszkam sama, więc mi wolno. Jestem nakryta po uszy lekkim polarowym kocem. Siedzę, patrzę przez okno, popijam herbatę. I myślę. Dopiero co zerwałam z chłopakiem, z którym spotykałam się cztery lata. Cztery lata!

Sama nie wiem, jak to się mogło stać, że dwie tak różne osoby wytrzymały ze sobą tak długo. W zasadzie wydaje mi się, że byliśmy razem głównie dla wygody. I z przyzwyczajenia.

Koc zsuwa mi się z ramion, więc poprawiam go, zawijając się w jego turkusowe poły jak w bezpieczny, ciepły kokon. Nie muszę dziś iść do pracy, bo jest sobota. W soboty nauczycielki mają wolne. Wzdycham z radości i przesuwam się o centymetr w prawo. Tyłek ścierpł mi już od tego siedzenia.

Na ziemię ściąga mnie pełne wyrzutu miauczenie kota. Miauczenie, które brzmi tak, jakby moje kocię było na skraju głodowego wyczerpania. Biorę łyk parzącej mnie w usta herbaty, przyjmuję słodko-przymilny ton, z jakim przeważnie zwracam się do obcych niemowlaków (nie pozwalając sobie jednak na infatylizmy i zdrobnienia) i przemawiając do mojego rudzielca o wdzięcznym imieniu Ginger, idę nasypać mu do błękitnej miseczki poranną porcję karmy. Kiedy zadowolony kocur przeży się pod miską, mrużąc w zadowoleniu oczka i wydając z głębi swojego kosmatego ciała przeciągłe, groźnie brzmiące mruki, wpatruję się w przestrzeń za kuchennym oknem.

Jest zimno, szaro i ponuro. Typowa jesienna październikowa plucha, sprzyjająca smutkom, chandrom i depresjom. Naciągam rękawy na zziębnięte dłonie. Zakładam na stopy grube skarpetki i jeszcze grubsze kapcie. Człapię w nich na swoje miejsce. Herbata wciąż jest gorąca, choć przestała już parzyć w język. Tym razem dla odmiany siadam na krześle po turecku. Znów wpadam we wspomnieniowo-wyrzutowy trans.

Nie, nie żałuję zerwania z narzeczonym. Tfu, z chłopakiem. Z prawie narzeczonym. Bo jak właściwie nazwać chłopaka, z którym byłam cztery lata i który właśnie mi się oświadczył, a ja nie przyjąłam pierścionka? Na wspomnienie jego smutnych oczu, kiedy mu odmówiłam, robi mi się jeszcze zimniej. Czuję się jak zimna bezwzględna suka. Którą chyba poniekąd jestem. Dla własnego dobra i bezpieczeństwa. Nie, nie jestem jedną z tych kobiet, które w oziębły sposób traktują mężczyzn, żeby latali za nimi jak psy za suczką w rui.

Jestem dwudziestosześcioletką, której rodzice i młodsza siostra zginęli w wypadku samochodowym, wracając od córki ze szpitala. Czyli ode mnie. Miałam wtedy szesnaście lat i zapalenie kłębuszków nerkowych. Moja siostra

miała lat dziewięć, wysoki jasny kucyk, który huśtał się radośnie, kiedy szła energicznym krokiem i szczerzy śnieżnobiały uśmiech, którym strzelała na prawo i lewo praktycznie przez cały czas, odkąd tylko nauczyła się obdarzać ludzi uśmiechem. Była młoda, była grzeczna, była śliczna. Życie stało przed nią otworem. I zostało brutalnie przerwane 2 grudnia 2004 roku.

Coś zaczyna mnie piec w oczach, ale biorę głęboki wdech i pieczenie ustaje. Nie będę płakać. Nigdy nie płaczę. Jestem twarda i silna, a od śmierci bliskich nie uroniłam ani jednej łzy. Chyba nie umiem już skraplać swoich emocji. I nie rozumiem, po co miałabym to robić. Dla ulgi? Dla przywrócenia życia mojej rodzinie? Dla współczucia innych?

Wiem, że pewnie kiedyś wreszcie pęknę i łzy wyleją się ze mnie jak woda z pękniętej tamy. Mam jednak nadzieję, że nie zrobię tego na jakiejś kiczowatej komedii romantycznej ani przy ludziach, którzy zaczną mnie zasypywać litościwymi hasłami i rumiankowymi chusteczkami...

Wzdrygam się gwałtownie, kiedy słyszę sygnał komórki. Ignoruję ją, myśląc, że to na pewno Paweł. Zraniony, załamany Paweł. Pocieram czoło dłonią. Nie, nie mam ochoty z nim rozmawiać.

Telefon znów dzwoni. Uparty... Zerkam przelotnie na wyświetlacz i ku mojemu zdziwieniu widzę, że to nie Paweł, a Igor. Igor to mój brat. Nie, nie zostałam na tym świecie sama. Dzięki Bogu. Mam jeszcze kochaną babcię i starszego brata. Brata, który był buntownikiem, a stał się moim największym powiernikiem. Brata, który w dniu śmierci rodziców nie pojechał z nimi do szpitala, bo poszedł pograć w FIF-ę z kolegami. Który zawsze był pyskaty, nieposłuszny, krnąbrny i niesamowicie przystojny. Który nie słuchając po raz kolejny rodziców, uratował mnie od zostania prawie samej na tym świecie.

Oczywiście, kiedy rodzice przyjechali do szpitala z siatką pomarańczy, stosem krzyżówek i domowym sokiem malinowym, oburzyłam się na wieść, że Igor po raz kolejny wolał iść do kolegów, niż odwiedzić chorą siostrę. Nadymałam w oburzeniu policzki, zapowietrzyłam się na chwilę i wyrzuciłam z siebie potok niemiłych epitetów, jaki to Igor jest bezczelny i arogancki, bo ani razu do mnie nie przyjechał, choć byłam w szpitalu już od tygodnia.

Szczególnie drażniło mnie to, że na oddziale byłam jedyną młodą osobą. Byłam więc złaźniona towarzystwa kogoś między piętnastym a dwudziestym rokiem życia, nawet jeśli miałby to być mój brat, który dokucza mi, wyśmiewając się z choćby niewielkiego pryszcza na czole i który daje mi „przyjacielskie” kuksańce między żebra w ramach porannego powitania.

Tego dnia po raz kolejny spotkała mnie niemiła niespodzianka – Igor olał mnie jak latające za nim panienki. Nie zaszczycił mnie nawet pięcioma minutami swojego cennego czasu. Przyjechali tylko rodzice i młodsza siostra, która zbierała karteczki do segregatora i marzyła, żeby pojechać do Disneylandu. Rodzice

posiedzieli ze mną dwie godziny. Mama za wszelką cenę próbowała mnie rozśmieszyć. Z pasją opowiadała mi o niesfornych dzieciach z przedszkola, w którym pracowała jako nauczycielka. Tato z kolei wdał się w dyskusję z sześćdziesięcioletnim pacjentem, cierpiącym na przewlekłe zaparcia, o czym życzliwie przypominał mi średnio cztery razy na dzień. Iga, jak to dziewięciolatka, policzyła wszystkie łóżka na sali, przeskakała cały korytarz na jednej nodze i dała się wyszczypać po pociągłych policzkach starszej pani z łóżka numer dwa.

Bliscy porozmawiali ze mną, pocieszyli mnie, dotrzymani mi towarzystwa. Na koniec wszyscy zgodnie powykrzywialiśmy się do siebie, widząc nieapetyczną papkę, która miała być jajecznicą, a która została zaserwowana mi na kolację. Potem moja rodzinka zaczęła zbierać się do wyjścia, robiąc zamęt przy poszukiwaniu czapek i zawijaniu się w długie, robione przez babcię szaliki.

Mama obiecała, że następnym razem przywiezie jakieś babskie gazety do poczytania, tato powiedział, że jak wyjdę ze szpitala, zrobi najpyszniejszą jajecznicę na świecie, a Iga szepnęła mi na ucho, że po powrocie do domu czeka mnie niespodzianka. Do dziś widzę ich uśmiechnięte twarze, kiedy machali mi w drzwiach i wysyłali soczyste buziaki.

„Niespodzianka” – szepnęła bezgłośnie Iga, zanim czmychnęła za drzwi, kołyszac w powietrzu długim kucykiem. Nie mogłam się już doczekać. Wyjścia, nie niespodzianki.

Wypis miałam dostać za cztery dni. Cztery długie, nudne dni spędzone w białej szpitalnej pościeli, ze starymi dziadkami, którzy na przemian jęczą, świszczą, puszczają głośnie bąki, soczycie odpluwają flegmę i narzekają na „tę dzisiejszą młodzież”. Wypis dostałam szybciej. Ale nieszczególnie mnie to ucieszyło, bo miałam jechać na pogrzeb najbliższych mi osób.

Biorę kolejny łyk herbaty, żeby otrząsnąć się z niemiłych wspomnień. Wspomnień, które nagle zlewają się w jeden wielki rwący potok myśli, wrażeń i słów. Rozbiegane oczy lekarza informującego mnie o wypadku, gorączkowe gesty faceta od zaparc, przeciągły jęk starszej pani, której tak wpadła w oko Iga, przyjazd Igora, będącego oazą spokoju i opanowania, moje krzyki, pielęgniarka aplikująca mi środek uspokajający, gorące łyzy, które nie mogły przestać płynąć mi po policzkach, razy wymierzane w ramię brata, jakbym winiła go za pijanego kierowcę ciężarówki, który staranował rodzinnego vana rodziców...

Następnie pamiętam już tylko momenty.

Moment, kiedy wyszłam ze szpitala i zaczął padać śnieg, a ja zamiast szczęścia poczułam, że wali się cały mój świat.

Moment, kiedy ksiądz głosił w kaplicy peany na cześć moich rodziców i młodszej siostry, a ja przypominałam sobie, jak mama wyzywała nas od gamoni, bo nie posprzątałyśmy po sobie misek po śniadaniu.

Moment, w którym nogi odmówiły mi posłuszeństwa i Igor musiał mnie łapać, żebym nie rozbiła sobie głowy o kościelną posadzkę.

Moment, w którym posypałam trumny grudkami zimnej ziemi i wzdrygając się, zdałam sobie sprawę z nieodwołalności tego wydarzenia.

A potem były już tylko współczujące i banalne słowa, nieudolne pocieszenie, życzliwe miny dawno niewidzianych cioc i wujków, ich czcze obietnice i puste frazesy, którymi nas raczyli. I powrót do domu, który aż krzyczał pustką. Na widok słomianej wycieraczki z wytartym napisem „Home” zakręciło mi się w głowie. Na widok stosu butów w przedpokoju poczułam, że łyzy cisną mi się do oczu. Na widok schodów ozdobionych balonami i niedokończonym transparentem na białym brystolu, z koślawo wyrysowanymi kolorowymi mazakami „Witaj w do” zaczęłam płakać.

Zostałam tylko ja i Igor. I nasza babcia. No i pies, który chodził po całym domu i wył. Też miałam ochotę usiąść i wyć. Zamiast tego padłam na kanapę w salonie, przesuwając na bok fioletowego kucyka pony.

Nagle pożałowałam, że nabijałam się z dziecinnych pasji Igi. Brakowało mi krzątania mamy, okrzyków, żebyśmy przestali się lenić i pomogli jej zmywać naczynia, stukotu jej drewniaków o parkiet i fałszywego podśpiewywania piosenek podczas froterowania podłóg.

Tęskniłam za ojcowskimi upomnieniami i reprimendami, udzielanymi mocnym głosem, ale z figlarnym błyskiem w oku i ironicznym uśmiechem. I strasznie ubolewałam nad tym, że nie usłyszę już namolnej siostrzanej paplaniny o kolorze zasłon w domku dla lalek albo o szkolnej wycieczce do zoo.

Nie pamiętam, jak spędziłam kolejne dni. Nie wiem, co wtedy robiłam. Chyba tylko leżałam zwinięta w kłębek i płakałam, płakałam, płakałam. Aż wreszcie się otrząsnęłam. Wstałam z łóżka, wzięłam długie, zimne prysznice i rozczesałam skołtunione włosy. Wróciłam do szkoły, zaczęłam żyć na pozór normalnie. Jeść, chodzić na zajęcia, spać, wstawać, chodzić do szkoły, znowu spać... I tak w kółko.

Babcia zamieszkała z nami, więc na stole codziennie pojawiały się talerze z gęstymi aromatycznymi zupami i smakowitymi obiadek. Które zresztą najczęściej lądowały w misce naszego owczarka niemieckiego Axela albo w koszu na śmieci, bo apetyt średnio nam dopisywał.

Nie pozwoliliśmy zdjąć Igowej niespodzianki i tym oto sposobem kolorowe balony, które w większości były już pomarszczone i sflaczałe, ozdabiały nasz dom przez kolejne pół roku. Nie pozwoliliśmy wyrzucić rzeczy rodziców ani zmienić cokolwiek w ich pokojach. Wszystko miało być tak, jak dawniej, choć nic już nie było takie samo.

Potem były święta, które do dziś są przeze mnie znienawidzone. Sztuczne uśmiechy, sztuczne życzenia i sztuczna choinka. Wszystko drętwe i wymuszone.



Łącznie z prezentami i wspólnym słuchaniem kolęd. Potem przyszedł Nowy Rok i kolejny cios – finanse.

Piętrowy dom był za duży dla trójki osób, a koszty utrzymania i dojazdu do szkoły pochłaniały lwią część renty po rodzicach. Dotrwaliśmy jakoś do końca roku szkolnego. Potem musieliśmy go sprzedać.

Pakowanie rodzinnych pamiątek, ubrań rodziców i zabawek Igi było kolejną traumą. Zabraliśmy więc wszystko. Łącznie z kubkami z imionami członków naszej rodziny, flanelowymi pocerowanymi pościelami, pluszowym królikiem z naderwanym uchem, bez którego Iga nie szła do łóżka, i cukierniczką z obszczerbionym brzegiem, która była pierwszym wspólnym zakupem naszych rodziców. Faceci od transportu przerazili się na widok stosów pudeł, pudełek i pudełeczek zgromadzonych w przedpokoju.

Dom był pusty i smutny, ściany zimne i ogołoczone. Schody z wyblakniętym napisem i tęczowymi wstążkami, zwisającymi smętnie z poręczy, także nie napawały optymizmem. Ci goście musieli nas chyba wziąć za czubków... Dali nam spory rabat. Pewnie myśleli, że wydajemy majątek na terapię w szpitalu psychiatrycznym i psychodeliczne leki...

Mieszkanie z babcią nie było szczytem marzeń dla nastolatków. Musieliśmy dzielić z bratem niewielki pokój. Pokój z pudrowo różowymi ścianami, wyblakniętym dywanem na ścianie (przedstawiającym ogromnego kolorowego pawia w ogromnym kolorowym ogrodzie), świętymi obrazkami porozwieszanymi na wszystkich czterech ścianach, sztucznymi owocami w szklanej misce i szydełkowymi serwetkami na każdej wolnej powierzchni. Ja spałam na trzeszczącej kanapie, Igor na rozkładanym półko-tapczanie. Axel między nami, na podłodze. W nocy budził mnie skowyt starych sprężyn i zapach stęchlizny dobiegający ze starej kanapy. Albo pies, który drapał pazurami po spróchniałych podłogowych deskach przez sen.

Wiedziałam jednak, że musimy zacisnąć pasa. Babcia miała skromną emeryturę, comiesięczną baterię leków do wykupienia i dwójkę nastolatków na utrzymaniu. Była jeszcze oczywiście renta i ubezpieczenie, ale sporo gotówki wydaliśmy na organizację pogrzebu dla trzech osób. Firmy pogrzebowe nie są raczej przygotowane na udzielanie rabatów typu „do dwóch dorosłych trumien jedna dziecięca gratis”. Takie tragedie po prostu nie mieszczą się w głowach. Nawet speccom od marketingu. Sporo kosztowały nas też podręczniki, korepetycje przygotowujące Igora do matury i jego prawo jazdy, jednak mimo to na początku wakacji udało nam się zrobić generalny remont w mieszkaniu babci. A właściwie – w naszym pokoju.

Ściany zostały pomalowane na optymistycznie żółty kolor („Słoneczny Poranek”, gdyby ktoś pytał), meble wymienione, a dywan, sztuczne owocki i serwetki – brutalnie upchnięte do piwnicy obok pełnych pudeł z naszego domu,

które tak zagradzały przejście, że nawet ja ze swoją smukłą figurą wodnej rusalki musiałam wciągać brzuch, żeby tamtędy przejść.

Drrrr!

Na ziemię znów ściąga mnie dzwonek telefonu. Uśmiecham się, widząc znajome imię na wyświetlaczu.

– Haaalo – witam się, przeciągając pierwszą sylabę. Zauważyłam, że im wyższy stopień spoufalenia z osobą po drugiej stronie linii, tym dłuższe „aaaa” w moim „halo”. Obecnie najdłuższym „a” obdarzam Igora.

– Cześć, siostra. Czemu nie dajesz znaku życia? Prowadzisz masową produkcję zużytych chusteczek po rozstaniu czy co? – parska śmiechem.

To chyba tylko Igor potrafi cały czas komunikować się, stosując ironię i zyskując sobie tym samych przyjaciół.

– No jasne. Jedne odkładam na kupkę „zasmarkane”, drugie wrzucam do kubła „zwilżone łzami” – rzucam lekko.

– Tak myślałem. To co, mam przyjechać, żebyś mogła wypłakać się w mój rękaw czy idziemy na ściankę? – pyta stłumionym głosem, jakby trzymał telefon ramieniem i robił równocześnie milion innych czynności. Co zresztą jest całkiem możliwe, bo Igor nie znosi nudy i bezruchu.

– Ścianka – mruczę, usiłując równocześnie pogłaskać Gingera, który pałęta się między moimi nogami.

– O czwartej? – dopytuje brat.

– Yhy, niech będzie – potakuję, uśmiechając się do siebie, kiedy kocur wskakuje mi na kolana i mości się na nich jak na fotelu.

– Super, to narka! – żegna się bez zbędnych ceregieli Igor i po chwili słyszę w telefonie przeciągły sygnał oznaczający koniec połączenia.

– No to narka – szepczę do kota.

Wcale nie czuję się dziwnie, rozmawiając ze zwierzętami. Czuję się za to dziwnie z tym, że nagle zostałam sama. Zapewne to właśnie dlatego tak długo trzymałam się Pawła. Z obawy przed samotnością.

Paweł był moim pierwszym poważnym chłopakiem. I pierwszą miłością. Jemu pierwszemu opowiedziałam o wypadku rodziców, jemu pierwszemu dałam się pocałować, no i z nim miałam swój pierwszy raz.

Jaki? Jak to pierwszy raz – raczej bez szału. Boleśnie, krótko, wstydliwie. Ot – takie początki. Później zrobiło się lepiej. Czulej, dłużej, przyjemniej. No i bezboleśnie, co jest dość istotne, jeśli nie jest się sadomasochistą.

Paweł był typem prostego, łatwego w obsłudze chłopaka. Pracował fizycznie, szanował rodziców, chodził do kościoła i marzył o założeniu rodziny. Najlepiej ze mną. Problem w tym, że nasze priorytety różniły się od siebie w stopniu znacznym. Ja byłam dziewczyną po przejściach, on wychuchanym synkiem rodziców. Ja byłam melancholijną marzycielką, on energicznym

pracusiem. Ja lubiłam ciszę i spokój, on hałas i ruch. Ja bałam się zobowiązań, on chciał się ożenić i spłodzić dziecko najlepiej już w trakcie podróży poślubnej. I chociaż oboje doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że nijak do siebie pasujemy, wciąż trwaliśmy w tym związku. On przychodził do mnie na niedzielne obiady do babci, ja jeździłam do niego na niedzielną szarlotkę. On wybierał się z moim bratem na mecz, ja chodziłam z jego siostrą na ciuchowe polowania.

Spędzaliśmy razem dość sporo czasu, mimo że Paweł dużo i często pracował. Wielokrotnie mówił mi, że mnie kocha i że chce być tylko ze mną. Jeszcze częściej powtarzał, że musimy się pobrać. Puszczaliśmy te słowa mimo uszu albo zmieniałam temat.

I znów było spokojnie i przewidywalnie. Ja szłam do pracy, on szedł do pracy. Ja szłam do niego rano, on przychodził do mnie na noc. Ja rozmawiałam z jego matką, on gawędził z moją babcią. Były noce spędzane jak u starego dobrego małżeństwa. Ze wspólną kąpielą, wspólnym myciem zębów, wspólnym zakładaniem piżamek i wspólnym dzieleniem łóżka.

Oczywiście seks też był. Dość przewidywalny i raczej rutynowy, ale całkiem znośny. Powiedziałabym nawet – zadowolający. Kochaliśmy się w łóżku, przeważnie przy zgaszonym (albo choćby przytłumionym) świetle. Bez bitej śmietany, bez pejczyków i bez pluszowych kajdanek. Po prostu – zwyczajny, czuły seks dwojga dobrze dogadujących się ludzi, którzy cenią sobie bliskość i zaufanie.

I pewnie dalej by tak było, gdyby nie to, że Paweł ni stąd, ni zowąd, wyskoczył przede mnie z pierścieniem zaręczynowym i wielkim bukietem krwioście czerwonych róż. Zrobił to podczas jesiennego spaceru po parku, ku radości młodych mamuszek pchających sportowe trójkołowce z ubranymi w jaskrawe kombinezony niemowlakami, spacerowiczów z psami na smyczach i starszych par, drepczących po parkowych alejkach.

I ku mojemu przerażeniu. Zaszokował mnie tym tak bardzo, że przez chwilę zapomniałam języka w gębie. Wpatrywałam się w niego i poruszałam bezgłośnie ustami jak mim w cyrku. Wreszcie wywróciłam oczami i westchnęłam.

– Chyba wiesz, że nie możemy tego zrobić, prawda?

I wtedy się zaczęło. Szok, niedowierzanie, pytanie po raz kolejny: „Ale dlaczego, kochanie?!”, panika, podniesiony głos. Wreszcie łzy. Jego. Ja nie płacę.

Nie tłumaczyłam zbyt swojej decyzji. Wymamrotałam tylko coś w stylu „różnice priorytetów”, „trudne przejścia”, „potrzeba bycia w samotności” i „to bez sensu”. Potem każde z nas poszło w swoją stronę. Oczywiście już tego samego dnia Paweł przyleciał pod moje mieszkanie i urządził scenę pod tytułem „Nie zostawiaj mnie, proszę”, ale byłam nieugięta. Wiedziałam, że on w końcu i tak będzie się chciał ustatkować, a ja nie byłam na to gotowa. Nie teraz. Nie z nim. Nie wiem, czy kiedykolwiek i z kimkolwiek. Nie mogłam więc robić mu nadziei, że kiedyś zmienię zdanie.

Początki były dziwne, bo odwykłam od samotnego spania i jedzenia śniadania bez towarzystwa. Oczywiście z takiego obrotu spraw najbardziej zadowolony był Ginger, który ochoczo zajął miejsce Pawła w łóżku i w nocy mruczał rozkosznie jak kosmaty termofor, grzejąc mnie, łaskocząc w nos wąsami i powodując kichanie długą, unoszącą się wszędzie rudą sierścią. Wtedy ucieszyłam się jeszcze bardziej, że rok temu przygarnęłam do mieszkania tę trzęsącą się z zimna rudą włochatą kulkę, która miauczała rozpaczliwie koło blokowego śmietnika.

Mój wzrok prześlizguje się po regale z książkami i zatrzymuje na grubej powieści, którą dostałam od Pawła na urodziny. Wiedział, że lubię czytać, więc kupił mi książkę. Szkoda tylko, że nie skandynawski kryminał, a mdlawe romansidło, w którym główna bohaterka, nauczycielka matematyki, waha się, czy wyjść za mąż za bogatego lekarza, czy dalej uprawiać namiętny seks z biednym artystą w szkolnym schowku na miotły... Nie przebrnęłam dalej niż do dwudziestej strony, a i tak uważam, że to wielki sukces.

Próbuję przypomnieć sobie twarz swojego byłego chłopaka, ale średnio mi to wychodzi. Dziwne. Zerwaliśmy pięć tygodni temu, a mój mózg już wypiera go ze świadomości... Koniec smętów. Pora wziąć się za życie.

Wstaję gwałtownie, nieopatrznie strącając z kolan Gintera. Kot prycha niezadowolony, stosząc sierść i machając ze złością puszystym jak lisia kita ogonem.

– Wybacz, Gingerku, pani musi się ogarnąć – tłumaczę mu jak dziecku i idę do łazienki.

Rozbieram się i wchodzę prosto pod strumień gorącej wody. Pozwalam ciepłym strugom moczyć mi włosy i oczy. Namydlam się cała pomarańczowym żelem pod prysznic i wdycham jego słodko-orzeźwiający zapach. Następnie wyciskam na dłoń trochę szamponu i wcieram go we włosy. Zapuszczam je od zawsze, więc sięgają już prawie pasa. Są długie, jasne i proste. Podobno obok wielkich szarych oczu, długich rzęs i alabastrowej cery to mój największy atut.

„Pani musi się ogarnąć” – myślę i uśmiecham się do siebie szeroko, czując, że jest mi bardzo przyjemnie, dopóki jaśminowy szampon nie dostaje się do moich wielkich szarych oczu.

\*

Nienawidzę poniedziałków.

Niby zwyczajny dzień, ale jak ciężko jest się ocknąć po weekendowym rozleniwieniu. Sobotę spędziłam kolejno na sprzątaniu, pichceni, bawieniu się z kotem

(ja machałam przed nim zabawką, Ginger patrzył na latającą mu pod nosem mysz lekceważącym spojrzeniem piwnych ślepi...) i wspinaniu po ściankach

o różnych stopniach trudności z bratem.

Po ścianie poszliśmy razem na piwo. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będę z Igozem w takiej zgranej komitywie... A jednak. Wspólna utrata łączy nawet dwoje skłóconych ze sobą nastolatków. Od śmierci Igi i rodziców jesteśmy praktycznie nierozłączni. Mamy świetny kontakt i rozumiemy się prawie bez słów. Igor zawsze poznaje po mnie, czy jestem smutna, czy zadowolona. Ba – on nawet wie, kiedy uśmiecham się szczerze, a kiedy z przymusem (ponoć moje smutne oczy wydają się jeszcze bardziej smutne, kiedy nie mam nastroju) i kiedy czuję się dobrze, a kiedy nie. Ja z kolei doskonale widzę po moim bracie, kiedy zaczyna się z kimś spotykać, a kiedy miał trudną akcję w pracy.

Mój starszy brat jest ratownikiem medycznym. Uwielbia swoją pracę, bo kręci go pęd, adrenalina i chęć niesienia ludziom pomocy. Ogólnie wydaje mi się, że jest właściwym człowiekiem na właściwym stanowisku. Lubi to, co robi i robi to dobrze. No i jest kochany przez wszystkie starsze panie z zawałami serca i skręconymi kostkami, ciężarne, które wpatrując się w jego hipnotyzujące oczy, od razu zaczynają prawidłowo oddychać (i obiecują, że jeśli urodzą synka, dadzą mu na imię Igor...) oraz wszystkie inne pacjentki, zarówno te, które noszą pampersy, jak i te, które mają kolczyki w pępku czy noszą obrączkę na palcu...

I wcale się nie dziwię, że większość pacjentek mdleje na jego widok, bo mój brat jest naprawdę przystojnym facetem. Wysoki i szczupły, ale umięśniony. Ciemnowłosa, ciemnooki i z ciemną karnacją. Po tacie. Iga zaś, podobnie jak ja i mama, była biała niczym śnieg.

Igor już od młodości niewiele robił sobie z powłóczystych spojrzeń kierowanych w jego stronę. Dziewczyny traktował z góry i rzadko kiedy któraś z przedstawicielek płci pięknej była w stanie go zauroczyć. Choćby nawet strzelały w jego stronę pięknymi uśmiechami, robiły maślane oczka czy pogłębiały dekolty w przykusawych i przyciasnawych bluzeczkach... Wszystko to na nic, bo... Igor lubował się w oryginałach. Okularnica z wielkimi oczami i grubym czarnym warkoczem? Ruda piegowata dziewczyna z przerwą między jedykami? Nosząca zwariowane kolczyki artystka? Buntownicza obrończyni zwierząt? Wszystkie te indywidua działały na mojego brata jak najlepszy afrodyzjak.

Tak więc spotykał się po kolei ze wszystkimi buntowniczkami, indywidualistkami, geniuszkami, wolontariuszkami i mistrzyniami karate, które napotkał na swojej drodze. Niestety, choć znalazł wiele oryginałów, nie znalazł swojego ideału. Mimo to wciąż był notorycznie podrywany. Czy to na siłowni, czy to w sklepie obuwniczym, czy w pracy. Na piwie opowiadał mi właśnie, jak niedawno jedna pacjentka usiłowała wcisnąć mu swój numer telefonu i uśmiechała się do niego promiennym uśmiechem, eksponującym urocze dołki w obu policzkach, chociaż równocześnie stękała i trzymała się za swój bliźniaczy brzuch w ósmym miesiącu ciąży... Wyjście z bratem dodało mi energii i nowej porcji

entuzjazmu. Jak zawsze zresztą.

A niedzielę spędziłam z Igorem, z babcią i z Axelem. Staruszek ma już trzynaście lat i coraz więcej problemów zdrowotnych, ale jest dla babci wielką pociechą i najchętniej spędza wieczory, opierając ufnie swój wielki łeb na jej podołku i wpatrując się w pooraną zmarszczkami twarz swoimi mądrymi, wilczurzymi oczami.

Nie miałam sumienia zabierać go od babci, kiedy przeprowadziłam się na swoje dwa lata temu. Poza tym mieszkam na trzecim piętrze, a dla komfortu Axela wygodniej jest schodzić na reumatycznych łapach po trzech schodkach z parterowej klitki mojej babci.

Uśmiecham się na wspomnienie niedzielnej rozgrzewającej zupy z dyni, zjedzonej w asyście wszystkich tych, których kocham. Zwariowanego brata, życzliwej babci i siwiejącego na pysku psa. Mojej rodziny. Uśmiecham się, nawet mimo tego, że jest poniedziałek, a ja człapię przez szarą ulicę między szarymi blokami i szarymi drzewami. Uśmiecham się, kiedy lodowaty i przenikliwy wiatr wtyka się pod mój czerwony płaszczyk, mroząc mnie do szpiku kości. Uśmiecham się, docierając do skrzypiącej furtki mojego przedszkola. Przedszkola, gdzie zaczęłam chodzić w wieku trzech i pół roku. Przedszkola, gdzie moja mama pracowała przez dwadzieścia lat. Przedszkola, w którym miałam studenckie praktyki i w którym zaczęłam pracować na trzecim roku studiów. Najpierw na zastępstwo, potem na pełny etat.

Lubię pracować w tym miejscu. Lubię wchodzić do tego niskiego budynku z dziecięcymi obrazkami powieszonymi w korytarzu, żeby dumni rodzice mogli podziwiać dzieła swoich małych artystów podczas porannych batalii przy ściąganiu kaloszy i oddelegowywaniu pociech do właściwych sal. Lubię widok kolorowych tabliczek nad wieszaczkami, równo wiszących barwnych kurteczek i płaszczków, stos porzucanych małych bucików i naniesionego błota, liści, piasku, trawy albo śniegu – w zależności od sezonu. Lubię klimatyczny i przytulny wystrój sal, w których jest mnóstwo plansz, mnóstwo zabawek i mnóstwo książeczek. Lubię specyficzny zapach przedszkola, będący połączeniem zapachu bukietów z jesiennych liści, dziecięcego mydła, owocowej gumy balonowej i świeżo umytych podłóg. Lubię wchodzić do sali, witana przez gromkie „Dzieeeń doooobryyyy” moich pięciolatek. Lubię widzieć dwadzieścia dwie uśmiechnięte buźki, wpatrzone we mnie jak w obrazek, które są złąknione wiedzy i chętne do zabawy. Lubię swoją pracę i lubię dzieci. Choć własnych mieć nie chcę.

Boję się, że coś mogłoby stać się mnie albo im. Albo że nie będę umiała stworzyć im ciepłego domu, bo sama takiego nie miałam przez utratę bliskich mi osób. Albo dlatego, że mam jeszcze milion innych wymówek, czemu nie powinnam zakładać rodziny. Na razie wymówką numer jeden jest brak faceta. O. To dobra i aktualna wymówka.

Ściągam z siebie sztywny z zimna płaszcz, zakładam na nogi ciepłe kapcie biedronki (moje dzieciaki bezgranicznie je kochają i zawsze liczą kropki, choć na kapciach jest ich niezmiennie po siedem), biorę pod pachę dziennik i idę do mojej sali.

Dzień dobry, poniedziałku! Nie dam ci się i dziś na przekór niesprzyjającej aurze będę mieć dobry dzień!

Oj.

Żeby wiedziała, jaki dobry...

\*

Nie, nie, nie...

Nie tak miało być! To miał być miły poniedziałek. Bez nerwów, bez stresów, bez adrenaliny... Siedzę przy biurku i łąpczywie piję gorącą herbatę. Czarną, bez cukru, bez miodu, bez mleka. I bez cytryny. Zapomniałam kupić. Okręcam się na obrotowym krześle, które trzeszczy jakby miało się zaraz zawalić. Kątem oka spoglądam na dzieci kolorujące obrazki. Nanoszą różne odcienie żółci, pomarańczy, brązów i czerwieni na smukłą i wiotką postać Pani Jesieni. A ja próbuję się uspokoić i wyciszyć.

Po wejściu do sali okazało się, że z mojej dwudziestki dwójki została dziesiątka dzieciaków. Reszta się pochorowała, więc została w domu. Wcale mnie to nie zaskoczyło.

Taka pora.

Ochoczo sięgnęłam po długopis i zaczęłam wyczytywać kolejno nazwiska przedszkolaków z mojej grupy, stukając pocziwym bickiem w dziennik. Zuzia Kwiatkowska, Ola Bujakowska, Filipek Żurawski, Kajtek Nowakowski... Kiedy byłam przy Lence Wróblewskiej, do sali z wielkim impetem weszła Maja. A właściwie nie tyle weszła, co została wepchnięta siłą przez swoją mamę. Rozczochraną i czerwoną na twarzy panią adwokat w rozchełstanym płaszczu i przekrzywionej czapce.

– Kochanie, nie rób scen. Przecież lubisz chodzić do przedszkola... – powiedziała drżącym głosem, usiłując odczepić drobne paluszki dziecka, zaciśnięte na jej pasku od torebki jak orle szpony.

– Neeee! Nie chcę! Nie będę! – histeryzowała Maja.

Nasza słodka i kochana Majeczka z blond loczkami i fiołkowymi oczkami.

Wstałam z taboretu i podeszłam do drzwi.

– Cześć, Maju. Chodź, skarbie, dołączysz do grupy. Dziś będziemy mówić o Pani Jesieni – zagałam przyjemnym tonem superprzedszkolanki.

– Ale ja nie chcę! Mamoooo! – rozdarła się fiołkooka dziewczynka, ciskając oczkami gniewne błyski w moim kierunku.

No pięknie. A jeszcze w piątek wdrapywała mi się na kolana i mówiła, że

mnie kocha...

Dzieci zamarły w bezruchu, wpatrując się w Maję z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami. Raz na jakiś czas musiał się trafić jakiś mały histeryk, który dodawał naszej grupie smaczku i powodował niemałą sensację wśród moich pięcioletnich łobuzów.

– Mama musi iść do pracy, rybko, bądź grzeczna, przepraszam panią bardzo, miłego dnia, papa, córeczko, mama cię kocha, będę po obiadku, trzymaj się ciepło, słonko, do widzenia! – wyrecytowała na wdechu pani adwokat i czmychnęła za drzwi, ścigana Majkowym zawodzeniem.

Mała stała pod drzwiami, jęcząc i spazmując, a od poltergeista odróżniało ją tylko to, że nie wlokła za sobą łańcucha. Z nosa wisiała jej okazała kipa, z oczu tryskała fontanna łez, a z uroczej otwartej buźki skapywała ślina.

Uh.

Chwyciłam chusteczkę i zaczęłam doprowadzać ją do porządku, szepcząc pocieszające słowa i uśmiechając się jak w reklamie pasty wybielającej zęby. Po chwili, podczas której o mało nie pobiłam rekordu świata w jak najszybszym mówieniu dyrzymałów służących odwróceniu dziecięcej uwagi, zawodzenie przeszło w cichsze i subtelniejsze chlipanie. Ślina przestała kapać, łzy powoli obeschły. Powycierałam jej buzię mokrą do granic możliwości chusteczką, brudząc sobie równocześnie rękaw swojej ulubionej granatowej bluzki. Wzięłam Maję za rączkę i posadziłam ją koło swojego taboretu.

– Dziś będziesz moją osobistą pomocnicą, dobrze? – uśmiechnęłam się promiennie i zasiadłam na swoim miejscu.

Maja potaknęła i uśmiechnęła się leciutko, ale mojej ręki nie puściła. Tosia Samuś, Oliwier Jankowski, Kubuś Filipiak, Inka Mak... Jest cała dziesiątka. Przeczytałam też pozostałe imiona, żeby zyskać trochę czasu.

– Nieobecny, nieobecna, nieobecny – wyrecytował chór sepleniących i świergoczących słodko głosików.

Majka siedziała koło mnie i ścisnęła moją rękę, jakby bała się, że jej ucieknę, kiedy mnie puści. Pociągała jeszcze trochę nosem, ale poza tym znów była cherubinkowym aniołkiem z pięknymi oczkami i grzecznym uosobieniem.

Zaczęłam swój standardowy dzień. Wyciągnęłam z szafy tablicę z jesiennymi warzywami i owocami, po czym opowiedziałam moim pięciolatkom fascynującą historię, jaka to marchew jest zdrowa i pożywna. Potem przepytiałam swoje łobuzy ze znajomości domowych przetworów, spytałam, jakie są ich ulubione warzywa i zadałam podchwytliwe pytanie, dlaczego codziennie powinno się jeść świeże owoce. Następnie zorganizowałam konkurs rzucania miękkimi piłeczkami do wiklinowego kosza, przeczytałam małym budrysom bajkę o wycieczce na grzyby i ostrzegłam je, żeby „pod żadnym pozorem nie dotykały czerwonego muchomora”. Powtórzyłam jeszcze z dziećmi wierszyk o małym



języku, zaśpiewaliśmy wspólnie piosenkę o padającym deszczyku, zagrałam na tamburynie jakąś spontaniczną melodię, do której przedszkolaki zatańczyły spontaniczny taniec i kiedy już wydawało mi się, że dzień będzie miły i cudowny, Kajtek Nowakowski zwymiotował obficie na pluszowy dywan na środku sali.

Oczywiście spowodował tym niemałą panikę, bo dzieci w popłochu zaczęły uciekać przed efektowną plamą wymiocin, potracając się wzajemnie i piszcząc, jakbym co najmniej wpuściła między nie jadowitego pytona. Próbując opanować sytuację, kucnęłam przed chłopcem i próbowałam oczyścić mu buzię, ale już po chwili odskakiwałam gwałtownie, by uniknąć kolejnej fali wymiocin chlustającej z ust Kajtka.

Dziewczynki znów zapiszczały, chłopcy roześmiali się i wykrzyczeli głośne „bleee”, a ja chwyciłam targane torsjami dziecko pod pachę, zawlekłam je do łazienki i trzymając pochylone nad sedesem, słuchałam chlupoczących odgłosów opróżnianego żołądka, który pozbywał się chyba jedzenia z całego poprzedniego tygodnia.

Ratunek w postaci woźnej, którą zaalarmowały wiski i piski pozostałych dzieciaków, był dla mnie prezentem od niebios. Pani Hania zrugęła krzyczące dzieciaki, nakazała im usiąść pod oknem z dala od wymiocinowej bomby, złapała wiaderko i mopa, a następnie zaczęła czyścić plamę, dzwoniąc równocześnie do rodziców chłopca, którzy swoją drogą byli lekarzami.

Po kwadransie Kajtek był wymęczony i zmordowany, a jego buzia miała kolor zbliżony do przezroczyściego. Ja byłam zielona na twarzy, mdliło mnie okrutnie i miałam spodnie spryskane drobinkami treści żołądkowej małego Nowakowskiego. Dywan był cały mokry, ale pachniał przyjemnie świeżością i vanissem. Dzieciaki siedziały grzecznie w rzędzie i bawiły się w głuchy telefon.

Rodzice chłopca przepraszały i tłumaczyły, że „w domu nic mu nie było, tylko narzekał, że boli go brzuszek, ale myśleli, że symuluje”. Pani Hania chodziła po sali i szukała, co by tu jeszcze wyczyścić. A ja miałam dość wrażeń jak na jeden dzień. Poprosiłam woźną, żeby przypilnowała przez chwilę grupę i poszłam przebrać się w awaryjne ciuchy, które trzymałam w nauczycielskim kantorku. Grafitowe, ciut skudłaczone legginsy i amarantową koszulkę z dekoltem w zniechęcający serek. Wszystko, byle nie osmarkana bluzka i obrzygane dżinsy...

Wróciłam do sali, przywołując na twarz uśmiech. Posadziłam dzieciaki do stolików, rozdałam im ilustracje i pudełka z kredkami. Walnęłam się na krzesło i drżącymi rękami zaparzyłam sobie herbatę. I teraz siedzę, napawając się spokojem.

Oddycham głęboko i myślę o samych przyjemnych rzeczach. Dopóki do sali nie wchodzi dyrektorka i zachęca mnie, żebym zabrała dzieci na wycieczkę do biblioteki.

– Troje dzieci ma teraz mieć zajęcia logopedyczne. Zostanie ci sześćosobowa grupka, dasz sobie radę sama. Dzieciaki będą zachwycone i na pewno nie będą myśleć o niemiłym wydarzeniu z rana – mówi, mrugając do mnie poufale, jakby to z mojej winy Kajtek zarzygał pół sali.

– Eee... Dobrze, pani dyrektor. Zaraz powiem dzieciom, żeby ubierały się do wyjścia – potulnie kiwam głową, odsuwając na bok fioletowy kubek i upragniony spokój.

Po chwili stoję w szatni i dopinguję moją grupę, żeby dzielnie zakładała czapki i kurtki. Pomagam sznurować buciki, poprawiam koślawo zawiązane szaliki. Pilnuję, żeby dzieciarnia zabrała ze sobą kolorowe parasolki. „Nie spotka mnie dziś już nic niemiłego” – powtarzam sobie w głowie jak mantrę.

Wychodzimy na spacer i jest całkiem znośnie. Dzieci idą ładnie w parach, machając radośnie parasolkami i trajkocząc coś pod nosami. Nawet słońko zaczyna przeświecać przez gęste chmury. Zaczynam śpiewać piosenkę, dzieci dołączają swoimi dziecięcymi głosikami. Przechodnie uśmiechają się do nas przelotnie. Pani przedszkolanka w czerwonym płaszczu i gromadka uroczych dzieciaczków. Miód, malina...

Biblioteka jest całkiem niedaleko, ale spacer z gromadką dzieci trwa dłużej niż samotna przechadzka. Przecież nigdzie nam się nie śpieszy. Idziemy, śpiewamy, podziwiamy drzewa, chociaż są już prawie łyse. I śpiew ptaszków.

Wchodząc do budynku biblioteki, robimy więcej hałasu niż ekipa remontowa. Ściąganie płaszczyków, otrzepywanie butów, grzeczne „dzień dobry” mówione każdemu dorosłemu, który wchodzi lub wychodzi z biblioteki. Standard podczas wycieczek z pięciolatkami. Wdrapujemy się mozolnie po schodach i po chwili wkraczamy w moje ulubione miejsce, gdzie pachnie starymi książkami, nowym drukiem, lekką wonią grzyba ze ściany i ciężkimi perfumami starszej pani bibliotekarki, która pamięta chyba jeszcze czasy potopu szwedzkiego.

Pół godziny później dzieci wciąż są zafascynowane biblioteką. Zupełnie, jakby nigdy wcześniej nie widziały tylu książek, projektora i bibliotekarki w wielkich, sowych okularach. Słuchają bajki o Detektywie Pozytywce z otwartymi ustami i błyszczącymi oczami i ani w głowach im powrót do przedszkola. Niestety, pani bibliotekarka daje mi znaki dymne, że powoli zanika jej głos i że powinnam już zabierać swoje zuchy z powrotem.

Znów jest zamęt przy kurtkach i czapkach, ale po chwili cała gromadka jest już ubrana i opatulona. Żegnamy się, dziękujemy, ponownie się żegnamy, ponownie dziękujemy. Wychodzimy z biblioteki jak długa barwna gąsienica. Czuję się trochę jak Szczurołap z Hameln, kiedy tak ciągnę za sobą sznurek utworzony z gromadki dzieciaków. Idziemy dziarsko chodnikiem. Dzieci podskakują wesoło. I kiedy jesteśmy już kawałek od biblioteki, ale wciąż nie za blisko przedszkola, dopada nas deszcz. Niewielki. Ot, zwyczajna mżaweczka.

– Załóżcie kapturki, dzieci! – wołam do mojej dzielnej szósteczki.

Wszyscy posłusznie zakładają na głowy kapiszony.

Maszerujemy dalej, a deszcz przybiera na sile.

– Dzieci, rozkładamy parasole! – krzyczę trochę głośniejszym, ale wciąż radosnym głosem.

Bębnienie deszczu zagłusza moją prośbę. Kaptury włożone, parasolki rozłożone, sytuacja opanowana. Na dwie minuty.

Potem z nieba zaczynają wylewać się hektolitry wody. Zimnej, nieprzyjemnej wody. Deszcz zacina, wyrывa z rąk parasole, zachlapuje dziecięce stopki i moczy im głowy. Wytrzeszczam oczy w przerażeniu i w głowie mam już wizję przemoczonych nóżek dzieciarni, ich angin ropnych, zapaleń płuc i oskrzeli. Niewiele myśląc, kieruję grupę do pierwszego lepszego sklepu. Pada na sklep sportowy. Otwieram drzwi i zaganiam do środka dzieci jak pasterz owieczki.

– Chodźcie, chodźcie – mówię, machając na nie ręką. – Złóżcie szybciotko parasolki – dodaję.

Maluchy potulnie wlewają się do sklepu jak deszcz kolorowych skrzatów. Choć może „deszcz” to mało zabawne porównanie...

– Dzień dobry, dzień dobry. A to niespodzianka.

Słyszę jakiś miły męski głos, ale mokre włosy przykleiły mi się do czoła, więc mam ograniczone pole widzenia.

– Dzień dobry – mamroczę, próbując odgarnąć grzywę z oczu.

Wysoki sprzedawca uśmiecha się do mnie lekko ironicznie spod gęstych brwi.

– Dzień dobry – mówię raz jeszcze. – Ja przepraszam, ale złapał nas deszcz iii... – zacynam się zakłopotana, lecz widzę, że ciemne oczy łypiące spod ciemnych brwi zaczynają się śmiać.

– Nie ma sprawy. I tak siedzę tu sam. Rozgośćcie się.

Przemoczone maluchy ściągają z siebie mokre warstwy odzienia. Stos kurtek i czapek rośnie na szerokim okiennym parapecie. Mężczyzna rozgląda się wkoło jakby czegoś szukał.

– Nie mam, niestety, tylu krzeseł, żeby was wszystkich posadzić, ale mam za to mnóstwo piłek – mówi i podaje Mai pomarańczową piłkę do kosza. Mała patrzy na niego wielkimi oczami. – Możesz na niej usiąść. Nie ugryzie cię. – Puszczając jej oczko i nieśmiała Maja wysyła w jego stronę najbardziej kokieteryjny uśmiech, jaki może strzelić pięciolatek.

Wszystkie moje dzieciaki siedzą już na piłkach, kiedy nasz życzliwy wybawca stawia przede mną krzesło.

– Jestem Adam – mówi, podając mi dłoń.

– Milena – wybąkuję słabo.

– Chyba nie jesteś mamą sześcioraczków? – Znów strzela uśmiechem.

– Niecee... Jestem przedszkolanką. – Rumienię się speszona jak nastolatka, chociaż w pytaniu nie ma nic zdroźnego.

No, może tylko kpiąca nuta w głosie Adama, niebezpieczne błyski w jego oczach i uśmiech faceta zbyt pewnego swojego wyglądu i wrażenia, jakie robi na kobietach.

– Całe szczęście. Zastanawiałem się właśnie, jak musi wyglądać ciężarna, spodziewająca się takiej gromady nicponi. – Wywraca oczami, a dzieci chichoczą, kiedy słyszą słowo „nicpoń”. Chyba słyszą je pierwszy raz w życiu, ale podoba im się jego brzmienie. – Uwielbiam rumieniące się przedszkolanki – mówi Adam pół tonu ciszej. Tak, by komentarz nie dotarł do sześciu par małych uszu. I tak, że rumienię się jeszcze bardziej. Przez chwilę panuje niezręczna cisza. Dzieci szepczą coś do siebie, chichocząc i traktując całą tę pogodową wpadkę jak wielką przygodę. – Zaproponowałbym ci coś na rozgrzewkę, ale sama rozumiesz – Adam mruga do mnie czarnym okiem, widząc, że dzieci zajęły się same sobą. Patrzą na niego zdziwiona. – Nie mam tylu kubków, żeby i dzieci poczęstować herbatą... – rozkłada ręce w bezradnym geście, ale w oczach grają mu chochlikowate iskierki.

– Dziękuję, nie trzeba. Już mi ciepło – stwierdzam obojętnym tonem.

I w sumie mówię prawdę. Jest mi ciepło. Nawet gorąco. Czy on mnie podrywa? Nie jestem dobra w takich sytuacjach, oj nie... Odwracam wzrok i ślizgam się nim po półkach pełnych sportowych akcesoriów. Są tam piłki, hantelki, okulary do pływania, frotowe opaski na rękę i masa innych pierdółek dla sportowych maniaków.

– Hej, dzieciaki, mam fajny pomysł. Kto chce przymierzyć maskę płetwonurka? – Adam klepie się po udach.

– Jaaa! – wyrywa się Oliwier, a za nim reszta dzieciarni miauczy żalodne „ja też” jak wygłodniałe kocięta.

– Okeej. A kto motylki do pływania? – pyta znów i ponownie odzywa się mały chórek głosików. – Okeeej – przeciąga głoski jak prezenter Polsatu. – To który śmiałek pierwszy odważy się założyć kask ochronny na rower? Znaczy się na głowę... – robi zabawną minę, a dzieci odpowiadają mu szczerymi, szczerbatymi uśmiechami i żywymi potaknięciami główek.

Trzy minuty później moja grupa jest nie do poznania. Dzieciaki mają na sobie pływackie okulary, czapki z daszkiem, gogle narciarskie, płetwy, toczki do jazdy konnej, czepki i opaski elastyczne. I mają miny, jakbym powiedziała, że od dziś w przedszkolu jest zakaz podawania dzieciom brokułów. Proszę, proszę. A ja ciągnęłam je na wycieczkę do biblioteki...

Na zewnątrz wciąż leje i zacina deszczem, a my siedzimy w cieple. Wyglupiamy się i świetnie się bawimy. Dzieciarnia wchodzi Adamowi na głowę, ale zdaje się, że on jest zadowolony z takiego obrotu spraw. Pokazuje dzieciom zdjęcia swojego superszybkiego samochodu, chwali się osiągnięciami sportowymi,

opowiada im anegdotki, które aż parują z nadmiaru adrenaliny i raz na jakiś czas spogląda przy tym w moją stronę, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie wywierają na mnie kolor jego pasa do karate czy ilość koni mechanicznych pod maską luksusowej bryki.

Mało się odzywam, obserwując ich figle i równocześnie kontrolując pogodę za oknem. Ciągłe pada... Ale w gruncie rzeczy nie martwi mnie to zbyt. Jest mi dobrze, ciepło i przyjemnie. I spokojnie.

Zachęcam dzieci, żeby zaśpiewały „panu Adamowi” piosenkę o jesieni i próbuję nie roześmiać się, widząc, jak moje smyki wczuwają się w rolę śpiewaków, poprawiając zsuwające się z oczu okulary i opadające na oczy czapki. Wyglądają tak pociesznie, że spontanicznie sięgam po telefon i robię im zdjęcie. Dzieci cieszą się i zagląдают mi przez ramię, żeby sprawdzić, jak wyszły jako mali sportowcy.

Adam też zerka na mój telefon.

– Hej, wszyscy jesteście poprzebierani, więc może założymy coś waszej pani przedszkolance? – w jego głosie znów słyszę lekką nutkę ironii i natychmiast sztywnieję, zastanawiając się, co nowego wymyśli.

– Taaak! Założmy jej kostium kąpielowy! – krzyczy Zuzia, wskazując jaskraworóżowe skąpe majteczki i biustonosz dyndające beztrąsko na wieszaku.

Mała nie zdaje sobie chyba sprawy, na jaki stres mnie naraża...

– Niece. Nie chcemy, żeby wasza pani zmarła, a przecież musiałaby się rozebrać, by założyć bikini – oponuje Adam i idzie w moją stronę z jakimś dziwnym czymś w ładnym morskim kolorze. – Włożymy jej maseczkę relaksacyjną na oczy. Będzie wyglądała jak kosmitka – mówi, świdrując mnie wzrokiem.

Otwieram usta i poruszam nimi w niemym proteście, ale już sekundę później nic nie widzę, za to czuję koło siebie zapach drogich męskich perfum, ciepło dłoni na policzkach i przyjemny chłód na powiekach.

Słyszę chichot dzieciaków i wiem, że muszę wyglądać tak samo kretyńsko, jak się czuję. Równocześnie zastanawiam się, jak to możliwe, że maseczka zamiast chłodzić, grzeje mnie jak koc termiczny. I myślę, dlaczego – do cholery – czuję podniecenie w sklepie pełnym poprzebieranych jak kłowny dzieci, ironicznego i nadmiernie spoufalającego się sprzedawcy i półek uginających się pod ciężarem sportowych gadżetów.

\*

Dzieci wiosłują w miseczkach z zupą, jakby nie jadły przez miesiąc. Spacer i deszczowe atrakcje zaostriły ich apetyty. Mój też. To pewnie dlatego macham beznamiętnie łyżką i w ogóle nie czuję smaku jarzynowej. Czy mi się zdaje, czy on ze mną flirtował? Że już nie wspomnę o tym, jak delikatnie i niby przypadkiem

musnął mnie po karku, zakładając mi na twarz maseczkę.

Jestem prawie na sto procent pewna, że zrobił to specjalnie! Że też musiałam trafić akurat tam... Nie mogła nas dopaść ulewa pod sklepem z zabawkami? Albo w jakimś innym miejscu, gdzie nie byłoby sprzedawcy chętnego do podrywania niewinnej przedszkolanki po przejściach... Przełykam głośno ślinę i próbuję skupić się na myśleniu o czymś innym niż ciemne oczy sprzedawcy ze sklepu sportowego.

– Nie chcę cię straszyć, ale przez tę mokrą eskapadę nabawisz się zapalenia gardła – mówi do mnie Dominika z grupy trzylatków, a ja ku jej zdziwieniu uśmiecham się i szybko chowam swój przebiegły uśmiech za miską z zupą.

\*

Przedszkolaki są grzeczne jak nigdy, więc zajmuję się uzupełnianiem dziennika i innymi typowo nauczycielskimi sprawami.

Wieszam na ścianie korkowej nowe rysunki, wysyłam do rodziców e-maile z prośbą o przyniesienie kartonowych pudełek po butach i porządkuję swoje nieuporządkowane zwykle biurko.

Myśli też próbuję uporządkować i wychodzi mi to dużo gorzej niż sortowanie pinezek i układanie dokumentów w równe stosiki.

Nawet po powrocie do domu całe popołudnie na przemian myślę i nie myślę o sprzedawcy ze sklepu sportowego.

To znaczy myślę o nim tak obsesyjnie, że zakrawa to na nerwicę natręctw, więc upominając się głośno, przestaję o nim myśleć i naprowadzam swoje myśli na zupełnie inne tory. Neutralne. Książki, filmy, jedzenie, plany na weekend. I jak to zwykle bywa w przypadkach, kiedy chce się o czymś nie myśleć, złośliwy mózg specjalnie podsyła skojarzenia związane z rzeczą lub osobą, o której chce się zapomnieć...

Zastanawiam się, czy nie uroiłam sobie czasem tego podrywu. Mam nietypową urodę, ale faceci na ogół nie lecą na mnie jak muchy na lep. Chyba że lubią jasnowłose i szarookie smukłe rusałki. No, a akurat dziś wyglądałam wyjątkowo niekorzystnie... Przemoczona, zestresowana, zapewne rozmazana. Kurczę. I może właśnie o to chodzi. Jak mogłam sobie ubzdurać, że sprzedawca piłek i czepków do pływania poleciał na przedszkolankę z całą hordą dzieciaków? Chyba musiałam upaść na głowę... On po prostu był dla nas miły. To miły gość. Taki, który pomoże starszce przejść na drugą stronę ulicy, nakarmi bezdomnego kota, uśmiechnie się do bezzębego bobasa.

Albo przygarnie do sklepu przemoczoną przedszkolankę i jej małe mokre stadko... Żaden z niego flirciarz czy podrywacz. Po prostu nadinterpretowałam jego zamiary i źle zrozumiałam jego intencje. Właściwie to powinnam mu podziękować, że tak bezinteresownie przygarnął nas pod swoje opiekuńcze skrzydła i że zapewnił dzieciom tyle radości.

No właśnie. Może kupię mu czekoladki i zaniosę je do sklepu. Tak. To dobry pomysł. Kulturalne podziękowanie. Żadne tam sprawdzanie jego zamiarów. Bo przecież jak jutro pójdę do niego po pracy ubrana w najładniejszą bluzkę, jaką znajdę w szafie, i wręczone mu ładnie zapakowane pudełeczko z pralinkami, nie będzie wcale oznaczało, że chcę sprawdzić, jak się zachowa...

Oczywiście, że nie o to mi chodzi...

\*

Od rana czuję dziwne napięcie we wszystkich członkach mojego ciała. W nocy nie mogłam spać, przewracałam się z boku na bok, dlatego dziś moja pościel jest zmierzwiona, jakbym przez pół nocy uprawiała dziki seks z żywiołowym kochankiem. Nawet Ginger uciekł ode mnie nad ranem, bo przeszkadzało mu moje wiercenie się, a przecież nigdy nie opuszcza łóżkowych pieleszy dobrowolnie.

Nie mogę przełknąć owsianki z bananem, którą przygotowałam sobie na śniadanie, i nie mogę stłumić bulgoczącego przelewania się w brzuchu.

Czym ja się do cholery przejmuję? Ha. Może tym, że nieco ponad miesiąc temu zerwałam z chłopakiem i nie chciałam wplątywać się w nic nowego przez co najmniej pięć lat, a teraz podniecam się jak głupia jakimiś urojonymi flirtami z nieznajomym...

Albo tym, że jestem typem grzecznej dziewczynki, która nigdy nie myśli o niczym zdrożnym, a od wczorajszej rozmowy w sklepie sportowym mam kosmate myśli non stop...

Albo tym, że na ogół nie lecę na bajerantów, przystojniaków, sportowców, facetów z przesadnie wysoką samooceną, wybujałym ego, skłonnościami do przechwałek i wypasionym wozem, więc nie mogę pojąć, czemu Adam tak na mnie zadziałał... Przecież go nie znam. Przecież zamieniłam z nim raptem kilka zdań... Przecież to nawet nie jest mój typ. Wrrr...

Ubieram się i wychodzę do pracy. Wcześniej dałam oczywiście cmoka Gingerowi w puszysty łąpek i wrzuciłam do torebki buteleczkę z truskawkowym smoothie. Owsiankę ostatecznie wylałam do kibla, kiedy zaczęła mi rosnać w ustach...

\*

Dzieci nie mogą się otrząsnąć po wczorajszej deszczowej przygodzie. Ciągłe słyszę tylko „pan Adam”, „sport”, „karate” i „przygoda”. Chłopcy bawią się w wyścigi samochodowe, dziewczynki urządzają sobie obóz przetrwania. Ja bawię się w uzupełnianie dziennika i myślenie o tym, jak się zachowam, gdy pójdę po czwartej do sklepu sportowego.

– Smacznego.

Słyszę nagle dziarski głos woźnej i ocknąwszy się z chwilowego zamyślenia, spostrzegam, że zgryzłam prawie całą skuwkę od długopisu.

– Aaaaj... Zamyśliłam się – tłumaczę się głupio i zaczynam kaligrafować temat zajęć w dzienniku. Udaję, że nie widzę porozumiewawczego uśmiešku, jakim obdarza mnie pani Hania. – Myślę, kiedy zmienić gazetkę na korytarzu – mówię pewnie, patrząc w jej ciepłe, dobrotliwe oczy.

– Aha – kwituje krótko i uśmiecha się jeszcze szerzej. – Tak myślałam, że to właśnie planowanie wystroju gablotki sprawia, że masz taki rozmarzony i nieobecny wyraz twarzy – oznajmia i wychodzi zamiatać korytarz, zostawiając mnie z głupią miną i jeszcze głępszym uczuciem palących policzków.

\*

Chodzę po spożywcza i wkładam do koszyka podstawowe produkty, którymi żywi się mieszkająca sama singielka, w dodatku wegetarianka. Sałata masłowa, mleko sojowe, chleb ze słonecznikiem, herbata malinowa, pomidory, mandarynki. I pudełko merci. Dla Adama.

Wykładam towar na taśmę i dorzucam jeszcze paczkę gum miętowych. Pakuję zakupy do materiałowej torby. Wychodząc, przepuszczam w drzwiach młodą kobietę z wózkiem. Zerkam przelotnie do gondolki. Bobas śpi pod seledynowym kocykiem, ciemne rzęski kładą się cieniem na różanych policzkach.

– Sama słodycz – mówię do mamuśki, która puchnie z dumy i uśmiecha się do mnie znacząco, jakby chciała powiedzieć: „Też kiedyś będziesz mogła poszpanować markowym wózkiem z uroczym dzidziusiem”.

No pewnie... Idę śmiało ulicą, starając się nie myśleć za dużo. Widzę sklep sportowy i wreszcie mam okazję mu się przyjrzeć. Nigdy wcześniej w nim nie byłam. Żaden ze mnie sportowiec. Wchodzę do środka, oddychając głęboko. Pusto. Nie ma Adama, nie ma nikogo innego. Hm. Dziwne.

– Dzień dobry – wołam, ale nikt nie odpowiada.

Zaczynam przyglądać się butom do biegania, kiedy słyszę chrząknięcie. Reklamówka wypada mi z dłoni i uwolnione mandarynki toczą się radośnie po podłodze. Kucam i zbieram je szybko, żeby nie robić z siebie większej ofery niż jestem. Udaje mi się okiełznać prawie wszystkie owoce. Oprócz jednej niesfornej mandarynki, która toczy się prosto pod czarne air maxy Adama. Podnosi ją zgrabnym ruchem.

– Proszę – wyciąga w moją stronę dłoń z owocem.

– Dziękuję, poczęstuj się – mówię.

Nie będę prowokować sytuacji, w której miałabym zetknąć się z nim dłońmi. Ooo, nie. Przyszłam wręczyć mu czekoladki. Nic więcej. Podaję mu pudełko merci.

– Dziękuję za wczorajszą misję ratunkową – mówię, patrząc mu w oczy.



– To była według ciebie misja ratunkowa? – szczyrzy się w głupkowanym uśmiezku, turlając mandarynkę w dłoniach.

– Uratowałeś moje dzieci przed przemoknięciem, a mnie przed zaszytletowaniem przez rodziców za narażenie pięcioletnich organizmów ich pociech na katar i chrypkę – stwierdzam, przekładając nerwowo reklamówkę z dłoni do dłoni. Chyba chcę, żeby znowu wysypała mi się jej zawartość...

– Cóż... W twoich ustach brzmi to, jakbym co najmniej uratował was z powodzi, ale dziękuję za czekoladki. Nie musiałaś. Całkiem przyjemnie spędziłem wczoraj czas – wzrusza ramionami.

– My także. Ty i twój sklep jesteście dziś cały dzień na tapecie. Od rana słyszę tylko „pan Adam to, pan Adam tamto”... – parskam śmiechem.

– Nie mów, że jesteś zazdrosna o moje chwilowe powodzenie wśród twoich pupilów – kącik jego ust unosi się nieznacznie, kiedy to mówi.

– Nie. Skądże znowu. Dla dzieci i tak jestem numerem jeden, bo wycieram im zasmarkane nosy i pozwalam im siadać na swoich kolanach – odparowuję.

– Ach, więc przegrywam z tobą z kretezem. Chyba nie zdobyłbym się na takie poświęcenie wycierania dziecięcych gili – stwierdza.

Śmiejemy się oboje. Szczerze i całkowicie naturalnie.

– Może usiądziesz i napijesz się herbaty? – proponuje i wskazuje mi krzesło.

– A nie będę ci przeszkadzać w pracy? – pytam pro forma, bo w sklepie nie ma ani żywej duszy.

– Absolutnie nie – wyciąga mi z rąk reklamówkę i gestem zachęca do ściągnięcia płaszcza.

Rozpinam guziki, udając, że skupiam się tylko i wyłącznie na tym. Adam staje za mną i pomaga zsunąć mi z ramion okrycie. Ale to tylko grzeczna pomoc w rozebraniu się. Nic poza tym. Znosi mój czerwony płaszcz na zaplecze. Nie wraca przez dłuższą chwilę, ale słyszę, jak nalewa wodę, włącza czajnik i tłucze się kubkami. Bawię się swoimi dłońmi i stukam paznokciami po blacie.

Wreszcie słyszę kroki. Wraca do mnie i zasiada po drugiej stronie lady. Mierzymy się wzrokiem.

– Wracasz z pracy? – pyta grzecznie.

Zero podtekstów.

Zero gry słownej.

Zero chochlików w oczach.

Zero ironicznego uśmiezku.

Zero flirtu.

– Tak. Byłam na zakupach i spontanicznie przyszło mi do głowy, że kupię ci czekoladki w ramach podziękowania za wczoraj – mówię gładko i zastanawiam się, czy widać po mnie, że to ściema roku i że od wczoraj cały czas planowałam, jakie czekoladki będą najbardziej pasować do okoliczności.

– To miło z twojej strony – odpowiada.

„Taa... miło” – myślę w duchu.

Słyszę gwizd czajnika i Adam podrywa się, żeby zalać herbatę. Przynosi dwa kubki i stawia przede mną biały z jakimś sportowym autem. Kładzie między nami mały imbryczek na torebkę herbaty i cukiernicę.

– Słodzisz? – pyta.

– Nie – odpowiadam i zastanawiam się, czy dodać coś jeszcze.

W końcu nic nie mówię, tylko bawię się, podtapiając łyżeczką opakowanie herbaty w kształcie piramidki.

Cisza.

Jeszcze cichsza cisza.

– Więc mówisz, że lubisz dzieci... – zagaja Adam, a ja czuję się jak na randce w ciemno.

Zadawanie banalnych pytań, zdawkowe odpowiedzi. Uh. Zaczynam żałować, że tu przyszłam.

– Tak, lubię dzieci – mówię, wyciągając piramidkę i niechcący rozchlapiując wkoło małe kropelki herbaty.

Sięgam szybko do torebki i przecieram błyszczący blat chusteczką. Adam opiera łokcie na ladzie i przygląda mi się uważnie. Teraz czuję się jak na rozmowie kwalifikacyjnej. Przelącam się więc na tryb rekrutacja i siadam prosto w pozycji otwartej, unikając gwałtownych gestów i zdradzającej napięcie mimiki. Chyba cieszy go to moje skrępowanie, bo sprawia wrażenie jeszcze bardziej pewnego siebie. O, twoje niedoczekanie.

– A ty, jak widzę, jesteś typem sportowca – rzucam lekko, kładąc dłonie na kubku i grzejąc je na gorącej zawartości.

Śmieje się szczerze, odrzucając do tyłu głowę i pokazując zęby.

– Tak. Lubię sport – parska śmiechem i wyszczerza się jeszcze bardziej.

Też się uśmiecham. I rozluźniam. Wypada mi wypić tę herbatę do końca, więc postaram się sprawić, żeby siedzenie z nim nie było przymusem.

Teraz wiem już na pewno, że wczoraj był tylko miły, a ja uroiłam sobie Bóg wie co. Relaksuję się jeszcze bardziej i sama zaczynam rozmowę.

\*

Godzinę później nieruszona i pewnie porządnie przestudzona herbata stoi w nietkniętym kubku, a my gawędzimy jak starzy znajomi.

Raz na jakiś czas przyjdzie klient, który pokręci się po sklepie, spyta o cenę łyżew albo raketki do ping-ponga, podziękuje i wyjdzie.

– Taki sezon – Adam wzrusza ramionami. – Jak spadnie śnieg, zaczniesz się boom na sanki, ślizgacze i opaski elastyczne na skręcone kostki – mówi.

Wiem o nim już całkiem sporo. Wiem, że znajomi mówią na niego Słoni,

bo w dzieciństwie był przy kości, a że na nazwisko ma Trafalski, nazywanie go Słoniem Trąbalskim wydawało się świetnym pomysłem dla dzieciaków w wieku lat siedmiu. Wiem, że teraz ma lat dwadzieścia dziewięć, więc jest o trzy lata starszy ode mnie i zaledwie o rok od Igora. Wiem, że wynajmuje kawalerkę w sąsiednim miasteczku. Wiem, że skończył AWF i pracował trzy lata jako nauczyciel WF-u, aż w końcu doszedł do wniosku, że założy sklep z akcesoriami sportowymi.

Wiem, że prowadzi zajęcia z karate dla młodzieży i że jest trenerem piłki nożnej w szkole podstawowej. Wiem, że lubi pływać, chodzić po górach, grać w bilard i oglądać serial *Lost*. Wiem nawet, że ma na udzie bliznę po upadku na rowerze, że w dzieciństwie chorował na odrę i że miał psa o imieniu Piorun, bo kiedyś wydawało mu się to idealnym imieniem dla wielkiego nowofundlanda.

On też wie o mnie parę mało istotnych rzeczy, łącznie z tym, że śpię w skarpetkach frotté niezależnie od pory roku i zbieram zabawne kubki, ale nie wie, że straciłam w wypadku prawie całą rodzinę i że parę tygodni temu zerwałam z chłopakiem.

Wskazówki na dużym ściennym zegarze nieubłagalnie zbliżają się do piątej, więc staram się jednym duszkiem wypić całą herbatę.

– Będę się już zbierać. Zaraz zamykasz sklep – rzucam nonszalancko i wstaję z krzesła.

Adam przynosi mi z zaplecza płaszcz.

Wyciągam po niego dłonie, udaremniając mu pomoc przy jego wkładaniu.

– Gdyby nie to, że za godzinę mam lekcję karate, moglibyśmy jeszcze posiedzieć – mówi, kiedy napotykam jego spojrzenie.

– Och, i tak muszę coś jeszcze dziś załatwić – stwierdzam, choć oczywiście oprócz nakarmienia kota i przygotowania ciuchów na jutro nie mam żadnych planów.

– Co takiego? – pyta niewinnym tonem, a ja łapię się na tym, że zamieram w bezruchu.

– Chcę się zapisać na siłownię. Muszę przejrzeć dostępne oferty – oznajmiam, zastanawiając się, skąd do cholery przyszedł mi do głowy tak durny pomysł.

– O, to świetnie. Wpadnij jutro po pracy. Poszukamy czegoś razem. Mogę ci doradzić, jeśli chcesz – błyska oczami i uśmiechem.

– Eee... Jasne. Jak znajdę chwilę, to przyjdę – obiecuję i dziękując za herbatę, obracam się na pięcie.

– Tylko włóż jutro jakąś inną bluzeczkę – rzuca na odchodne.

Odwracam się i lustruję go zdziwionym spojrzeniem szarych oczu.

– Nie mogę się skupić na rozmowie z tobą, nie myśląc w nieprzyzwoity sposób... – chrząka znacząco i macha mi ręką w przyjacielskim pożegnaniu. – Do

jutra! – znów przykleja na twarz uśmiech profesjonalnego sprzedawcy butów sportowych.

Z trudem podnoszę rękę, macham mu i wychodzę ze sklepu, o mało nie zabijając się na progu.

O kurczę...

Co to właściwie miało znaczyć?!

\*

Nosi mnie. Chodzę po całym mieszkaniu jak zakręcona. Albo jak nakręcona... Żałuję, że moje M<sup>2</sup> ma jedyne czterdzieści metrów kwadratowych. Nie mam jak się wyżyć... Może rzeczywiście powinnam zapisać się na siłownię. W sumie to niegłupi pomysł. Zawsze to będę mieć jakieś mięśnie, nie same kości. Jestem szczupła, ale w wiotki, smukły sposób. Nie mam umięśnionych łydek biegacza i twardego brzucha. O kaloryferze nie wspomnę. Robię szybko parę skłonów i przysiadów. Ginger wpatruje się we mnie przerażonymi oczkami. Nie jest przyzwyczajony do takiego zachowania. Biorę go na ręce i odstawiam taniec radości z kotem w ramionach. Kładę go na szarej sofie, kiedy zniecierpliwione zwierzę próbuje mnie podrapać ostrymi pazurkami.

– Nie, to nie... – wystawiam do niego język jak rozpuszczona, zbuntowana dwulatka.

Śmieję się głośno sama z siebie. Płąsam jeszcze chwilę po wymaginowanym balowym parkiecie z wymaginowanym partnerem. Wreszcie bezsilnie opadam na kanapę. Ginger ucieka w popłochu, ślizgając się po panelach. Śmieję się głośno jak uciekinierka zakładu zamkniętego. Oddycham głęboko i dynamicznie, chociaż nie mam astmy ani problemów z wydolnością płuc. Powoli opadają ze mnie emocje i zaczynam główkować. Co się ze mną dzieje? Czemu ten facet tak na mnie działa? Cieszę się, bo powiedział, że rozprasza go patrzenie w mój dekolt? Na głowę mi padło?!

Czy to normalne, żebym czuła takie podniecenie na czyjś widok? Albo na samą myśl o kimś? Zwykle się tak nie zachowuję... Okej, może i przez kilka lat miałam chłopaka. Ale wcześniej też nie czułam takiego pociągu do żadnego ze znanych mi facetów. Zwłaszcza mówię tu o pociągu fizycznym. W liceum podkochiwałam się w koledze, który pomagał mi przy nauce geometrii. Potem zauroczył mnie intelektualista, którego poznałam na szkolnej olimpiadzie.

Podczas wakacji po skończeniu szkoły uwielbiałam prowadzić długie filozoficzne konwersacje na czacie z chłopakiem znad morza. Podobali mi się ci chłopacy, bo byli inteligentni i czytani. Lubiłam z nimi rozmawiać i spędzać czas. Ale nigdy nie zafascynował mnie ktoś, do kogo czułam tylko i wyłącznie skrajnie prymitywne uczucia żądzy...

Nigdy nie podobał mi się nikt, kogo nie znałam krócej niż miesiąc. Nigdy nie

podniecałam się czymś zapachem, głosem, dotykiem. Nigdy nikt nie zadziałał na mnie w ten sposób. Nawet Paweł. W nim ceniłam przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa. Stabilność, troskę, delikatność. Kochałam się z nim w dosłownym tego słowa znaczeniu. Czule, subtelnie, spokojnie. Traktował mnie z ogromnym szacunkiem. Nigdy nie pozwolił sobie na nic bez pytania mnie o pozwolenie. Choć to akurat zaczęło mnie w pewnym momencie drażnić. Jego pytanie się za każdym razem: „Nie obrazisz się, jeśli cię tu dotknę?” było dość męczące. Ale przynajmniej byłam pewna, że Paweł mnie kocha, darzy szacunkiem i dochowuje mi wierności.

W czasie gry wstępnej zawsze długo mnie pieścił. Bawił się moimi długimi włosami, głaskał po policzkach, miział po karku. W czasie seksu patrzył mi w oczy. A po wszystkim dziękował mi, uśmiechał się i przytulał na łyżeczkę – uwaga – nie zasypiając.

Wielokrotnie też cmokał mnie w czoło po stosunku. Czasami przypominało to ojcowskie opiekuńcze buziaki, ale było całkiem miłe. No i zwykle po seksie zapewniał mnie o swojej miłości. Może czasem wydawało mi się, że naszemu życiu erotycznemu brakuje pasji, ale właściwie nie miałam porównania, jak to jest być z kimś innym.

Może nasze współżycie nie przypominało walki, namiętnej szarpaniny wzburzonych kochanków czy gwałtownej burzy hormonów, ale zawsze uważałam, że nie muszę tego mieć, żeby było mi dobrze. I bez tego było mi dobrze i to było najważniejsze.

Czułam się spełniona, czułam się kochana. Nie brakowało mi szybkich numerków czy dzikich orgii... Niczego mi nie brakowało. Nie myślałam o zdradzie, o seksie z innym mężczyzną. Ba – nie myślałam w ogóle o innych mężczyznach. Czy byli przystojni, czy super umięśnieni. Czy czarujący, czy pociągający. Czy byli bogaci, czy mieli powodzenie u kobiet.

Nic.

Zero.

Nada.

No to teraz mam.

Wszystkie te utemperowane zachowania i zahamowane potrzeby skumulowały się i zapalałam nagłą i palącą żądzą do faceta, którego nawet nie znam. Świetnie. Cudownie wręcz...

\*

Dzień w pracy mija mi całkiem miło i sympatycznie. Dalej mam małą grupkę dzieci, ale żadne z nich nie histeryzuje, nie płacze, nie wymiotuje i nie robi nic nieprzewidywalnego.

Filipek ma dziś urodziny. Przyniósł ogromny tort z zygzakiem McQueenem

i wszystkie przedszkolaki zajadają się teraz smakołykiem, brudząc buzie lukrem i rozsypując po stolikach kolorową, nienaturalnie wyglądającą posypkę.

Ja też dostałam na papierowy talerzyk porcję ciasta. Trafił mi się kawałek zygzakowego koła z lukru. Poczęstowałabym się nim, gdyby nie to, że od rana okrutnie mnie mdli. Z nerwów. To ci dopiero... Stresować się facetem, z którym jestem umówiona. I to nawet nie na randkę, a jedynie na wspólne wybieranie właściwej siłowni. Fikcyjnej siłowni. To znaczy – siłownia może i będzie prawdziwa, ale moje uczęszczanie do niej już nie bardzo.

– Proszę pani, proszę pani! Ona mnie uszczypła! – Ignas stoi przede mną z ustami wygiętymi w podkówkę.

Za nim stoi naburmuszona Lenka ze skrzyżowanymi rękami na dżinsowych ogrodniczkach.

– Uszczypnęła – poprawiam nieświadomie, po czym wstaję z krzesła i zaczynam tłumaczyć dzieciarni, jak należy postępować w stosunkach damsko-męskich.

Jakbym co najmniej była specjalistką w tej dziedzinie...

\*

Dziś nie będzie potykania się na progu ani nieśmiałego wchodzenia do sklepu, jakbym chciała coś zwędzić. Nie będzie też niepewności. Dziś wejdę do sklepu śmiałym krokiem. Bo przecież czym mam się przejmować? Tym, że ostatnio Adam zagiął mnie na koniec wizyty? Że jego komentarz nieomal spowodował u mnie wytrzeszcz i tak wielkich już oczu?

Wchodzę po jednym schodku, który dzieli mnie od sklepu sportowego i chwytam za kłamkę. Nic. Szarpię ją mocniej. Dalej nic. Wreszcie pukam się w czoło, kiedy widzę tabliczkę „pchać”. Jakbym tam była pierwszy raz... Napieram na drzwi biodrem i lekko chwiejnym krokiem wkraczam do królestwa sportu.

– O, hej! – Adam uśmiecha się na mój widok, jakby był lekko zdziwiony, że mnie widzi.

Siedzi przy ladzie, przeglądając jakieś papiery.

– Heej – mówię przeciągle.

I błyskam pełnymi pewnością siebie oczami i uśmiechem. Zero skrępowania. Zero wstydu.

– Herbaty? – proponuje Adam, zakasawszy rękawy. Jakby co najmniej musiał ją najpierw upolować...

– Ehe, poproszę – mruczę i robię parę kroków po sklepie. Dla rozluźnienia. Dla rozluźnienia biorę też kilka głębokich oddechów. Rodem zaczerpniętych z filmów o porodach. Wreszcie uspokojona siadam z gracją na krzesło.

– Zawsze siadasz jak królowa angielska? – słyszę jego ironiczny głos

i widzę, że stoi oparty o framugę.

– Nie – ucinam krótko i zakładam ręce na kolana.

Mam nadzieję, że nie widział tych spazmatyczno-dychawicznych wdechów i wydechów...

Parska śmiechem.

Oczywiście odrzucając do tyłu głowę i błyskając białymi zębami.

I co wcale, ale to wcale mnie nie krępuje...

– Jesteś spięta, czy mi się wydaje? – Jego miły dla ucha głos przerywa moje marzycielskie rozważania.

Albo tylko chcę tak myśleć...

– Miałam męczący dzień w pracy – tłumaczę, wzruszając ramionami.

– Dzieciaki dały popalić? – pyta.

– Taaak, były dziś nieznośne – kłamię jak z nut, bo moje pięciolatki zachowywały się dziś jak wzór cnót.

To pewnie zasługa bajecznego tortu i mega dużej dawki cukru.

– Na pewno świetnie dałaś sobie z nimi radę. Emanuje z ciebie nauczycielski profesjonalizm i cierpliwość – mówi i nie wiem, czy to komplement, czy szydera.

–Taaak? Za to z ciebie emanuje coś innego – wylatuje ze mnie, zanim gryzę się w język.

To znaczy w język też się gryzę. Ale już po tym, jak nieszczęsne zdanie ze mnie wyfruwa. Czerwienię się, czując metaliczny posmak na języku.

– Niby co? – znów ironicznie wygina usta w ironiczny półśmieszek.

– Eee...

Pięknie, pani Mileno. Pięknie...

– Właściwie to nie wiem. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto emanowałby tym samym, więc ciężko mi to jednoznacznie stwierdzić... – przyjmuję niby zblazowaną minę i opieram się wygodniej o oparcie krzesła.

Przez chwilę wpatruje się we mnie, jakby chciał przeczytać mi w myślach. Odpowiadam mu równie natrętnym spojrzeniem. Kapituluje i idzie zalać wodę, która już dawno zakipiała. Kiedy znika na zapleczu, biję się w czoło otwartą dłonią. Cholera jasna! Co mnie podkusiło?!

– Znalazłaś już właściwe określenie? – pyta, wracając do mnie z kubkami i ich aromatyczną zawartością. – Na to, czym emanuję, rzecz jasna – dopowiada, unosząc w górę brew.

Patrzę na jego wyprostowaną postawę i zdecydowany ruch, z jakim siada. I wtedy dostaję nagłego przebłysku.

– Pewnością siebie pomieszaną z przekonaniem o własnej atrakcyjności. Taaak. Zdecydowanie chodzi tu o poczucie własnej wartości – stwierdzam, sięgając po kubek.

– Podoba mi się ta odpowiedź. Pewność i zdecydowanie to moje ulubione

słowa – mówi spokojnie, po czym wstaje, idzie do drzwi i przekręca tabliczkę.

A potem klucz w zamku.

– Wyglądasz na tak spiętą, że muszę zrobić ci masaż karku – oznajmia głosem, który nie jest ani zmysłowy, ani ironiczny, a bardzo, bardzo pewny i zdecydowany.

\*

Znów herbata. Znów koc. Znów kot mruczący swoje kocie mruczanki. Ale tym razem stoję przy oknie, a Ginger leży na parapecie rozłożony jak lord. A ja znów myślę i znów wspominam. Cóż... Jeszcze nigdy nie przeżyłam czegoś tak... dziwnego. Bo trudno znaleźć mi inne, bardziej adekwatne określenie.

Kiedy Adam zmienił tabliczkę na drzwiach na „zamknięte”, poczułam, że moje ręce zrobiły się nagle śliskie od potu. Kiedy zamknął lokal na klucz, poczułam, że w gardle mam dziwnie sucho. A kiedy dodatkowo zgasił światło, sama już nie wiedziałam, co czuję. Oprócz niepokoju i niepewności. Bo akurat tych uczuć byłam pewna. Właściwie to nie wiem, czego się spodziewałam. Namiętnego pocałunku? Szalonego seksu na ladzie? Sama nie wiem. Chyba wszystkiego, ale nie tego co się stało.

Bo... w zasadzie... nic się nie stało. Adam i owszem – zamknął nas samych w sklepie i dodatkowo jednym ruchem dłoni zapewnił romantyczny półmrok, ale poza tym... nic nie zrobił. Stał za mną i położył mi ręce na karku zwyczajnym, obojętnym ruchem. Zrobił z masażu czynność równie aseksualną jak nitkowanie zębów. Zero zmysłowych szeptów. Zero subtelnego dotyku. Zero intymności. Po prostu – stanął za mną i zaczął delikatnie, acz pewnie ugniatać moje napięte jak postronki mięśnie. Wolnymi, kolistymi ruchami. Nic nie mówił. Ja nic nie mówiłam. Trwaliśmy tylko w tej ciszy i słyszać było jedynie nasze oddechy. Normalne, zwyczajne oddechy.

Spędziliśmy w tej ciszy pięć? Dziesięć minut? Trudno oszacować. W każdym razie – nie za długo i nie za krótko. Po paru minutach masażu poczułam przyjemne rozleniwienie. Później rozluźnienie mięśni. Na koniec ulgę. I wtedy Adam przestał mnie masować, przytrzymując na chwilę dłonie na moim karku. Zdjął je ze mnie, zaświecił światło, które oślepiło mnie jak błysk jupiterów, po czym jak gdyby nigdy nic odsłonił tabliczkę, przekręcił klucz i usiadł na swoim miejscu.

– Lepiej?

– Lepiej – wyjąkałam.

– Ciesz się. Przygotowałam ci kilka folderów z ofertami klubów fitness – stwierdził neutralnym głosem. Napił się łyka herbaty i podsunął w moją stronę kilka ulotek. – Przejrzysz? – popatrzył mi w oczy i uśmiechnął się lekko.

Nie ironicznie. Nie zmysłowo. Nie podniecająco. Skinęłam głową



i wczytałam się w ulotki. Ja chyba śnię... Nie można tak po prostu gasić światła, robić komuś masażu, a po chwili zmieniać tematu, jak zmienia się pas na drodze! Nie można... A może jednak można. Przełknęłam ślinę i zwilżyłam usta językiem.

– Ta wygląda całkiem interesująco – stwierdziłam, stukając w folder paznokciem i poprawiając się na krześle.

– Naprawdę? – zrobił swoją słynną minę z uniesieniem brwi. – Przecież to pierwsza ulotka, jaka wpadła ci w ręce. – zaśmiał się i zaplótł ręce na umięśnionej klacie.

– Najważniejsze jest dla mnie pierwsze wrażenie... – posłałam mu swój uroczo-nieśmiały uśmiech i skryłam twarz za kubkiem herbaty.

– Pierwsze wrażenie, mówisz? – zmierzył mnie wzrokiem.

– Zdecydowanie tak. Potem już nic nie liczy się tak bardzo – dodałam.

– Interesujące... – mruknął.

– Dlaczego?

– Bo myślę dokładnie tak samo – powiedział i utkwiał we mnie to swoje spojrzenie z niebezpiecznymi błyskami.

\*

Budzi mnie sygnał nadejścia wiadomości. Otrząsam się z resztek snu.

„Przepraszam, że do Ciebie piszę, ale nie mogę spać. Myślę o Tobie cały czas i nie mogę poradzić sobie z własnymi emocjami...” Przecieram zdumiona oczy. Czytanie esemesów o trzeciej w nocy jest średnim pomysłem. Jeszcze gorszym jest ich pisanie. Patrzę na nadawcę. Paweł. A jakże...

Mamroczę pod nosem stłumione wulgaryzmy, które nieprzystoją pani nauczycielce (chyba że jest środek nocy) i przeciągam się rozkosznie w pościeli. Chwilę trzymam telefon w dłoni, po czym odkładam go na nocną szafkę. Nie będę odpisywać. Nie wiem, co miałabym mu napisać o trzeciej nad ranem. O tej porze mam święte prawo spać i nie przejmować się niczym. Szkoda tylko, że mój organizm tego nie wie i wybudzony ze zdrowego snu nijak nie chce ponownie pograć się w marzeniach sennych. Przewracam się na drugi bok.

Leżę, leżę, leżę. Nic. Jestem rozbudzona jak po zastrzyku z adrenaliny. Przynajmniej wydaje mi się, że tak można się po nim czuć. Nigdy nie miałam okazji tego sprawdzić. Summa summarum nie bywam zbyt często w szpitalach. Dzięki Bogu.

Zapach środków dezynfekujących, starości, leków i sterylności budzi we mnie odruch wymiotny. Panicznie boję się białych fartuchów, stetoskopów i szpitalnych łóżek. Wszystko dlatego, że kojarzą mi się z wypadkiem. Potrząsam głową, jakbym w ten sposób mogła wyrzucić z niej niechciane myśli. Przekierowuję myślenie na inny tor i przez chwilę mój mózg zajęty jest analizowaniem czteroletniego związku z Pawłem. Przypominam sobie nasze

poznanie się, pierwszą randkę, pierwszy seks. Czuję motylki w brzuchu. Kładę rękę na podbrzuszu i przyciskam ją mocno do ciała. O, nie. To chyba niezbyt dobry pomysł, żeby myśleć o seksie, kiedy jest się singielką. Singielką, w dodatku z kotem. I bez wibratora w szufladzie...

Przekręcam się na brzuch. Głowa opada mi miękko na poduszkę, wzdycham głęboko i czuję, że powoli odpływam. Wyobraźnia podsuwa mi kolejno różne obrazy. Przeskakują jak w kalejdoskopie. Są rozmyte i niewyraźne, a jednak widzę je bardzo dobrze. Różany ogród na działce u babci, gdzie bawiłam się jako dziecko. Jesienny park, gdzie zbierałam liście z tatą. Iga w niemowlęcym białym body, leżąca w pastelowej pościelce z baldachimem. Mama w błękitnej sukience niosąca bukiet żółtych kwiatów do jadalni. Żółć kwiatów nie jest rozmazana, a żywa i jaskrawa. Tak jaskrawa, że aż bije mnie po oczach. Tak jaskrawa, że aż pali. Otwieram gwałtownie oczy i podrywam się z poduszki. Poprawiam jaśka, uklepując go, żeby przyjął pożądany kształt.

Ginger spogląda na mnie fosforyzującymi oczkami. Oczkami pełnymi wyrzutu. Jakby umiał mówić, pewnie ochrzaniłby mnie, mówiąc: „Ej, sama tu jesteś? Daj człowieku trochę pospać!”. Albo powiedziałałby coś bardziej ironicznego i chamskiego. Widzę to po jego złośliwych ślepiach... Z mojej krtani wydobywa się cichy pomruk, będący zwiastunem śmiechu. Tłumię go rąbkim kołdry, ale trzęsę się cała z powstrzymywanego chichotu.

Ginger prycha i wygina rude ciało w pałąk. Głaskam go uspokajająco po grzbiecie, ale on obrażony odskakuje, a następnie zeskakuje na podłogę. Słyszę tylko odgłos jego miękkich łapek stąpających po starym parkiecie.

Zakładam ręce za głowę. „Sama jesteś sobie winna” – myślę w duchu. I dociera do mnie, że to bardzo trafione zdanie...

Po chwili myślę już tylko o Adamie i to właśnie Adam jest ostatnią świadomą myślą, zanim wreszcie odpływam w upragnione ramiona Morfeusza.

\*

– Cześć, kochanie, co słychać?

Słyszę w telefonie wesoły głos babci.

– Dzień dobry, babciu – uśmiecham się do telefonu.

Podobno rozmówca jest w stanie wyczuć, czy osoba po drugiej stronie uśmiecha się, czy nie. Ciekawe, czy moja babcia wyczuwa, że szczerzę się do niej jak moje pięciolatki, kiedy mówię im, że mam do rozdania naklejki.

Wracam właśnie z pracy, więc chętnie ucinam sobie z nią miłą pogawędkę. Pogawędkę o wszystkim i o niczym. O pogodzie, o dzieciach, o tym, co jadłam na obiad i o tym, co będę robić, jak wrócę do domu.

– Jeszcze nie wiem, co będę robić potem. Ale raczej zostanę w domu – mówię wymijająco, kiedy babcia docieka, jak planuję spędzić popołudnie.

– A może się z kimś umówiłaś? – pyta, zniżając głos do głośnego szeptu.  
– Nie, nie – odpowiadam szybko.  
– Oooo. Milenko...? – babcia podejmuje drugą próbę wyciągnięcia ze mnie informacji.

Zagryzam wargi i się uśmiecham. Nic z tego. Nie jestem zbyt wylewna.

– Muszę przygotować się do jutrzejszych zajęć z dziećmi... – oznajmiam, zatrzymując się na przejściu dla pieszych.

– Ach... – Babcia chyba widzi, że nici z wywiadu śledczego.

– Odwiedzę cię jutro po pracy, dobrze? – próbuję ją ugłaskać.

– Dobrze, duszyczko, zapraszam jutro. Upiekę sernik – mówi ciepło, żegna się, po czym odkłada słuchawkę.

Nie należy na szczęście do zbyt wścibskich i obraźliwych osób.

Stoję na chodniku, czekając, aż ktoś łaskawie przepuści mnie przez pasy i ślinka mi leci na myśl o jutrzejszym deserze. Już prawie czuję smak puszystej pianki na podniebieniu... Już czuję kruchość ciasta i słodycz kawy z mlekiem... A po chwili czuję też, jak zimna zawartość ulicznej kałuży ochlapuje moje nogi przy wtórze głośnej muzyki dobiegającej z czarnej, pędzącej jak na sygnale beemki.

Przeklinam pod nosem, otrzepując spodnie z lodowatej i brudnej wody. Momentalnie robi mi się zimno, momentalnie psuje mi się nastrój. Do domu mam kawałek, a nie uśmiecha mi się paradować przez miasto w mokrych dżinsach. Jakiś kierowca lituje się nade mną i zatrzymuje się przed przejściem zielonym clio. Kiwam mu głową i przechodzę szybko na drugą stronę.

Brrr... Idę chodnikiem i wzdrygam się, kiedy czuję, jak mokry materiał obłapia mi łydki. Powietrze jest zimne i prawie mroźne. Widzę małe obłoczki pary, które wylatują mi z ust przy każdym oddechu. Czuję, że spodnie powoli zmieniają się w twardniejącą, nieprzyjemną skorupę. Nie mogę iść taka mokra do domu. Nabawię się grypy. Mój wzrok samoistnie ucieka na drugą stronę ulicy. Oczy mimowolnie kierują się w stronę skupiska sklepów, maleńkiej herbaciarni i apteki. Przestaję szcząkać zębami, rozglądam się na prawo i lewo i przebiegam przez ulicę. Nieprzepisowo, niegrzecznie, nierozważnie. Znow się wzdrygam i znow czuję nieprzyjemne mrowienie w nogawkach. A potem z uśmiechem kieruję swoje kroki do sklepu sportowego. Wkraczam do środka, otwierając zamasyżycie drzwi.

Uśmiech zastyga mi na ustach, kiedy widzę, że Adam ma klienta. Jakiś pan z synkiem ogląda kąpielówki. Mówię cicho „dzień dobry” i zaczynam z wielkim zainteresowaniem przyglądać się piłeczkom tenisowym. Adam posyła w moją stronę dyskretny uśmiech i wraca do pokazywania chłopcu niebiesko-czarnych kąpielówek. Młody marudzi i wybrzydza, a ja przenoszę się w inne miejsce i z nogi na nogę przechadzam się między strojami kąpielowymi.

Wreszcie dzieciak wybiera czerwone szorty, tatuś przejeżdża zbliżeniową

kartą po czytniku i po chwili obaj wychodzą ze sklepu.

– Cóż to za niespodziewana wizyta – mówi Adam, siadając na krześle i gestem wskazując mi, żebym zrobiła to samo.

– Aach... Niemiła przygoda z niemiłym kierowcą w roli głównej. Jestem cała mokra. Nie chciałam iść w takim stanie do domu. I to jeszcze w tę koszmarną pogodę – macham ręką gdzieś w okolicę okna, sadowiąc się w fotelu.

– Jasne. Jeszcze byś się przeziębila. Poza tym lubię, kiedy przychodzą do mnie mokre dziewczyny – śmieje się, mrużąc oczy.

Czy on w ogóle umie się uśmiechać bez robienia tej miny?

Podsuwa w moją stronę kubek.

– Jeszcze ciepła – mówi.

Dziękuję mu, uśmiechając się lekko. Piję gorący napar, parząc sobie usta, a Adam zabawia mnie historiami o swoich klientach. Chichoczę, kiedy odgrywa małą pantominę pod tytułem „Jestem upierdliwą starszą panią, która zapisała się na aerobik, więc zawracam głowę młodemu sprzedawcy”. Śmieję się, gdy opowiada o nastolatkach, które przychodzą kupować maty do ćwiczeń z Chodakowską, a zamiast skupić się na wyborze karimat, podrywają sprzedawcę. Uśmiecham się, kiedy nawija o tym, jak profesjonalnie potrafi doradzać profesjonalnym sportowcom, choć nie wiem, czy w naszym mieście jest w ogóle ktoś, kto profesjonalnie zajmuje się sportem.

Po paru minutach wciąż grzeję swoje dłonie na kubku i wciąż słucham jego wywodu. Powoli zaczyna boleć mnie szczęka z wymuszonego uśmiechu, a on cały czas mówi. Śmieje się sam z siebie i prostuje się, jakby chciał pokazać, jaki jest ważny. Jest pewny siebie i powiedziałabym nawet, że jest ciut arogancki. Wreszcie milknie. Tak mnie tym zaskakuje, że również milczę.

– A ty co mi ciekawego dziś opowiesz? – pyta.

Obejmuję mocniej kubek i gorączkowo zbieram myśli. Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Że właśnie pomyślałam, że jest bufonowaty czy że uważam, że za dużo gada? Gryzę się w język. Co może powiedzieć małomówna, dzika i sztywna dziewczyna, która nigdy nie flirtowała z facetem? Wreszcie zaczynam opowiadać o dzieciach. O tym, że powoli zaczynają już spisywać listę prezentów do Mikołaja i że daje mi to pretekst do mówienia: „Myślisz, że Świętemu Mikołajowi podoba się, jak zabierasz Oli zabawkę?”. O tym, że większość z nich jest przeziębiona i że przedszkolna sala zaczęła mi się nagle kojarzyć z laboratorium, w którym bada się groźne wirusy. O tym, że wszystkie dzieciaki są zakatarzone i że jak nie widzę u któregoś z nich huśtającej się kipy smarków pod nosem, wydaje mi się to dziwnie podejrzane. O tym, że dziś uczyliśmy się o pieniądzach i przedszkolaki przez pół dnia bawiły się w sklep.

Adam słucha mnie z uwagą i rozbawieniem. Przynajmniej tak mi się wydaje. Przestaje mi się tak wydawać, kiedy wywraca oczami i mówi:

– Długo jeszcze masz zamiar opowiadać o zabawie w sklep?

Zbija mnie z pantałyku na pięć sekund.

– No wiesz... Jestem przedszkolanką, więc zabawy są jedną ze sfer, które znam całkiem nieźle – wyduszam z siebie na wdechu.

– A znasz może jakieś inne, bardziej interesujące zabawy? – mruży oczy, robiąc niewinną minę, która mu aż nie przystoi.

Odchrząkuję niepewnie, otrzepuję sweter i czuję, że zaczynam się rumienić. Spuszczam wzrok, kierując go na czubki swoich obtartych butów. Kątem oka widzę cwaniacki uśmieszek kołyszący się na jego wargach.

– Z innych zabaw mogę ci wspomnieć o takich, które rozwijają koordynację oko-ręka, które wpływają na koncentrację albo które wymagają zaangażowania dużej ilości mięśni. O których chcesz posłuchać? – pytam, podnosząc na niego wzrok i przeszywając go spojrzeniem.

Patrzy mi w oczy, jakby dopiero teraz zobaczył, jak dziwny mają kolor.

„To się nazywa zrobić kogoś na szaro!” – myślę, triumfując, kiedy przez chwilę Adam zapomina języka w gębie.

Błyskam czarującym uśmiechem.

– Przy tobie nie dam rady się skoncentrować, a te wymagające wysiłku brzmią zbyt kusząco. Za to oko-ręka zapowiadają się genialnie – mówi wreszcie i kładąc rękę na moim kolanie, równocześnie patrzy mi w oczy i pyta: – Czy tak wygląda ta zabawa, Pani Nauczycielko...?

\*

Zbieram goniące po mojej głowie myśli, usiłując skupić się równocześnie na oglądaniu brazylijskiej telenoweli z babcią. Kiedy tylko odrywam wzrok od telewizora, babcia ruga mnie jak małą dziewczynkę.

– Kochanie! Przecież zaraz pogubisz się w fabule!

Mam ochotę wywrócić oczami. Zamiast tego uśmiecham się promiennie i biorę ją za miękką ze starości dłoń.

Wpatruję się w ekran tępym wzrokiem i staram się wyłączyć myślenie. Zwłaszcza o Huanitach, Antoniach i innych bohaterach ulubionego serialu babci. Zwłaszcza o miłości, romansach, seksie i flirtach.

– Popatrz, jak on ją bałamuci. Patrz, jak ją kokietuje, lowelas jeden – dyszy podekscytowana, poprawiając zjeżdżające z jej nosa okulary.

– Yhmmm.... – mruczę coś w odpowiedzi.

– Hyyyyy! Popatrz! Przyparł ją do ściany! Pewnie będą się całować! – babcia łapie oddech jak rybka wyjęta z wody. Odwracam wzrok, kiedy słyszę ssąco-mdlące odgłosy, zwiastujące mdlawą scenkę pocałunku pod balkonem. – Jesteś taka nieśmiała, aniołku. Też taka kiedyś byłam... – szepcze do mnie babcia poufałym tonem, klepiąc mnie po wierzchu mojej dłoni, zaciśniętej mocno na

drewnianym oparciu fotela.

Tak samo mocno zaciskałam ją wczoraj na blacie biurka w sklepie sportowym. Kiedy dawałam Adamowi obmacywać swoje nogi i sprawdzać, czy górę mam równie moką, co nogawki...

\*

– Uważaj, telefon ci się zapali – mówi pani Hania, która obserwuje mnie chyłkiem spod okna. Wyciska szmatkę i przeciera stolik upstrzony plamami z farbek plakatowych.

Peszę się i rozglądam bacznie wkoło. Dzieci mają teraz czas na swobodną zabawę. Dziewczynki okupują kącik z lalkami, chłopcy szaleją po dywanie resorakami albo budują wielkie wieże z drewnianych klocków. Pani Hania z poważną miną czyści fioletowego kleksa. Udaję, że wcale się nie rumienię.

I wracam do przeglądania książki z pomysłami na prace plastyczne dla przedszkolaków. Staram się nie myśleć o esemesach, które krążą między mną a Adamem. Wymieniliśmy się numerami dwa dni temu, a już mam skrzynkę odbiorczą zdominowaną przez jego wiadomości. Podtekst goni w nich podtekst i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dałam się wciągnąć w coś bardzo, bardzo dziwnego. W osobliwy flirt z osobnikiem, który wcale nie chce mnie poderwać i zaprosić na kawę do nowo otwartej kawiarenki. Już prędzej zaciągnąć do łóżka i zgwałcić... Wiem, że ten flirt to tylko flirt. Nic więcej. Ale powoduje, że w brzuchu zaczynają mi tańczyć motylki, a niżej czuję coś dziwnego, bliżej nieokreślonego. Tak. Myślę, że to coś nazywa się „niezdrowe podniecenie”.

\*

Sprzątam kuwetę Gingera, kiedy dzwoni mój telefon. Zanim udaje mi się zsunąć z rąk gumowe rękawiczki, przestaje. Sięgam po komórkę. Adam. Wybieram jego numer, ale słyszę tylko przeciągły sygnał zajętości. Zagryzam wargę. Odczekuję piętnaście sekund. Dzwonię znów. Nie odbiera. Przez pięć minut siedzę na zimnej podłodze w łazience, aż wreszcie pukam się w czoło. Znów zakładam rękawiczki i biorę się za sprzątanie. Na sygnał dzwonka o mało nie zabijam się na szczotce, gnając do komórki.

– Halo! – prawie krzyczę do słuchawki.

– Hej – zaczyna.

– Hej – odpowiadam.

Pyta zdawkowo, co porabiam, więc lustruję wzrokiem zasikany żwirek i rzucone byle jak rękawiczki, zastanawiając się, jak ładnie ubrać w słowa wykonywaną przeze mnie czynność.

– Czyszczę kotu kuwetę – mówię wreszcie, sięgając bezmyślnie po szczotkę.

– Masz kota?

– Kocura. Ma na imię Ginger – dodaję nie wiem po co.

Adam udaje, że bardzo go to interesuje.

Szybko i sprawnie zmienia jednak temat, przechodząc na swoje kosmato-podtekstowe monologi, a ja szybko i sprawnie dostosowuję się do niego.

Resztę wieczoru spędzam na zimnych płytkach, przez ponad godzinę rozmawiając z Adamem i machając w powietrzu szczotką.

Zbulwersowany Ginger niechętnie załatwia się do nieświeżego żwirku, a potem ostentacyjnie drapie mnie w łydkę, na co nie drgnie mi nawet powieka.

\*

Renety, masło, mąka orkiszowa, cukier i cynamon. Plus muzyka z radia i Ginger zamknięty w pokoju, żeby nie robił rozpierduchy w mące.

Pochwaliłam się Adamowi, że tatrzańska szarlotka jest moją specjalnością i wymusił na mnie obietnicę, że jutro przyniosę mu kawałek do pracy. Z zapalem obieram jabłka i mieszam składniki, rozgrzewam piekarnik, żeby ciasto wyszło idealne. W międzyczasie próbuję zerknąć do poradnika, co mam jutro przerobić z dzieciarnią i myślę, kiedy zorganizować dni otwarte dla rodziców.

Słyszę, że Ginger skrobie pazurkami w drzwi i mówię do niego coś uspokajającego. Wpuszczam go do kuchni dopiero, kiedy szarlotka piecze się bezpiecznie w piekarniku. Wchodzi napuszony i obrażony, ocierając się nerwowo o moje nogi.

W całej kuchni rozchodzi się słodki zapach cynamonu, a ja z niepokojem zastanawiam się, czy ciasto będzie równie słodkie w smaku. Zanim wyciągam szarlotkę z piekarnika, krzyżuję kciuki i biorę głęboki wdech. Sprawdzam, czy ciasto jest równo upieczone i czy nie ma zakalca. Potem sprawdzam jeszcze, czy ciasto jest równomiernie posypane cynamonem, aż wreszcie śmieję się głośno sama z siebie. Odkrawam sobie kawałek parującego jabłecznika i zjadam go, mimo że parzy mnie w usta. Leję miauczącemu pod lodówką kotu trochę mleka do miski. Sama pijam herbatę z cytryną. Pozwalam kotu wskoczyć na stół i nie protestuję, kiedy układa się na nim do snu. Chowam ciasto do spiżarki i siadam na fotelu z książką, udając, że wcale nie czekam na wieczorny telefon od Adama, ale kiedy dzwoni, odbieram już po pierwszym sygnale.

\*

Praca w przedszkolu ma swoje wady i zalety. Niewątpliwą zaletą jest to, że nie mam czasu się nudzić. Kiedy wchodzę rano do sali, zaraz za mną wchodzi hurtem troje dzieci. Statystycznie dwoje na troje rozrabia i kłóci się między sobą, a jedno siedzi grzecznie w kąciuku i maluje kredkami. Później przez chwilę jest spokojnie, a przed ósmą drzwi się nie zamykają. Dzieci trajkoczą jak katarynki, w nosie mając upomnienia i prośby o bycie grzecznym.

Sprawdzanie obecności jest jedynym momentem, kiedy mogę posiedzieć na czterech literach. Później muszę tańczyć z tamburynem w ramionach, sprawiedliwie wybierać, które dziecko może trzymać mnie za rękę podczas zabawy w „Stary niedźwiedź”, wysilać gardło, ucząc dzieci słów nowej piosenki, pomagać robić korale z jarzębiny i przypominać dzieciom, że nie dłubiemy w nosie ani swoim, ani kolegi z ławki.

Kiedy dzieci rysują, ja uzupełniam dziennik. Kiedy się bawią, ja rozdzielam tych, którzy o mało nie zabijają się w sporze o czerwony samochodzik. Kiedy jedzą, ja pilnuję, żeby nie wylały całej zupy na nowe spodenki. Kiedy wychodzą do domu, ja rozmawiam z rodzicami, przekazując im informację o zachowaniu dziecka, niechęci do słuchania moich poleceń, bólu ucha albo proszę o przyniesienie na następny dzień kasztanów i kolorowych liści.

Wyjście do toalety jest luksusem. Jedzenie też. Pić trzeba, bo bez picia wysiada głos, ale nie wolno pić za dużo, bo brakuje czasu na chodzenie co chwilę do łazienki.

Na telefon też nie ma kiedy popatrzeć, chyba że któreś dziecko gorączkuje albo rozwali sobie głowę, wbiegając z impetem na ścianę i trzeba powiadomić o tym fakcie rozhisteryzowanych rodziców.

Dlatego dopiero wychodząc z pracy, widzę trzy nieprzeczytane esemesy i jedno nieodebrane połączenie. Z podekscytowaniem odczytuję pośpiesznie wiadomości i o mało nie potykam się na progu. Potem idę do domu po ciasto i zarumieniona wchodzę do sklepu, wnosząc do niego radosny uśmiech i zapach cynamonu.

\*

Jesienne spacerowanie z psem są nieco mniej przyjemne niż zwykle. W ciągu dnia jest jeszcze ciepło i słonecznie, można spotkać kogoś znajomego albo nazbierać ładny bukiet barwnych liści. Można nosić ciepłe poncha, wygodne swetry, miłe polary i wiatrówki. Można kupować dynie, jabłka i pomidory, i można nawet uśmiechać się do przechodniów.

Niestety, zimne wieczory uprzykrzają życie. Powietrze jest mroźne i ostre. Wiatr zimny i przenikliwy. A chęci, żeby wychodzić z domu – minimalne. Axel nie odpuszcza mi jednak i kiedy babcia idzie na różaniec, my spacerujemy po mieście. Szuram nogami w szeleszczących liściach, wydycham kłębuszki pary, nucę coś pod nosem.

Włożyłam już ciepłą kurtkę i powoli zaczynam myśleć o kupieniu cienkich rękawiczek. To moja pierwsza od dawna samotna jesień. Zwykle kiedy zaczynały się długie wieczory, spędzałam je, sącząc leniwie herbatę z sokiem malinowym u Pawła albo oglądając z nim filmy na miękkiej kanapie. Teraz muszę przyzwyczać się do ciszy w mieszkaniu i braku drugiego 36,6 w łóżku. Szczerze?



Jakoś niczego mi nie brakuje.

– Chodź, piesku. Wracamy do domu – mówię do Axela i wspólnie wydychając białe chmurki z ust, wracamy do domu, brodząc w grubej warstwie żółtych liści.

\*

– Co ty ze mną robisz, dziewczyno... – wydaje z siebie ni stąd, ni zowąd stłumiony jęk Adam, kiedy siedzę na jego fotelu z założonymi nogami i rozmawiam z nim o wszystkim i o niczym.

O mojej pracy, o jego treningach, o naszych znajomych. Przerывam w połowie zdania i patrzę na niego zdziwiona. Mam na sobie jasne dżinsy. Włosy związałam w praktyczny warkocz. Założyłam błękitny golf i wysokie czarne kozaki. Nie mam na sobie nic, czym mogłabym go zbałamucić. I nie robię nic, czym mogłabym go podniecić.

– Przecież nic nie robię – stwierdzam, wzruszając ramionami.

– No to tym nicnierobieniem za bardzo na mnie działasz... – cedzi przez zęby, wstając z krzesła. Zaczyna krążyć po sklepie.

Parskam śmiechem. Po chwili śmieję się już do rozpuku. Ocieram łzy, które wyciskają mi się z oczu. I widzę pełne pretensji oczy Adama.

– No co? Czemu tak na mnie patrzysz? – pytam, wycierając dłonie w kolana.

– Podniecasz mnie – stwierdza, zatrzymując się obok mojego krzesła.

– Czym?! – znów zaczynam chichotać.

– Nie wiem. Całą sobą – odpowiada, wzruszając ramionami.

– Podniecam cię? Ja? Naprawdę? – dziwię się.

– No serio. Bardzo namacalnie, jeśli wiesz, co mam na myśli – oznajmia jak to on, ze stuprocentową bezpośredniością wskazując na swoje spodnie.

– Nie wierzę... – kręcę głową.

– Musisz mi uwierzyć na słowo – unosi w górę brew.

– Nie uwierzę, jeśli czegoś nie sprawdzę – strzelam przebiegłym uśmiechem.

On odwzajemnia ten uśmiech. W oczach ma wymalowaną kpinę. Na czole jak neon świeci mu napis: „Nie odważysz się”. Ścieram go niewidzialną gąbką, wstając. Podchodzę do niego, jednym łagodnym pchnięciem ręki opieram go o biurko i kładę delikatną dłoń o smukłych palcach na jego wybrzuszonych dżinsach. Kpina znika z jego oczu.

– Rzeczywiście, podnieciłeś się – stwierdzam, odrywając od niego dłoń.

Mam wrażenie, że ręka pali mnie żywym ogniem. Takim samym zresztą jak ogniki w jego ciemnych tęczówkach, które świdrują mnie z góry na dół i które w równym stopniu są podniecone, co zszokowane.

\*

Kolejne dni wyglądają właściwie tak samo. Codziennie chodzę do pracy. Codziennie rano piję herbatę z cytryną. Codziennie rozmawiam z babcią. Codziennie mówię dzieciom, ile dni pozostało do mikołajek (nie zaczął się jeszcze listopad...). Codziennie uzupełniam dziennik. I codziennie zastanawiam się, jakiego pretekstu dziś użyć, by odwiedzić Adama w pracy.

Byłam już kupić czepek na basen. Byłam spytać o taśmę do ćwiczeń. Kupiłam karimatę. Zdecydowałam, że karnet na siłownię to jednak zbędny wydatek. Kupiłam buty, które następnego dnia poszłam wymienić. Wpadłam, bo „przechodziłam całkiem przypadkiem w okolicy”. Zaszłam do niego, „bo złapał mnie deszcz”. Odwiedziłam go, bo chciałam go poczęstować robionymi z dzieciarnią ciastkami. Ciastkami, które świeciły się jak fosforyzujący plankton od zbyt dużej ilości perłowych kuleczek i które miały kolor pastelowych farb olejnych dzięki lukrowej polewie (Adam ledwo przełknął te smakołyki, ale udawał, że bardzo mu smakują). Poszłam do niego, bo miałam wolne dwie godziny, kiedy dzieci miały religię i angielski. Poszłam do niego, bo zawołał mnie, kiedy szłam ulicą (wcale nie miałam nadziei, że go spotkam. Oczywiście, że nie...). Okej. Powiedzmy sobie szczerze – za każdym razem byłam w sklepie, bo chciałam się z nim zobaczyć.

Za każdym razem jego twarz rozjaśniała się na mój widok. Za każdym razem flirtowaliśmy. Za każdym razem czułam motylki w brzuchu. Za każdym razem miał w oczach te niebezpieczne błyski. Za każdym razem dążył do kontaktu cielesnego. Za każdym razem dostawałam palpacji serca, kiedy niby przypadkowo się o mnie ocierał.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, jak bardzo powierzchowna jest nasza znajomość. Ja lubię z nim rozmawiać, on lubi na mnie patrzeć. Ja go uważnie słucham, on mnie o nic nie pyta. Ja wiem o nim już chyba wszystko, on mnie prawie nie zna i co gorsza – nie bardzo chce poznać. Jestem u niego na tyle często, że zaczęłam traktować te odwiedziny jak coś całkowicie naturalnego. Jestem z nim na tyle blisko, że przebywanie z nim zaczyna być dla mnie przyjemne. Czuję się u niego na tyle bezpiecznie, że wciąż szukam pretekstu, żeby do niego wpaść, choćby na kwadrans. Czuję się u niego na tyle swojsko, że zsuwam ze stóp botki i zasiadam na krześle po turecku albo sama robię sobie herbatę na zapleczu. Dla mnie jest coś egzotycznego w tym, że przebywam z atrakcyjnym facetem, dla niego atrakcją jest to, że bałamuci dziewczynę, która prędzej pójdzie do zakonu niż do łóżka. Czuję się u niego dobrze nawet wtedy, kiedy wiem, że on jest dla mnie człowiekiem z osobowością i charakterem, a ja dla niego długowłosą eteryczną dziewczyną z jasną karnacją i bladym, tajemniczym uśmiechem...

\*

Raz na kilka dni dostaję mdławe i kliwe esemesy od Pawła. Najpierw mu

odpisywałam, w końcu jednak przestałam. Miałam wrażenie, że tylko pogarszam sytuację. Nie mam za bardzo kogo spytać o radę na temat spraw damsko-męskich. Nie mam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć. Nie mam ani jednej wiernej przyjaciółki, z którą spotykam się na ploteczki przy kawie. Która zna mnie na wylot i która potrafi mi doradzić. Nigdy nie miałam takiej osoby. Jestem cicha i zamknięta w sobie. Zamknięta w swoich czterech ścianach, ze swoim kotem i swoimi sprawami. Mam pracę, mam babcię, mam Igora. Mam koleżanki z pracy, z którymi czasem gdzieś wychodzę, ale to tylko luźne znajomości. Rozmawiamy o pracy, o ich mężach, dzieciach i narzeczonych, ale tak naprawdę nikogo nie interesuje czyjeś życie i cudze problemy. Często odwiedzam babcię, w weekendy spotykam się z Igorem, ale jakoś nie widzę możliwości pogadania z babcią o tym, co czuję, a Igora też nie zamierzam w to wplątywać. Jest idealistą, wierzy, że znajdzie swój ideał dziewczyny. Niech wierzy, skoro ma ochotę. Ja już dawno przestałam.

To, co mnie łączy z Adamem, jest dla mnie zagadką, ale od dziecka lubię zagadki. Intrygują mnie. Inspirują. Zajmują myśli. Adam jest dla mnie jak połączenie krzyżówki z kostką Rubika. Trudny do odgadnięcia i ciężki do rozgryzienia. Wiem, że nie ma co liczyć na nic więcej z jego strony. Widzę, jaki jest, i wiem, że nie ma mi nic do zaoferowania. Chwilami drażni mnie jego sposób bycia i jego poza „popatrz na mnie”. Czasami irytuje mnie jego zachowanie, zbytnia bezpośredniość czy cwaniactwo. A jednak wciąż go odwiedzam. Wciąż z nim rozmawiam. Wciąż piszę esemesy. I wciąż daję się wciągać w jego bezsensowne gierki i słowne potyczki. Dlaczego? Po co? Co mi to daje? Nie wiem. Może to, że nie siedzę sama w pustych czterech ścianach, tylko żartuję z kimś, kto ma ciut więcej pewności siebie niż ja. Może to, że ten ktoś nie liczy na to, że urodzę mu dziecko i zacznę biegać po domu w fartuszku, pichcić i ścierać kurze kolorowym mopem na długim kiju. Może podświadomie czuję, że Adam jest tak daleki od ideału, że właśnie to mnie do niego ciągnie? Bo wreszcie nie muszę się starać być kimś, kim nie jestem i nie muszę się bać zobowiązań. Bo mogę bezkarnie flirtować i nie ponosić w związku z tym żadnych konsekwencji. Bo mogę być taka, jaka nigdy nie byłam. Bo może dzięki niemu mogę zrobić coś, co skreśli równocześnie trzy punkty z mojej listy rzeczy do zrobienia. Zrobić coś szalonego. Zrobić coś głupiego. Zrobić coś niegrzecznego. Hm.

Chyba o to właśnie chodzi...Więc właściwie... Czym się martwię?

\*

Nienawidzę pierwszego listopada.

Nienawidzę chryzantem, fioletowych zniczy i długich zapalek.

Nienawidzę sprzątania grobów, kupowania wiązanek i wizyt na cmentarzu, kiedy wszystkie nagrobki świecą i błyszczą jak choinki.

Nienawidzę Święta Zmarłych.

Dla mnie pamięć o rodzicach jest stałym elementem dnia. Myślę o nich bardzo często. Bardzo często ich wspominam i bardzo często zastanawiam się, jakby to było, gdyby wciąż żyli.

Na groby lubię chodzić wczesnym porankiem albo wieczorem. Kiedy jest mgliście i ponuro albo gdy powoli zapada zmrok. Kiedy mży, kiedy świeci blade słońce, kiedy jest szaro, pochmurno i ponuro. Tylko wtedy pogoda odzwierciedla moje uczucia i moje myśli. Tylko wtedy mogę się skupić na modlitwie. Tylko wtedy lubię spędzać czas, wydeptując zziębniętymi nogami dziurę w miękkiej ziemi. Czas, kiedy wszyscy hurtem biegną kupować solarne znicze i wykosztowują się na ogromne bukiety, jest dla mnie parodią szacunku dla zmarłych. Jak można się skupić na wspomnianiu, kiedy wszędzie wokół chodzą ludzie, którzy nie mają nawet na tyle rozumu, by ściszyć głos, kiedy rozmawiają o swojej diecie albo nowej spódnicy? Jak można przeżyć chwilę refleksji, kiedy każdy nagrobek jest tak wypolerowany, że błyszczy jak sylwestrowa kreacja, a na każdym z nich pyszni się wielki bukiet kwiatów?

Nie rozumiem tego. Nie mogę tego pojąć. Nie mogę zdzierżyć. W ramach buntu nie chodzę na cmentarz wtedy, kiedy wszyscy nań chodzą. Nie podniecam się ładnie oświetlonym cmentarzem, nie ocieram łez na mszy, kiedy wspomina się zmarłych. Swoją żalobę noszę w sercu. I nie muszę sobie o niej przypominać, kiedy zaczyna się zniczowy boom...

Dziś z okazji Wszystkich Świętych siedzę w domu. Wyciągnęłam się w fotelu i nakryłam kocem. Jestem trochę smutna, trochę szczęśliwa. Smutna, bo brakuje mi rodziców i Igi. Szczęśliwa, bo żyję.

Przytulam się do ciepłego ciała Gingera. Mruczy rozkosznie i wtula swój puszysty łepok w mój policzek. Popijam kawę z korzennymi przyprawami i oglądam rodzinne albumy. Dziś nie zaprzątam sobie myśli niczym innym. Dziś się wyciszam. Żeby jutro wrócić do normalnego życia.

\*

Jest sobotnie, zimne południe. Zrobiłam już zakupy i teraz niosę na ramieniu torbę wypełnioną grahamkami, pomidorami, marchewką do zrobienia zupy marchewkowej i paczką czekoladowych ciastek. Kupionych na osłodę ohydnej jesiennej pluchy. I na pociechę. Mam zatkany nos, obolałe gardło i stan podgorączkowy. Pluję sobie w brodę, że wyszłam na zakupy, zamiast siedzieć w domu pod kocem.

Wchodzę do sklepu papierniczego i rozglądam się po barwnym wnętrzu. Chodzę, lustrując wzrokiem przepelnione półki. Oglądam, szukam, wybieram. Pięć minut później dalej chodzę. Ściągam z półki kolorowe bibuły, rozmawiając z ekspedientką. Chcę przygotować dzieciom niespodziankę i nauczyć je robić

kwiaty z bibuły. Szare i deszczowe dni zmuszają nas do siedzenia w przedszkolnej sali. Urozmaicamy sobie ponure dni robieniem kolorowych dekoracji, malowaniem palcami tęczy, używając wszystkich możliwych kolorów farb i robieniem aniołków z masy solnej, ale powoli zaczyna brakować mi inspiracji. Niosę stertę artykułów plastycznych przez pół sklepu i wkładam je do wielkiego pudła. Kupuję jeszcze brokatowe kleje, plastelinę i papier do origami. Proszę o fakturę i wychodzę ze sklepu, uginając się pod ciężarem swojego pakunku.

„Może jednak powinnam poprosić Igora o pomoc” – myślę, stękając i krzywiąc się, kiedy drepczę ulicą, popychana przez porywisty wiatr i nieopatrznie idących ludzi.

A może to ja wchodzę im w drogę... Trudno mi cokolwiek spostrzec. Pudło zasłania mi całą widoczność. Potykam się raz po raz, raz po raz ląduję nogą w kałuży. Z nosa mi kapie, a w gardle zaczyna coraz bardziej drapać. Jestem rozdrażniona i chce mi się płakać ze złości. Czego oczywiście nie robię, bo nie umiem płakać. Może gdybym poryczała sobie wreszcie raz a dobrze, skończyłyby się moje melancholijne chwile wyciszenia i zawiasy. Może przestałabym robić za smutasa i zaczęłabym częściej nosić na twarzy uśmiech. Niestety, rozpląkanie się przekracza moje kompetencje. Nie umiem tego i już.

Podobnie jak nie umiem manewrować po ulicy z wielkim kartonem pełnym artykułów do robótek ręcznych.

– Hej, hej! Milena!

Słyszę, że ktoś wykrzykuje moje imię i odwracam się, omal nie taranując jakiejś paniusi z białym pudłem na smyczy. Widzę Adama, który próbuje przebiec na drugą stronę ulicy. Jadący sznur aut skutecznie mu to udaremnia. Widzę jego strapioną minę i zmarszczone brwi. Widzę niebieską bluzę z kapturem, którą ma na sobie zamiast kurtki. Stoję i czekam. Dalej jestem rozdrażniona i zła, ale po moim ciele powoli zaczyna rozlewać się znajome ciepło. Mam ochotę postawić karton na ziemi, ale chodnik jest mokry i brudny, a nie chcę zamoczyć bibulek. Wreszcie Adamowi udaje się wyhaczyć lukę w jadących samochodach. Przybiega do mnie i szczerzy się w uśmiechu.

– Hej! – powtarza po raz kolejny.

– Hej – oznajmiam smętnie, nawet nie próbując wykrzesać z siebie entuzjazmu.

– Co to za markotna mina? – pyta, bez słowa zabierając mi z rąk pudło.

Wzdycham z ulgą, pozbywszy się zbędnego balastu. Parska śmiechem.

– Zgrywasz niezależną i samodzielną kobietę?

– Nie zgrywam. Ja nią po prostu jestem – stwierdzam, szturchając go w bok.

Śmieje się głośno. Poprawia sobie pudło, które trzyma lekko, jakby było wypełnione samym powietrzem.

– Za chwilę kończę pracę. Wyszedłem tylko kupić sobie jakiegoś rogała,

kiedy cię zobaczyłem – mówi.

– Yhm – dukam.

– Ale zostawiłem otwarty sklep, więc muszę wracać – uśmiecha się przeprasza. – Chodź ze mną. Odpoczniesz trochę po tych zakupach – mówi, ciągnąc mnie na przejście dla pieszych.

Nie mam siły ani ochoty protestować. Posłusznie podążam za nim jak rząd kaczuszek, człapiących za matką do stawu. Czy gdzie tam pływają kaczki... Wchodzę do sklepu i zrzucam z siebie płaszcz.

– Poczekasz minutkę? Kupię sobie coś do jedzenia. Umieram z głodu – rzuca, klepiąc się po płaskim brzuchu i po chwili już go nie ma.

Przechodzi mnie dreszcz, kiedy widzę, że znów wybiegł w samej bluzie. Wariatów nie brakuje. Chodzę bezmyślnie po sklepie. W powietrzu unosi się chemiczny zapach gumowych piłek i sportowych ubrań. Wchodzę do magazynu, gdzie leżą stopy poukładanych kartonów, kurtka Adama i jego kubek. Kłapię bezwładnie na twarde krzesło, które stoi pod ścianą. Wyciągam nogi, zakładam ręce za głowę. Zamykam piekące od gorączki oczy.

W takim stanie zaskakuje mnie Adam. Rozpromieniony i zarumieniony Adam. Dzierżący w dłoni papierowe zawiniątko i uśmiechający się bezczelnie. Nic nie mówi, tylko nastawia wodę i przygotowuje kubki na herbatę. Łypię na niego jednym okiem. Widziałam, jak to robi już tysiące razy. Mogę z zamkniętymi oczami opisać cały proces zagładania do czajnika, by sprawdzić, czy w środku nie ma zbyt dużo kamienia, wlewania do czajnika idealnie odmierzonej ilości wody wystarczającej na dwie herbaty, przecierania kubków rękawem bluzy i wrzucania do środka torebek z herbatą.

Odchyłam się do tyłu i opieram głowę o ścianę. Zaczynają mnie boleć wszystkie mięśnie.

– Dobrze się czujesz? – pyta czujnie Adam, podchodząc do mnie, po czym kładzie mi rękę na czole. – Jesteś jakaś rozpalona – dodaje i patrzy mi w oczy.

– Coś mnie rozbiera – mówię lekko skrzeczącym głosem.

– To nie ja! – unosi ręce do góry, starając się być zabawny.

– Bierze mnie coś... – mruczę, nie reagując na żart.

– Chętnie bym cię wziął, ale prawdę mówiąc... kiepsko dziś wyglądasz – oznajmia, cmokając.

Wciąż nie reaguję. Czy on naprawdę myśli, że mam dziś ochotę na flirtowanie? Wyciąga w moim kierunku papierową torebkę z rogalami. Kręcę odmownie głową. Wzrusza ramionami w niemym: „Nie, to nie” i zjada oba w paru kęsach. Nie ruszam się, kiedy czajnik zaczyna gwizdać. Nie ruszam się, kiedy daje sygnał, że woda osiągnęła temperaturę stu stopni Celsjusza. Nie ruszam się, gdy Adam podtyka mi pod nos kubek z gorącą zawartością.

– Dzień dobry!

Słyszę, że do sklepu ktoś wchodzi.

Adam pośpiesznie kieruje się w stronę lady, a ja opieram głowę na wybrudzonym białą farbą stole. Rysuję esy floresy, jako farby używając rozlanej malinowej herbaty i marzę, żeby znaleźć się w łóżku.

Słyszę otwierane drzwi i po kolejnym „dzień dobry” wnioskuje, że do sklepu wszedł kolejny klient. Piję nieśpiesznie gorącą herbatę. Słucham rozmowy, która przez zamknięte drzwi brzmi jak szum odkurzacza. Siedzę na sklepowym zapleczu i choć masakrycznie mi się nudzi, nie mam ochoty stamtąd wychodzić.

Wreszcie przychodzi Adam, przepraszając mnie i przeczesując moje włosy dłonią.

– Daj spokój. Jesteś w pracy – mówię.

– Wiem, wiem. Jak się czujesz? Wyglądasz już ciut lepiej, ale masz, zażyj to – podaje mi dwie tabletki aspiryny.

Skwapliwie łykam pigułki, nie zwracając uwagi na gorzki smak, który pozostawiają na języku. Adam zostawił otwarte drzwi i kątem oka zauważam, że zgasił światło w sklepie. Widząc moje pytające spojrzenie, przymyka drzwi i przysuwa swoje krzesło bliżej mnie.

– Zamknąłem sklep. I tak miałem już kończyć na dziś – oznajmia.

Przyjmuję wyjaśnienie bez słowa. Bez słowa przyjmuję też jego rękę na swoim kolanie. Rękę, która jest ciepła i drżąca. Rękę, która powoli przesuwa się w kierunku uda. Rękę, która wcale mi tam nie przeszkadza. Oddech zaczyna mi przyśpieszać. Serce mocniej bije.

Adam siedzi tak blisko mnie, że mogę śmiało stwierdzić, że jego serce bije równie mocno. Opieram się o niego. Pochyla się w moją stronę i wkłada mi rękę pod bluzkę. Traktuję to jak coś zupełnie naturalnego. Oblizuję wargi, kiedy widzę, jak się we mnie wpatruje.

Nie wiem, jak on to interpretuje, ale przybliżyła się jeszcze bardziej i delikatnie przygryza moją wargę. Odpowiadam mu tym samym. Zaczynamy się całować. Czuję na jego ustach smak różanej marmolady z rogalików, które wchłonął jak odkurzacz. Nie wiem, czy to za sprawą gorączki, aspiryny, czy jeszcze czegoś innego, ale powoli odpływam. Moja dłoń sama wędruje pod jego bluzę, jego ręce bezbłędnie odnajdują moje piersi pod obszernym, ciepłym swetrem w pastelowym kolorze. Nie przerywając pocałunku, wstaję i ściągam z niego bluzę. Przyciąga mnie do siebie i sadza na swoich kolanach. Czuję, że jest podniecony i sama też nie jestem lepsza.

Uśmiecham się przebiegle, przypominając sobie, że jeszcze przed chwilą czułam się słabo i źle. Uśmiecham się przebiegle, kiedy zsuwam z ramion miękką morelowy sweter. Uśmiecham się przebiegle, gdy widzę jego zaskoczony minę i zdziwione spojrzenie.

A potem on uśmiecha się przebiegle, kiedy wkłada mi ręce do dzinsów,

a z moich ust wymyka się zduszony okrzyk.

\*

Idę ulicą i zastanawiam się, czy widać po mnie, że właśnie zrobiłam coś najbardziej szalonego w życiu. Obrazy przeskakują mi w głowie jak w kalejdoskopie. Parskam śmiechem i zakrywam usta dłonią. Czuję, że na twarzy mam wypieki, a oczy wciąż mnie pieką, ale poza tym moje samopoczucie jest świetne. Tak dobre, jak nigdy w życiu.

Adam chciał mnie odwiedzić do domu, ale zaprotestowałam. Poprosiłam go tylko, żeby wieczorem podrzucił mi pudło z plastycznymi pierdólkami. Podałam mu adres. Dobry pretekst. Ale nie tylko. Naprawdę chciałam się przejść, ochłoniąć trochę, wyciszyć się. Teraz więc idę. Energicznie, lekko. Jeszcze trochę, a zacznę beztrako i radośnie podskakiwać...

– Pani Mileno!

Zatrzymuję się w miejscu. O, nie. Dyrektorka przedszkola.

– Dzień dobry, pani dyrektor – odpowiadam potulnie.

Słyszę, że mam zmieniony chorobowo głos i odchrząkuję dyskretnie. Nie wiem czemu, ale ZAWSZE czuję się winna, kiedy dyrektorka zwraca się do mnie tym pompatycznym tonem.

– Ojej. Przecież pani jest chora! – załamuje ręce, wpatrując się we mnie jak sroka w wyjątkowo błyszczący obiekt.

– Ach... Złapałam jakieś przeziębienie – macham lekceważąco ręką.

– Jakieś przeziębienie? Pani Mileno, pani ma gorączkę! – woła, jakby gorączka oznaczała, że rychło zejdem z tego świata.

Wygląda na tak przerażoną, że zaczynam się zastanawiać, czy należy do grupy histeryczek hipochondryczek, czy może rzeczywiście wyglądam wyjątkowo niekorzystnie.

– Nie, nie. Właśnie zażyłam tabletki. Już mi lepiej – mówię, ale równocześnie czuję, że kręci mnie w nosie.

Dyrektorka patrzy na mnie, jakbym miała dwa latka i odmawiała zjedzenia zupy mlecznej. Powstrzymuję się od kichnięcia.

– Powinna pani leżeć w łóżku! Nielezione przeziębienie może spowodować powikłania! – oznajmia tonem lekarza z reklamy syropu na kaszel.

Brakuje jeszcze tylko wyrecytowania szybko: „Przed użyciem skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, bądź zapoznaj się z treścią ulotki dołączonej do opakowania”.

Uśmiecham się do siebie, a wtedy moje wirusy znajdują ujście i wylatują z mojego nosa pod wielkim ciśnieniem. Dyrektorka łapie mnie pod łokieć i zaczyna prowadzić jak władczy samiec, kierujący partnerką w tańcu.

– Podwiozę cię do domu, słonko – mówi stanowczo i wiem, że na nic moje



dyskusje.

Wzdycham i uśmiecham się pojednawczo. A potem pociągam nosem. Auto dyrektorki stoi kilkanaście metrów dalej. Nowa wiśniowa mazda, piękna i błyszcząca. Ładuję swoje obolałe kości do środka. Słucham bezmyślnej paplaniny dyrektorki, która mówi coś o czosnku, stawianiu baniek i inhalacjach, ale tak naprawdę wcale jej nie słucham. Fizycznie czuję się już lepiej. Naprawdę. Mam tylko lekki katar i odrobinę boli mnie gardło. Poza tym czuję się jak okaz zdrowia. Jestem tylko podekscytowana i zaskoczona. Nie na co dzień ładuję na zapleczu z mężczyzną. Nie na co dzień siadam facetom na kolana. I nie na co dzień pozwalam im wtykać dłonie do swoich majtek...

– Marsz do łóżka i nie wychodź z niego do poniedziałku! – mówi z naciskiem dyrektorka. Przestała już udawać, że jestem dla niej „panią Mileną” i znów traktuje mnie trochę po macoszemu. W końcu zna mnie, odkąd wyrosłam z pieluch. Razem z moją mamą pracowały w tym samym przedszkolu. Grzecznie kiwam głową i przyjmuję jej rady bez słowa protestu. Tak, położę się do łóżka. Tak, zrobię sobie herbatę z sokiem malinowym. Tak, wezmę jakieś proszki na przeziębienie... Dziękuję jej za podwiezienie i wysiadam z auta. Proponuję nawet, że w ramach podziękowania zaproszę ją na herbatę, ale patrzy na mnie jak na ducha.

– Musisz odpoczywać, kochanie! – upomina mnie, jakby zrobienie herbaty przekraczało zdolności osoby z katarą.

Mamrocę pod nosem kolejne podziękowania i delikatnie zamykam drzwi.

Wchodzę do klatki i mozolnie wspinam się po schodach. Otwieram drzwi i wdycham znajomy zapach mojego mieszkania. Mandarynki w misce, odświeżacz powietrza, specyficzna woń każdego miejsca. Kiedy zsuwam z nóg buty, przychodzi do mnie Ginger. Łasi się do moich nóg i mruczy głośno. Głaskam go i mówię mu, jaki jest śliczny i kochany.

Wchodzę do kuchni i nastawiam sobie wodę na herbatę. Czekając, aż zakipi, idę do sypialni, gdzie zrzucam z siebie sweter i dżinsy. Miękki morelowy materiał pachnie męskimi perfumami. Przytykam nos do sweterka i wdycham ich zapach. Zakładam na siebie za dużą szarą bluzę Igora i wygodne szare dresy. Ubieram suche skarpetki na wyziębione stopy. Zamieram, kiedy widzę swoją twarz w lustrze. Wcale nie dziwię się, że dyrektorka tak się przestraszyła. Mam wypieki na policzkach, a oczy błyszczą mi jak w malignie. Rzeczywiście wyglądam, jakbym była poważnie chora. Albo jakbym skończyła uprawiać dziki seks z dzikim kochankiem. Ani jedno, ani drugie zresztą nie jest prawdą. Ani nie jestem ciężko chora, ani nie uprawiałam seksu. Jestem tylko przeziębiona i tylko obmacałam się z Adamem na tyłach jego sklepu. To przecież jest różnica, prawda?

Robię sobie wielki kubek owocowej, rozgrzewającej herbaty i wlewam do niego dużo soku z malin. Gdybym była bohaterką serialu, pewnie chwyciłabym za

stacjonarny telefon, wykręciła numer do przyjaciółki i okręcając wokół palca kabel od telefonu, powiedziała tajemniczo: „W życiu nie zgadniesz, co właśnie zrobiłam...”.

Niestety nie jestem bohaterką serialu. Nie mam stacjonarnego telefonu. Nie mam przyjaciółki od serca. I nie mam tendencji do dzielenia się sekretami z innymi. Wobec tego biorę na kolana Gingera, pozwalam mu kokosić się na mnie dłużej niż zwykle, a kiedy wreszcie mości sobie miejsce na moim podolku i zwija się ciasno jak precel, szepczę: „Wiesz, co zrobiła twoja pańcia...?” prosto do jego rudego uszka.

\*

Wreszcie spadł śnieg. Na zewnątrz ścisnął mróz, wymalowując na szybach swoje słynne mroźne dzieła. Na trawnikach zalega świeża warstwa miękkiego, białego puchu. Przed domami pojawiły się bałwany. Nie ma chlapy, nie ma błota, nie ma deszczu. Jest zima. Pogodowa. Bo astronomicznie wciąż mamy jesień.

Jest koniec listopada. Pilnuję swojej grupy, która turla się po śniegu i urządza sobie bitwę na śnieżki. Tuptam w miejscu, żeby nie odmrozić sobie stóp.

– Jeszcze dziesięć minut i wracamy! – wołam głośno, żeby przekrzyczeć szalejące przedszkolaki.

Odpowiada mi chór zawiedzionych głosików.

– Dajcie spokój, kochani. Przecież bawicie się już pół godziny. Jeszcze mi się rozchorujecie – mówię, otulając się ciasniej szalikiem.

Chętnie sama pobiegałabym z dziećmi i poobrzucała się śnieżkami dla rozgrzewki, ale kto by nas wtedy pilnował?

Słyszę, że dostałam esemesa, ale nie chce mi się ściągać rękawiczki, żeby odczytać wiadomość. Przytupuję w miejscu. Zerkam na zegarek. Co?! Dopiero minęła minuta? Zrezygnowana sięgam po telefon. Wypada mi z dłoni, kiedy widzę na wyświetlaczu imię „Adam”. Spada w kupkę śniegu. Kucam pośpiesznie, ściągając rękawiczkę i odczytuję wiadomość.

„Hej”.

Otwieram szerzej oczy.

„Hej?”

Rozglądam się czujnie z myślą, że może Adam czai się za przedszkolnym ogrodzeniem. Ale nie. Nikogo tam nie ma. Pusto. Wtedy dostaję kolejną wiadomość.

„Hej. Urwało mi esemesa... Co słyhać?;)”

Wytrzeszczam zdumiona oczy. Pyta mnie, co słyhać? Teraz? Minęły trzy tygodnie od pamiętnego popołudnia na zapleczu, a on teraz sobie przypomina o moim istnieniu?

Owego wieczoru rzeczywiście przywiózł mi pudełko z bibułami i nawet

wniósł je do mojego mieszkania. Powiedział, że mam przytulne mieszkanie i uroczonego kota, po czym stwierdził, że musi lecieć i zniknąć, zanim zdążyłam powiedzieć choćby „dziękuję”. Dwa dni później zadzwonił i spytał, jak się czuję. A potem zamilkł.

Uznałam, że dość mojego naprzykrzania i też przestałam się do niego odzywać. Nie odwiedzałam go, nie zachodziłam do sklepu. Ba – starałam się nawet tamtędy nie przechodzić. Było to dość skomplikowane, bo sklep jest umiejscowiony w takim miejscu, że musiałam nadrabiać sporo drogi, żeby obejść go dookoła. Gdy szłam do pracy lub z niej wracałam, miało to nawet sens. Mogłam się przejść i wyciszyć. Gorzej, kiedy chciałam coś szybko załatwić, a musiałam robić dodatkową rundkę wyłącznie po to, żeby nie paradować pod jego oknami...

Podskakuję gwałtownie, kiedy Nataniel rzuca we mnie śniegową kulą. Śmieję się i grożę mu na niby palcem.

Zagryzam wargi i zastanawiam się, co mam odpisać Adamowi. Rozglądam się wkoło, jakbym szukała inspiracji na przedszkolnym placu zabaw, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Upominam Kajtkę, żeby nie ciągnął Ignasia za kaptur i stanowczym głosem mówię, że za chwilę wracamy do przedszkola.

Znów zerkam na wyświetlacz, po czym blokuję telefon i wrzucam go do kieszeni. „Odpiszę ci za trzy tygodnie” – myślę i nie zważając na jęki zawodu, nakazuję dzieciom ustawić się w pary i wejść do budynku. Konsekwentna Pani Milena.

\*

Wieczorem, kiedy wychodzę spod prysznicy, dostaję kolejną wiadomość od Adama.

„Hej. Wszystko w porządku?”

Owszem. W jak najlepszym. Bez pośpiechu skręcam nad brodzikiem swoje długie włosy i wyciskam z nich wodę. Bez pośpiechu nakładam na ich końcówki maseczkę do włosów. Bez pośpiechu zmywam tusz do rzęs wacikiem nasączonym płynem micelarnym. Bez pośpiechu wyciskam na szczoteczkę trochę miętowej pasty. Bez pośpiechu zaczynam szcztokować zęby powolnymi, okrężnymi ruchami. Uśmiecham się do swojego odbicia. Ginger siedzi na koszu do prania i wylizuje łapki.

– Miaaaaau – miauczy żałośnie i patrzy na mnie tymi wielkimi piwnymi oczami.

Odpowiadam mu bulgoczącym „Yhy hy, Gyhyhy?”, co miało znaczyć „Co tam, Gingerku?”. Milknie zaskoczony. Wypluwam pastę do umywalki. Podśpiewując pod nosem, nitkuję zęby. Mruczając pod nosem, płuczę usta płynem dentystycznym. Nucąc melodię z reklamy, wklepuję w ciało balsam. Mam właśnie

zamiar zacząć klaskać i pisać do rytmu, kiedy dzwoni mi komórka. Odczekuję trzy sygnały.

– Halo – pytam beznamiętnym tonem, owijając się ręcznikiem.

Nie będę z nim rozmawiać nago.

– No hej! Co to nie dajesz znaku życia? – głos Adama brzmi, jakby jego właściciel był autentycznie zdziwiony.

– Hej. Ty też go nie dawałeś – odpowiadam dziecinnie i już żałuję swoich słów.

Mogłam wymyślić coś mądrzejszego niż odpowiedź pyskatej czterolatki... Śmieje się głośno po drugiej stronie. Już sam ten śmiech działa mi na nerwy. Siadam na brzegu muszli i wyciągam przed siebie nogi w zielonych bamboszach.

– Dawno cię u mnie nie było... – zagaja.

– Yhm – odpowiadam głosem pozbawionym jakichkolwiek uczuć i emocji.

– Zapomniałem już, jak wyglądasz – sili się na dowcip, a ja wywracam lekceważąco oczy, choć czuję już, że moje małe stadko rzekotek, które mieszkają w moim brzuchu, zaczyna swój żabi taniec.

– Kiedy mnie odwiedzisz? – pyta Adam, a ja patrzę wyczekująco na Gingera, jakbym miała nadzieję, że rzuci mi szybko jakąś błyskotliwą podpowiedź.

– Eeee...

Rzeczywiście, pani nauczycielko. Bardzo błyskotliwie...

– Eeee... czyli jutro? – podpowiada Adam.

Jutro jest sobota. Mam wolne. I nie planuję wyściubiać nosa za drzwi mieszkania.

– Mam już na jutro plany – odpowiadam nonszalancko i zakładam nogę na nogę.

Na moment tracę równowagę i przechylam się niebezpiecznie ku szarym łazienkowym płytkom. Wydaję z siebie nieartykułowany okrzyk i poprawiam się na zaimprovizowanym tronie.

– Co jest? – pyta czujnie Adam.

– Nic, nic... Ekhm, ja... Przemyślę to jeszcze – mówię wyniośle.

– Co tu jest do przemyśliwania? – śmieje się.

Jak to co, kretynie? Wzruszam ramionami i po chwili reflektuję się, że przecież Adam nie widzi mojej reakcji. Zastanawiam się, w jakie słowa ubrać wzruszenie ramion.

– Zobaczę jutro – oznajmiam wreszcie i wpatruję się w swoje paznokcie.

– Okej – śmieje się on i nagle mówi, że musi już kończyć.

Nieco zawiedziona żegnam się z nim i odkładam słuchawkę.

Siedzę chwilę na sedesie i wpatruję się tępo w Gingera.

– Nic nie mów – mruczę do niego smętnie, jakby zaraz miał mi udzielić kocięj reprimendy.

Zakrywam swoje szare oczy, widząc jak mierzy mnie piwnym spojrzeniem, mówiącym „głupia, głupia...”.

\*

Uwielbiam soboty. Uwielbiam budzić się sama, bez użycia budzika. Uwielbiam przeciągać się w pościeli i słuchać, jak chrupią mi wszystkie kostki. Uwielbiam, jak Ginger wskakuje mi do łóżka i mizia mnie różowym noskiem po moim nosie. Uwielbiam to, że mam tego dnia wolne. Że nie mam żadnych obowiązków i prawie nic do zrobienia. Dziś też mam poczucie, że czeka mnie miły, spokojny dzień. Czuję to każdą komórką swojego ciała. Mruczę głośno jak kotka i ostatni raz naciągam mięśnie. Wstaję i wsuwam na stopy kapcie. Ginger już jest koło moich nóg i ociera się o nie z głośnym mruczeniem, które wprawia w wibracje moje łydki.

Idę do kuchni i sypię mu do miseczki poranną porcję karmy. Ziewając, wlewam mleko do garnka i ustawiam rondel na kuchence. Szperam w szafce w poszukiwaniu płatków ryżowych. Wynajduję też migdały i suszone śliwki. Rozcieram zmarznięte ramiona i wracam do sypialni po szlafrok. Jest szary w białe łapki. Hołd kotom. Siadam na krześle i mój wzrok pada na komórkę. Brak nowych wiadomości. Paweł już odpuścił. Nie kontaktuje się ze mną, nie zabiega o spotkanie. Dzięki Bogu. Może chwilami czuję jakąś odrobinę tęsknoty, ale w zasadzie dobrze mi samej. Czuję się niezależna i bezpieczna. Jest tak, jak być powinno.

Słucham, jak Ginger głośno chrupie swoje śniadanko i czuję donośne burczenie w brzuchu. Wstaję i zaglądam do garnka, jakbym tym samym mogła przyspieszyć proces gotowania mleka. Odmierzam odpowiednią ilość płatków i wsypuję je do bulgoczącej cieczy. Bezmyślnie mieszam zawartość drewnianą łyżką.

Dzisiaj nic nie muszę. Nie muszę się śpieszyć, nie muszę nic planować, nie muszę nic robić. Przed południem ma do mnie przyjść babcia z Axelem, o trzeciej idę do kina z Igorem. Na jakiś film akcji. Jego wybór. Moja zgoda.

Przelewam gęstą papkę do prążkowanej kolorowej miseczki i odstawiam garnek do zlewu. Nie muszę go od razu myć – myślę, zalewając zaschnięte resztki płatków gorącą wodą. Wrzucam do miski migdały, sypię na nie suszone owoce i zasiadam do stołu.

Uwielbiam takie leniwe poranki i celebrowane śniadania. Uwielbiam tę ciszę i spokój. Wpatruję się w srokę, która usiadła mi na parapecie i zastanawiam się, czy jej towarzystwo oznacza niespodziewane odwiedziny.

Potrząsam głową z ustami pełnymi płatków. Tak się kończy mieszkanie z przesadną babcią... Ginger też spogląda na ptaka. Wpatruje się w niego z jawnym głodem w oczach.

– Zjadłeś już swoje śniadanie, kotku – mówię.

Macha ze złością ogonem, uderzając nim o podłogę.

– Aaa... Masz ochotę na deser? – pytam wyrozumiałym tonem.

Miauczy słodko, patrząc mi w oczy.

– Ja też, Gingerku. Ale wiesz, że czasem co za dużo, to niezdrowo i lepiej sobie czegoś odmówić, żeby potem nie ponosić przykrych konsekwencji swojego łakomstwa – przyjmuję filozoficzny ton i odsuwam od siebie wylizaną do czysta miseczkę.

Ginger prycha lekceważąco i drapaniem pazurkami o krzesło upomina się o porcję smakołyku.

– Okej, okej. Rozumiem aluzję. Masz w nosie moje rady. Racja – burczę pod nosem, rzucając mu do miski kilka mięsnych pasztecików.

Skoro nie potrafi powstrzymać łakomstwa, niech je. Ja jestem bardziej zawzięta. Wiem, że zbyt prędko nie odpuszczę sobie narzuconych wcześniej ograniczeń. Wiem, że zbyt prędko nie odezwę się do Adama.

\*

Babcia siedzi przy stole z podwiniętymi rękawami. Ma rumiane policzki i mąkę na nosie. Lepimy pierogi. Ruskie. Jak często nam się zdarza w sobotę. Tę tradycję zapoczątkowała mama, my podtrzymujemy ją po jej śmierci.

Czasami nie uda nam się znaleźć połowy przedpołudnia na bawienie się w lepienie pierogów, ale jeśli tylko mam czas, zapraszam do siebie babcię i wspólnie robimy całą stolnicę. W sumie nie wiem dla kogo. Ja zjem ich tylko kilka, babcia podobnie. Igor jutro wpadnie do babci po pojemnik z pierogami i schowa go w zamrażarce, trzymając na gorsze czasy. W sensie dni, kiedy nie będzie miał czasu pichcić. Mimo to sobota oznacza dla nas pierogi. Nie ma innej opcji.

Robienie pierogów działa na mnie terapeutycznie. Ugniatanie ciasta, wycinanie kólek, zlepienie brzegów. I rozmowa. Spokojna, bezstresowa rozmowa z babcią. Siedzimy obie przy stole i zaśmiewając się, produkujemy pierogi aż miło.

Obrażony Ginger wdrapał się wysoko na szafę w przedpokoju. Nie lubi, kiedy odwiedza nas Axel. Niby pies jest oswojony z jego kocią osobą, ale Ginger średnio mu ufa. Prycha na niego i pręży się groźnie za każdym razem, kiedy Axel na niego spogląda. Axel z kolei nie obdarza kocura większą uwagą niż paprocha na podłodze. Leży sobie poczciwie na stopach babci i ma w nosie kota i cały świat. Ja też jestem całkiem wyluzowana. Nie martwię się niczym i o niczym nie myślę. Zupełnie się wyłączyłam. Słucham tylko radosnych opowieści babci (wczoraj haftowała serwetkę w maki z nowej gazetki) i staram się równiutko zlepić brzegi pieroga.

Kiedy dzwoni mój telefon, przez chwilę zamieram, wpatrując się w swoje

upaprane ciastem ręce. Chichoczymy razem z babcią, która ma równie brudne dłonie. Zerkam z ukosa na komórkę. Adam. Waham się przez trzy sekundy, po czym wracam do pierogów.

– Nie odbierzesz? – dziwi się babcia.

– Nic ważnego... – wzruszam ramionami.

Chyba jednak nie będę kontynuować tej znajomości. Nie lubię facetów, którzy zlewają dziewczyny i nie lubię dziewczyn, które narzucają się facetom. Sama więc nie będę się naprzykrzać ani zadawać z typem olewacza.

– Tego nigdy nie wiesz – mówi, grożąc mi na niby palcem.

Pytam ją o wizytę u kardiologa, którą wiecznie odkłada na termin bliżej nieokreślony. Skutecznie zatykam jej tym usta i zmuszam do zmiany tematu.

\*

Ten tydzień strasznie dał mi w kość. Jestem porządnie wymęczona i zestresowana. Wizyta z kuratorium. Lekcja pokazowa. Spotkanie z rodzicami. Przygotowania do jasełek...

Cieszę się, że skończyłam na dziś pracę. Z ulgą zrzucam ze stóp kapieciedronki i wkładam na siebie ciepłą sportową kurtkę w kolorze błękitno-szarym. Upolowałam ją kilka dni temu i nie mogę się nią nacieszyć. Upodabnia mnie do skandynawskiej dziewczyny. Jasne włosy. Jasna cera. Stalowo zimne szare oczy.

Zresztą ostatnio cała jestem stalowa i zimna. Totalnie lekceważę facetów, traktując ich jak papierek przyklejony do buta. Nie reaguję, kiedy katecheta uczący dzieciaki religii zaprasza mnie na kawę. Odmawiam, kiedy syn sąsiadki proponuje wspólną kolację. Unoszę w górę brwi, gdy w księgarni zaczepia mnie jakiś facet w okularach.

Do Adama też nie oddzwoniłam. Trochę to wredne z mojej strony. Wiem. Ale... Zlewał mnie przez parę tygodni, więc doszłam do wniosku, że nie będę mu się narzucać na siłę. Uznałam ten nasz lekki flircik za coś mało istotnego i zapominam o całej sprawie. W głębi trzewi trochę mnie to mierzwi i tym samym utwierdzam się w przekonaniu, że nie powinnam tego kontynuować.

Wzdycham z rozkoszy, że dziś piątek. Po powrocie do domu wchodzę pod kołdrę i nie przejmuję się cienką warstewką kurzu na meblach ani pustą lodówką.

Odpoczywam.

\*

Budzi mnie głośny łomot. Podryguję przestraszona. Z moich ust wydobywa się cichy, zachrypnięty pisk. Łup, łup, łup. Co to za dźwięk? Przez senne opary mojemu mózgowi udaje się jakoś rozszyfrować tajemnicze łupnięcia. Patrzę na zegarek i widzę, że spałam prawie godzinę. Zwlekam się z łóżka i idę do drzwi. Patrzę przez wizjer, ale dostrzegam tylko plecy w ciemnej kurtce. Otwieram drzwi

z zaskoczeniem wymalowanym na twarzy. Na twarzy Adama widzę takie samo zdziwienie. No tak. Nie widział jeszcze mojej zaspanej wersji. Co on tu robi, do cholery?

- Cześć! – strzela uśmiechem jak na zawołanie.
- Hej – wyduszam z siebie, poprawiając włosy.
- Nie oddzwoniłaś – mówi oskarżycielsko, patrząc mi w oczy.
- Hmm... – odpowiadam, wpatrując się w jego buty.

Podnosi moją brodę do góry.

- Wszystko okej? – pyta.

Nie. Nie jest okej. Za parę dni minie kolejny rok, odkąd moi rodzice i młodsza siostra zmienili ciepły dom na zimny cmentarz. Jestem zmęczona i czuję się samotna. Nie radzę sobie ze sobą i swoim życiem. Idą święta, których nienawidzę. Nie wiem, co mnie do ciebie ciągnie i nie wiem, czy powinnam się tego bać, czy raczej z tego cieszyć. Nie, nic nie jest w porządku.

- Taaaak – odpowiadam, czując nieszczerłość w swoim głosie.

– Właśnie widzę... – mruczy i widzę w jego oczach coś na kształt troski. – Masz ochotę się przejechać? – proponuje, machając brelokiem z kluczami.

Zastygam w bezruchu. Wiem, że to facet. W dodatku facet wytwarzający feromony, na które leci mój zmysł powonienia. I z którym miałam nie utrzymywać kontaktu... Ale przecież – jest listopadowy wieczór. Siedzę w domu i smęczę. Dawno nigdzie nie byłam i... W zasadzie... co mi szkodzi? Waham się tylko przez ułamek sekundy.

- Jasne. Dasz mi pięć minut? – pytam, a on potakuje głową.

Po chwili moje włosy są rozczesane, rozmazane prawe oko poprawione, zmierzwiona bluzka zmieniona, a ja czuję się o niebo lepiej.

Wychodzimy przed blok i gwizdzę z uznaniem na widok sportowego samochodu Adama. Jest czerwony i błyszczący. Wygląda jakby dopiero co zjechał z taśmy produkcyjnej. Zapewne działa równie skutecznie na kobiety, jak i na policję... Chwalę pojazd, mile łechcąc ego jego właściciela. Udaje, że go to nie rusza, ale widzę, jak się puszy, kiedy otwiera wóz cichym kliknięciem kluczyków. Ostrożnie sadowię się na skórzanym siedzeniu, po czym zapinam pas. Adam jedzie szybko, ale bezpiecznie. Śmiało wchodzi w zakręty. Płynnie zmienia pasy. Na szczęście droga jest sucha, nie ma na niej śniegu ani lodu. Jedziemy, w ogóle się nie odzywając. Ja milczę, on milczy. Ja myślę, on myśli. Tak jest dobrze. Po co nam słowa? To ma być odstresowująca przejażdżka, nie terapia u psychologa. Radio cicho szemrze, wystukując znaną piosenkę, lecącą nagminnie na wszystkich radiowych stacjach.

Adam wiezie mnie drogą, której nie znam, ale nie boję się. Ufam mu. Ufam, choć przecież prawie go nie znam. Pozwalam mojemu ciału kołysać się w rytm sunącego płynnie pojazdu, a myślom bezkarnie odpływać w błogą otchłań



półświadomości.

Otrząsam się, kiedy Adam zwalnia. Zatrzymuje wóz w miejscu, które ciężko nazwać inaczej niż zadupiem. Nie ma tu nic. Parę drzew, jakieś krzaki. Serce na moment fika mi koziółka, kiedy Adam gasi silnik. Piosenka milknie w pół słowa. Jest ciemno, cicho i ciepło. Za cicho i za ciepło. Odpinam pas. Ściągam z siebie kurtkę. Nie wiem, co powiedzieć, żeby przerwać to natrętne milczenie, więc summa summarum dalej siedzimy w ciszy.

Choć wcale tego nie chcę, myślę o Pawle, o naszym związku, o momencie zerwania. Myślę o tym, jak na dobrą sprawę nudny i przewidywalny był nasz związek. Jaka nudna i przewidywalna jestem ja. Zastanawiam się, czy ktokolwiek pomyślał kiedykolwiek, że jestem interesującą osobą.

Jakby na potwierdzenie moich myśli, Adam kładzie mi rękę na kolanie. Przechodzi mnie lekki dreszcz. Patrzę na niego, ale średnio go widzę. Widzę tylko jego profil lekko oświetlony przez księżyc. Mimo półmroku nie mogę nie zauważyć, że patrzy na mnie głodnym spojrzeniem.

Hej! Chyba nie myślisz, że wywieziesz mnie w krzaki i zgwałcisz... Chyba nie myślisz, że... Słyszę szelest, z jakim zsuwa z siebie kurtkę. Nawet jeśli on o tym myśli, to i tak jest w lepszym położeniu niż ja. Ja nie myślę już wcale. Ciemność wyostrza mi wszystkie zmysły. Czuję zapach jego perfum. Czuję zapach jego żelu pod prysznic. I czuję, że robię się podniecona. Mocno podniecona...

Nie. Nie, nie, nie! Zgodziłaś się na przejażdżkę. Nie na seks w aucie. Bez przesady. Może co najwyżej pomiziać cię po kolanku. Nic więcej. Nie możesz pozwolić sobie na nic więcej. Nic z tych rzeczy. Nie będziesz się z nim miętolić na tylnym siedzeniu samochodu. Nie będziesz uprawiać z nim seksu. Nie możesz tego zrobić. Przecież nie wierzysz w niezobowiązujące stosunki, tak? A na związek po pierwsze nie masz ochoty, po drugie – oboje się do tego nie nadajecie.

Jesteś spokojną i cichą panią nauczycielką. Jesteś samotną singielką z kotem. Niedawno zerwałaś z facetem. Straciłaś w wypadku prawie całą rodzinę... A on? To flirtiarz pierwsza klasa. Arogancki sportowiec. Bezcelny sprzedawca. Pewny siebie rozkochiwacz dziewczyn. Chce cię tylko zaliczyć jak niejednokrotnie wcześniej inne dziewczyny, o czym niejednokrotnie wcześniej wspominał...

Niegroźny flirt niegroźnym flirtem, ale seks to seks. Nie zrobisz tego. Nie prześpisz się z nim... Do niczego nie może między wami dojść. Żadne miętolenie, całowanie, bawienie się w doktora czy panią nauczycielkę. Żadne obmacywanie i sprawdzanie zawartości jego markowych zapewne bokserów. Nie jesteś tego typu dziewczyną. Nie jesteś łatwa. Nie sypiasz z przypadkowymi facetami...

Wyliczam sobie w myślach jeszcze kilka innych argumentów, ale po chwili w głowie tłucze mi się tylko jedno. A niby... dlaczego nie? Niby dlaczego nie mogę choć raz zrobić czegoś spontanicznego? Szalonego? Odważnego? Może nawet – głupiego? Czemu zawsze mam być tą grzeczną, rozważną Panią Mileną?

Nic nie mówię, kiedy opiera swoje ręce na moim fotelu. Nic nie mówię, kiedy odgarnia mi długie włosy z oczu. Nic nie mówię, kiedy przytrzymuje moją twarz w swoich dłoniach, całując mnie mocno i głęboko. Odpowiadam mu pocałunkiem i czuję, że mięknią mi kolana. I że cała też mięknię. Moje zdecydowanie i opór coraz bardziej słabną. Co najwyraźniej widać gołym okiem, bo w oczach Adama znów pojawiają się chochlikowate błyski. Wzdycham lekko, kiedy jego palce wsuwają się za linię moich dżinsów. Jest bardzo subtelny, nie powiem. Nie dla niego banalne pocałunki czy banalne słowa zachęty. Idzie prosto do celu. W sumie to dobrze. Po co nam sentymenty?

Wciąż nie do końca świadoma tego, co się dzieje, ściągam z siebie rozpinany sweterek. Uśmiech błyskawicznie rozkwita na jego ustach. Jednym ruchem ściąga przez głowę swoją jasnoszarą bluzę i rzuca ją na tylne siedzenie.

– Chodź tu do mnie – mruczy i choć zwykle mruczenie w męskim wykonaniu kwitując parsknięciem śmiechem, jego głos brzmi na tyle zmysłowo, że robię się jeszcze bardziej podniecona.

Podniecona do tego stopnia, że na chwilę mnie paraliżuje. Przełykam głośno ślinę, a przez głowę przebiega mi milion myśli. Adam patrzy na mnie wyczekująco. Dalej jestem niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Zupełnie, jakbym nagle zmieniła się w kamienny posąg. Śmieję się, kiedy Adam gwałtownie przyciąga mnie do siebie.

To chyba najważniejsza rzecz, jaką mógł zrobić, żeby przełamać mój strach i zlikwidować chwilowe zdystansowanie. Sadza mnie przodem na swoich kolanach. Proste pasma moich włosów spływają mi kaskadami na ramiona i twarz, zakrywając oczy i tworząc między nami jasną jedwabistą zasłonę.

Czuję intensywny zapach jaśminowego szamponu, którymi są umyte. I czuję mocne bicie jego serca. Przerzucam włosy na plecy i stwierdzam w duchu, że kolana Adama są całkiem wygodne. Czuję miękkość jego dresów i czuję jego twardość wywołaną podnieceniem. Patrzy na mnie tym groźnym przenikliwym spojrzeniem faceta, który wie, czego chce. Obejmuje mnie mocniej i przyciąga bliżej siebie, przez co przywieram do niego całym swoim ciałem. Trzyma mnie jedną ręką, drugą nerwowo zsuwając z siebie spodnie, co kwitując ironicznym uniesieniem brwi.

Chwilę później ma na sobie tylko koszulkę i bokserki. „Skoro tak chcesz” – myślę, zaczynając całować go po karku. Do moich uszu dobiega jego stłumiony jęk. Teraz czuję się naprawdę podniecona. Samą mnie to dziwi, ale nie walczę z tym. Daję się ponieść chwili, emocjom, namiętności, hormonom czy czemuś tam innemu. Po prostu daję się ponieść. Przygryzam swoją wargę. I płatek jego ucha. Obraca mnie tyłem do siebie i tym razem to on zaczyna całować mój kark. Przymykam oczy i zatrzymuję na chwilę oddech. Zatrzymuję też jego dłonie, które próbują wdrzeć się pod moją bieliznę. Szepcze mi na ucho coś całkiem

niezrozumiałego. Łaskocze mnie jego ciepły oddech i uspokaja głęboki głos.

Po chwili ja też nie mam już spodni. Wciąż się jednak waham. Wciąż się boję. Wciąż wydaje mi się, że do niczego nie dojdzie. Że stchórzę w ostatniej chwili. Że znów skończy się na pieszczotach i pocałunkach. Myślę tak, kiedy zsuwa swoje bokserki. Myślę tak, kiedy czuję w sobie jego palce. Myślę tak, kiedy zacznę czuć pulsującą przyjemność, rozchodzącą się po całym ciele.

I wciąż tak myślę, nawet kiedy Adam obiecuje, że zaraz we mnie wejdzie. Kręcę odmownie głową, zwilżając usta śliną. „Nie zrobisz tego” – myślę w duchu, nie wiedząc właściwie, czy myślę o nim, czy o sobie.

Chyba jednak o sobie, bo jego ruchy stają się gwałtowniejsze. Dotyka mnie coraz szybciej. Coraz mocniej. Coraz intensywniej. Znów próbuje ściągnąć ze mnie czarne szorty bez cienia koronki, ale stopuję go, przytrzymując jego dłonie. Zabiera ręce z mojej talii i opiera je na moich kolanach. Odrobinę zwalnia tempo, dotykając mnie zdecydowanie delikatniej i spokojniej. Jego palce błędzą po moich nogach, powoli zataczając okręgi na moich udach. Równocześnie czuję, że jego oddech niepokojąco przyspiesza. Przyspiesza się drżenie jego ciała. Przyspieszają jego biodra. Przyspiesza mocne bicie jego serca. W końcu przyspieszają też znowu jego ręce. Przyspiesza krew, krążąca w moich żyłach. Czuję lekką panikę. Czuję adrenalinę. Czuję suchość w ustach i dudnienie, jakie wydaje z siebie moje niewzruszone zazwyczaj serce.

Proszę go, żeby zwolnił i o dziwo mnie słucha. Wtedy wszystko zwalnia tempo. Moje serce zaczyna miarowo bić. Zwalnia się jego oddech. Zwalnia się jego drżenie. Zwalniają jego ręce, które zaczynają mnie delikatniej dotykać. A potem te same delikatne ręce jednym ruchem zdzierają ze mnie bieliznę i takim samym jednym zdecydowanym ruchem Adam we mnie wchodzi.

\*

Trzęsie mnie ze złości. Nakrzyczałam na Gingera, kiedy wylał mi herbatę, choć sama zostawiłam kubek na podłodze. Zapomniałam o wizycie u dentystki i teraz muszę czekać prawie miesiąc na kolejny termin. Babcia jest przeziębiona i okropnie kaszle, a za cholerę nie da się przekonać do wizyty u internisty.

Idą święta, a ja nie mam ochoty śpiewać kolęd ani kupować prezentów. Wszystko mnie złości, wszystko drażni, wszystko irytuje. Podnoszę przewrócony kubek. Próbuję ścierać herbatę szmatą, ale czuję, że tracę zapach. Siadam na podłodze i opieram głowę na dłoniach. Ginger obrażony uciekł do kuchni. Chce mi się płakać, ale nie mogę zmusić się do wyduszenia z siebie choćby kropelki. Mrugam oczami i oddycham spazmatycznie, ale dalej nic z tego. Fuck! Nawet rozplakać się nie potrafię! Siedzę tak przez chwilę i próbuję się uspokoić. Nie pomaga. Wstaję i wycieram plamę, zanim wsiąknie w panele. Chociaż chyba już wsiąkła. Czy wsiąknęła? Jeden czort. Patrzą przez okno.

Ludzie poubierali już choinki i pozapalali światełka na balkonie. Do świąt zostało półtora tygodnia. Od spontanicznego wypadu z Adamem minęły dwa tygodnie. I nic. Zero. Zero odzewu, zero wiadomości. Hm. No wiadomo. Nie oczekiwałam pierścionka zaręczynowego ani wyznania miłości. Nie liczyłam na nic zobowiązującego. Ale przecież mógłby się chociaż odezwać. Dać jakiś znak. Żebym wiedziała, że to co się wydarzyło, wydarzyło się naprawdę i że było efektem wzajemnego pociągu. Żebym nie czuła się tak parszywie...

Opieram głowę na przedramionach. Patrę na rodzinę dwa plus dwa, wracającą ze świątecznych zakupów. Patrę, jak sąsiad z ogorzałą twarzą lepi bałwana z wnukiem. Patrę, jak młoda zakochana para idzie pod rączkę pod moim oknem. Patrę na same szczęśliwe twarze. I czuję się jeszcze bardziej przygnębiona.

\*

Może nie ma zasięgu. Może zepsuł mu się telefon. Może powinnam wymienić aparat na nowszy model, bo stary niedotykowy samsung trybi wolniej niż leniwiec. Może jak wyjdę z pokoju i wrócę po kwadransie, w telefonie będzie pięć nieodebranych połączeń i sto esemesów. Może, może, może. A może i nie... Na dźwięk telefonu czuję ściskanie w dołku. Na sygnał przychodzącej wiadomości zaczynają drżeć mi ręce. I chociaż za każdym razem mówię sobie: „To na pewno nie on”, za każdym razem, kiedy moje podejrzenie się sprawdza, jestem ciut zawiedziona. Nie jestem jakimś szczególnie niecierpliwym typem, ale teraz czekanie wyjątkowo mnie męczy. Co gorsza – sama nie wiem, na co czekam. A co najgorsze – wiem, że jeśli łudzę się, że Adam do mnie napisze, jestem w cholernym błędzie.

Kiedy komórka zaczyna dzwonić, z wrażenia upuszczam ją na podłogę. Imię brata wywołuje u mnie przykry grymas. Biorę wdech i witam go wylewnie jak nigdy.

– Gorzej ci? – kwituje to krótko.

Przygryzam wargę, uśmiechając się do siebie.

– Co tam? – pytam zdawkowo, choć wiem, że to pytanie jest wyjątkowo kretyńskie.

– Jestem w okolicy i pomyślałem, że wpadnę na kawę.

– Jasne, zapraszam – mówię, szarpiąc nitkę od swetra.

– Nastawiaj wodę – słyszę w komórce.

– Kupuj jakieś ciastka – odpowiadam, zanim się rozłączę.

Potem wyłączam telefon.

\*

Ciasto jest w kolorze ciepłego miodu. Pachnie cynamonem i goździkami.

Wałkuję je zawzięcie, po czym wycinam z niego kształty ludzików. Nucę pod nosem świąteczne melodie, zmieniając słowa z radosnych na mściwo-wulgarne. Słowa na „k” zajmują połowę tekstu. Wiem, że to nieładnie i nieprzyzwoicie, ale cóż poradzę, skoro nie cierpię świąt.

Jestem trochę jak Grinch. Najchętniej podpaliłabym wszystkim choinki i ukradła prezenty. Skoro ja nie mam rodzinnych świąt, to niech inni też ich nie mają...

Kiedy przecieram stół moką szmatką, dzwoni dzwonek do drzwi. Wrzucam ścierkę do zlewu i skradam się do judasza.

– Świąteczni pomocnicy meldują się do pomocy!

No tak. Babcia i Axel. Oboje równie zdyszani, co rumiani. Ściskam się z babcią, tarmoszę psa za wielkie uszy. Babcia ściąga z siebie płaszcz i wkłada rozczłapane bambosze. Już wiem, co kupię jej pod choinkę.

Układam pierniczki na blasze i wsuwam ją do piekarnika. Babcia znika bez słowa gdzieś w przedpokoju i słyszę tylko szmer przesuwanych pudeł w pawlaczu.

Nastawiam wodę, wyciągam z szafki dwa wysokie czarno-białe kubki w groszki i wrzucam do nich rozgrzewającą herbatę z korzennymi przyprawami. Słyszę sapanie i po chwili w kuchni pojawia się babcia, ciągnąca za sobą wielkie pudło i dzierżąca w dłoni małą, nieco już wyliniałą choinkę. Stawiam herbatę na stole. Przez chwilę gawędzimy i popijamy parzący napój. Kiedy po domu rozchodzi się słodko-korzenny zapach, babcia zaczyna ubierać moje nędzne drzewko w słomkowe ozdoby i czerwone kokardki. Robię cyniczną minę, gdy Axel zaczyna buszować nosem w tekturowym pudle pełnym baniek, a Ginger bawi się brokatową bombką.

Dostaję esemesa i prychnam, widząc zerzniete z sieci życzenia o Mikołaju, bałwanku i całym zastępie czerwono-nosych reniferów. Odsuwam od siebie telefon i szukam w szafce maku i bakalii. Babcia szeleści ozdobami, sztuczne igiełki sypią się na kuchenną podłogę. Na pewno rozniosą się po całym mieszkaniu i jeszcze w maju będą je wydłubywać z dywanu.

W radiu znów leci standardowy świąteczny hit, drażniąc moje uszy. Odrywam się na chwilę od robienia przeglądu szafki. Babcia nuci pod nosem, kot syczy na psa, pierniczki zaczynają się rumienić w piekarniku. Zamieram w bezruchu z paczką daktyli w dłoni, kiedy Axel podchodzi i trąca mnie nosem, pytając oczami, czy mam dla niego jakiś smakołyk. Jego pysk szczerzy się radośnie, jego wielkie oczy błyszczą. Ginger wszedł do pudełka i udaje, że go nie ma. Spod tektury wystają tylko jego zmrużone ślepka i końcówka puszystego ogona. Babcia wieszka na drzewku ostatnią słomkową gwiazdkę. Uśmiecha się sama do siebie, poprawia przekrzywioną kokardkę na najciemniejszej i najbardziej lichej gałązce.

Za oknem znów zaczyna padać śnieg. Drobne wyraźne płatki wirują wkoło

i spadają na parapet. Przepraszam w myślach Boga, kajając się i cofając wszystkie swoje złe myśli. Nie mam rodziny? Wybucham śmiechem na widok Gingera, który zaplątał się w srebrny łańcuch i zaczynam razem z babcią podśpiewywać: „A kto wie, czy za rogiem”, wyciągając z szuflady zielony fartuszek w czerwono-nose renifery, po czym zawiązuję go na biodrach.

\*

Śnię o nim noc w noc. Noc w noc budzę się o trzeciej zero dziewięć i choć bardzo się staram nie myśleć w ten sposób, do głowy pcha mi się data jego urodzin – 3 września. W moich snach wszystko jest rozmyte i niewyraźne, a równocześnie tak przyjemnie realne. Czasami śni mi się Adam, łapiący mnie za kolano pod ładą, czasami widzę nas na tylnym siedzeniu jego auta z lotu ptaka.

Gdzie nie pójde, słyszę piosenkę, którą słyszałam w jego aucie. Słowa wryły mi się w pamięć, zakodowały w mózgu. Wszędzie nagle słyszę jego imię. Mdli mnie na jego dźwięk. Mdli mnie na widok czerwonych sportowych wozów. Mdli mnie na widok czegokolwiek związanego ze sportem. Mdli mnie nawet na widok rogalików z różaną marmoladą. Wszystko mi się z nim kojarzy i wszystko wywołuje u mnie obrzydzenie. Szkoda tylko, że wcale nie przeszkadza mi to myśleć o nim dalej.

\*

Dwadzieścia dwa dni. Dwadzieścia dwa dni i zero kontaktu. Nawet jeśli wcześniej myślałam, że może Adam jest tak bardzo zajęty, że nie ma czasu chwycić za telefon, że może ktoś go porwał i przetrzymuje w zimnym lochu ze spiętymi rękami i nogami albo że na skutek wypadku stracił pamięć, teraz muszę pomyśleć rozsądnie. Wiem, że nie jest zajęty. Nikt go nie porwał. Nikt nie zamknął w lochu. Nikt nie spiął go kajdankami. A on sam nie stracił nagle pamięci. Po prostu mnie złał. Zaliczył – zapomniał. Sama tego chciałam. *Merde*. No przecież sama tego chciałam! Nie chciałam chłopaka. Nie chciałam zobowiązań. Nie chciałam przywiązania. Nie chciałam słodkich słówek, fałszywych obietnic, związku. Chciałam zrobić coś szalonego? Zrobiłam. Wybrałam właściwą osobę? A jakże. Faceta, do którego nie da się przywiązać. W którym nie da się zakochać. Którego wiedziałam, że nie zakocha się we mnie. Nie mam też wyrzutów sumienia. Nie mam do siebie pretensji. Nie czuję do siebie obrzydzenia. Mam tylko żal. Żal do Adama. Że nie odezwał się słowem. Że nie skwitował tego: „Okej. Przespaliśmy się ze sobą, bo oboje tego chcieliśmy. Jesteśmy dorośli, więc zrobiliśmy to świadomie. Nie oznacza to, że coś między nami będzie, ale zachowujmy się wobec siebie normalnie”.

Chociaż w zasadzie normalnie to jak? Flirty w sklepie i obmacywania na zapleczu? Kokietowanie przez esemesy? Czy może brak kontaktu? Zamykam oczy.

Niestety, to nie pomaga. Widzę go cały czas. Ba – widzę go nawet wyraźniej niż wtedy, kiedy mam otwarte powieki. Widzę jego kołtuński uśmiech, jego błyszczące iskierki w oczach. I choć bardzo się staram, nie umiem zetrzeć tego obrazu.

\*

Wigilijny wieczór. Za oknem mróz, wiatr i śnieg. W mieszkaniu pachnie pomarańczami, w które wczoraj powbijałam goździki. Kaloryfery emanują przyjemnym ciepłem. Igor ma na sobie nową błękitną koszulę. Babcia założyła granatową sukienkę i sznur pereł. Ja założyłam na siebie czarną bluzkę z białym kotem. Bluzkę, którą miałam na sobie, kiedy uprawiałam spontaniczny seks z Adamem. Bluzkę, której nie wyprałam, bo pachniała nim. Bluzkę, której nigdzie nie nosiłam, bo źle mi się kojarzyła. Bluzkę, którą popsikałam obficie swoimi perfumami, żeby zabić jej męski zapach. Zbędny zabieg. I tak pachnie Adamem. Jego żelem. Jego szamponem. Jego samochodem. Nim całym.

Próbuję skupić się na obdarzaniu babci sztucznym uśmiechem, zapewniającym ją, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Próbuję skupić się na zabawnej rozmowie z Igorem. Próbuję skupić się na wyławianiu z krwiście czerwonego barszczu uszek pękających od nazbieranych w lecie grzybów.

– Hm. Ciekawy zapach. Co to za perfumy? – mówi Igor, pochylając się w moją stronę, a ja zastanawiam się, od kiedy mam takie agresywnie mordercze zapędy, kiedy waham się, czy mam ochotę oblać go barszczem, czy go w nim utopić.

\*

Chciałabym móc powiedzieć, że to nie moja wina, że uprawiałam seks z Adamem. Chciałabym móc powiedzieć, że tego nie chciałam. Chciałabym móc powiedzieć, że to on mnie zaciągnął na tylne siedzenie i brutalnie zgwałcił. Chciałabym, ale nie mogę. Po pierwsze – na tylne siedzenie zaciągnęłam go ja, po drugie – nawet jeśli na początku wszedł we mnie bez pytania, najwyraźniej podświadomie tylko czekałam na ten moment, skoro już od pierwszego ruchu idealnie się z nim zsynchronizowałam.

Ja – sztywna i nieśmiała nauczycielka przedszkola, która dotąd sypiała tylko ze swoim długoletnim partnerem... Nigdy nie zrobiłam niczego podobnego. Nigdy nie zachowywałam się w taki sposób, bo wydawało mi się to wyuzdane i nieprzyzwoite. A teraz proszę. Uprawiałam szalony seks w samochodzie, bez hamulców, bez ograniczeń, bez prezerwatywy. I ponoć – bez zobowiązań...

\*

Plusem świąt jest to, że strasznie szybko mijają. I że mimo wszystko mają parę pozytywnych aspektów. Sałatka jarzynowa. Kevin w telewizji. Gra w gry

planszowe z babcią i Igorem. Spacer z Axelem po zaśnieżonym parku. Leniwe czytanie książki w łóżku. Podjadanie makowca przy herbatce z cytryną. Świąteczne nabożeństwo z babcią. Dni wolne od pracy.

Chciałabym móc powiedzieć, że podczas tego świątecznego okresu nie myślę o zmarłej rodzinie, ale wiadomo, że to blef. Myślę o nich jeszcze więcej i jeszcze częściej. Ale myślę o samym miłych rzeczach. O tym, że tato co roku kupował żywą i wielką choinkę. O tym, że mama szyla materiałowe ptaszki i gwiazdki na świąteczne drzewko. O tym, że Iga wiecznie podkradała z niego cukierki. O tym, jaka byłam szczęśliwa, spędzając święta w ich gronie. I o tym, jak dobrze, że wciąż mam babcię, która robi najlepszą kutię na świecie, brata, który jest dostatecznie wysoki, żeby przypiąć na szczyt choinki świąteczną gwiazdkę i psa, który po mistrzowsku wyje do wtóru świątecznych kolęd. I mimo że do pełni szczęścia brakuje mi jeszcze, abym nie czuła się tak sromotnie olana i zapomniana przez faceta, z którym się przespałam, to jednak jestem szczęśliwa.

Wpatruję się w błyszczącą bombkę na choince, która odbija milion refleksów świetlnych i czuję, że jestem prawie szczęśliwa.

– Milenko, masz takie roziskrzone spojrzenie. Czy ty się dziecko zakochałaś...?

\*

Wciąż nie wyprałam bluzki. Nie mogę. Nie umiem. Nie chcę. Nie potrafię. Poskładałam ją w kostkę i położyłam do szafy. Niech leży i spoczywa w pokoju. Amen.

Nie noszę jej już. Nie piorę. Raz na jakiś czas podchodzę do szafy i wyciągam ją tylko po to, by ją powąchać. Zapach moich perfum wywietrzał. Jego – nie. Wtulam nos w materiał. Zaciągam się, by poczuć ten specyficzny zapach seksu, przygody i szaleństwa. By przypomnieć sobie tę chwilę, kiedy Adam leniwym ruchem ją ze mnie zdjął. By przypomnieć sobie, jak ciężko i jednocześnie delikatnie się na mnie położył. I jak sprawnie dostosował swój rytm do mojego. Przełykam głośno ślinę. Ukierunkowuję myślenie na coś innego, ale nie umiem myśleć o niczym innym. Tylko seks, pamiętasz? Zero zobowiązań. Przecież tego chciałaś. Mówię sobie na głos. Złośliwy głosik w głowie podpowiada mi: „Ale czy na pewno?”. Na pewno tego chciałam...?

\*

Minęło kilka dni nowego roku. Przedszkole jest jeszcze zamknięte. Idę na spacer z Axelem. Chodząc alejkami w parku, przyglądam się mijanym ludziom. Starszemu panu z laską. Młodej kobiecie z bliźniaczym wózkiem. Dziewczynce z yorkiem. Axel wacha coś zapamiętałe w ośnieżonym trawniku. Słyszę jakiś chichot i widzę, że alejką idzie jakaś parka. Trzymają się za ręce, całują się co



chwilę. „Jak podlotki” – pry cham bezgłośnie pod nosem. Unikam patrzenia im w oczy. Nie lubię takiego demonstracyjnego okazywania uczuć. Ciągnę psa, ale ten jakby skamieniał. Stoi w miejscu i wpatruje się w ślepy punkt.

– Axel! – wołam go ostrzegawczo.

Zaczyna merdać ogonem i popiskiwać.

– Axel!

Słyszę wesoły męski głos i nie muszę zgadywać, do kogo należy. Niechętnie podnoszę wzrok. Paweł trzyma pod ramię jakąś dziewczynę. Ładną, zwyczajną dziewczynę o prostych włosach, okrągłej twarzy i asymetrycznej grzywce. Ma kilka piegów na nosie i uśmiecha się naturalnie.

– Eeee... Kalina, Milena – wydusza z siebie mój eks.

Jest czerwony jak piwonia. Jak zawsze, kiedy się peszy. Jest zakłopotany i co gorsza – nie umie ukryć tego zakłopotania. Robię neutralną minę, kiedy wyciągam rękę do dziewczyny.

– A to Axel – rzucam niby dowcipnie, wskazując na drapiącego się za uchem wilczura.

Paweł parska wymuszonym śmieszkiem. Mam nadzieję, że mój uśmiech nie jest równie sztuczny jak jego. Gawędzimy przez chwilę o pogodzie, śniegu i świętach.

– Musimy już wracać – mówię, usiłując oderwać Axela od miejsca, do którego zdaje się przymarzył nosem.

– Miło było cię poznać – mówi nowa wybranka mojego eksfaceta i, o zgrozo, wyczuwam szczerłość jej słów.

– Ciebie także... – silę się na uprzejmy ton, marząc, by zabrzmiał on równie szczerze i prawdziwie.

Wymieniamy grzeczne uśmieszki i się rozchodzimy. Ja idę w jedną, oni w drugą stronę. Nie, nie przejmuję się tym, że Paweł kogoś ma. Wiem, że nie był stworzony do bycia singlem. Nawet dobrze, że kogoś znalazł. Nie będzie mnie nagabywał i męczył. Może założy rodzinę i wszyscy będą szczęśliwi.

Wracamy do mieszkania. Axel kładzie się na swoim pościeliu. Ja podgrzewam zupę. Jarzynową. Jedną z moich ulubionych. Babcia wraca od lekarza i opowiadam jej o spacerze. O spotkaniu z Pawłem też. Patrzy na mnie badawczo, wypatrując oznak załamania psychicznego albo zapłakanych oczu. Jeśli oczy naprawdę są zwierciadłem duszy, powinna zobaczyć w nich obojętność.

Włączamy telewizor i zasiadamy w fotelach z paczką słonych paluszków. Chętnie je chrupię i popijam przekąskę ciepłą herbatą z cytryną. Babcia poprawia okulary i przegląda program telewizyjny. Przełącza na jakąś komedię romantyczną, a ja dalej przegryzam paluszki. Przegryzam je, kiedy młoda dziewczyna z ekranu wzdycha do swojego znajomego z pracy. Przegryzam je, kiedy daje mu się zaprosić na randkę. Przegryzam je, kiedy łąduje z owym znajomym w łóżku. Przegryzam je,

kiedy rano budzi się sama w szarej atlasowej pościeli. Przegryzam je, kiedy następnego dnia koleś udaje, że jej nie zna. Przegryzam je, kiedy dziewczyna czeka na jakikolwiek ruch z jego strony, Przegryzam je, kiedy płacze z głową w falbaniastej poduszce z motywem w drobne różyczki... Dławię się nimi, kiedy babcia kwituje scenkę słowami:

– Ech, głupia. Przecież on chciał się tylko zabawić. Myślałaś, że to coś znaczy? On chciał tylko seksu. Nic więcej. Na co liczyłaś, no na co?

\*

Chodzę po drogerii i szukam kremu, dzięki któremu delikatna skóra nie będzie mi pękać na mrozie i przez który nie zbankrutuję. Niestety, jak wszystko co dobre, kremy ochronne na styczniowe mrozy dla alergików z cerą naczynekową są drogie jakby co najmniej było w nich płynne złoto. W końcu decyduję się na krem, który nie jest horrendalnie drogi, ale i nie wygląda jakby miał mnie uczulić, zanim zdążę wklepać go w twarz.

Już kiedy nakładam go na policzki, czuję, że moją skórę pokrywa cienka ochronna warstewka. Nie jest tłusty, ma przyjemnie lekką konsystencję. Od razu oddycham z ulgą i przestaję żałować zakupu. Nie ma co sobie żałować. Niczego. Bo czy żałuję, że przespałam się z Adamem? Nie. Nie żałuję. Nie żałuje się tego, że zrobiło się coś, co chciało się zrobić. Chciałam tego. Nie ma w tym nic dziwnego, skoro on też tego chciał. Dziwne jest to, że on nie chce, ja chciałabym nadal... Że dla niego nie istnieje nawet nędzne wspomnienie o mnie, dla mnie istnieje tylko wspomnienie o nim.

\*

Nie muszę kłócić się z nikim o miejsce na łóżku. Nie muszę walczyć o skrawek kołdry. Nie muszę rano robić nikomu kanapek. Mogę chodzić w zielonych froterujących kapciach i szarym szlafroku w łapki i nikomu to nie przeszkadza. Nie muszę gotować obiadu, jeśli nie mam na to ochoty. Nie muszę czytać poradników o prowadzeniu domu. Nie muszę się śpieszyć po pracy, bo nikt na mnie nie czeka. Nie muszę się nikomu tłumaczyć. Nic nie muszę. Jestem wolna. Jestem silna. Jestem niezależna. Jestem singielką. Z pracą i z własnym mieszkaniem. I kotem. Też własnym. Czego więcej potrzeba mi do szczęścia? No czego? Czego chcę? Czego pragnę? Czego szukam? Na co czekam?

Wyliczam sobie w duchu, popijając herbatę. Z cytryną. Na poręczy fotela siedzi Ginger. Z boku leży książka, za którą nie mogę się zabrać. Słucham sączącej się dyskretnie muzyki. Jest cicho i spokojnie. Przyjemnie się tak siedzi w mroźny styczniowy wieczór. Telefon pika, dając sygnał nadejścia wiadomości. Podrywam się z fotela i sięgam po komórkę, leżącą na ławie. „Gwiazdy mówią mi, że ktoś nie jest Ci obojętny...” – czytam na głos, wkładając to w tyle sarkazmu, że Ginger

stroszy uszka jak mały żbik. Rzucam nim o ścianę. Telefonem. No przecież nie kotem...

Ginger wciąż siedzi na oparciu fotela. Mierzy mnie swoim kocim wzrokiem, będącym połączeniem sarkazmu i politowania.

\*

Jest piątkowe popołudnie. Mimo że jest dopiero czwarta, niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, zwiastującymi nadchodzący wieczór. Wracam z pracy. W torebce mam pięć laurek od dzieci. W portfelu wypłatę. W reklamówce termos z gotowym obiadem od babci. Ładnie dziś wyglądam, dobrze się czuję. Wieczorem idę na urodziny koleżanki z pracy. Zachodzę do sklepu, żeby kupić jakieś wino. W drzwiach prawie zderzam się z Adamem.

– Oooo! – wykrzykuje zdziwiony.

– Ooo... – odpowiadam zdziwieniem.

– Dawno cię nie widziałem – uśmiecha się.

– Ja ciebie też – stwierdzam i myślę w duchu: „Tylko co noc w snach o zabarwieniu mocno erotycznym...”.

– Co u ciebie? – sili się na uprzejmość.

– W porządku. A u ciebie? – odpowiadam, czując, że zasycha mi w gardle.

– Też. Mmmm. Muszę wracać do pracy – mówi przeprasząco i strzela czarującym uśmieszkiem.

– Jasne – mruczę.

Też strzelam uśmiechem. Uśmiechem szczęśliwej i niezależnej singielki. Uśmiechem zadowolonej z siebie kobiety. Uśmiechem, który jest tak sztuczny, że aż boli mnie od niego szczeka.

– Do zobaczenia! – macha mi na pożegnanie.

– Na razie! – macham mu jeszcze radośniej.

Jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby nigdy nic biorę do koszyka butelkę drogiego czerwonego wina. Jak gdyby nigdy nic uśmiecham się do kasjerki, wyliczając jej należną kwotę. Jak gdyby nigdy nic wychodzę ze sklepu, przytrzymując drzwi jakiemuś staruszkowi w zielonej kaszkietówce. Jak gdyby nigdy nic mamrocę pod nosem: „Kurwa twoja w dupę jebana mać”. Ku zgorszeniu pani, karmiącej gołębie na deptaku. Chowam brodę w szalik i idę szybko w stronę domu.

Kurwa twoja mać...

\*

Siedzę na sedesie i liczę płytki na podłodze. Nie chce mi się wracać do salonu. Salonu urządzonego w różnych odcieniach szarości. Salonu, który jest modny, bogaty i świeżo wyremontowany. Właścicielka salonu ma na imię Irena. Ma trzydzieści cztery lata, narzeczona z nadwagą i rude loki. Oprócz mnie zaprosiła kilka koleżanek. Dziewczyny cały czas rozmawiają o facetach. Rzygać mi się chce od ich problemów i życiowych misji. Jedna chce złapać faceta na dziecko, druga trzyma swojego na smyczy, a trzecia robi z siebie głupią trzpiotkę, żeby jej facet czuł się przy niej lepszy i mądrzejszy. Porażka.

Jestem pośród nich jedyną singielką. Załamują nade mną ręce i życzą, żebym szybko znalazła jakiegoś faceta. „A może wrócisz do swojego ekssss?” – syczy chuda Monika z wystającymi obojczykami i jeszcze bardziej wystającymi przednimi zębami. Mam ochotę powiedzieć jej coś wrednego. Powstrzymuje mnie tylko świadomość, że jest za pusta, żeby zrozumieć cięte riposty.

Nie pijemy alkoholu, bo dwie z dziewczyn są w ciąży, a Irena bierze antybiotyk. Nie mogę pocieszyć się więc drinkiem albo pozwolić szampanowym bąbelkom zamącić mi w głowie. Okropnie się nudzę.

Zmuszam się do siedzenia i wysłuchiwania opowieści o ciążyowych mdłościach, problemach z teściową i o sposobach, jak przekonać męża, żeby codziennie zmieniał gacie.

Zmywam się przed dziesiątą, tłumacząc się migreną. Co nie jest do końca kłamstwem. Gdybym została w tym mieszkaniu jeszcze kwadrans dłużej, na pewno wybuchłaby mi głowa, rozbryzgując po idealnym salonie moje nieidealne myśli i kawałki nieidealnego mózgu.

Idę chodnikiem i zaciągam się mroźnym powietrzem. Planuję wrócić do domu i wskoczyć pod gorący prysznic. Chcę się rozgrzać. Już wyobrażam sobie, jak gorąca woda spływa mi po ciele, a przyjemne ciepło rozchodzi się po moich kościach... Przechodzę koło pubu, z którego wytacza się jakiś wysoki tyczkowaty chłopaczek. Ma silny trądzik i zanosi się śmiechem. Ociera rękawem zażawione oczy.

– Syna mam! – krzyczy w moją stronę, wywołując u mnie palpacje serca.

– Gratuluję – wyduszam z siebie i czmycham z jego oczu.

Potrząsam głową. Żeby tak opijać narodziny dziecka? Smutki to rozumiem, ale... Przez myśl przebiega mi spontaniczny pomysł. Dwie sekundy później odwracam się na pięcie i zamaszystym krokiem wchodzę do pubu.

– Martini z lodem i sprite'em – mówię na wdechu do barmanki.

Jest po czterdziestce. Jest też lekko przy kości i ma mysie odrosty na głowie. Smutne oczy upodabniają ją do basseta, ale są inteligentne i czujne. Bez słowa podaje mi drinka. Ja bez słowa ściągam z siebie kurtkę. Odwiązuję szalik, który

owinął się ciasno wokół mojej szyi. Przyciągam do siebie szklankę i łapczywie wypijam połowę jej zawartości. Jednym duszkiem.

Barmanka już jest przy mnie. Potakuję kiwnięciem głowy, choć wciąż nie powiedziała ani słowa. Zanim skończę pić, sunie ku mnie druga szklanka. Jej zawartość połyskuje zachęcająco. Plasterek limonki kołysze się wdzięcznie na wierzchu napoju. Kostki lodu brzęczą radośnie, objijając się o szkło. Nawijam kontakt wzrokowy z Bassetowymi Oczami i mówię ironicznie: „*Cheers*”.

Dwa łyki później mam przed sobą pustą szklankę.

– Facet? – pyta barmanka, kiedy kiwam na nią palcem.

– Taaaa... – mruczę wymijająco.

Przede mną stoi już nowy, świeżutki drink z nową świeżutką limonką. Stoi też barmanka ze smutnymi oczami i wyczekującą miną. O, nie, nie... Nie będę się zwierzać. To nie ten typ, kochana...

– Chcesz o tym pogadać, złotko? – pyta.

Ma wielkie worki pod oczami i małe zmarszczki koło ust. Otwieram usta i zamykam je. Nie. Nie jestem gadatliwa. Nie jestem wylewna. Nie namówisz mnie na zwierzenia. Nie ma szans...

– *Go ahead* – mówi ironicznie z bladym uśmiechem. Muszę parsknąć śmiechem.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że ten angielski zwrot nie zabrzmiał śmiesznie w jej ustach. Uśmiecham się. Ona też. Po chwili wie już wszystko.

Wie o Pawle, o rozstaniu, o Kalinie i o tym, że spotkałam ich w parkowej alejce podczas spaceru z Axelem. Wie, że Paweł był speszony, a Kalina naturalna. Wie o rodzicach, Idzie, wypadku i mieszkaniu z babcią. O włóczkowych serwetkach i dywanie z pawiem też. Wie o Igorze, o jego powodzeniu u kobiet i relacjach, jakie nas łączą. I wie o Adamie. Jako jedyna.

Nieznamoma barmanka z odrostami i podkrążonymi oczami. Patrzy na mnie w ten sam smutny sposób co wcześniej i jej twarz ani drgnie, kiedy ja wypluwam z siebie słowa. Istna katarynka. Nigdy jeszcze nie wpadłam w taki słowotok. Tyle słów chyba nie wyszło ze mnie w ciągu dwudziestu sześciu lat mojego życia. Milknę nagle. Równie gwałtownie, jak wtedy, kiedy zaczęłam mówić. Wodzę smukłym długim palcem po obwodzie szklanki. Kolejnego drinka nawet nie napoczęłam. Nie miałam czasu zamoczyć ust między jednym potokiem słów a drugim. Jakiś ryżawy facecik podchodzi chwiejnym krokiem do baru, ale barmanka odpędza go ręką jak natrętną muchę.

– Powiedz mi, słonko, dlaczego się z nim przespałaś? – kieruje w moją stronę pytanie.

– Mówiłam już. Chciałam zrobić coś szalonego. Coś, co niekoniecznie będzie grzeczne i mądre. Nie chciałam się z nikim wiązać, więc...

– Dlaczego przespałaś się z NIM? – przerywa mi, podkreślając ostatnie

słowo.

Wzdycham.

– Bo był arogancki, bezczelny, zbyt bezpośredni, odważny, pewny siebie i napuszony. Nie było szans, żeby poczuć do niego coś więcej – tłumaczę.

– Był?

Patrzę na nią zdumiona.

– Był arogancki? Czy jest arogancki? – draży.

– Teraz... Wydaje mi się, że jest... – szukam właściwego słowa.

– Mądry? Dobry? Idealny? – podsuwa mi propozycje.

Parskam śmiechem.

– W porządku. Myślę, że jest w porządku.

– Dlaczego?

– Bo... Jest wrażliwy. Spokojny. Opanowany. Miły. Uśmiechnięty... – wyliczam, patrząc z zainteresowaniem na płamę z wosku na ładzie.

– Nawet mimo tego, że się do ciebie nie odzywa? Że wpisał cię na listę „Zaliczone” i poleciał zaliczać dalej? – pytanie zawisa w powietrzu.

I wisi tam przez kilkanaście wlokących się jak kazanie nudnego księdza sekund. Czuję suchość w ustach. Szybko nawilżam gardło łykiem piekącego napoju.

– A chemia? Była, kiedy go widziałas? – W oczach barmanki widzę błysk zainteresowania.

– Zdecydowanie tak – wzdycham.

Wpatruje się we mnie bez mrugnięcia, co odczytuję jako polecenie: „Mów!”.

– Nie wiem, jak to opisać. Nie chodzi nawet o to, że na samo jego spojrzenie miękły mi kolana, a na dotyk robiło mi się mokro w majtkach. Chodzi o to, że kiedy był blisko, czułam, jakbym topniała. Miałam zawężone pole widzenia. Widziałam tylko jego. I było mi z tym bardzo dobrze. Nie musiał robić nic. I tak mnie podniecał... – wyrzucam z siebie.

– Czyli działał na ciebie?

– Działał... – potakuję.

– A sam seks?

– Trudno ocenić. To był jeden jedyny raz – jęczę.

– Spróbuj. Jakim był kochankiem?

– Okej. Więc... był doświadczony. Pewny siebie. Konkretny. Nie bawił się w grę wstępną, w pocałunki, wpatrywanie się w moje oczy ani nic z tych rzeczy... Zero sentymentów. Czysta namiętność – pocieram dłonią czoło, zbierając myśli.

– Delikatny czy gwałtowny?

– Coś pomiędzy.

– Uzupełnialiście się? Odgadywał twoje myśli i potrzeby bez pokazywania palcem? Przypominało to szarpaninę czy raczej nie?

– Tak. Tak. Nie.

Barmanka śmieje się ochryple. Wywracam oczami. Widzę, że bar opustoszał. Tylko jeden pijaczek śpi na ławie, z głową położoną na stole i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Dobrze się uzupełnialiśmy. Nie odezwaliśmy się słowem. Wiedział, czego chcę i czego od niego oczekuję. To wcale nie przypominało szarpaniny.

– Pocałunek w czasie seksu?

– Jeden. Raczej krótki.

– Jaki?

– Hm...

Patrzy na mnie pytająco.

– Może jakaś podpowiedź? – mrużę oczy i strzelam uśmiechem.

– Nie. To pytanie będzie otwarte – śmieje się, opierając ręce na wydatnym biuście.

– Drżący. Głęboki. Niepewny.

– Interpretuj – poleca mi.

– Jak?!

– Ty mi to powiedz.

– Jesteś wymagającą nauczycielką – mamroczę pod nosem.

Podnosi głowę, jakby usłyszała komplement.

– Życie też jest wymagającym nauczycielem. Najpierw urządza sprawdzian...

– ...potem udziela lekcji – dokańczam smętnie. Potrząsam głową. Ja wciąż nie wiem, jaką lekcję z tego wyciągnąć. – Wyglądało to trochę tak, jakby tego nie przemyślał. I jakby nie wiedział, jak zareaguję. Dlatego był drżący i niepewny. Przymiotnika „głęboki” nie muszę tłumaczyć? – ironizuję.

– Nie musisz. Przypominasz sobie coś jeszcze?

– W związku z pocałunkiem?

– Nie. W związku z seksem... – Patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Tak. Wszystko – mówię, rozkładając ręce.

– Dawaj.

– Był dokładnie ogolony...

Parska śmiechem. Kiwa głową, żebym kontynuowała.

– Ładnie pachniał.

– Ładnie pachnieć to może choinka zapachowa w samochodzie... – mruczy.

– Okej. Pachniał przyjemnie. Podniecająco. Zmysłowo. Pachniał genialnie.

Może być?

– Tak.

– Miał strasznie gładkie ciało. Praktycznie bez zarostu. Dość dziwne jak na faceta – mówię, jakby do siebie. – I nie czułam jego ciężaru, chociaż waży pewnie

dwa razy więcej niż ja. Miał znamię na plecach. I łaskotki na pośladkach. Miał wytartą koszulkę. Poznałam to po tym, że była bardzo miękka. I był ubrany na sportowo. Słabo go widziałam, bo było dość ciemno. Za to doskonale go czułam. Zapach. Dotyk. Wszystko... – Zamyślam się.

Przerywa mi cichym chrząknięciem.

– Trzymaliście się za ręce w trakcie?

– Nie. Tak. Nie wiem... Złapałam go raz czy dwa. Wtedy przez chwilę się trzymaliśmy. Ale chyba nie o to ci chodzi?

– Nie. Nie o to. Było ci dobrze?

– Tak – mówię.

– Tak? – unosi brwi.

– Tak.

Unosi je wyżej. Rozumiem, że czeka na bardziej wyczerpującą odpowiedź.

– Było mi dobrze, ale...

Uśmiecha się lekko ironicznie.

– Ale?

– Ale to chyba tylko dlatego, że porządnie mnie przerznął – walę prosto z mostu.

Barmanka zanosi się śmiechem. Ja też zaczynam się śmiać. Śmiejemy się obie. Nie możemy przestać. Wreszcie śmiech zamiera mi w gardle. Barmanka ociera oczy.

– Było mi dobrze. Działał na mnie. Byłam mocno podniecona. Chciałam tego. Było przyjemnie. Było miło. Było intensywnie. Było długo...

– Tylko...?

– Tylko czegoś mi brakowało.

– Czego?

– Może innego wyrazu jego twarzy, jak skończył. Może tego, że od razu ze mnie wyszedł i zaczął się ubierać. Że nie patrzył mi w oczy. Że nie odezwał się słowem. Że poczułam się... jak narzędzie do spełnienia jego potrzeb... – wzdycham.

– Tak wygląda seks bez zobowiązań... – mówi, kładąc rękę na moim ramieniu.

– Co to oznacza? Że jednak niezobowiązujący seks to nie moja bajka? Nie mogłam się w nim zakochać po jednym razie... – marudzę jak dziecko, opierając łokcie o ladę i ciągnąc się lekko za włosy.

– Nie mogłaś zakochać się w nim po jednym razie – przyznaje, kiwając dla potwierdzenia głową.

Uśmiecham się lekko.

– Myślę, że nie zakochałaś się w nim dlatego, że się z nim przespałaś. Myślę, że przespałaś się z nim, bo byłaś w nim zakochana...



\*

Chucham w zziębnięte dłonie. Wracam właśnie z porannego nabożeństwa. Jest niedziela. Zimna, pochmurna niedziela. Bez śniegu, bez mrozu, bez słońca.

Wróciłam do domu nad ranem. Przespałam się parę godzin i postanowiłam pójść na mszę. Miałam się nawet wyspowiadać, ale konfesjonał był pusty. Oprócz wielkiego kątnika czającego się groźnie w rogu. Otrząsam się na samą myśl o jego kosmatych odnóżach...

Nabożeństwo prowadził jakiś młody ksiądz. Opowiadał o swojej misji w Afryce. O głodujących dzieciach, o wojnach, o śmierci. Czułam w gardle wielką, tłustą gulę, przypominającą ohydną kluchę. W pustym żołądku zaburczało, w pustych oczach zapiekło. Nie popłynęła ani jedna łza, choć całym sercem byłam przy tych ludziach i przy ich dzieciach z czarnymi kędziorami i czarnymi ciałkami.

Wracam do domu i pierwsze, co robię, to wchodzę pod prysznic. Długo spod niego nie wychodzę. Narkotyzuję się hipnotyzującym zapachem mandarynek i trawy cytrynowej. Wycieram się szorstkim ręcznikiem. Nawilżam ciało mleczkiem. Wkładam szlafrok na nagie ciało i idę do kuchni.

Jem na siłę kilka kęsów małej kanapki i popijam pumpernikiel gorącą gorzką herbatą. Wkładam talerzyk do zlewu i zasiadam wygodnie w fotelu. Wołam do siebie Gingera, ale ma mnie w nosie. Włączam telewizor i przez chwilę przełączam bezmyślnie kanały. Na którymś programie natrafiam na *Titanica*. Minęła już połowa filmu, ale wcale mi to nie przeszkadza. Okrywam się kocem i oglądam.

Trzęsę się, kiedy statek powoli tonie, a ludzie w panice walczą o życie. Trzęsę się, kiedy widzę strach w oczach dzieci. Trzęsę się, kiedy pasażerowie zaczynają zdawać sobie sprawę, że niechybnie zginą. Trzęsę się, kiedy młodziutki DiCaprio tonie. Trzęsę się, kiedy pojawiają się końcowe napisy. Jestem rozemocjonowana i wstrząśnięta. A oczy mam suche jak ziemia po kilku tygodniach posuchy.

Dzwoni do mnie Igor i odwołuje swoje dzisiejsze odwiedziny. Dzwoni do mnie babcia i przypomina, że idzie dziś na imieniny do swojej sąsiadki. Dzwoni do mnie Irena i pyta, czy przeszedł mi już ból głowy. Kłamię jak z nut. Wstaję z telefonem i siląc się na cierpiętniczy ton, narzekam na swoje samopoczucie. Potem odkładam telefon na komodę i idę się ubrać. Zakładam czarne wygodne legginsy i długi czerwony sweter. Idę do kuchni i robię sobie herbatę. Czarną. Bez cukru. Bez mleka. Z plasterkiem cytryny.

Siadam na krześle i wyciągam nogi na stół. Patrzę przez okno i siorbię głośno gorący napój. Zaczął padać śnieg. Białe płatki wirują, a mały chłopiec tańczy z radości przed blokiem. Podrzuca do góry jakąś zabawkę i biega jak szalony wokół ławki. Jego babcia tupie z niecierpliwością po alejce, kołysząc miarowo głęboki granatowy wózek o eleganckim klasycznym wyglądem. Siwa

głowa co chwilę znika pod budką, kiedy starsza pani czujnie zagląda do niemowlęcia. Po jej zestresowanych ruchach i gorączkowych manipulacjach z kocykiem, smoczkiem, butelką i grzechotką widzę, że bobas płacze. Albo przynajmniej marudzi. Widzę też, że malec urządzający sobie właśnie skoki narciarskie na ławce wcale nie ma zamiaru wracać do domu. Parskam śmiechem.

Biorę łyk herbaty. Obejmuję dłońmi kubek i patrzę dalej. Babcia mówi coś do wnuczka. Chyba straszy, że go zostawi, bo chłopiec odrywa się od ławki i leci na łeb na szyję. Maskotkę zostawia na ławce.

Podrywam się z krzesła i chwytam za klamkę od okna. Jak na złość nie mogę jej otworzyć. Szarpię i szarpię, aż w końcu mi się udaje. Krzyczę przez okno, ale babcia z wnuczkiem i bobasem w granatowym wózku właśnie znikają za rogiem bloku. Zakładam w biegu buty i nie tracę czasu na wkładanie kurtki, tylko zbiegam po schodach. Łapię zabawkę i już wiem, że mój bieg poszedł na marne. Alejka jest pusta. Nie ma na niej żywej duszy. Jedyne ja – z głupią miną i miękką zabawką w dłoni. „I po co leciałaś jak durna?” – myślę i pluję sobie w brodę. Dzieciak pewnie ma zatrzęsienie miśków. Prawdopodobnie nawet nie zauważy braku jednej maskotki... Ale co, jeśli kocha go tak, jak Iga kochała Królika Piotrusia? Jeśli nie może bez niego zasnąć? Jeśli płacze, kiedy nie ma go przy sobie podczas porannego wstawania? Waham się. Zostawić maskotkę na zewnątrz czy wziąć ją do domu? Pada mokry śnieg. Nie chcę, żeby zabawka zmokła. Z drugiej strony chłopiec może będzie szukał pluszaka tam, gdzie widział go po raz ostatni... „Zawinę go w reklamówkę i położę na ławce” – decyduję w końcu i biorę maskotkę pod pachę, po czym kieruję się do domu.

Kładę miśka na kuchennym stole i sięgam do szuflady. Wyciągam z niej przezroczystą foliową reklamówkę. Ginger przychodzi do kuchni, poruszając się bezszelestnie jak duch.

– Miaaaaaau? – miauczy pytająco, wskakując na stół koło pluszaka.

Trąca go noskiem i ociera się o niego. Wygląda tak pociesznie, że chichram się przez chwilę, oparta o kuchenną ladę. Chichot grzęźnie mi w gardle, kiedy dociera do mnie, co widzę. Ginger zeskakuje ze stołu, kiedy słyszy, jak gwałtownie wciągam powietrze. Osuwam się na podłogę i chowam twarz w dłoniach. Drżą mi ręce, drżą mi kolana, drży mi oddech. Jest mi słabo, jest mi niedobrze. Boże! Przechodzę zawał? Dwudziestosześcioletka? Wegetarianka?!

Wstrząsa mną mocny, suchy szloch. Zakrywam dłońmi oczy, ale nie mogę się powstrzymać i zerkam przez palce na stół. Pluszowy niebieski słonik z wysoko uniesioną trąbą siedzi na nim dumnie, połyskując czarnymi jak węgielki martwymi oczkami i śmiejąc mi się w twarz.

Adam zawsze był dla mnie Adamem. Nigdy nie mówiłam do niego per „Słoniu”. Co nie znaczy, że słonie nie kojarzyły mi się właśnie z nim. Przechodzi mnie dreszcz. Wciągam głęboko powietrze. A po mojej twarzy płyną gorące,

gorące łzy, które dopiero po dziesięciu latach znajdują ujście. Płyną i płyną, nie mogąc przestać. Zupełnie, jakbym nagle znalazła w sobie połączenie między emocjami, a umiejętnością ich skraplania. Kapią mi na czerwony sweter. Moczą jasne, rozpuszczone włosy. Wpadają do uchylonych ust i zostawiają na nich słony ślad. I wreszcie przynoszą długo wyczekiwaną ulgę.

\*

Nigdy nie należałam do tych dziewczyn, które uważają, że jedna wspólnie spędzona noc świadczy o wielkiej miłości i wróży świetlaną przyszłość we dwoje.

Nigdy nie planowałam zadurzyć się w facecie, który potraktował seks jak jednorazową rozgrywkę sportową. W facecie, który – i owszem – postarał się wytrzymać jak najdłużej mógł, ale który nawet się ze mną nie całował.

Nigdy nie planowałam rościć sobie do kogoś praw tylko dlatego, że moje narządy płciowe złączyły się z jego narządami na czterdzieści pięć minut na tylnym siedzeniu jego sportowego samochodu.

Nigdy nawet nie wpadłabym na to, że będę chciała mieć coś wspólnego z facetem, który potraktował mnie jak instrument, na którym mógł zagrać koncert, dając popis swoich zdolności, a potem odłożył go w kąt i patrzył, jak zarasta kurzem. W optymistycznej wersji. Bo w pesymistycznym wariancie stosunku „na wirtuoza” odłożył sprzęt na bok i zapomniał, że kiedyś go używał...

Nigdy nie zastanawiałam się, co będzie, jeśli poczuję do mężczyzny, z którym się prześpię, coś więcej, bo uważałam, że nigdy, przenigdy nie przywiążę się do osoby, z którą połączył mnie tylko seks.

Tylko seks!

Tylko raz.

W dodatku – bez miłości.

Nigdy nie wyobraziłam sobie takiego scenariusza.

Nigdy.

Szkoda.

Może powinnam choćby przelotnie o tym pomyśleć. Bo jednak chcę wierzyć, że chłopak, z którym kochałam się przez trzy kwadransy, poczuje na mój widok coś więcej niż twardość w spodniach. A jednak wciąż o tym myślę i raz za razem rozpamiętuję tę chwilę. A jednak łudzę się, że ten seks to nie był tylko seks i że jednak dla niego też coś znaczył.

I co najgorsze – wszystko doskonale pamiętam. Wspomnienie nie wyblakło, choć minęło parę tygodni. Uczucia wciąż są żywe i realne, jakbyśmy kochali się wczoraj. Wciąż widzę zarys jego sylwetki w ciemnym wnętrzu auta. Wciąż słyszę jego przyspieszony oddech. Czuję drżące dłonie rozpinające guzik od moich dzinsów. I pulsowanie w dole brzucha, jakby ktoś wlał mi do pępka czarę płynnej lawy. Wciąż widzę to roziskrzone, nieobecne spojrzenie, te rozchylone usta,

niecierpliwe dłonie...

No cóż.

Wpadłam jak śliwka w kompot.

Bo osobnik, który był ze mną, na mnie i we mnie, teraz nie pamięta o fakcie mojego istnienia. Nie utrzymuje ze mną kontaktu, nie pisze, nie dzwoni, nie prosi o spotkanie. Po prostu zachowuje się, jakbym nie istniała. A ja myślę o nim dobrze. A ja myślę o nim ciągle. A ja myślę o nim obsesyjnie...

Dlaczego, do cholery, nie dajesz pieprzonego znaku życia?! Dlaczego...? Czy powinno mnie to dziwić? Nie. Ale mimo to dziwi. Nie chciałam związku. I chyba dalej nie chcę. Ale raczej w głębi duszy liczyłam na coś więcej. Czy popełniłam błąd? Kiedy powinnam się wycofać? Kiedy tylko flirtowaliśmy? A może wtedy, kiedy przez jakiś czas milczał? Czemu jak ostatnia idiotka dałam się wciągnąć w tę jego grę? Czemu dałam mu się omamić?

Czy żałuję? Z jednej strony tak, z drugiej nie. Żałuję, bo teraz mam mętlik w głowie. Jakaś część mnie uważa, że postąpiłam głupio i nierozsądnie. Inna mówi – dobrze ci tak. Masz nauczkę na przyszłość. Jeszcze inna twierdzi, że przynajmniej spróbowałam, jak to jest. Jak to jest być z innym facetem. Jak to jest zrobić to bez miłości. Ha. O ile to rzeczywiście było bez miłości... Z jego strony – na pewno. A z mojej? Jak mam określić, czy czułam do niego coś więcej, czy nie? Podniecał mnie prawie od początku. To fakt. Ale czy to był tylko pociąg fizyczny? Przecież kochaliśmy się raz. RAZ!

Rozmawialiśmy nieskończoną liczbę razy. Pisaliśmy esemesy. Flirtowaliśmy. I co z tego? – mówi rozsądna część mnie. Ta racjonalna i ta myśląca. Ta, która kieruje się sercem, dopowiada: jak to co? To przecież MUSIAŁO coś znaczyć...

Czasami myślę, że to tylko hormony i reakcja organizmu na odstawienie regularnych stosunków. Czasami myślę, że skoro wzbudził we mnie tyle emocji, to musiało oznaczać, że czułam do niego coś więcej. Czasami myślę, że to był tylko jeden wielki zawrót głowy. Czasami myślę, że to jakieś złe fluidy pchnęły mnie w stronę pieprzonego sklepu z pieprzonymi piłkami. Ale nawet to nie powstrzymuje mnie od myślenia: „Ale to nie tłumaczy tego, że przespałaś się z ich pieprzonym sprzedawcą”.

\*

– Jesteś jakaś przygaszona – rzuca Igor między jednym kęsem hamburgera a drugim.

Zaprzeczam gwałtownie, uśmiechając się i pytając go o film, który ostatnio oglądał. Kiedy z zapałem zaczyna opowiadać mi fabułę jakiegoś kryminału, odpływam. Grzebię w swojej sałatce. Niemrawo nabijam na widelec kawałek fety i zmuszam się do jej zjedzenia. Jedzenie staje mi w gardle. Nie mam apetytu i jest

mi niedobrze. Chciałabym powiedzieć, że nie mogę jeść, bo nie czuję smaku. Niestety tak nie jest. Ja czuję go aż nadto. Pomidory nie przypominają w smaku pomidorów. Oliwki są tłuste. Feta słona. Sałata gorzka. Poruszam szczęką, udając, że jem, podczas gdy tak naprawdę jedzenie jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę.

Igor ciągnie wątek, a ja mam ochotę zwrócić sałatkę z powrotem do miski...

– Hej, słuchasz mnie w ogóle? – unosi groźnie jedną brew.

– Taaa... Przepraszam. Wyłączyłam się – tłumaczę się, wycierając usta serwetką.

Odsuwam od siebie miskę.

– Prawie nic nie zjadłaś – zauważa.

– Nie jestem głodna – mówię, siląc się na uśmiech.

– Jesteś też wyjątkowo blada. I masz podkrążone oczy. Badałaś się może ostatnio?

– Nic mi nie jest. To tylko stres i przemęczenie w pracy – wywracam oczami.

– Zrób sobie lepiej badania... – radzi.

Nie wiem, co jest lepszym rozwiązaniem. Powiedzenie mu, że nie mogę w nocy spać, bo przespałam się z niewłaściwym facetem, a teraz wydaje mi się, że mi na nim zależy czy fałszywe zapewnienie, że niezwłocznie wykonam badania, choć wiem, że tego nie zrobię.

– Okej. Pójdę się przebadać, jak znajdę chwilkę – obiecuję i posyłam mu wymuszony uśmiech.

– Grzeczna dziewczynka – puszcza mi oczko.

Żebyś ty wiedział, jaka grzeczna...

\*

O ile wcześniej starałam się wyszukać sobie milion powodów, dla których miałabym przedefilować przed sklepem sportowym, o tyle teraz robię wszystko, żeby tamtędy nie przejść.

Nie jest to wcale takie proste. Nogi zdają się same nieść mnie w znajomą stronę. Zagapiając się odruchowo, wędruję w zakazanym kierunku. Machinalnie wybieram krótszą trasę, idąc po karmę dla kota do lokalnego sklepu zoologicznego. Za każdym jednak razem pukam się w głowę i zawracam. Nie chcę, żeby Adam widział, że się koło niego kręcę. Może i jestem desperatką, ale akurat on nie musi o tym wiedzieć. Nigdy nie sądziłam, że można mieć taką straszną ochotę kogoś zobaczyć. I to wcale nie nago w łóżku czy w jakiejś innej romantycznej sytuacji. Chciałabym zobaczyć go podczas pokazywania klientowi korków do gry w piłkę nożną. Chciałabym zobaczyć, jak wypełnia jakieś druczki na komputerze. Chciałabym zobaczyć, jak przelotnie sięga po kubek z zimną herbatą, rozmawiając

przez telefon z dostawcą. Chciałabym zobaczyć nawet jego plecy, kiedy pochyla się nad ladą i szuka jakichś ważnych faktur w zagraconej szufladzie. Po prostu chciałabym go zobaczyć.

Widok jego auta też wywołuje u mnie dziwne sensacje w dole brzucha. Widzę je często na pobliskim parkingu. Idąc do pracy, muszę koło niego przejść, bo niestety na tę drogę nie ma żadnego skrótu.

Sportowy obły kształt audi odróżnia się dość mocno od granatowych passatów i ciemnozielonych renaultów. Nie wiem, ile musiał zapłacić za takie auto. Nie znam się na samochodach, ale od Adama wiem, że to nowy model prosto z salonu. Czerwień karoserii lśni w promieniach słońca i rozświetla parking, kiedy jest szaro i mroczno. Wywołuje u mnie dreszcze nie dlatego, że kocham szybkie wozy, tylko dlatego, że nie umiem wyrzucić z głowy zapachu skóry i gładkości siedzeń, kiedy wprawialiśmy je w namiętne trzeszczenie.

Gdy widzę to nieszczęsne czerwone audi, przed oczami staje mi Adam. Nie Adam w bokserkach, ściągający mi majtki. Nie Adam pieszczący mnie dłonią. Ani nawet nie Adam wsuwający się we mnie z idealnym wyczuciem. Za to Adam z przekrzywioną głową, lekko zmrużonymi oczami i nieco niesymetrycznym uśmiechem rozciągającym się na twarzy, z jakim witał mnie ilekroć otwierałam drzwi od jego sklepu, co powodowało motylki w brzuchu, bo nigdy nie wiedziałam, czy dziś będziemy rozmawiać o pogodzie, czy pozbawiać się garderoby na zapleczu...

\*

Gorące dłonie, gorący oddech, gorąco.

Budzę się rozpalona i złana potem. Piżama lepi się do mokrych pleców. Czoło mam zroszone. Siadam i czuję, że kręci mi się w głowie. Błądzą dłońmi po podłodze, jak ślepiec. Powinna tam stać mała butelka z wodą. Nic nie znajduję i przełykam ślinę, czując drapanie w przełyku. Wstaję ostrożnie, widząc kolorowe mroczki przed oczami. Rozświetlają mi ciemność jak fajerwerki. Oddycham głęboko i balansuję rękami dla równowagi. Idę bosą do kuchni. Zimne płytki orzeźwiają mnie i studzą rozgrzane ciało. Czuję przenikliwie zimno, kiedy owiewa mnie chłód mieszkania. Obejmuję się rękoma, próbując powstrzymać drżenie zziębniętego ciała. Opieram się o ścianę. Sięgam po wodę i piję ją łąpczywie.

Ten sen. Taki realny i nierealny zarazem. Zawsze jedno i to samo. Ciemność. Cisza. Ciepło. Szept, dotyk, tempo. Zawsze te same obrazy, te same wrażenia. Czuję, że jestem mokra od potu. Dotykam dłonią czoła. Wydaje mi się, że mam gorączkę. Zaczynam trząść się z zimna. Biorę butelkę z wodą i kładę się z powrotem do łóżka. Nakrywam się po uszy kołdrą. Cała dygoczę. I dygoczę tak do szóstej piętnaście, po czym zasypiam na moment tylko po to, żeby zbudził mnie budzik, dzwoniący donośnie wpół do siódmej.

\*

– I jeszcze pietruszkę. I dwa opakowania sody oczyszczonej! – krzyczy za mną babcia, kiedy cmokając na Axela. Wychodzę na zakupy do osiedlowego sklepiku prowadzonego przez panią Kicię.

Nie mam zielonego pojęcia, jak ma naprawdę na imię i skąd to dziwne, ciut dzieciinniele zdrobnienie, ale – o dziwo – pasuje jej jak ulał. Jest żylasta i ma wąską, pomarszczoną twarz. Oczy są czujne i mocno zielone, ruchy szybkie, ciało zręczne. Ma już pewnie koło sześćdziesiątki, a wciąż zachowuje sprawność i filigranową figurę. Przywiązuję psa do słupka i wchodzę do środka.

Jest duszno przez kilku starszych panów, którym akurat dziś zachciało się urządzić sobie debatę o wyższości masła nad margaryną i teraz stoją przy lodówce, kłócąc się i zawzięcie machając rękoma.

Wrzucam do koszyka podstawowe produkty, z których babcia pichci niezbyt wyszukane, acz smaczne potrawy i po chwili kieruję się w stronę kasy.

Pani Kicia zagaduje mnie o pracę, potem gawędzimy chwilę o pogodzie i o wpływie wilgotności powietrza na jakość zimowych spacerów.

– Krew ci się sączy z nosa, lalu – mówi ni z tego, ni z owego, kiedy kładę na ladę dwudziestozłotowy banknot.

Odruchowo przytykam dłoń do nosa. Zostawiam na niej czerwoną smugę.

– Och, głupstwo.

Chowam resztę i wychodzę.

Nie mogę znaleźć w torebce chusteczki, więc przecieram nos wierzchem dłoni. Axel macha do mnie ogonem, wydychając swoim roześmianym pyskiem kłęby szarej chmury. Próbuje go odplątać, ale ręce grabieją mi z zimna. W końcu udaje mi się rozsupłać smycz, ale spada ona na zmarzniętą ziemię. Pochyliam się po nią i prawie słyszę charakterystyczne „kap”, kiedy rdzawa kropla spada na oszronioną trawę. Zaraz za nią spada druga i trzecia, każda coraz większa i szybsza niż pozostałe. Tamuję krwotok rękawem swetra wystającego spod brązowego bezrękawnika.

– Przepraszam, ma pani może chusteczkę? – mówię nosowym głosem do mamuśki z parą identycznie ubranych bliźniąt.

Kobieta bez słowa wyciąga w moją stronę pełną paczkę. Uśmiecham się z wdzięcznością i dziękuję jej, przykładając szybko chusteczkę do pulsującego nosa. Odchodzę kawałek dalej i siadam na ławce. Próbuje oddychać głęboko, mimo lekkich zawrotów głowy i dziwnego osłabienia. Krew nie ustaje i wciąż płynie żwawo, wywołując u mnie lekką panikę. Oddycham spokojnie, przykładam do nosa kolejną i kolejną chusteczkę. Chwilę później krwotok z nosa słabnie, ale spędzam na ławce jeszcze parę minut, żeby dojść do siebie. Potem wstaję i wracam do babci. Idę noga za nogą, czując lekkie zawroty głowy. Błogosławię w duchu

fakt, że mieszka na parterze i że nie ma rentgena w oczach, kiedy zakładam na poplamiony sweterek ciepłą bluzę.

\*

Na opakowaniu jogurtu bananowego dla dzieci. Na zeszycie, w którym Piotruś rysował koślawe szlaczki. Na sweterku Ingi. Przy plecaku jakiegoś chłopca idącego ze szkoły. Na śliniaczku, który wisi na witrynie sklepu dziecięcego. Nawet w książce, którą czytam, dzieci bohaterki oglądają o nim szwedzką bajkę. Czy to ja wszędzie widzę słonie, czy one rzeczywiście są wszędzie? Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nagle stado słoni przeparadowało wzdłuż mojej ulicy, trąbiąc i wachlując wielkimi uszami...

Zawsze ich tyle było wokół mnie czy dopiero teraz je dostrzegam? Skojarzenia nie pozwalają spokojnie przejść przez miasto. W książkach, gazetach, programach przyrodniczych, reklamach, ulotkach firm budowlanych, wizytówkach ubezpieczeń zdrowotnych... Słoń za słoniem. Nie. Wcale ich sobie nie uroiłam. One naprawdę tam są. A mnie przechodzi dreszcz za każdym razem, kiedy je widzę. Robi mi się słabo, kiedy tylko widzę słoniowe oblicze. I choć zwykle słoń z podniesioną trąbą symbolizował dla mnie szczęście, teraz jego widok sprawia mi ból.

\*

Okej. Powiedzmy sobie szczerze. Niemożliwą rzeczą jest, że Adam zadziałał na mnie samymi feromonami. Nie poleciałam na jego wygląd, ciemne oczka ani sportowy samochód. Spodobał mi się on. On sam. Gdybym musiała konkretnie powiedzieć, co sprawiło, że Adam mi się spodobał, miałabym niemały problem. Na dobrą sprawę spodobał mi się cały. Spodobał mi się nie jego wygląd, ubiór ani styl. Spodobał mi się w tak zwyczajny ludzki sposób. Spodobało mi się to, że był dla mnie miły i grzeczny i że nie powiedział słowa, kiedy wpadłam do niego z bandą przemoczonych dzieci, wnosząc do jego sklepu brudną wodę i błoto. Spodobało mi się jego podejście do klienta, które niejednokrotnie miałam okazję obserwować, sącząc u niego herbatkę. Jego spokojne i racjonalne tłumaczenie starszej pani, dlaczego nie powinna kupować wnuczce butów bez przymierzenia. Jego pokazywanie nastolatce ubranej w skromne wytarte dresy i wypłowiały T-shirt całej gamy drogich markowych adidasów i przynoszenie jej z zaplecza wszystkich butów o numerze trzydzieści sześć (było ich chyba z dwadzieścia), chociaż wiedział, że i tak nic nie kupi, bo nie ma za co. Jego podejście do dzieci. Jego szacunek do bezdomnego, kiedy ten wszedł do środka brudny, obdarty i nie do końca pachnący fiołkami, prosząc o złotówkę na bułkę. Dostał oczywiście dwa złote i termos z kawą, na co ochnoczo przystał i stał się stałym klientem sklepu Adama, i przychodził co najmniej raz w tygodniu, by wyczyścić portfel Adama



z drobnych. Jego zachowanie wobec chłopca z autyzmem, który na widok folii bąbelkowej w kartonie po piłce zaczął wydawać z siebie nieartykułowane odgłosy i bić się w głowę. Adam poszedł na zaplecze, po czym wręczył dziecku stos folii, puszczając mu oczko i strzelając jednym rzędem bąbelków ku radości chłopca. To, jak kupił dwa obrazki przedstawiające tłuściutkie aniołki płasające po łące za pięćdziesiąt złotych, bo przyniosła je kobieta bez rąk malująca ustami. To, jak wyniósł bezdomnemu psu kanapkę i zaczął nosić do pracy dwie, żeby regularnie się z nim dzielić. To, że kiedy czymś się pozytywnie podkręcił, zaczynał mówić szybko i żywo machać rękoma. To, jak często się śmiał i prawie cały czas uśmiechał i że nigdy nie widziałam go złego ani bez humoru. To, że kiedy się zapominał i zdejmował maskę zblazowanego pozera i cwaniaka, szpanującego markowymi okularami i drogimi butami, stawał się dobry, wrażliwy i ludzki. Stawał się sobą, bez całej tej otoczki, bez udawania, grania kogoś bardziej przebojowego, wyluzowanego i lepszego od innych.

Właśnie to zobaczyłam w nim, kiedy tak żałośnie starał się wypaść na bardziej fajnego i bardziej atrakcyjnego. Ja widziałam w nim to, czego pewnie nawet sam o sobie nie wiedział. Że był zwyczajnym, dobrym człowiekiem.

\*

Kiedy dzieciaki mają lekcję angielskiego, siedzę w pokoju nauczycielskim i uzupełniam dziennik. Podnoszę głowę, słysząc pukanie do drzwi. Jakaś pani pyta o salę Maluchów. Tłumaczę jej, jak do niej dojść. Kobieta kiwa głową, jakby pokazywała mi, że dociera do niej to, co mówię. Głowę z odrostami. Odkładam na bok długopis. Nawet nie wiem, jak ma na imię barmanka. Kobieta, która mnie wysłuchała i która pomogła mi zrozumieć wiele rzeczy. A która sama wyglądała, jakby trawiły ją zmartwienia. Czuję palące wyrzuty sumienia, że nie spytałam nawet o jej imię. Wstawiając ostatnią kropkę w dzienniku, wiem, że moja znajomość z barmanką zasługuje na przecinek i dalszy ciąg.

\*

Wchodzę do baru i bacznie rozglądam się wkoło. Widzę wytatuowanego chudego chłopaka w białym podkoszulku z masą kolczyków w twarzy. Widzę grubawego facecika, który trzyma w rękach jakieś papiery. Widzę czerwonego na twarzy pijaczka, który siedzi na krześle i wodzi po barze lekko nieprzytomnym spojrzaniem. Niestety nigdzie nie widzę barmanki o smutnych oczach.

– Przepraszam – podchodzę do baru i zaczepiam zakolczykowanego chłopaczka.

– Taa? – burczy ponuro.

– Ja... Szukam... pewnej kobiety – dukam, lekko onieśmielona.

– Ja też szukam kobiety – rechocze.

Grubawy facet również. Czuję się jeszcze bardziej głupkowato. Równocześnie we krwi zaczynają mi buzować emocje. Jakim prawem robicie sobie ze mnie jaja?

- Pracuje tu jako barmanka – mówię z naciskiem.
- Aaa... Pewnie chodzi ci o Renatę.
- Możliwe. Kiedy będzie w pracy? – pytam ponagląco.
- W ogóle – chudzielec wrusza wytatuowanymi ramionami.
- Jak to?
- Zwyczajnie. Została zwolniona – stwierdza nonszalancko, opierając chude ręce na ladzie.
- Czemu? – dociekam.
- Nie mogła zorganizować opieki dla dziecka, ciągle się spóźniała, brała wolne... W końcu szef się wkurzył – stwierdza lekkim głosem.
- To ona jest matką?
- Tak. Samotną – chudzielec przestaje nagle robić wrażenie bufonowatego. W jego oczach widzę coś na kształt troski i szacunku.
- O! – udaje mi się wydusić z siebie bardzo błyskotliwą odpowiedź.
- Więc sama utrzymuje i wychowuje dziecko. A mimo to znalazła czas i chęci na wysłuchanie moich głupich problemów...
- Jak małe ma dziecko? – zadaję ostatnie pytanie, czując, że zasycha mi w gardle.
- Dziewięcioletnią dziewczynkę. Emilkę. Ma zespół Downa – odpowiada, a mi udaje się wydukać tylko jedno.
- Podwójne martini, proszę...

\*

Znów siedzę w barze. Znów piję. Brawo, pani Mileno! Tym razem jednak nic nie mówię. Tym razem słucham. Po godzinie wychodzę z baru. Wypity alkohol szumi mi w głowie. W ręce ściskam świstek papieru z ręcznie napisanym adresem. W głowie huczą mi zdania. Miała męża skurwysyna, więc kopnęła go w końcu w dupę. Nigdy nie był dobrym mężem. Ojcem też nie. Nie potrafił zaakceptować choroby Emilki. A mała jest takim fajnym dzieckiem. Straszna z niej przylepa. Do każdego się uśmiechnie, każdego zagadnie. Często tu przychodziła. Siedziała na zapleczu i kolorowała. Renata zawsze miała problem, żeby znaleźć dla niej opiekę. Nie wiem, z czego teraz będzie żyć. Tak, ma alimenty, ale nie utrzyma za to siebie, mieszkania i dziecka. Tak, jest silna. Twarda z niej babka...

Patrzę na karteczkę i sprawdzam, na jakiej ulicy się znajduję. Pytam o drogę jakiegoś mężczyznę, który prowadzi za rączkę dziewczynkę z warkoczykami. Mała podskakuje radośnie i papla coś pod zadartym nosem. Jej tatuś uśmiecha się do mnie i tłumaczy, jak dojść do celu. Mam nadzieję, że nie wyczuwa ode mnie

delikatnej nutki alkoholu.

Boże. Jestem porządną panią nauczycielką. Mam dziecięcy autorytet i rodzicielski szacunek. Mam dobrą opinię i nieskałaną przeszłość. No, poza jednym incydentem ze sprzedawcą ze sklepu sportowego... Ale o tym nikt nie musi wiedzieć. Mężczyzna chichocze, widząc moją zamyśloną minę. Mam nadzieję, że nie wziął mnie za blondynkę z problemami z orientacją w terenie... Dziękuję i odchodzę pośpiesznie.

„Ulica Nadziei” – czytam i przez głowę przechodzi mi myśl, jak trafiona jest ta nazwa...

\*

Nie sądziłam, że ktoś może zrobić tak zdziwioną minę. Źrenice barmanki rozszerzają się na mój widok. Usta otwierają się i zamykają bezgłośnie.

– Dzień dobry – mówię śpiewnym głosem.

Milczy, wpatrując się we mnie jak w zjawisko. Choć w sumie daleko mi do zjawiskowej dziewczyny. Mam na sobie sportową puchową kurtkę, mam długie, rozpuszczone włosy i jestem zmarznięta do tego stopnia, że powoli zamarzają mi smarki w nosie. Ona ma granatowe dresy i purpurowy sweter. Mniej więcej w kolorze mojego nosa w drugim stadium odmrożenia.

– Witaj... – Obdarza mnie długim, przeciągłym spojrzeniem smutnych oczu.

Dopiero teraz zauważam, że są zielone z brązowymi plamkami.

– Kto to? Kto do nas przyszedł?

Słyszę dziewczęcy głosik i po chwili krągła dziewczynka wtyka główkę między futrynę a matczyne biodro w granatowych dresach.

Mała ma pucułowatą twarzyczkę, włosy w kolorze pszenicy i dołki w policzkach. Ma też krótką szyję i skośne oczka. Jej choroby nie da się pomylić z niczym innym. Nie da się również pomylić jej otwartej i ciepłej postawy. Na jej buzi kwitnie śliczny, szczery uśmiech. W oczkach igrają tańczące iskierki. A w buzi zastyga pytanie:

– Kim jest ta pani, mamusiu?

No właśnie. Kim jest ta pani?

– To... – zaczyna, patrząc na mnie spesjonym spojrzeniem przygnębionych oczu.

– Milena – mówię szybko, wyciągając rękę do Emilki.

– Będiesz moją nową ciocią? – pyta rezolutnie dziecko i uśmiecha się szeroko, sprawiając, że jej skośne oczka robią się jeszcze mniejsze. Nie wiem, co odpowiedzieć, więc gorączkowo szukam w głowie jakiegoś pomysłu.

– Może wejdiesz? – przerywa moje rozmyślenia barmanka.

– Bardzo chętnie – udaje mi się wykrztusić.

Wchodzę do mieszkanek. Jest małe, ale bardzo przytulne. Emilka tańczy

wokół mnie, z uwagą przyglądając się mojej kurtce, butom, torebce.

– Ładna ta pani, mamusi. Elegancka – mówi, podkreślając ostatnie słowo.

Barmanka uśmiecha się delikatnie. Jej twarz od razu nabiera sympatyczniejszego wyglądu, kiedy usta wyginają się w uśmiechu. Oczy wciąż ma smutne, ale patrząc na dziecko, ma w nich prawie radosne błyski.

Zaprasza mnie do kuchni. Siadam na prostym taborecie bez oparcia. Emilka stoi oparta o futrynę i mierzy mnie badawczym spojrzeniem. Ja równie badawczym spojrzeniem omiatam małą kuchenkę. Na lodówce piętrzą się kolorowe obrazki poprzyczepiane magnesowymi literkami. Na stole stoi flakon z żółtymi tulipanami. Na ladzie leży miska z owocami. Barmanka wlewa wodę do czerwonego czajnika w białe grochy i stawia go na gaz.

Sięgam do torebki i wyciągam paczkę ciastek w czekoladzie i kolorowanek dla małej. Robi zdziwioną minę, po czym uśmiecha się w podziękowaniu i przez chwilę z zachwytem przegląda książeczkę.

– Popatrz mam! Są i naklejki! – mówi zadowolona, ściskając kolorowanek i równocześnie szarpiąc matkę za sweter.

– Podziękuj ładnie – napomina ją barmanka.

Mała rzuca się na mnie z impetem, obejmując mnie pulchnymi ramionkami.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję! – woła mi do ucha, a ja śmieję się głośno.

Odwzajemniam uścisk, przytulając ją do siebie i wdychając zapach jej jabłkowego szamponu do włosów. Wreszcie udaje jej się ode mnie odkleić. Biegnie do swojego pokoju w podskokach. Barmanka patrzy na mnie skrępowanym spojrzeniem smutnych oczu. Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Nie wiem, po co tu przyszłam. Nie wiem, czy nie jest zła, że nachodzę ją w mieszkaniu.

– Kawa czy herbata? – przerywa uporczywe milczenie.

– Poproszę herbatę – staram się mówić naturalnie, choć czuję, że mam dziwnie zastały głos, jakbym od tygodnia nie powiedziała ani słowa. Co przy pracy z dziećmi zakrawałoby na cud.

– Zwykłą? – pyta, sięgając do szafki.

– Tak.

– Słodzisz?

– Nie, dziękuję. Zwykła herbata. Bez cukru. Bez miodu. Bez mleka.

– Za to z grubym plasterkiem cytryny? – pyta z ironicznym uśmiechem.

Patrzę na nią zdziwiona.

– Przypomniało mi się, że taką lubisz najbardziej – mówi poufałym tonem, jakbyśmy przyjaźniły się od lat i codziennie piły wspólnie filiżankę popołudniowej herbatki.

Znów zapada między nami nieznośna cisza. Przerywa ją głośny gwizd czajnika. Barmanka zalewa wodę i stawia przede mną filiżankę w czerwone maki. Ściąga z patery dojrzałą cytrynę, odkrawa czubek i kroi gruby plaster, który

z cichym pluskiem ląduje w mojej herbacie.

Siada na taborecie po przeciwnej stronie stołu. Patrzy mi w oczy. Ja w jej oczach widzę wszystko. Smutek, trudne przeżycia, biedę, troskę, miłość do dziecka, hart ducha, spokój, opanowanie, siłę i strach. Mam ochotę wziąć ją za rękę i zapewnić ją, że wszystko będzie dobrze. Mam ochotę powiedzieć jej coś miłego. Mam ochotę zrobić jakiś ludzki gest. Niestety, nie potrafię. Nie umiem. Nie wiem, jak to zrobić. Nie stać mnie na taki zwyczajny odruch. Zamiast tego patrzę w jej oczy. W jej ładne, choć smutne oczy, które zdają się przeszywać mnie na wylot. Ona też patrzy w moje oczy i wydaje mi się, że doskonale wie, o czym myślę.

– Renata – mówi wreszcie, wyciągając do mnie rękę.

Ściskam jej dłoń.

– Milena... – oddycham z ulgą.

– Rozumiem, że nie przyszłaś tu, żebyś zrobiła ci drinka ze sprite'em? – pyta, unosząc do góry brwi.

– Nie – śmieję się ciut histerycznie.

– Więc po co?

– Chciałam... Bo ja... Właściwie to... Sama nie wiem, czemu przyszłam – wyduszam wreszcie czerwona na twarzy.

Śmieje się ochryłym śmiechem.

– Chyba... Chciałam pogadać. Lepiej się poznać. Ostatnio dużo mi pomogłaś. Chciałam się odwdzińczyć – mówię w końcu.

– Wzruszające – mruczy pod nosem.

Zbija mnie tym z pantafelku.

– I co, masz jakieś propozycje na odwdzięczenie się? Może znajdziesz mi pracę? A może zorganizujesz opiekę dla dziecka? – mówi z sarkazmem, ale słyszę w jej głosie jakąś ledwie wyczuwalną nutkę smutku.

Zasycha mi w gardle. Myśli błędzą po głowie, zasłaniając mi myślenie jak gęste deszczowe chmury. Patrzy na mnie jeszcze bardziej smutnym spojrzeniem.

– Myślę, że jestem w stanie załatwić i jedno, i drugie – stwierdzam, opierając dłonie na stole i patrząc, jak na twarzy Renaty malują się kolejno szok, zdziwienie, niedowierzenie, a wreszcie uśmiech.

\*

Trzy tygodnie później zastanawiam się, jak to możliwe, że kiedyś moją głowę zajmowały głównie głupoty. Że tak często myślałam o Adamie. Że tak długo czekałam na jego ruch. Że nawet płakałam z jego powodu. Boże. Naprawdę?! Płakałam z powodu złamanego serca? Wstyd mi za siebie. Oby nikt się o tym nigdy nie dowiedział. Teraz mam głowę zaprzątniętą ważniejszymi sprawami.

– Ciociu! Ciociu!

Słyszę donośny krzyk, rozbiegający się po korytarzu. Emilka biegnie do

mnie w dzinsowej sukience i macha mi jakąś laurką. Chyba już setną do kolekcji. Wpada mi w ramiona, więc kręcę się, robiąc jej zaimprovizowaną karuzelę.

– Chodź, słonko. Idziemy do babci – mówię i prowadzę dziewczynkę do szatni.

Ubieram ją, żegnam się z woźną i wychodzimy na mroźne podwórko. Emilka trątkocze radośnie całą drogę. Słucham jej dziecięcej paplaniny i serce mi rośnie.

Trzy tygodnie temu ją poznałam. Od razu polubiłam. Szybko pokochałam. A dziś nie wyobrażam sobie bez niej życia. Załatwiłam jej mamie etat sprzątaczką w szkole specjalnej. A Emilce miejsce w jednej z klas, której nauczycielką jest moja znajoma ze studiów. Potem mianowałam babcię opiekunką. A siebie – dobrą ciotką, oczywiście. Emilka jest naszym oczkiem w głowie. Naszym szczęściem. Naszym promyczkiem. Igor ją uwielbia. Babcia ją uwielbia. Uwielbia ją nawet Axel. Wszyscy kochają to dziecko o krótkiej szyjce, pełnej twarzyczce i rezerwowym skośnookim spojrzeniu.

Wchodzimy do mieszkania babci i Emilka z entuzjazmem biegnie do kuchni. Wskakuje babci na kolana, obcałowuje jej pomarszczoną twarz i zasypuje pytaniami: Co dziś robiłaś, babuniu kochana? Co będzie na obiad? Czy Axel był dzisiaj na spacerku?

Babcia promienieje szczęściem, odkąd ma w Emilce małą pociechę. Ma komu gotować ryż z jabłkami. Ma kogo uczyć szydełkowania. Ma kim się chwalić przed sąsiadkami. Ma dla kogo piec proziaki na piecu. Ma dla kogo żyć.

Biorę od babci listę zakupów i chyłkiem wycofuję się do przedpokoju. Jestem zadowolona z życia. Jestem spełniona. Jestem szczęśliwa.

Ostatni kadr, jaki zostaje mi w pamięci, to widok Emilki siedzącej na stole i zajadającej maślane ciastka posypane cukrem i babci, która wygładza jej sukienkę i patrzy na nią z miłością w oczach.

Sekundę później tracę świadomość i padam na podłogę jak kłoda.

\*

– Pani Mileno! Pani Mileno!

Natrętny głos wbija się pod kopułę mojej błogiej nieświadomości. Dobiega jakby z oddali. Próbuję otworzyć oczy. Obraz jest zamglony, oślepia mnie blask jarzeniówek.

– Pani Mileno, jak się pani czuje?

„Ciulowo” – mam ochotę odpowiedzieć.

Ale nie mówię tego. Zresztą w ogóle nic nie mówię. Gardło mam obolałe i wyschnięte na wiór.

– Wody – udaje mi się wychrypieć.

W moich dłoniach ląduje styropianowy kubek z mokrą zawartością.

Przytrzymują go jakieś dłonie. Całe szczęście. Jest za ciężki, żebym mogła go utrzymać samodzielnie.

– Czy coś panią boli? Ma pani zawroty głowy? Mroczy przed oczami? – znów ta lawina pytań.

Tak. Boli. Wszystko mnie boli. Tak. Mam zawroty w głowie. Nawet duże. Tak. Fruwają mi jakieś dziwne obiekty przed oczami i chyba mogę zaryzykować stwierdzenie, że to mroczy...

Mamroczę w duchu, ale z ust nie wydobywa się żadne słowo.

– Pani Mileno? – Słyszę ponaglący ton.

– Mmm... Ja... – zaczynam i czuję, że robi mi się słabo.

Łóżko zaczyna mnie wciągać. Zasysają mnie białe poduszki i wyczochrany przez miliony pacjentów materac. Ostatnia rzecz, jaką udaje mi się zapamiętać tym razem, to dwa niebieskie punkty. Przypominają dwa wielkie szafiry, połyskujące na ciemnoniebieski kolor i za cholerę nie wiem, skąd w szpitalnej sali wzięły się takie błyskotki.

\*

Znowu szumy. Znowu głosy. Znowu ostre światło. Tym razem jednak szybciej udaje mi się otworzyć oczy. Pierwsze, co widzę, to przerażona twarz Igora.

– Nic mi nie jest. Naprawdę – mówię i słyszę, jak słabo brzmi to zapewnienie. Odchrząkuję i zaczynam jeszcze raz: – Nic mi...

Przerywa mi, podchodząc do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu. Nie odzywa się i przez chwilę zastanawiam się, czy widzi nade mną jakiś znak mówiący mu o jakiejś śmiertelnej chorobie.

– Zaraz przyjdzie lekarz – informuje groźnym tonem.

– Dobrze – zgadzam się, potulnie kiwając głową.

Igor otwiera usta, ale w tej samej chwili otwierają się drzwi.

– Witam. Pacjentka świadoma i przytomna? – Słyszę męski donośny głos.

– Tak. Już mi lepiej – zapewniam i wychylam się przez Igora, żeby zobaczyć doktora.

– Mógłby zostawić nas pan samych?

Słyszę pytanie skierowane w stronę mojego brata.

– Ja... Ja jestem ratownikiem medycznym – odpowiada hardym głosem Igor.

– I nadopiekuńczym bratem pełnoletniej siostry – dodaje ironicznie lekarz.

– Mimo to...

– Mimo to bardzo proszę o opuszczenie sali. Chcę zbadać pacjentkę.

– W porządku – kapituluje Igor.

Rzuca mi ostatnie spojrzenie, które jest zarówno pełne wyrzutu, jak i braterskiej miłości i wychodzi, zamykając drzwi z cichym kliknięciem.

– Witam. Doktor Tomasz Kocur. Mogę zadać pani kilka pytań?  
– Taaak, oczywiście – mamroczę słabo, próbując się unieść na poduszce.  
– W porządku. Więc... kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę? – pyta mnie lekarz, a w mojej głowie gwałtownie uruchomia się alarm, odzywa się chór dźwięcznych głosików:

Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę?

Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę?

Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę?

Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę?

Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę?

Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę?

Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę?

I paradoksalnie zamiast skupić się na liczeniu, kiedy ostatni raz miałam miesiączkę, patrzę głęboko w hipnotyzujące oczy lekarza. Nie są niebieskie. Są brązowe jak jesienne kasztany.

\*

Jestem senna, zmęczona i słaba. Nie sądziłam, że dzisiejszy dzień tak się zakończy. Czuję się mała, głupia i nieświadoma. Czuję się pusta. Czuję się osaczona. Jak to? Nie wyczuła pani, że coś jest nie tak? Nie czuła się pani źle? Nie pomyślała pani, że to może być to? Nie zrobiła pani badań? Nie poszła pani do lekarza? Chciała pani ryzykować zdrowie? Nie bała się pani, że to może być coś poważnego?

Pytania spadają na mnie jak grad małych atakujących mnie znieczuła moskitów. I kłają, kłają, kłają... Nie, nie wyczułam, że coś jest nie tak. Nie, nie czułam się znowu aż tak źle. Nie, nie miałam żadnych przeblysków na temat diagnozy. Nie, nie robiłam badań. Nie, nie poszłam do lekarza. Nie, nie chciałam ryzykować zdrowia. Nie! Nie sądziłam, że to coś poważnego!

Oddycham głęboko i skupiam się na swoich palcach u rąk. Są smukłe, długie, chłodne. Gładzę się nimi po przedramionach. I taką zamysłoną i zmuloną zastaje mnie babcia.

– Milenko! Dziecko złote! – Chwyta mnie w swoje objęcia, przydusza obfitym biustem, łaskocze w nos włóczkowym szalikiem. I zalewa łzami.

– Babciu, wszystko będzie dobrze – próbuję ją pocieszyć.

– Dziecko najdroższe... – łamie jej się głos i wtula głowę w moje włosy.

Kołysze mnie jak wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką. Teraz jestem dużą dziewczynką. Ale czuję się tak samo bezbronne.

\*

Ciemność. Cisza. Ciepło. Siadam gwałtownie. Serce mi wali. W gardle



sucho. W kolanach miękko. Fuck! A już myślałam, że mi przechodzi...

Szpitalne łóżko jest małe i niewygodne. Zupełnie nie przypomina ciepłego i miękkiego łóżka w domu. Ogólnie pobyt w szpitalu nie należy do najprzyjemniejszych. Jestem tu dopiero trzeci dzień, a już mam dość. Tęsknię za swoim mieszkaniem. Za swoją pościelą. Za Gingerem. Za pracą. Jedzenie jest ohydne. Mam ochotę wysmarować nim ściany o przykrym kolorze bakteryjnych smarków.

Pielęgniarki są niemiłe i antypatyczne. Cały czas fuczą. Lekarze są mili – nie powiem. Tylko trochę są na mnie źli. I dziwią się, że byłam tak nieodpowiedzialna. Przez to zaczynam się zadręczać. Czuję się lekkomyślnie i niemądrze. Ale w sumie już wcześniej tak się czułam. Kto mądry i rozważny zakochuje się w kimś, kto ma nas w dupie? Udaje mi się uspokoić oddech, więc ponownie kładę głowę na poduszkę. O dziwo, całkiem szybko zasypiam.

\*

Cały stolik mam zawalony laurkami. Obok stoi miska z owocami, sok w kartonie, herbatniki w czekoladzie. Na które nie mogę zresztą patrzeć. Mdl mi okrutnie i nie mam apetytu. Wszystko to przez leki. Silne, sterydowe leki na niewydolną nerkę. Taaa... Mogłam się tego domyślić.

Oslabienie, mdłości, bóle pleców, krwotok z nosa, brak miesiączki. Niestety, nie myślałam o tym zbyt wiele. Nie przejmowałam się zdrowiem. Nawet nie zauważyłam, że nie mam okresu. I dobrze. Bałabym się, że jestem w ciąży. Niechcianej i nieplanowanej ciąży z facetem, dla którego ja też byłam nieplanowana i niechciana... Nie mogłabym złapać kogokolwiek na dziecko. Ta metoda jest równie stara, co i głupia. A ja nie jestem aż tak głupia.

Do sali wchodzi pielęgniarka. Ma zawzięty wyraz twarzy, mnóstwo tapety i ciemne krechy pod oczami. Podaje mi kubeczek wypełniony kolorowymi pastylkami i drugi – z wodą do popicia. Łykam kolejno wszystkie pigułki, plując sobie w brodę za własną nieostrożność. Niepilnowanie własnego zdrowia. Niepilnowanie własnego nosa. Niepilnowanie własnych uczuć.

Wkładam do ust ostatnią pigułkę. Jest największa i najbardziej gorzka. Jej smak szybko wypełnia moje usta. Drażni kubeczki smakowe. Łaskocze podniebienie. Przewracam ją językiem wewnątrz jamy ustnej. Nie potrafię zmusić się do jej przełknięcia. Mam ochotę ją wypluć. Pozbyć się jej z ust. Tak samo chętnie jak pozbyłabym się myśli, które czasem mnie nachodzą i które bezskutecznie staram się wyprzeć z głowy. Tak samo chętnie jak pozbyłabym się snów, które podświadomie dają mi do zrozumienia, że jeszcze nie do końca zapomniałam o Adamie. Tak samo chętnie jak pozbyłabym się infekcji nerki, przez którą muszę leżeć w szpitalu.

Potrząsam głową. Wpatruję się hardo w pusty pojemnik po tabletkach. Biorę

łyk wody i powoli połykam pigułkę. Gorzki smak oblepia moje gardło i wywołuje odruch wymiotny. Wreszcie udaje mi się przepchnąć pigułkę przez gardło. Czuję, jak wolno prześlizguje się przez przętyk i rani moje podniebienie. Przez nanosekundę cieszę się, że się jej pozbyłam. Nie mam jej już w ustach, nie muszę zastanawiać się, jak się jej pozbyć. Mimo to nie mogę udać, że nie czuję, iż pozostawiła po sobie nieprzyjemnie piekący ból i przykrą gorycz.

\*

– Ciekawa lektura?

Dociera do mnie głęboki, melodyjny głos. Podnoszę wzrok znad książki. Niebieskie oczy! Uśmiecham się.

– Dzień dobry. Już myślałam, że jest pan przewidzeniem... – wzdycham z ulgą, poprawiając się na poduszce.

Przytrzymuje mi książkę, która zaczyna zsuwać się z moich kolan.

– Dlaczego? – pyta, marszcząc zabawnie brwi.

– Dwa niebieskie punkty były ostatnią rzeczą, którą zapamiętałam, zanim odpłynęłam – mówię, wzruszając szczupłymi ramionami obleczonymi w obszerną szpitalną koszulę.

– Hmm... Mam rozumieć, że te dwa punkty to moje oczy?

– Dokładnie tak. Bardzo oryginalny kolor. I bardzo ładny – stwierdzam całkiem szczerze.

– Dziękuję. Mniej więcej taki oryginalny jak ten komplement, którym mnie pani obdarzyła – mruga do mnie poufale niebieskim okiem.

Parskam śmiechem.

– Podrywanie lekarzy jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę – zapewniam go, unosząc ręce w geście poddania.

– Jestem pielęgniarzem. Nie lekarzem – oponuje.

– Tym bardziej...

– Aaa... Czyli gdybym był po studiach medycznych, miałbym większe szanse na podryw?

– Jasne. Bo jestem właśnie tym typem. Polującym na lekarzy – wywracam oczami.

– Dokładnie to o pani pomyślałem, kiedy zobaczyłem panią po raz pierwszy – uśmiecha się i dostrzegam dołek w jego lewym policzku.

– To pewnie dlatego, że zemdlałam na pański widok... – mruczę ironicznie.

Uśmiecha się szeroko i śmieje się głośno. Odpowiadam mu uśmiechem. Powściągliwie powstrzymuję się od śmiechu.

– A teraz pozwoli pani, że zmierzę pani ciśnienie. Żeby znów pani czasem nie zasłabła z wrażenia. – Podchodzi do mnie i zakłada na moją wątłą rękę ciśnieniomierz.

Uśmiecham się promiennie. I po chwili syczę zjadliwie, kiedy pasek zaciska się mocno na moim ramieniu.

\*

Nie mogę zasnąć. Boli mnie głowa, po której tłucze się milion myśli. Jedna głupsza od drugiej, ale wcale nie przeszkadza im to dalej pchać się w głąb mojej czaszki. Zawsze, gdy nie mogę spać, przypomina mi się mnóstwo śmiesznych albo głupich wspomnień. Teraz moja obolała głowa przywołuje wspomnienie, jak klóciłam się z mamą, żeby kupiła mi tenisówki w kolorze wściekłego różu. Wyraźnie widzę w głowie mars na maminej twarzy, jej uniesione w zdziwieniu brwi i lekko uchylone usta. Widzę swoją zaciętą postawę, zaciśnięte usta i równie mocno zaciśnięte pięści. Pamiętam, że na czole pulsowała mi żyłka, a gardło piekło mnie od powstrzymywanych łez złości. Musiałam mieć te tenisówki i już. Nigdy nawet nie lubiłam takiego koloru, ale pechowo był on ulubioną barwą mojej koleżanki z klasy Ilony, której chciałam się przypodobać.

Koleżanki, która mnie szykanowała, wyśmiewała i raniła ostrymi jak sztylet słowami i bolesnymi jak ciernie słowami krytyki. Po urządzeniu sceny hysterii, wielogodzinnym płaczu i wreszcie zagrożeniu, że ucieknę z domu, mama wzięła mnie do sklepu obuwniczego. Ściskając triumfalnie ohydnie różowe tenisówki z białymi sznurówkami, połykałam łzy żalu i wycierałam smarki w biało-granatową bawełnianą bluzeczkę w cienkie paseczki. Upajałam się szczęściem, radością, satysfakcją i poczuciem władzy. Wiedziałam, że od teraz wszystko się zmieni. Że będę akceptowana. Ba – lubiana. Że wstąpię do klubu popularnych dziewcząt, któremu przewodziła Ilonka.

Następnego dnia wzięłam feralne buty do szkoły. Założyłam do nich jasne dżinsy i biały podkoszulek. Mama uczesała mi wysokiego kucyka, który huśtał się radośnie na boki z każdym potaknięciem mojej bladej pociągłej buzi. Szłam dzielnie. Szłam radośnie. Szłam pewnie.

I takim dzielnym, radosnym i pewnym krokiem weszłam do sali. Ilona na mój widok wydała z siebie przeciągły pisk, po czym zatkała usta i wywróciła oczami, a następnie zaczęła się śmiać tak głośno, że pewnie popuściła w majtki ze śmiechu.

Stałam na środku sali, a w moich oczach zbierały się łzy. Choć byłam jedną z wyższych dziewcząt w klasie, wtedy poczułam się żałośnie mała i nic nieważna. Drżały mi kolana i drżał mi głos, a mimo to zdołałam odważnie wyjąkać:

– Dlaczego się ze mnie śmiejesz? Przecież podobały ci się te buty. Chciałaś, żebym je kupiła, żebym mogła dołączyć do waszej grupy.

Ilona zrobiła ironiczną minę i popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Wcale mi się nie podobały. Powiedziałam tak, żeby sprawdzić, jak bardzo naiwna jesteś. I nie chcę cię w moim klubie. Jesteś za miękka i wierzysz we

wszystko, co ci się powie. Nie lubię ludzi bez własnego zdania i bez charakteru – prychnęła na koniec, obróciła się na pięcie i wyszła na korytarz w asyście swoich koleżanek. De facto – ślepo za nią podążających i wpatrzonych w nią jak w obrazek.

Łykając gorzkie łyzy rozczarowania, usiadłam wtedy do swojej ławki i starając się zachować jak najbardziej dostojnie wyciągałam z plecaka książki, które obficie zwilżałam słonymi łzami, kapiącymi jak szalone z mojego długiego nosa.

Czując ich słony posmak na języku, wiedziałam, że to ostatni raz, kiedy dam się wykorzystać i skrzywdzić innym. Tego dnia przestałam zwracać uwagę na Ilonę i przestałam marzyć, by przyjęła mnie do swojej klikii.

Przestałam też ślepo wierzyć w słowa innych i bezkrytycznie podążać za tłumem. Choć miałam dopiero dziesięć lat, wyciągnęłam z tego wydarzenia jedną z ważniejszych lekcji życia. Że nie warto robić nic na siłę. Że nie warto próbować wkupić się w czyjąkolwiek łaskę. Że nie warto dla nikogo się zmieniać. Że nie warto robić czegokolwiek pod czyjeś dyktando.

Nauczyłam się też, żeby zawsze być sobą. Nauczyłam się, jak wyraża się swoje zdanie, jak idzie się pod prąd i jak walczy się o swoje. Nauczyłam się, żeby pod żadnym pozorem nie dać się nikomu stłamsić. Żeby mieć swoje przekonania i święcie się ich trzymać. Nie dawać się nikomu wodzić za nos, nie być ofiarą i nigdy, przenigdy pod żadnym pozorem nie ufać bezgranicznie temu, na kim nam zależy.

Szkoda, że będąc prawie trzydziestoletnią nauczycielką, zapomniałam o większości mądrości, które znałam w czwartej klasie podstawówki...

\*

Kończę jeść pozbawioną smaku i zapachu zupę mleczną, kiedy niebieskooki wchodzi do sali. Zastygam w bezruchu z pełną łyżką przy zamkniętych ustach. Uśmiecham się. Wiem, że troszczy się o mnie jak o innych pacjentów, ale mimo to lubię, kiedy do mnie przychodzi.

Odkładam łyżkę z powrotem do miski. Lubię tego pielęgniarsza. Nie robi mi wyrzutów. Nie bałamuci. Nie podrywa. Na sto procent.

Pytania o to, ile razy byłam w łazience i czy nie miałam problemów z obstrukcją, to raczej mało romantyczne hasła na podryw... Wiem, że na imię ma Kamil, ale zwracamy się do siebie per „pan” i „pani”. Jest strasznie miły i grzeczny. O wiele przyjemniejszy niż zdzirowato wymalowana pielęgniara z czarną kreską pod okiem i poważny doktor Kocur, który patrzy na mnie jak na nieodpowiedzialną nastolatkę... Niebieskooki podaje mi porcję pigułek do połknięcia. Jego sympatyczne towarzystwo osładza mi gorzyc tabletek. Mimo to krzywię się, kiedy udaje mi się wchłonąć ostatnią pigułkę. Usłużnie podaje mi

wodę. Płuczę gardło z gorzkiego smaku.

– Jak się dziś czujemy? – zagaja.

– Lepiej. Nie mdli mnie już tak bardzo – stwierdzam.

– To dobrze – uśmiecha się troskliwie.

Wzdycham i również się uśmiecham.

Siada na brzegu mojego łóżka i poprawia koc, który leży w moich nogach. Następnie poprawia mi humor, opowiadając kilka zabawnych anegdotek z pracy. I poprawia się nerwowo, gdy do sali wchodzi Renata, i już od progu huczy na mnie:

– Jak mogłaś dopuścić do tego, że masz chorą nerkę, ty głupia dziewczyno!!!

\*

– Dziękuję, że przepłoszyłaś mi mojego jedyne go sprzymierzeńca – mruczę smętnie do Renaty, skubiąc bezmyślnie rąbek czerwonego kraciatego koca.

– Nie ma za co. Polecam się na przyszłość – rzuca sarkastycznie.

Wykrzywiam się do niej, robiąc złośliwą minę. W odpowiedzi nakrywa mnie kołdrą po same uszy prawie matczynym gestem. Otwieram usta w niemym proteście, ale już po chwili ponownie je zamykam. Z Renatą nie ma zmiłuj. Jest zdecydowana i pewna. Czasem ostra. Zawsze brutalnie szczerza. Przez jej szorstki sposób bycia coraz częściej jednak przebija się troska i dobre serce. Trzeba tylko umieć je dostrzec pod pozorną zasłoną specyficznego charakterku, określanego często mianem wrednej zołzy.

Rozmawiamy chwilę o pracy, Emilce, ostrej zimie, która powoli dobiega końca, i o różnych innych pierdołach, o których rozmawia się z osobą leżącą w szpitalu z powodu niewydolnej nerki.

Renata, zdaje się, ma zamontowany czujnik. Wie, które tematy może swobodnie narzucić. Wie, które trzeba delikatnie poruszać. A które całkowicie przemilczeć. Nie sądziłam, że osoba poznana przy barze, przynosząca ulgę w kryzysie sercowym i polewająca mi alkohol, stanie się moją przyjaciółką.

A jednak. Mam wrażenie, że Renata zna mnie na wylot. Wie, o czym myślę i co czuję. Wie, jak ze mną rozmawiać i jak mnie wspierać. Wie, czym poprawić mi humor i jak sprawić, by na mojej twarzy zagościł uśmiech.

Od kiedy odwiedziłam ją w jej skromnym mieszkanku, widujemy się praktycznie codziennie. Raz, że pracuje blisko mnie. Dwa, że moja babcia zajmuje się jej córką. Trzy, że lubimy spędzać wspólnie popołudnia, razem pijąc herbatę i pogryzając krakersy albo przypatrując się Emilce, pokazującej nam, jak tańczą leśne wróżki.

– Strasznie się cieszę, że przyszłaś wtedy do mojego mieszkania. To chyba dobry los cię do mnie przysłał – mówi nagle Renata, patrząc mi w oczy.

Przełykam głośno ślinę.

– To doprawdy wzruszające... – mówię, wkładając w to tyle ironii, ile jestem w stanie z siebie wycisnąć, leżąc na szpitalnym łóżku z wenflonem wbitym w przegub i parszywym nastrojem.

Śmiejemy się obie. Równocześnie ściskając się za ręce.

\*

Niebieskooki pielęgniarz zwany Kamilem przychodzi do mnie kilkanaście razy dziennie. Staram się nie zauważać porozumiewawczych spojrzeń, jakimi obdarzają mnie moi bliscy, kiedy po raz kolejny przychodzi: a to zmierzyć mi temperaturę, a to spytać o samopoczucie.

– On coś za bardzo się koło ciebie kręci – mówi Igor dwunastego dnia mojego pobytu w szpitalu.

– Po prostu się o mnie troszczy – stwierdzam, powstrzymując się od lekceważącego wzruszenia ramionami.

Sama też zauważyłam, że dość często się u mnie pojawia, ale nie chcę nic sobie wkręcać. Nie tym razem.

– Wydaje się całkiem w porządku. Jest bardzo miły... – zaczyna Igor, ale gaszę jego zapędy jednym machnięciem ręki.

Choć raz cieszę się, że od niespełna dwóch tygodni bliscy traktują mnie jak księżniczkę, kiedy jakby na zawołanie mój brat milknie. Szczerzę się w spontanicznym uśmiechu.

– Co? – pyta Igor z głupawym wyrazem twarzy. Wyszczierzam się jeszcze bardziej. – No co? – marszczy brwi.

– Podoba mi się to – śmieję się.

– Co ci się podoba? – dziwi się.

– To, jaką mam nad tobą władzę – prostuję się na łóżku i macham zwiniętą gazetą, robiąc z niej zaimprovizowane berło.

Igor zrywa się gwałtownie z krzesła i zaczyna tarosić mi czuprynę. Wije się i piszczy.

– Co robisz, kretynie?!

– Ściągam z ciebie koronę – szczyrzy się, kiedy przez rozczochrane włosy już prawie nic nie widzę.

– Jak tam nasza pacjentka? – pyta starsza lekarka w okularach i czarnych drewniakach w stokrotki.

Usiłuję gorączkowo poprawić fryzurę, przyklepując ją i przygłaskując. Lekarka patrzy na mnie badawczo znad okularów. Na twarzy ma profesjonalną powagę, w oczach ironiczne błyski. Zadaje kilka pytań, po czym wychodzi, uzupełniając pod drodze moją kartę lekarską.

Gorączkowo szukam szczytki do włosów, ale nigdzie nie mogę jej znaleźć, a widząc kołtuński uśmieszek Igora, mogę przypuszczać, że ten gagatek gdzieś mi

ją schował.

Pod drzwiami słyszę głos babci, która podśpiewuje jakąś radosną melodię. Starając się zachować jak najwięcej godności dwudziestosześcioletniej nauczycielki, chwilowo pełniącej rolę księżniczki, przyjmuję pożądaną wyprostowaną postawę z uniesioną brodą i nosem wycelowanym w sufit.

– Boże, dziecko, wyglądasz jak czupiradło! I czemu na Boga jesteś tak wygięta jak struna? Znowu boli cię nerka? – lamentuje babcia, wchodząc do sali.

– Odgrywam tylko swoją rolę dumnej księżniczki – odpowiadam.

– Księżniczki, mówisz? – prycha babcia.

– Oj, babciu. Nic się nie znasz na współczesnych księżniczkach – ironizuje Igor, wzruszając ramionami i nie zwracając uwagi na moje lodowate spojrzenie.

– Znam się, znam – sapie babcia, kładąc na mojej szafce ogromną siatkę owoców i soków. – Współczesne księżniczki leżą w szpitalu z powodu chorej nerki, ponieważ są tak rozpuszczone i lekkomyślne, że myślą o niebieskich migdałach zamiast o ciepłych gatkach i nieprzemakających butach!

Igor wpatruje się w babcię jak w zjawisko. Ma szeroko otwarte oczy i jeszcze szerzej otwarte usta. Ja mam wrażenie, że zapomniałam języka w gębie. Ruszam ustami, ale nie wydobywa się z nich żadne słowo. W końcu oboje równocześnie wybuchamy głośnym śmiechem. Śmiejemy się i śmiejemy, nie mogąc przestać. Łzy ciekną nam po policzkach, brzuchy bołą od napinania mięśni. Babcia robi obrażoną minę i ze skupieniem wyklada na stolik pomarańcze i pomelo wielkości strusiego jaja. I kiedy wreszcie udaje nam się wyciszyć i uspokoić, niebieskooki pielęgniarz, który właśnie wkracza do sali, pyta z czarującym uśmiechem lokaja:

– Wyspała się nasza śpiąca królewna?

\*

To dziś. To już dziś! Dzisiaj dostanę wypis! Kręcę się na łóżku podekscytowana. Siedemnaście dni. Siedemnaście dni niewoli. Siedemnaście dni choroby. Zamknięta w czterech białych ścianach, uziemiona w białej pościeli, codziennie męczona przez mnóstwo osób w białych fartuchach. Jedna z nich właśnie wchodzi do sali.

Niebieskooki. Uśmiecha się nieśmiało. Odpowiadam mu uśmiechem pod tytułem: „Za parę godzin będę pić herbatę we własnym fotelu!”. Rozmawiamy chwilę. Siada na krześle.

– Cieszę się, że pani wychodzi, ale będzie mi brakowało rozmów z panią – wydusza z siebie wreszcie.

– Naprawdę? Tak bardzo się panu podobało pytanie mnie, czy był stolec i czy mnie nie mdli?

Robi zakłopotaną minę i wiem, że nie należy do tego typu osób, z którymi

można wymieniać słodko-cierpkie wredności.

– Chodzi mi raczej o te inne rozmowy...

– Hm... – mamroczę pod nosem.

Lubię tego pielęgniarza. Naprawdę go lubię. Nie podoba mi się w TEN sposób, ale chętnie kontynuowałabym znajomość z kimś, kto dla odmiany nie chce mnie zbałamucić i nie myśli tylko o wsadzeniu łap w moje majtki. Mimo to nie zamierzam mu niczego ułatwiać. Jeśli chce, niech sam zagai o numer telefonu. Skończyło się moje naprzykrzanie męskiej części populacji tego świata...

Otwiera usta, ale przerywa mu wtargnięcie do sali grubej pielęgniarki z trwałą ondulacją.

– Kamil, szybko. Jesteś potrzebny – woła i znika, a ja dziwię się, jak szybko może poruszać się osoba z taką nadwagą w sytuacji kryzysowej.

– Przepraszam. Muszę lecieć – mówi w biegu i nie czekając na odpowiedź, wypada na korytarz.

Słyszę tupot jego tenisówek po szpitalnej wykładzinie PCV. Przez chwilę siedzę nieruchomo, a po chwili wstaję i zaczynam pakować swoje kosmetyki i książki do torby. Trochę żałuję, że rozmowa zakończyła się w ten sposób.

\*

Z grzeczną miną grzecznej dziewczynki grzecznie zjadłam na obiad ziemniaki z mizerią. Z grzeczną miną grzecznej dziewczynki grzecznie zażyłam leki bez ani jednego skrzywienia. Z grzeczną miną grzecznej dziewczynki grzecznie przytaknęłam, kiedy lekarz przypominał o konieczności zażywania leków i o wizycie kontrolnej. Z grzeczną miną grzecznej dziewczynki grzecznie obiecałam, że będę się oszczędzać i że dam sobie czas na rekonwalescencję. Z grzeczną miną grzecznej dziewczynki grzecznie pożegnałam się z personelem szpitala. Z grzeczną miną grzecznej dziewczynki grzecznie pozwoliłam bratu nieść swoje tobołki i nie kłóciłam się z nim, że „sama dam sobie radę”. Z grzeczną miną grzecznej dziewczynki grzecznie dałam się prowadzić babci pod rękę.

A potem wyszłam ze szpitala. Wreszcie moje szare oczy ujrzały światło dzienne i poczułam świeżość powietrza na szpitalnym parkingu.

– Boże, jak dobrze wyjść z tego wariatkowa! – jęknęłam głucho, czując na twarzy powiew rześkiego marcowego poranka. – Jeszcze trochę, a oszalałabym!

– Hej, pani Mileno!

Odwróciłam się na pięcie.

– Chciała pani uciec bez pożegnania? Nie miałem czasu poprosić pani o numer. Będzie pani tak miła i poda mi pani jakieś namiary do siebie? – wydusił na wdechu Niebieskooki.

– Pod warunkiem, że przestaniesz mi mówić per „pani” – odpowiedziałam z miną grzecznej dziewczynki i niegrzecznym błyskiem w szarych oczach.



\*

Jak dobrze być w domu!

Prawie wbiegam do mieszkania. Rzucam kurtkę na wieszak i szczerzę się jak obłąkana. Wołam Gingera, ale on ani myśli przyjść i się przywitać. Babcia z sapaniem ściąga z nóg buty. Igor otrzepuje się ze śniegu, który znów zaczął prószyć.

– Niespodziaaaaaanka!!! – Słyszę nagle i paraliżuje mnie.

Na chwilę. Po dwóch sekundach przywołuję na twarz wymuszony uśmiech. Emilka stoi w drzwiach kuchni, trzymając tacę z jakimś ciastem. Obok Renata asekuje córkę, żeby ta w euforii nie wyrzuciła placka na podłogę. Biorę oddech i uśmiecham się jeszcze bardziej sztucznie.

– Ojej, dziękuję, kochane! – mówię ze słyszalnym wzruszeniem w głosie.

Nie muszę udawać. Jestem wzruszona... Ale... To żywe powitanie. Ta niespodzianka. Ta radość z powrotu do domu... Tak miało być dziesięć lat temu. Tak mogło być i dzisiaj. Zbyt wiele razy zastanawiałam się: „Co by było, gdyby...?”. Co by było, gdybym nie była wtedy w szpitalu? Co by było, gdyby rodzice i Iga nie zginęli? Co by było, gdyby los pozwolił Idze dorosnąć? Jaka byłaby dziś osobą? Rozpuszczoną? Samolubną? Czy może szczerą i dobrą? Jaka byłaby nastolatką? Córką? Wnuczką? Siostrą? Przełykam głośno ślinę. Renata przejmuje ciasto, więc ściskam Emilkę. Odpowiada mocnym uściskiem lepkich rączek. Na buzi ma smugę jasnego lukru. Kiedy jej o tym mówię, próbuje zlizać ją spiczastym języczkiem. Głaskam ją po głowie i wchodzę do kuchni. Jest za mała, żeby pomieścić wszystkich, ale moi bliscy nic sobie z tego nie robią. Igor opiera się o ścianę. Renata z babcią opadają na krzesła. Ja zajmuję taboret. Emilka moje kolana. Ginger śpi na parapecie. Skulony, zwinięty, zaspany. Jakby cały świat nie istniał. Nie budzę go, choć mam wielką ochotę szturchnąć go w zadek i potarmosić jego długą sierść.

Babcia kroi ciasto i nakłada je na talerzyki. Igor zalewa wodą pomarańczowo-cynamonowego rooibosa.

– Mmm... Ciasto cytrynowe. Czujesz to, siostra? – pyta przesadnie słodkim tonem, gładząc się po brzuchu.

W odpowiedzi wystawiam mu język.

– Jak się czujesz, ciociu? – pyta mnie mała, biorąc moje policzki w swoje dłonie.

Myślę o tym, że boli mnie głowa. Myślę o tym, że wciąż jest mi niedobrze po lekach. Myślę o tym, że jestem słaba i że najchętniej położyłabym się do łóżka. Sama. W ciszy. W spokoju. Emilka patrzy na mnie wyczekująco. Babcia zamarła z łyżeczką, na której pyszni się cytrynowy placek. Renata przerwała mieszanie herbaty. Igor przestał jeść.

– Czuję się świetnie, skarbie. Dzięki wam czuję się świetnie – mówię z przekonaniem i pieczeniem w gardle.

Kiedy Emilka przytula swoją krągłą główkę do mojej pociągłej twarzy i zaczyna przekładać między pulchnymi paluszkami długie pasma jasnych włosów, czuję, że zaczynają mnie też piec oczy.

Mam rodzinę.

Czuję się świetnie.

\*

Trzy tygodnie. Tyle na razie mam siedzieć w domu. Tyle obiecałam się oszczędzać. Jak mogłam być taka głupia i się na to zgodzić?! Minał tydzień, a ja już umieram z nudów. Czytanie wychodzi mi bokiem. Filmy wyłażą uszami. Ochryplam od gadania do kota. Ogłupiałam od braku kontaktu z ludźmi. Wprawdzie babcia jest u mnie codziennie, podobnie jak Renata z Emilką. Igor dzwoni rano i wieczorem. Ale wciąż zostają całe dni. Dni wypełnione niczym. Leżenie na kanapie z książką, które kiedyś było luksusem, nagle stało się synonimem nudy. Marzenie, żeby „wreszcie odpocząć” najchętniej zakopałabym w piasku. Na bezludnej wyspie...

Zaczęłam siedzieć przy stole z kubkiem herbaty i wyglądać przez okno jak te wszystkie stare emerytki, które nie mają nic innego do roboty. I potwornie mnie to męczy. Brak zajęcia przypomina mi też o Adamie. Nie chcę o nim myśleć. Naprawdę tego nie chcę. Stworzyłam sobie nawet listę tematów, którymi mam przesłaniać sobie myśli o nim. Efekt? Mizerny. Jak o nim myślałam, tak o nim myślę. Pechowo – nie umiem myśleć o nim źle. Demonizuję go w myślach, przypisuję mu wszystkie najgorsze cechy, oczerniam, wyzywam w głowie od najgorszych i... Wciąż dobrze o nim myślę. Brakuje mi go, choć tak naprawdę nie wiem, czego ma mi brakować. Tęsknię, choć nie mam za czym. Marzę, choć nie powinnam. I dalej roztrząsam, dalej analizuję.

Przypominam sobie moment naszego poznania, pierwsze flirty i rozmowy. A może rozmowy podszyte flirtem. Albo raczej – flirty pod przykrywką rozmowy... Wszystkie słowa, którymi mnie poczęstował, wryły się w mojej pamięci. Znam je równie dobrze, co tabliczkę mnożenia. Oprócz myśli zakodowałam też sobie jego zapach. I choć bardzo chcę, nie potrafię go zapomnieć. Przeraża mnie to. Przecież to nie był mój chłopak. Nie wiem nawet, jak mogę go nazwać. Czy określenie go kochankiem to zbyt mocne słowo? Jak nazywa się facet na jedną noc? Pomyłka? Porażka? O. Już wiem. Głupota...

\*

Mój kot ma mnie dość. Chyba woli, jak chodzę do pracy od poniedziałku do piątku, dając mu luz i swobodę w działaniu. Teraz najwyraźniej męczy go moja

obecność. Łypie na mnie tymi swoimi kocimi oczyskami. Widzę w nich pogardę. Chyba myśli, że jestem żalosna. I chyba ma rację. To nienormalne, że co noc śnię o Adamie. To nienormalne, że nie wyrzuciłam bluzki w cholerę, tylko trzymam ją w szafie nie wiadomo po co. To nienormalne, że nie potrafię się otrząsnąć i żyć dalej. Boże złoty, jestem przecież wykształconą dziewczyną! Niegłupią, niepusztą. Nigdy nie zrobiłam nic nieprzemyślanego. Nigdy nie zrobiłam nic lekkomyślnego. I nigdy się tak w nikim nie zadurzyłam. Tak głupio, naiwnie i bezsensownie.

Bo tak jak wiem, że moja arachnofobia jest całkowicie irracjonalna, kiedy pająk jest wielkości główki od szpilki, tak samo wiem, że nie powinnam lokować swoich uczuć w kimś, kogo tak słabo znam. W kimś, z kim połączył mnie flirt i seks. W kimś, kto nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Bo nie chce. To wiem na pewno. W zasadzie wiedziałam to już wcześniej. W zasadzie dotarło to do mnie już na początku znajomości. Wiedziałam, że Adamowi jestem zupełnie obojętna. Wiedziałam, że pociąga go tylko moja melancholijna osobowość. Że utopił się w moich szarych oczach. Że podkręcała go moja niewinność łamane przez nieśmiałość. Mnie pociągała w nim szczerść. Kręciła bezpośredniość. Zbałamuciła pewność. Zraniła powierzchowność. Nie wiem, co mogłam zrobić, żeby wszystko potoczyło się inaczej. I czy istniała w ogóle taka możliwość. Nie wiem nawet, czy chcę to wiedzieć. Bo będzie to rodziło we mnie tylko jedno. Nadzieję, że mam jeszcze jakąkolwiek szansę. Szansę, by znów popatrzeć w jego ciemne oczy i wywołać w nich grzeszne błyski. By odpowiedzieć ironicznym uśmiechem na jego ironiczny uśmiech. By pozwolić mu na pocałunek i samej go pocałować. By poczuć jego ręce, wkradające się pod moje ubranie. By zdjąć z niego koszulkę, niby przypadkiem muskając wyrzeźbione ciało. By poczuć, jak znów we mnie wchodzi i znów wywołuje to dziwne, nieznanne mi dotąd uczucie. Uczucie nicości. Niemyślenia o niczym. Nierobienia niczego. Nieskupiania się na niczym. Uczucie rozpuszczania się od wewnątrz, które tego pamiętnego wieczoru przenikało mnie od czubka głowy po pięty. Które trawiło mnie jak ogień i orzeźwiało jak zimny prysznic. Najprzyjemniejszego uczucia doznawania takiej dawki przyjemności jak nigdy. Najprzyjemniejszego uczucia bycia szczęśliwą. Najprzyjemniejszego uczucia bycia zaspokojoną przez faceta, który niestety – szukał tylko zaspokojenia...

\*

Wyciągam się rozkosznie na całą długość w wannie. Bezcelnie poszłam do babci głównie po to, żeby zakosztować kąpieli w pianie i dobrodziejstwa hydromasażu. Moja wanna nie posiada takich bajerów. Moja jest starym modelem na czterech nóżkach.

Babcia ogląda swój serialik, a ja wyleguję się w wodzie pachnącej mango i marakują. Bawię się kłębuszkami piany, robiąc z nich małe obłoczki

i rozdmuchując je po swoim ciele.

Na dźwięk komórki o mało nie wciągam piany do ust. Przeklinając własną strachliwość, próbuję wykaraskać się z wodnej toni. Mam wrażenie, że aromatyczne białe kłęby piany nie chcą mnie puścić z wanny. Wreszcie mi się udaje i paraduję nago przez łazienkę, rozchlapując wokół gorącą wodę, rozrzucając kłębki piany i rozsnuwając egzotyczny zapach.

– Halo – wyrzucam z siebie, usiłując utrzymać telefon w śliskich dłoniach.

– Hej. Tu Kamil. Co słyszać?

Wytrzeszczam oczy. Kamil? Jaki Kamil, do cholery? Już mam odpowiedzieć, że to pomyłka, kiedy słyszę chrząknięcie w słuchawce.

– Jest tam kto? – Aksamitny, lekko zachrypnięty głos.

Moje neurony od razu powiązują miły głos z równie miłym gościem.

– A, Kamil. Niebieskooki pielęgniarz – mówię na wdechu.

– We własnej osobie – śmieje się i w wyobraźni widzę, jak kręci młynka nadgarstkiem, pochylając się w burżuazyjnym ukłonie.

Przechodzi mnie dreszcz i nie jest to efekt mojej bujnej wyobraźni, a wody, która ścieka mi od uda po łydkę i zostawia po sobie zimny ślad, jakby ktoś przesunął mi po nodze kostką lodu.

– Dasz mi minutkę? – pytam prosząco i powstrzymuję się od szczękania zębami.

– Jasne. Mam poczekać przy telefonie?

– Nie. Oddzwonię – stwierdzam, przytupując z nogi na nogę.

Muszę przy tym uważać, żeby nie wywrócić się na mokrych płytkach albo nie poślizgnąć na śliskich pianowych kleksach.

– Och. W porządku... – Słyszę w jego głosie coś na kształt rezygnacji i przegryzam wargę, żeby nie parsknąć śmiechem.

Jak nic myśli, że go spławiam. Nic bardziej mylnego. Brakuje mi kontaktu z ludźmi, którzy nie męczą mnie troskliwymi pytaniami i nie żądają oglądania pokręconych losów bohaterów brazylijskiej telenoweli.

– No to do usłyszenia – żegnam się i odkładam telefon na kosz z bielizną.

Rozcierając ramiona, opatulam się w szorstki świeżo wyprany ręcznik. Jest w kolorze beżu. Nie wiem tylko, czy taki był od nowości, czy zżółknął na skutek starości. Większość rzeczy babci pamięta jeszcze moje dzieciństwo, dlatego nowa wanna z bajerami wygląda w jej mieszkaniu jak statek kosmiczny.

Kiedy sucha i ogrzana zakładam na siebie szare legginsy i błękitną bluzę z kapturem, na moją twarz powoli wpełza uśmiech. Właściwie to cieszę się, że zadzwonił. I choć nie wywołuje to u mnie takich motylków i zawrotów głowy, jakie z pewnością poczułabym gdyby to Adam wykręcił mój numer, jednak kiedy ścieram na kolanach zachlapaną podłogę, zaczynam podśpiewywać pod nosem.

Uśmiecham się do swojego odbicia. A potem szczerzę się do telefonu, kiedy

wybieram numer ostatniego połączenia.

\*

Mam coś, co zajmuje mi długie marcowe dni. I nie – nie jest to wążanie koszulki ani rozmyślanie o Adamie... Piszę z Kamilem. Tak. Piszę. Nie flirtuję, nie randkuję. Piszę. Kamil jest miły, grzeczny, troskliwy. Zanudziłby mnie na śmierć swoją opiekuńczością i spokojem, gdyby nie to, że ma świetne poczucie humoru. Potrafi mnie rozśmieszyć i zainteresować. I wie, kiedy w zdaniu należy postawić przecinek. Taaak. Przecinki zdecydowanie są tym, co na mnie działa.

Adam ich nie używał, co było dość męczące, zwłaszcza kiedy przez telefon napływały do mnie pikantne propozycje. Jestem pewna, że gdyby pokusił się o oddzielenie wszystkich tych rzeczy, które ze mną robi przecinkami, moje podniecenie rosłoby szybciej niż frustracja z powodu nieczytelności wiadomości...

Kamil dostaje więc na początek dziesięć punktów za interpunkcję. I kolejne dziesięć za wytrwałość. W naszych esemesowych rozmowach jest wszystko oprócz flirtu. A on wciąż mnie zagaduje. Może naprawdę nie ma żadnych matrymonialnych planów. Chociaż sama nie wiem, czy istnieje coś takiego jak bezinteresowność i przyjaźń damsko-męska...

Na studiach kumpłowałam się z Finem, który przyjechał na wymianę zagraniczną. Zostałam przydzielona jako jego opiekunka i przez chwilę byłam zła, że muszę się nim zajmować. Zmieniłam zdanie, kiedy okazało się, że Lukas jest bardzo miły i sympatyczny. Świetnie się dogadywaliśmy i nadawaliśmy na tych samych falach mimo bariery językowej. Od razu warto zaznaczyć, że między nami nigdy nic nie było. Żadnej chemii, żadnego flirtu, żadnych podtekstów. Romans? Pfff... Lukas był jak mój fiński brat.

Zawsze kupował mi kawę z automatu i przynosił czekoladowo-waniliowe markizy, kiedy uczyliśmy się w bibliotece. On studiował resocjalizację, ja – pedagogikę. Kiedy musiałam robić prace plastyczne, Lukas siedział przy mnie i strugał mi kredki. „Anioł, po prostu anioł” – mówiła zachwycona babcia, kiedy opowiadałam jej, że Lukas z zapalem ostrzy mi kredki, zamiast chodzić palić trawkę ze znajomymi. Był miły, ciepły, dobry. Nigdy nie złapał mnie za kolano, nigdy nie popatrzył mi w dekolt. Pewnie dlatego, że zawsze siedziałam w bezpiecznej odległości i nie nosiłam bluzek ukazujących te dwa pryszcze, które miały być biustem, ale...

Uczyliśmy się wspólnie w czytelnicy, a wieczorami odprowadzał mnie pod dom. Pod samą bramkę. Bo taki właśnie był szarmancki. Lukas był aniołem. Lukas by mnie nie skrzywdził. Lukas był święty.

Przynajmniej do czasu, kiedy rozstając się ze mną pod metalową furtką, nie dał mi karteczki ze swoim numerem telefonu i nie powiedział, że czeka na *booty call* z takim błyskiem w oczach i takim uśmiechem, że do dziś jestem przeczulona

na punkcie błyszczących oczu i kołtuńskich uśmiechów, niezależnie od tego, czy komuś błyszczą ślepią z gorączki, czy ktoś szczerzy się, bo wygrał wycieczkę do Afryki.

Może i nie znałam zbyt wielu wulgaryzmów. Może nie umiałam flirtować – ani po polsku, ani po angielsku. Ale akurat to zrozumiałam. I zarumieniłam się po cebulki włosów, co w przypadku mojej jasnej karnacji i jasnych włosów zawsze wyglądało fatalnie. Do dziś pamiętam głośne tąpnięcia, jakie wydawały moje drobne buciki, kiedy miarowym krokiem szłam do bloku. Do dziś robi mi się niedobrze, jak usłyszę złowieszczy zgrzyt zamykającej się bramki. Do dziś nie cierpię czekoladowych markiz z nadzieniem waniliowym. I do dziś podejrzliwie podchodzę do osób, które chcą mi bezinteresownie strugać kredki...

\*

Emila bawi się na dywanie. Jest uśmiechnięta i rumiana po spacerze. Axel również leży na dywanie, stanowiąc idealną makietę do jazdy drewnianymi samochodzikami.

Ginger zapadł się w kanapę i o tym, że żyje, świadczy jedynie cichutkie kocie pochrapywanie, które rozlega się raz na jakiś czas.

Ja siedzę na podłodze. Z grubą poduszką pod tyłkiem. I z grubą książką w dłoni. Przypatruję się to Emilce, to zwierzakom. Wdycham zapachy dolatujące z kuchni. Babcia pichci zupę pomidorową z ryżem, zakazując mi robienia czegokolwiek bardziej pracochłonnego niż siedzenie i oddychanie. W ramach buntu mam ochotę umyć wszystkie okna i wyfroterować podłogę, ale właściwie to mi się nie chce. Czuję błogie rozrzewnienie, jakie towarzyszy spędzaniu czasu z najbliższymi.

Domowe zapachy dobiegające z emaliowanego garnka. Ciepło buchające z kaloryferów, choć za oknem coraz lepsza pogoda. Promienie słońca przebijające się przez poszarzałe firanki. Posapywanie mojego psa – wiernego, wspaniałego przyjaciela. Świergoczący głosik dziecka. Wszystko to do kupy powoduje z jednej strony wielką radość, z drugiej wielki ból. Radość, bo cieszę się, że ich mam. Że mam babcię z tym jej ciepłem, troską, miłością i uwagą. Emilkę z żywym usposobieniem i szczerością. Psa z radosnymi oczami i reumatyzmem. I kota z wiecznym fochem wymalowanym na rudym pyszczku. Mam rodzinę. Rodzinę, którą Kocham. Z drugiej strony mam też poczucie sromotnej klęski. I żalu. Że nie mam już rodziców. Że moja młodsza siostra nie żyje. Że nie mogę mieć faceta, którego chcę. I że Kamil, ten miły i dobry Kamil jest dla mnie taki miły i dobry, a ja wciąż traktuję go... Jak?

No właśnie. Nijak. Jak pisze, to mu odpisuję. Jak się uśmiecha, to odwzajemniam. Uśmiechem zrobionym z kropek, kresek i nawiasów. Zrobionym za pomocą kilku przycisków na telefonie. Wysłanym bez najmniejszego wysiłku,

poprzez jeden szybki ruch wskazującego palca. Nie jestem dla niego niedobra, ale dobra też nie. I przede wszystkim nie traktuję go poważnie. Fajnie, że jest. Fajnie, że pisze. Ale... Nic poza tym. To też trochę mnie boli, bo czuję się jak wredna małpa. Czy to już zawsze tak będzie? Zawsze te dylematy i wątpliwości? Nigdy już nie będę czuć się pewna? Nic nie będzie po prostu białe albo czarne, bez różnych odcieni szarości?

– Wiesz co, ciociu? – pyta mnie Emilka, podchodząc do mnie na czworakach i robiąc z mojej nogi zaimprovizowaną skocznię dla resoraka.

– Co tam, skarbeczku?

– Jesteś taka śliczna. Wszystko mi się w tobie podoba. Twoje jasne włosy. Twoje jasne policzki. I twoje jasne dżinsy. Ale najładniejsze masz oczy. Bo nie są ani jasne, ani ciemne. Jaki to właściwie jest kolor, ciociu?

– Szary, aniołku – odpowiadam, uśmiechając się, widząc jak jej dziecięce oczy patrzą na mnie z miłością, rozświetlając moje życie tak, że choć patrzę na nie przez szare tęczę, świat nabiera nagle wszystkich kolorów tęczy.

\*

Istnieje wiele bezsensownych czynności. Bezsensowne jest robienie wieży, którą dziecko z radością burzy, kiedy tylko klockowa zaporą osiągnie odpowiednią wysokość. Bezsensowne jest pieczenie zebry, która zawsze wychodzi z zakalcem. Bezsensowne jest sortowanie w szufladzie majtek według kolorów, choć chyba jeszcze bardziej bezsensowne jest dobieranie bielizny do koloru bluzki, jeśli nie mamy zamiaru się rozbierać. Bezsensowne jest picie zielonej herbaty, jeśli wolimy malinową. Bezsensowne jest decydowanie się na dziecko, bo „przyszła na to pora”. Bezsensowne jest mówienie czegoś, bo tak wypada.

Jednak najwięcej bezsensów popełniam ja sama, siedząc któryś już dzień w domu. Przekładam książki, układając je według wielkości, wygładzam ceratę, czyszczę przestrzenie za kaloryferem, sortuję skarpetki według grubości, liczę serie w programie telewizyjnym, sprawdzam terminy ważności wszystkich produktów spożywczych w spiżarni.

Kisnę w domu, choć jestem już zdrowa. Jem, mimo braku głodu. Czytam, choć od literki kręci mi się już w głowie. Oglądam programy, na które moje ciało reaguje wysypką. Myślę o tym, co sprawia mi ból. Marudzę, choć nigdy nie lubiłam marud. Chce mi się płakać, choć wiem, że powinnam się cieszyć zdrowiem, rodziną, pracą. Nic nie robię, choć nosi mnie od nadmiaru energii. Chcę wrócić do pracy, ale lekarz srogo mi tego zabrania.

Czuję się jak w więzieniu. Więzieniu, zrobionym z troski i miłości bliskich mi osób. Osób, które stoją nade mną z batem i pilnują, żebym dbała o siebie i brała leki. Pełnię na zmianę wartę, dbając, bym pod żadnym pozorem ani na chwilę nie opuściła swojej celi w celu zaczerpnięcia świeżego wiosennego powietrza. Drażnią

swoją troską, czułością, nadopiekuńczością. Frustrują brakiem zrozumienia. Męczą dobrocią. Zabijają miłością. Nigdy nie sądziłam, że można kogoś zmęczyć nadmiarem troski, ale teraz wiem, że i owszem – można. Czuję to obecnie całą sobą i wiem, że całą tą czułością i opieką mogłabym obdzielić całe schronisko dla zwierząt. Gdyby takowe było w naszym mieście...

– Co robisz, siostra? – Słyszę miły do bólu głos i zgrzytam zębami ze złości.

Odkąd mój brat stał się dla mnie przesadnie słodki, mam wrażenie, że wszystkie zęby spróchniały mi od nadmiaru słodyczy. Nie ma już ironii, nie ma złośliwości, nie ma żartów. Wszystko jest przesadzone. Uprzejmość. Grzeczność. Braterska miłość. Wzdrygam się i nakrywam głowę poduszką.

– Co jest, słoneczko? Coś nie tak? – ściąga ze mnie poduszkę i widzę jego pełne troski oczy.

Wygląda jak spaniel. Chociaż może to ja robię według niego za spaniela, bo wyciąga ku mnie dłoń i poklepuje mnie pokrzepiająco po głowie. Mam nadzieję, że aksamitna miękkość moich pukli nie przywodzi mu na myśl jedwabistych uszu psa. Odsuwam się z obrzydzeniem. Patrzy na mnie zdziwiony. Oczami przepelnionymi żalem. Troską. I pieprzoną miłością... Podrywam się gwałtownie z kanapy i głośno tupiąc bosymi nogami, zderzam się z babcią.

– Jezu kochany, szybko zakładaj kaptcie! – beszta mnie.

Mijam ją bez słowa. I bez patrzenia w oczy. Babcia jednak przytrzyma mnie za ramiona i wymusza pozycję *face to face*.

– Aniołku kochany, co się dzieje? Dobrze się czujesz?

Jej twarz wyraża bezgraniczną dobroć. Oczy emanują spokojem. Usta bezpiecznym uśmiechem. Biorę trzy głębokie wdechy. Nie mam już siły znosić ich troski. Mam już dość. Jestem sfrustrowana, jestem zdenerwowana, jestem zła. Zaraz wybuchnę! Czuję to tak mocno, że zaczynam się trząść. Na czole występuje mi żyłka, która pulsuje w szaleńczym rytmie. Biorę mocny wdech. Myślę o miłości i o tym, że naprawdę kocham moich bliskich. Wypuszczam z siebie całe powietrze z całą złą energią. I już, już prawie jestem spokojna, kiedy podchodzi do mnie Axel i trąca mnie łapą. Przykucam. Patrzy na mnie szklistymi oczami i smutnym wyrazem pyska. Przekrzywia żałośnie łepki i skamle, patrząc mi wymownie w oczy.

– Nie mogę. Nie mogę tak dłużej! – wykrzykuję głośno, strącając jego reumatyczną łapę z kolan. Wstaję i sięgam po wiosenną kurtkę.

– Boże złoty, co ty robisz?! – krzyczy na mnie babcia, jakbym właśnie zaczęła polewać mieszkanie benzyną i biegać po korytarzu z zapalniczką.

– Mam dość. Mam tego serdecznie dość. Mam dość siedzenia w domu. Mam dość waszej troski. I was też mam dość – mówię mściwie, patrząc kolejno na wszystkich członków mojej rodziny.

Oni też na mnie patrzą. Patrzą na mnie zdziwieni. Ba – zszokowani. Igor



otwiera w zdumieniu usta, na twarzy babci maluje się cierpienie, na pysku Axela – szok. A ja rzucam pod nosem stek wulgaryzmów, wsuwam na nogi trampki, które kiedyś były białe i wybiegam z domu, nie zapominając efektownie trzasnąć drzwiami.

\*

Trzęsącymi się nogami wystukuję rytm na parkowej alejce. Trzęsącymi się ustami wyrzucam z siebie potok przekleństw. Trzęsącymi się dłońmi wystukuję esemesa o treści: „Masz ochotę się spotkać?”. I czekam. Trzęsąc się już cała.

„Jasne. Pójdziemy na herbatę jutro wieczorem?” – czytam i z pasją wciskam klawisze, płodząc naprędce esemesa o treści: „Park. Ławka przy wejściu. Teraz”.

„Pędzę” – odczytuję i uśmiecham się z ulgą.

A potem rozluźniona opieram się o ławkę. Kamil zjawia się na mojej ławce piętnaście minut później. Po jego czerwonych policzkach i kroplach potu na czole domyślam się, że biegł. Ma na sobie granatowy blezer, który idealnie współgra z jego oczami w kolorze indygo. W jego spojrzeniu widzę coś na kształt troski, ale przyćmiewa go szczęście. Fakt, że o nim pomyślałam. Fakt, że napisałam pierwsza. Fakt, że zaproponowałam spotkanie. Wszystko to daje Kamilowi pełnię szczęścia. Widzę, że stara się zachować zblazowany wyraz twarzy, ale nie udaje mu się to ani przez chwilę. Wygląda jak mój pies, kiedy dam mu zakazane ciastko w czekoladzie. Ma wtedy błyski w oczach, kołtuński wyraz pyska i merda ogonem z taką mocą, jakby chciał, żeby ekolodzy zaczęli produkować wiatr siłą napędu jego ogona. Oczywiście Kamil ogonem nie merda. Zapewne dlatego, że go nie ma... Slinić też się nie ślini, choć wydaje mi się, że to tylko kwestia czasu. Mówię do niego, ale wiem, że nie dociera do niego ani jedno moje słowo. Równie dobrze mogłabym do niego mówić w języku suahili. Patrzy na mnie z ogłupiałym wyrazem twarzy. Z oczami przepelnionymi bezgranicznym szczęściem. I z miną pod tytułem: „Tak, tak. Masz rację”.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie mam racji, a on jest we mnie tak zapatrzony, że zrobi wszystko, byleby mnie zadowolić. Zwykle zareagowałabym złością. Albo ironią, cynizmem, agresją. Ale nie tym razem. Nie dziś. Nie teraz. Bo właściwie... Poniekąd wcale mnie to nie irytuje. Chcę się po prostu przed kimś wygadać. A zrobienie tego przed osobą, która najwyraźniej ma mnie za ósmy cud świata, jest całkiem dobrym pomysłem.

Kamil jest we mnie tak zapatrzony, że zgodzi się ze mną, nawet jeśli powiem, że postanowiłam rzucić pracę i wypłacać wiklinowe koszyki. Siedzi koło mnie na ławce i bezkrytycznie potakuje mi głową. W niebieskich oczach widzę coś na kształt zrozumienia, choć zapewne jest to tylko otępiała radość. Usta wyschły mu na wiór i myślę, że nie dzieje się tak przez fałszywe zapewnienie, że mam rację, a przez to, że biegł jak wariat, żeby się ze mną spotkać. Dopiero to stopuje

zalew wypływających ze mnie słów. I dopiero to sprawia, że milknę. Dociera do mnie, że być może dałam mu fałszywą nadzieję. Że swoim żalem i frustracją przyciągnęłam do siebie faceta, którego życiowym marzeniem było właśnie to, by go do siebie przyciągnąć. Z przerażeniem biorę wdech. A potem drugi, jeszcze bardziej dychawiczny. Następnie zamykam na chwilę oczy, otwieram je, a kiedy widzę Kamila, siedzącego na ławce z promienistą twarzą i ustami, które zdają się spijać każde słowo z moich ust, robię jedyną rozsądną rzecz, jaką mogę zrobić w takiej sytuacji.

– Chodźmy się napić...

\*

Przede mną stoi szklanka z wodą. Przed Kamilem kufel z piwem. Pozwalam mu wpatrywać się w siebie z upojnym wyrazem twarzy. Nie irytuję się, gdy głaska mnie po wierzchu dłoni. Nie krzywię się, kiedy prosi, żebym poinformowała bliskich, gdzie jestem. Dzwonię do Igora i spokojnie tłumaczę, co robię i kiedy wrócę. Na dźwięk mojego głosu mój brat bierze głęboki wdech. Na dźwięk moich słów mruczy, że mnie kocha i żebym na siebie uważała. Rzucam chłodne: „okej” i wciskam czerwoną słuchawkę.

A potem daję się wciągnąć w rozmowę na temat szkoły, pracy, przyjaciół, poszczególnych członków rodziny i marzeń. Sączę wolno swoją wodę. Mieszam w niej rurką. Dłubię słomką w plasterku cytryny, dziurawiąc go i wypuszczając w górę cytrusowe farfocle, siorbię wodę, która jest już mocno kwaśna. I grzecznie się uśmiecham, słuchając opowieści Kamila.

\*

Wiercę się w łóżku, szeleszcząc białą świeżo wymaglowaną pościelą. Nie swoją. Dziś śpię u Igora. Dawno tego nie robiłam, a że umówiliśmy się na wspólne oglądanie filmu, nocleg wydawał się rozsądnym rozwiązaniem. Przyjechał po mnie samochodem, zabrał mnie spod klatki i posadził na sofie, wręczając filiżankę z białą herbatą.

A potem nakarmił białą czekoladą od Milki i pozwolił wybrać film. Wkładając w to całą swą złośliwość, wybrałam psychologiczny thriller czyli gatunek, którego Igor nienawidzi. Mimo to udawał, że ogląda z zapartym tchem, śledząc akcję i pogryzając chipsy. Czekoladę zostawił dla mnie. Zemdlila mnie już po piątej kostce.

Film zemdlili mnie po godzinie, więc skapitulowałam, rzuciłam w Igora ozdobną poduszką, którą miał na sofie (skąd wiedział, że ozdobne poduszki służą do ozdabiania kanapy w salonie?) i odpaliłam sensacyjny film, w którym szybkie wozy ścigały przestępców, przestępcy łapali bogu ducha winne kobiety, a bogu ducha winne kobiety zaciągały do łóżka facetów, którzy chcieli być do niego

zaciągani.

Do tego adrenalina, pościgi, wystrzały z broni palnej i krew, a już o północy byłam zmęczona, jakbym to co najmniej ja musiała łapać wszystkich tych zbrodniarzy. Albo sypiać ze wszystkimi bohaterami... O tak. To byłoby męczące. Poprawiam się w pościeli.

Igor chrapie donośnie w swoim pokoju. Słyszę go nawet zza ściany. Jego salon jest typowo kawalerski. Pusty, przestronny, prosty. Skórzane czarne meble, wielka plazma, konsola do gry, stojak na płyty, wieża, szklana ława. Do tego czerwone ferrari na baterie, wyspa na środku kuchni, na której jestem pewna, że nigdy nie lepił pierogów, za to na sto procent uprawiał dziki seks z jakąś niewyżytą panienką i abstrakcyjny obraz oparty o kanapę, bo jakoś nigdy nie miał czasu go powiesić.

Jakoś nie widzę opcji, że w tym mieszkaniu miałyby pojawić się kobieta. Wyobrażam sobie, że słóiczki wypełnione mazidłami zapyszniłyby się na pustej wannie, w łysych oknach zawisłyby fikuśne zasłony, a półki zostałyby zamieszkałe przez drewniane ramki z romantycznymi zdjęciami. Potrząsam głową i wybucham śmiechem. Igor pochrapuje dalej. Przewracam się na bok.

Chętnie bym z kimś pogadała, ale komu można zawrócić głowę o wpół o drugiej nad ranem? Odpowiedź nasuwa się sama, wcale o to nieproszona. Kamil. Wiem, że do niego mogę śmiało dzwonić o każdej porze dnia i nocy. On chętnie by mnie wysłuchał. Doradził, zasłodził i ponapawał się tembrem mojego głosu. Z esemesa też by się ucieszył. Dlatego właśnie nie mogę do niego napisać. Dlatego właśnie muszę trzymać go na dystans. Dlatego właśnie będzie ostatnią osobą, której pozwolę zaspokoić moją niezaspokojoną chuć, która (słowo daję – urlop zdrowotny, leki na nerki i nadopiekuńcza babcia pobudzają libido) coraz częściej odzywa się nieproszona.

I dlatego właśnie zasypiam, wyobrażając sobie silne męskie ręce głaszczące mnie tam, gdzie nie głaszcze mnie babcia i mając w głowie wizję będącą połączeniem listopadowego wspomnienia, odważnych marzeń i najszybszych pragnień, a także czegoś, co wiem, że powinnam wsadzić do szuflady z napisem: „nierealne”.

\*

Myślę, że Kamil jest ideałem i że każda dziewczyna marzy, żeby być adorowaną przez takiego faceta. Może myślenie o tym, kiedy brudna woda po myciu podłóg spływa do toalety, jest nieprzyzwoite, ale właśnie wtedy, kiedy widzę brązowy płyn ściekający po wyszorowanej do białości muszli, dociera do mnie prawdziwość tego stwierdzenia.

Wciskam spłuczkę, obserwując, jak szarobrudna zawartość wiruje w środku, a następnie znika w czeluściach kanałów. Wlewam do klopa szeroko reklamowany

środek, który ponoć ma za zadanie wytępić wszystkie bakterie, które zasiedliły mój sedes, choć szczerze mówiąc wątpię, by chciały one mieszkać w łazience tak dziwnej osoby, skoro mają do wyboru bytowanie w kiblach osób mieszczących się w granicach normy.

Ja zdecydowanie nie wpasowuję się w żadne normy. Bo jak mogę być normalna, jeśli wciąż szukam sobie wymówek, żeby odmówić Kamilowi spotkania się z nim? Bo jak mogę być normalna, skoro odrzucam zainteresowanie faceta, który jest perfekcyjny w każdym calu? Jak mogę być normalna, jeśli nie daję szansy dobremu facetowi, a wzdycham do damskiego pożeracza serc? Albo może raczej łechtaczek, bo akurat serce to go interesowało najmniej, kiedy zagłębiał palce w otchłani mojej bielizny... Jak mogę być normalna, kiedy zamiast cieszyć się ze słodkich słówek, czekam na odzew od faceta, który chciałby mnie tylko przelecieć? Faceta, który nie używa przecinków, nie zwraca uwagi na interpunkcję i ortografię, a jedynym jego atutem jest jego bezpośredniość i wysokie libido? Jak mogę być normalna, skoro nawet zdając sobie z tego sprawę, wciąż nie mogę o nim zapomnieć? Jak mogę być normalna, jeśli dalej marzę, żeby zamiast masy wygwiazdkowanych pocałunków od faceta, ten dupek wysłał mi emotikona oznaczającego wystawiony język? Jak mogę być normalna, skoro nie przeszkadza mi, że zaliczył mnie, a potem o mnie zapomniał, kiedy mam okazję spotykać się z gościem, który kobiety szanuje? Jak? No jak?

– Jesteś po prostu bardzo, bardzo niemądra i myślisz waginą zamiast mózgiem – mówi rozsądna, poważna i odpowiedzialna osoba, kiwając dostojnie głową i marszcząc ironicznie brwi.

Patrzy na mnie z lustra, na którym jest mnóstwo białych, pochodzących z pasty do zębów, smug. I wiem, że w jej słowach jest mnóstwo racji, ale jest też coś innego. Przekonanie, że nawet mądre, wykształcone, poukładane nauczycielki mają prawo zrobić czasem coś strasznie głupiego i lekkomyślnego, bo hormony, feromony i czy jeszcze inne „-ony” sprawiają tylko i wyłącznie, że głupiejemy...

\*

– Daj mu szansę.

– Nie bądź głupia, daj mu szansę.

– Myślę, że powinnaś dać mu szansę.

Wrrr...

Jeśli jeszcze jedna osoba powie coś o dawaniu szansy, wyjdę z siebie i zacznę tupać uszami.

– Och, odczepcie się wszyscy ode mnie – mamroczę i zatykam uszy rękoma. Rękoma o pomalowanych na żółto paznokciach. Nigdy nie przepadałam za tym kolorem, ale skoro nie mam zbyt wielkiego wyboru, wybieram taką formę buntu. Dość dziwaczną, acz skuteczną.

– Ludzie, Milena, co ty zrobiłaś ze swoimi paznokciami?! – naskakuje na mnie Renata, kiedy widzi moje dzieło.

– Kochanie, czemu żółć? – pyta babcia.

– Jaki odjazdowy kolor! – piszczy Emilka.

Igor w ogóle tego nie komentuje. Nie zaszczyca mnie nawet spojrzeniem. Siedzi przy stole i skubie ceratę, wydaje się pogrążony w swoim świecie i swoich myślach.

Axel na widok mojej zmienionej dłoni zaczął gwałtownie mrugać ślepiami, co każe mi myśleć, że choć jest stary, nie jest jeszcze ślepy, a Ginger odskoczył ode mnie raptownie z głośnym miauknięciem. Chociaż akurat dziwne byłoby, gdyby zachował się w sposób spokojny i opanowany.

– Miałam ochotę zaszaleć – stwierdzam, wzruszając ramionami i unosząc wysoko podbródek. – I nie miałam innego koloru do pazurów ani odwagi, żeby obciąć lub zafarbować włosy – dodaję w myślach.

Babcia wzdycha ciężko. Renata stuka wskazującym palcem w swój policzek.

– Myślę, że Milenie odpiędziła z tego wszystkiego. Nie chodzi do pracy. Nie ma kontaktu z ludźmi. Nie uprawia seksu...

Igor podnosi głowę. Brew też podnosi. Wygląda przez to nieco zabawnie. Patrzy na mnie powątpiewająco, a ja czuję, że oblewam się rumieńcem. Choć mamy świetny kontakt, nigdy nie rozmawiamy o seksie. Nie z Igorem. Nie z osobą, z którą mogę pogadać o tym, że mama nie znosiła prasować, a tato zawsze chciał mieć motor. Nie z kimś, z kim łączą mnie najintymniejsze wspomnienia dotyczące mojej nieżyjącej już rodziny. Nie z kimś, kto będzie mnie wspierał, kiedy odejdzie nasza ostoja i opoka – babcia. Przełykam głośno ślinę. Zmienić temat, zmienić temat, zmienić temat...

– Chyba od następnego tygodnia wracam do pracy – mówię wesołym tonem.

– Co?! Zwariowałaś? Jesteś jeszcze osłabiona, a przedszkole to wylęgarnia infekcji... – atakuje mnie brat.

– Możemy dziś upiec murzynka, nie macie może ochoty na coś słodkiego? – mruczę więc, kręcąc młynka palcami.

– Nie mamy mąki. Zresztą cukru i jajek też nie mamy. Nie wiem, czym ty się żywisz. W twoich szafkach nic nie ma... – zaczyna zrzędzić babcia.

– Okej. Okej, okej, okej! – krzyczę.

Nawet wstaję i zaczynam machać rękami. Rękami o żółtych paznokciach.

– Zgoda. Wygraliście. Poddaję się! – stwierdzam podniesionym i równocześnie umęczonym głosem.

Wszyscy wpatrują się we mnie wyjątkowo uważnie. Nawet Emilka przerwała na chwilę kolorowanie i lustruje mnie uważnym spojrzeniem.

– Dam mu szansę. Zgodzę się na spotkanie – wyrzucam z siebie na wdechu i widzę ulgę, jaka ogarnia Renatę i babcie.

– Kurde. Chyba naprawdę brakuje ci seksu – stwierdza Igor, sięgając po wyłożone na talerzyk herbatniki w czekoladzie.

– A co to właściwie jest seks? – pytanie Emilki zawisa w powietrzu, a my wszyscy śmiejemy się donośnie, aż sąsiadka zza ściany zaczyna stukać w rury, co wywołuje u nas jeszcze większą wesołość.

\*

Mam taką zasadę, że prawie nigdy niczego nie żałuję. Nawet jeśli powinnam, bo podejmując jakąś decyzję bądź jej nie podejmując, cierpię, nigdy nie meczę się myśleniem: „Co by było, gdyby...”.

Nie żałuję, że po komunii nie ścięłam włosów, mimo że tę decyzję odwlekłam po dziś dzień i czasami muszę uważać, żeby nie zabić się na własnym warkoczu. Nie żałuję, że długo byłam dziewicą i że długo czekałam z moim pierwszym razem, choć teraz, kiedy mam przymusowy celibat, trochę mi szkoda tych niewykorzystanych miesięcy. Nie żałuję, że wybrałam studia pedagogiczne, choć wiem, że po informatyce zarabiałabym lepiej. Nie żałuję, że moje mieszkanie nie jest tak modnie i drogo urządzone, jak mieszkania innych ludzi. Nie żałuję, że kupiłam sobie nowe jasnoszare spodnie, choć mam pół szafy w szarym kolorze, co nie dość, że podkreśla szarość moich ponurych oczu, to jeszcze sprawia, że wyglądam bardziej przygnębiająco niż zwykle. I nie żałuję też, że siedzę właśnie w kawiarni, sącząc herbatę i grzebiąc beznamiętnie w szarlotce.

Siedzący naprzeciwko mnie Kamil ma na sobie szary sweter od Hilfigera, a przed sobą talerzyk z wuzetką i białą filiżankę z czarną kawą.

Nie żałuję też, że dałam mu się wyciągnąć na... spotkanie? Pociągam łyk earl greya i łypię na niego spod byka. Randkę. To zdecydowanie jest randka. Przynajmniej w jego mniemaniu... Czuję zapach jego perfum, nawet jeśli się nie rusza. Widzę, że ma krótkie, do bólu czyste paznokcie i że próbował okiełznać gęste kasztanowe włosy. Myślę, że gdybym przyjrzała się uważniej jego fryzurze, udałoby mi się w niej dostrzec połamane zęby od grzebienia...

Okej. Dalej tego nie żałuję. Gdyby nie to wyjście, wciąż tkwiłabym w domu z babcią na głowie i termoforem pod tyłkiem. I z Igorem w roli cerbera... A tak? Siedzę w wytartych džinsach i ulubionej bluzie (to, że Kamil jest na randce ze mną, nie oznacza wcale, że ja jestem na randce z nim...) i całkiem dobrze się bawię. Nie jestem spięta ani sztywna. On też zachowuje się naturalnie i tylko czasami widzę po nim, że się denerwuje. To chyba znak, że mu zależy. Boże. Chyba właśnie zaczęłam się stresować. Zbliżam widelczyk do ciastka i kroję je trzęsącymi się dłońmi. Szarlotka jest w moim stylu – same jabłka, szachownica z ciasta na wierzchu. Bez śmieci w postaci bitej śmietany, bezy czy lodów z waniliną zamiast wanilii. Kamil zadaje mi jakieś pytanie i przez chwilę próbuję wysilić tę część podświadomości, która czuwa, kiedy się wyłączam, żeby bez problemu przełączyć

się na tryb „odpowiedź”. Jednak po pięciu męczących sekundach ciszy, gdy Kamil wpatruje się we mnie z natarczywością psychopaty, dochodzę do wniosku, że muszę skapitulować i poprosić o powtórzenie pytania.

– Pytałem, czy smakuje ci ciastko – powtarza, a ja uśmiecham się gładko.

Phi. Lubię takie pytania, na które można odpowiedzieć bez wahania. Dlatego bez wahania mówię, że tak, ciastko mi smakuje. Dorzucam wspaniałomyślnie, że szarlotka to moje ulubione ciasto i żeby wypowiedź była jeszcze bardziej wyczerpująca, dodaję, że uwielbiam cynamon. Myślę, jakie błyskotliwe zdanie powinnam jeszcze z siebie wydusić, ale nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. Jestem milczkiem, nigdy nie mówię dużo i nawet nie wiem, czy umiem dużo mówić. Najwyraźniej też nie jestem taką znawczynią ciast, jak mi się zdawało, a moja wiedza na temat szarlotek również jest dość ograniczona. Zastanawiam się, czy nie powinnam powiedzieć na siłę czegoś zabawnego. W końcu grzeczna odpowiedź twierdząca, a nawet dorzucenie tak intymnego szczegółu jak upodobanie do przypraw korzennych nie należy do zbyt pasjonujących rzeczy. Pechowo nie należę do osób, które robią cokolwiek na siłę. Nie umiem na siłę jeść. Nie umiem udawać zadowolonej, kiedy jestem smutna. Nie siłę się na komentarz, kiedy nie mam nic do powiedzenia.

Dlatego też teraz robię minę jak rybka wyjęta z wody i zastanawiając się, czy jeśli będę zachowywać się jak osoba opóźniona w rozwoju, Kamil szybciej odpuści. Zostaję w tej pozycji i nawet nie próbuję wydukać nic mądrego. Dziesięć minut później wiem, że jednak nie. Nie odpuści. Uśmiecha się do mnie czarująco i zasypuje gradem pytań, anegdotek i żartów, a ja siedzę, wdycham zapach bergamotowej herbaty i cynamonowej szarlotki, potakuję, zaprzeczam, odpowiadam, śmieję się i – o dziwo – naprawdę miło spędzam czas.

\*

Wydaje mi się, że przeżyłam już dość sporo krępujących momentów w swoim życiu. Bieganie na golasa po plaży, kiedy rodzice wzięli mnie pierwszy raz nad morze, choć miałam już wtedy skończone cztery lata. Pomylenie słów wiersza, który deklamowałam na Dzień Babci w zerówce i ogień na policzkach, który rozlał się na mojej twarzy, kiedy cała widownia buchnęła śmiechem. Rozmowa o miesięczce z mamą, choć dwa tygodnie wcześniej dostałam okresu na lekcji matematyki. Rozpięcie się stanika na odkrytym basenie w wakacje po maturze, ku uciesze pływającej lub udającej, że lubią pływać, części męskiej populacji. Pierwszy seks, który bolał jak cholera, a że uprawiałam go z pierwszą i prawdziwą miłością swojego życia, zależało mi, aby zamiast grymasu bólu wykrzywiającego mi twarz obdarzyć ukochanego uśmiechem pełnym rozkoszy i satysfakcji. Oczywiście zamiast tego splamiłam jego pościel dziewiczą krwią, a z ust wymknęło mi się syczące: „Kurwa mać!”, kiedy po długich staraniach

i odpowiednio długiej grze wstępnej nastąpił ten długo oczekiwany akt defloracji, będący połączeniem obdzierania ze skóry z nabijaniem na pal. Oblanie egzaminu ustnego na drugim roku studiów, gdy z uporem włożyłam białą bluzkę z golfem, choć wiedziałam, że profesor stary wyga oblewa te studentki, które zamiast świecić biustem, chcą świecić wiedzą. Pierwsza wizyta u ginekologa i skrępowanie, kiedy lekarz kazał mi rozłożyć nogi na tym śmiesznym urządzeniu do badania i bezceremonialnie wsadził we mnie palec w białej chirurgicznej rękawiczce, po czym wyjął go i stwierdził, że mam „śliczną zdrową macicę” i „dni płodne jak cholera”. Szpitalne sikanie do baseniku podkładanego przez pielęgniarkę i modlenie się, żeby nikt nie wszedł do sali przy równoczesnym zaciskaniu kciuków, żebym nie obsikała sobie prześcieradła. Prośzenie brata o kupienie tamponów, bo angażowanie współpacjenta z hemoroidami w szczegóły swojego cyklu miesięcznego wydawało mi się jeszcze gorszą opcją. Nadejście Renaty, kiedy paradowałam po domu nago, bo właśnie wyszłam spod prysznic, wspomnienie jej miny i komentarza: „Wow, zapomniałam, jak wygląda się przed ciążą”.

Stanie pod blokiem z chłopakiem, który zaprosił mnie na randkę-nierandkę i który z uporem maniaka przysuwa się w moją stronę. A ja nie mam gdzie uciec, bo pod domofonem pajak wielkości pięcioletówki utkał sieć, w którą mógłby złapać syrenkę, gdyby wpadł na pomysł, żeby wrzucić tę sieć do wody.

Taaak.

Wychodzenie z basenu połączone z zakrywaniem drobnych piersi dłońmi i gorączkowe poszukiwanie wzrokiem turkusowego staniczka dryfującego na wodzie brzmi jak bajka w połączeniu z tym, jak zachować się pod mieszkaniem po pierwszej randce. Randce, która wcale nie miała być randką. Randce z facetem, którego lubię i szanuję, chociaż nic do niego nie czuję. Randce, która jest pierwszą randką po zerwaniu kilkuletniego związku i po niezobowiązującym seksie z nieznanym. Randce, która zakończyła się odprowadzeniem pod samiotkie drzwi bloku i staniem pod nimi od piętnastu minut, co nie dość, że jest dla mnie trudne przez wyżej wspomnianego pajaka wielkości pięcioletówki, to jeszcze nie jest proste ze względu na świadomość, że babcia z pewnością obczaja całą tę sytuację z okna.

Kiedy więc Kamilowi kończą się pomysły, jak jeszcze mnie zabawić, rozśmieszyć, zaabsorbować, zachęcić do siebie i zbałamucić, robię jedyną mądrą i zarazem najbardziej tchórzliwą rzecz, jaką można zrobić w tej sytuacji.

Podciągam rękaw kurtki. Wymownie patrzę na zegarek. Robię przesadnie wielkie oczy na widok niepodświetlonej tarczy zegarka, który dostałam na bierzmowanie od chrzestnej, choć muszę porządnie wysilić oczy, żeby dostrzec potencjalną godzinę. Wzdycham teatralnie, spuszczaając efektownie rękaw. Robię zboląłą minę i równie zboląłym głosem oznajmiam, że muszę już iść. Po czym –



bezczelnie nie dziękuję za mile spędzony wieczór i nie proponuję soku, kawy, drinka ani seksu na ladzie, tylko wymykam się na bezpieczną odległość od Kamila (zachowując też zdrowy dystans od pająka), strzelam przeproszającym uśmiechem pod tytułem „Nie zatrzymuj, nie zagaduj, odejdz w pokoju” i znikam w czeluściach klatki schodowej.

\*

Czy ja w ogóle powiedziałam mu „cześć”? Ta myśl wpada mi do głowy, kiedy pochylam się nad brodzikiem prysznicowa i nakładam na końcówki włosów maseczkę o zapachu mango. Podnoszę się gwałtownie, rozpryskując białą egzotycznie pachnącą maź na szklanych drzwiach kabiny. Mamrocząc pod nosem angielskie wulgaryzmy (wydaje mi się, że mają mniej szkodliwe działanie, skoro nie są wypowiedzane w rodzimym języku), wycieram kabinę rąbkiem ręcznika, w który dwie sekundy później zawijam swoje długie blond włosy. Odsączam nadmiar wody, próbując równocześnie odsączyć z mózgu natarczywie pchające się do głowy myśli. Dlaczego zachowałam się jak totalna kretyńska? W dodatku – niewychowana i niekulturalna kretyńska... Korci mnie, żeby sięgnąć po komórkę i wystukać dziękczynnego i ociekającego słodyczą esemesa, że Kamil wyrwał mnie na chwilę ze szponów nadopiekuńczej babci i przewrażliwionego brata, ale wiem, że w zasadzie moje chłodne zachowanie było właściwe. Skoro jestem chłodna emocjonalnie i nie chcę się angażować, oziębłe zachowanie jest jak najbardziej prawidłowe. W końcu nie ma nic gorszego niż dawanie fałszywych nadziei i udawanie kogoś, kim się nie jest. Czyli w moim przypadku – udawanie cieplej kluchy, którą nigdy nie byłam, nie jestem i zapewne już nie będę.

Czując się usprawiedliwiona, z dużo lżejszą duszą i głową ciężką od turbanowego ręcznika wilgotnego od twardej wody z moich starych rur, kończę wieczorną toaletę i wychodzę na przedpokój, gdzie niczym szpieg ze szkłem powiększającym czeka moja babcia z opadającymi na nos okularami w szylkretowej oprawie. Włosy ma w nieładzie, wzrok błędny, a w rękach ścisła zmierzwioną gazetę z krzyżówkami.

– Kochana! Jak dobrze, że wyszłaś wreszcie z tej łazienki! – woła i sama nie wiem, czy w jej głosie słyszę entuzjazm, przerażenie czy podniecenie.

– Co się stało, babuniu? – pytam, biorąc ją za rękę.

Gaz się ulatnia? Telewizja Trwam nie odbiera? Ginger nie oddycha?

– Jak to co? Dziecko! Opowiadaj mi szybko, jak było na randce! – mówi z zapalem i z roziskrzonymi oczami, a ja przez chwilę milczę, trawiąc jej słowa.

Wreszcie robię coś zupełnie nieoczekiwanego dla siebie, dla babci i najwyraźniej dla Gintera, skoro zamiast z donośnym prychnięciem uciec pod kanapę, on zaczyna się łąsić do moich nóg w piżamie w kropki. Wybucham rzewnymi łzami i czując ich słony smak na języku, wyduszam z siebie przeciągły

jęk, oznaczający wszystko i zarazem nic.

\*

Tak to się kończy. Właśnie dlatego nie powinno się chodzić do łóżka z niewłaściwą osobą. Mówiąc o „chodzeniu do łóżka” mam też na myśli spontaniczny seks w samochodzie. Nie powinno się tego robić. Szczególnie, kiedy jest się sztywną, smętną i melancholijną długowłosą dwudziestosześcioletką po przejściach. Wiedziałam o tym, nawet zanim wylądowałam w fotelu, pod kraciastym kocem, z pękatym kubkiem herbaty rumiankowej z miodem, z psem leżącym na moich kapciach i babcią siedzącą na kanapie z wzrokiem wbitym w moje zapłakane oczy.

– Aniołku mój kochany, ja naprawdę nie rozumiem powodu twoich łez... – mówi ciepłym tonem, a ja nagle wiem, jak czują się moje przedszkolaki, kiedy przyjmuję taki „dorosły” i nieco pretensjonalny ton.

Odkłada na stolik filiżankę i głaszcze mnie po kolanie. Przelykam falę goryczy, która podchodzi mi do gardła. A może to żółć. Niemniej jednak – atakuje mnie swą goryczą. Wiedziałam, że kiedyś nadejdzie ten moment, kiedy zimna Milena dopuści do głosu uczucia.

Miałam jednak cichą nadzieję, że stanie się tak, kiedy zobaczę na teście ciężowym dwie kreseczki (przyjmując, że będę chciała je zobaczyć), usłyszę bicie serca swojego nienarodzonego jeszcze dziecka podczas badania KTG (przyjmując, że będę chciała je usłyszeć) albo dotykając maleńkich paluszków zaciśniętych odruchowo na swojej dłoni (przyjmując, że będę chciała ich dotykać). W każdym razie – miałam na myśli jakąś ważną albo przynajmniej wzniosłą chwilę. Nie miałam pojęcia, że otworzenie serca i rozłożenie nóg przed niewłaściwym facetem tak rujnuje postanowienie bycia zdystansowaną i niezależną kobietą. Nie sądziłam, że tak szybko skruszy moje twarde serce. Nie pomyślałam, że złamie moje postanowienia, zmieni poglądy, zniszczy zawziętość. Czuję się żałośnie, mocząc koc swoimi łzami. Zdaję sobie sprawę z tego, że powód mojego płaczu jest banalnie głupi.

Chociaż w zasadzie... Sama do końca nie wiem, czemu płaczę. Bo ktoś się mną zainteresował? Bo komuś na mnie zależy? Bo dla kogoś przyjemne jest picie ze mną herbaty i rozmawianie o wszystkim i o niczym? Tak. Chyba właśnie dlatego. Jakże prostsze byłoby życie, gdyby nikt nie zawracał sobie mną głowy...

Trwało to wprawdzie całkiem krótko, z uwagi na fakt, że przez cztery lata miałam chłopaka, przez chwilę zgrywałam samowystarczalną singielkę, potem wzdychałam do faceta, który potraktował mnie jak jednorazową atrakcję, a następnie wpadłam w oko pielęgniarzowi, którego byłam pacjentką... Mimo wszystko było mi dobrze. Samej. I dalej jest mi dobrze. Bo dalej jestem sama. Uśmiecham się przez łzy i uspokajająco klepię babcię po kolanie.

– Nie martw się. Jestem po prostu przed okresem. Przecież jestem twarda i silna. Żadnych łez... – śmieję się nieco w wymuszony sposób i biorę łyk herbaty.

Parzy mnie w język, gdy widzę podejrzliwy wzrok babci, mierzący mnie czujnie znad filiżanki z rumiankiem.

\*

Zawsze uważałam, że nie ma lepszej terapii niż sprzątanie. Wprawdzie nie przywraca ono życia zmarłym, nie reperuje domowego budżetu ani nie leczy złamanego serca, ale mimo wszystko pomaga. Odrywa umysł. Zajmuje ręce. I myśli – przede wszystkim. Dlatego od rana sprzątam, myję i pucuję. Zaczęłam od odkurzania, mycia podłóg, ścierania kurzy i polerowania okien. W każdym pomieszczeniu.

Potem zrobiłam krótką przerwę na drugie śniadanie złożone z jogurtu i muesli, a następnie wzięłam się za sprzątanie szafek w kuchni. Wyrzuciłam opakowanie z dwoma woreczkami ryżu, w których latały trzy spalone przez zimę mole. Pozbyłam się przeterminowanego majeranku, zwietrzałych płatków kukurydzianych i spleśniałych orzechów włoskich. Potem przejechałam palcem po górnych szafkach i okapie i zdębiałam na widok tłustego kurzu na moich długich palcach pianistki. Niedoszłej pianistki, bo do instrumentów jakoś nigdy nie miałam po drodze. Wdrapałam się na chybotliwy taboret i umyłam stary kredens ciepłą wodą z mydłem marsylskim. Następnie zrobiłam małą roszadę w garnkach, miskach, kubkach i pojemnikach na żywność, rozmroziłam lodówkę, wywaliłam z niej zwiędnięty koperek i nadgnite marchewki, a potem wylałam do kibla skwaśniałe mleko.

Mniej więcej wtedy wybiła dwunasta w południe i mniej więcej wtedy poczułam, że plecy mam mokre i lepkie od potu. Wzięłam więc szybki prysznic, przetarłam czoło i policzki białym, puchatym ręczniczkiem, na którym zostawiłam ciemne smugi pyłu i kurzu, związałam włosy w prowizoryczny koczek, przepasałam czoło czerwoną bandanką i wzięłam się do dalszej pracy.

Kiedy brodzik, kabina, wanna, lustro, bidet i sedes lśniły nieskazitelną bielą, ręczniki zostały wymienione na świeże i puchate, kosmetyki ułożone na półkach błyszcząły od polerowania ich wilgotną ściereczką do ścierania kurzu, a w płytkach można było robić przegląd wszystkich swoich pryszczycy i zaskórników na nosie, przeszłam do sypialni.

Zmieniłam przepoconą i nieświeżą po chorobie pościel, otworzyłam okno na całą szerokość, zaglądnęłam do szafy, żeby powyrzucać z niej niepotrzebne rzeczy, a zimowe ciuchy przenieść do pawlacza.

I wtedy zamarłam. Chyba zdążyłam już zapomnieć o bluzce z kotem. Chyba wyparłam ją z pamięci. Chyba w tym momencie doszłam do wniosku, że mam dość porządków. Właśnie wtedy z takim impetem i hukiem zamknęłam szafę, że aż

usłyszałam brzdęk zsuwających się z drążka wieszaków, objających się od dna szafy z denerwującym rytmicznym echem, a ten smętny rytm towarzyszył mi później przez resztę dnia.

\*

To samo nie przejdzie. Na pewno nie teraz. I nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek... Mówiąc to, sama nie wiem dokładnie, co mam na myśli. To zauroczenie? To marzenie? To złudzenie....?

Mimo że nie wiem, jak to nazwać, wiem jedno. Wiem, że nie umiem i nie będę umiała się tego pozbyć. Choćbym nie wiem jak się starała, choćbym nie wiem jak próbowała. Choćbym wypierała to ze swojej głowy. Choćbym nie wiem co robiła. Jak można zapomnieć o czymś, czego nie umie się zdefiniować i co zajmuje większą część mózgu? Jak można wyrzucić z głowy coś, czego nie można nazwać, określić, opisać słowami? Jak można nakierować myślenie na coś zupełnie innego, skoro nieustannie do moich zwojów mózgowych pcha się jedna myśl?

Mam wrażenie, że mój mózg został przejęty przez kogoś innego. I dziwi mnie, jak to możliwe, że osoba, która ponoć nie wierzy w miłość, większość myśli kieruje w stronę osoby, do której wydaje jej się, że żywi jakieś uczucia. Bo wciąż je żywię. Choć naprawdę nie wiem, jakie to uczucia. Nie znam się na uczuciach. Nie umiem ich rozpoznać, nie umiem o nich rozmawiać. Na pewno nie jest nim obojętność. Czy to na pewno miłość??? Nie wiem. Bo właściwie więcej nie wiem, niż wiem.

A co wiem? Wiem, że to boli. I to w najgorszy z możliwych sposobów, bo jeśli nie mogę wytropić źródła bólu, nie mogę go też ukoić. Ból jest czysto psychiczny, choć męczy bardziej niż fizyczny.

Ten ból jest czymś w rodzaju ćmienia w skroniach i skurczy w trzewiach. Pulsuje, jarzy, jątrzy się, dusi, pali. A przy tym jak wprawny przemocnik nie pozostawia po sobie żadnych śladów poza wyżłobionymi podkówkami na udach po zaciskaniu paznokci, kiedy słyszę gdzieś imię: „Adam”.

\*

Normalnie wybicie sobie z głowy kretyna czy frajera byłoby łatwizną. Adama nie mogłam sobie wybić nie dlatego, że zapewnił mi orgazm życia i dlatego, że mnie pociągał, ale dlatego, że uważałam, iż jako jedna z niewielu osób nie odebrałam go powierzchownie. Miałam wrażenie, że poznałam go bliżej, dotarłam głębiej. Całkiem nieświadomie i niezbyt intencjonalnie. Po prostu spędziłam z nim tyle czasu, że zaczął się przy mnie zachowywać naturalnie, a ja wyciągnęłam z tego naturalne wnioski. Po prostu obserwowałam go w tylu różnych sytuacjach, że miałam jego pełen obraz. Po prostu widziałam to, jaki był, a nie jaki chciał być. A może wyidealizowałam go do tego stopnia, że chcę go takim widzieć,

żeby usprawiedliwić to, że wciąż do niego wzdycham, podczas gdy on zapomniał o tym, że żyję...

\*

Przełamuję monotonię swoich szarych, smętnych dni i dla odmiany – robię zakupy. Ciuchowe zakupy. Nie jestem ich fanką, o nie. Ogólnie jestem dość dziwna, jeśli chodzi o bycie kobietą. Makijażu praktycznie nie nakładam, choć bez tuszu moje jasne rzęsy nadawałyby mi wygląd albinoski, więc codziennie prawie wydłubuję sobie oczy, próbując pokryć rzęsy idealną warstewką czarnej maskary.

U fryzjera nigdy nie byłam, bo oprócz regularnego podcinania końcówek, nie eksperymentuję z włosami. Chyba że za eksperyment przyjmiemy zmianę szamponu albo szarpnięcie się na droższą odżywkę.

Nienawidzę plotek, drażnią mnie sztywne sukienki i nie mam ani jednej pary szpilek. Nie stać mnie też na szaleństwa w postaci pobytu w SPA, wizyty u kosmetyczki czy odwiedzanie sklepów z luksusową odzieżą. Mam parę porządniejszych ulubionych ciuchów, reszta to głównie rzeczy wygrzebane z koszy z napisem: „Przecena 50%” albo „Tania odzież z Zachodu”. Nie jestem niewolniczką mody, nie lecę na markowe znaczki ani oryginalne metki. Jedyne markowe rzeczy, jakie mam, to komplet bielizny, który dostałam jeszcze w poprzednim życiu (za kadencji Pawła), buty do biegania, w których świetnie prowadzi się samochód i sportowy stanik do ćwiczeń, którego w zasadzie nie potrzebuję, bo ani nie ćwiczę, ani nie mam czego powstrzymywać przed skakaniem.

Nie mam parcia na kasę. W zasadzie to nigdy nie miałam ochoty na pieniądze, drogie i luksusowe życie. Nasz rodzinny dom był ciepły i przytulny. Beżowa kanapa z tłustą plamą po oliwce, krzesła nie od kompletu i zagracony butami przedpokój rekompensował fakt, że w swoim domu czułam się najlepiej i najbezpieczniej pod słońcem. Miałam w nim tyle ciepła i zrozumienia, że nie wiem, czy kiedykolwiek tyle znów dostanę.

Mieszkanie, które teraz mam, jest efektem ciężkiej pracy, oszczędzania oraz oczywiście pomocy babci i brata. Żeby je kupić musiałam wziąć kredyt, który czasami spędza mi sen z powiek. Odważyłam się jedynie pomalować ściany, zainwestować w prysznic, żeby choć trochę zapełnić wielką łazienkę i kupić łóżko, żeby nie nadszarpywać swojego skromnego nauczycielskiego budżetu.

W kuchni wciąż stoi stary kredens poprzednich właścicieli, wanna to przedpotopowy model na nóżkach (i jeśli myślicie, że wygląda romantycznie i oryginalnie to od razu dodam, że jest popękana i przeżarta przez rdzę), meble trzeszczą i skrzypią, a spróchniałe drzwi i okna z odłazającą całymi płatami białą farbą wołają: „Wymieńcie nas na plastiki!”.

Kocham jednak swoje cztery kąty i nawet to, że po zapłaceniu rachunków,

spłacie raty kredytu i zrobieniu zapasów w szafkach i lodówce nie zostaje mi zbyt wiele w portfelu, nie jest dla mnie problemem. Nie widzę potrzeby jarania się spęczniałym od banknotów portfelem czy wpływającymi na konto środkami. Nie widzę sensu kupowania samochodu, skoro mieszkam w małym miasteczku, gdzie wszędzie można dojść pieszo. Ale widzę sens urządzenia sobie zakupowego szaleństwa, kiedy siedzę ciągle w domu, codziennie toczę batalię z porcją leków jak dla narkomana i nieudolnie próbuję okiełznać swoje uczucia i poskładać życie do kupy.

Zanim wyjdę z domu, trzy razy sprawdzam, ile mam przy sobie pieniędzy i wolnych środków na karcie. Jeśli zbyt szybko się nie rozpędzę, będę miała co jeść do następnej wypłaty. Uśmiecham się sama do siebie, bo przecież jestem rozsądna i nigdy nie wydaję więcej, niż mogę.

A potem kupuję czarne legginsy w Calzedonii, które podkreślają smukłość moich nóg, ciemnogranatowe dżinsy, trzy bluzki w stonowanych kolorach (czarno-biała, błękitna, szara) i kiedy portfel zaczyna już powoli świecić pustkami, w ostatniej chwili szarpię się na sukienkę przed kolano w kolorze swoich oczu, przez co szanse na codzienny ciepły obiad spadają do zera.

\*

Makaron z serem smakuje wyśmienicie. Zwłaszcza kiedy je się go na kanapie, na której oparciu przewalają się zdobyte rzeczy. Kluska staje mi w gardle, gdy Ginger próbuje złapać rąbek nowej sukienki. Fuczę na niego z pełnymi ustami. Mierzy mnie chłodnym wyrafinowanym spojrzeniem kocich oczu i unosząc dumnie ogon, odchodzi majestatycznym krokiem. Mógłby choć raz dla odmiany odejść w podskokach albo puścić się pędem niczym strzała, a nie wiecznie chodzi jak połączenie lorda z arystokratą...

Biorę do ust ostatni widelec i popijam skromny posiłek szklanką soku z marchewki. Ledwie udaje mi się wstać z kanapy, kiedy dzwoni moja komórka. Renata. Odbieram i przytrzymując telefon ramieniem, idę myć talerz w przestarzałym zlewie, który również nadaje się do wymiany.

– Hej. Emilka chciałaby zaprosić cię na przedświąteczną konsumpcję czekoladowych jajek i orzechowego mazurka, jeśli oczywiście masz na to ochotę...

– Słyszę jej ironiczno-ochrypnięty głos i od razu decyduję się potwierdzić swoją obecność na tej zaimprovizowanej uroczystości. Nie tylko dlatego, że po biednym obiedzie wciąż jestem piekielnie głodna.

Założenie nowej sukienki czy obcisłych legginsów wydaje mi się zbyt ekstrawagancją, ale nowa szara bluzka z rękawami trzy czwarte idealnie pasuje do jasnych dżinsów i błękitnej kurtki.

Poprawiam Gingerowi humor, sypiąc mu do miseczki kilka mięsnych pasztecików (*merde*, zapomniałam, że kończy mu się karma. Czarno widzę nasze

kolejne dni głódówki) i wychodzę z mieszkania.

Chłonę przedwiosenne powietrze i napawam się widokiem pączków na drzewach. Zapominam się do tego stopnia, że słyszę dzwonek telefonu dopiero, kiedy dochodzi do fragmentu piosenki, do którego nigdy nie daję mu dojść. Wyciągam go pośpiesznie z torebki, ale osoba po drugiej stronie zdecydowała się już na przerwanie połączenia. Kamil. Od razu oddzwaniam, częściowo z poczucia obowiązku i winy, a częściowo dla przyjemności podzielenia się z kimś miłym nastrojem. Dzwoni oczywiście po to, żeby mnie gdzieś wyciągnąć. Czuję, jak jego mina rzednie, kiedy zawile tłumaczę mu, gdzie i po co idę, a także że nie wiem, kiedy wrócę i kiedy będę mieć czas na pogaduchy. Tknięta jakimś nagłym impulsem proponuję mu, żeby dołączył do mnie i śmieję się sama do siebie, że raczej będzie wolał skoczyć z mostu, niż zechce spędzić wolne popołudnie w towarzystwie samotnej matki z chorym dzieckiem, starszej kobiety ze schorowanym psem i bladej dwudziesto-sześcioletki.

Ku mojemu zdziwieniu Kamil ochoczo się zgadza, wypytuje o adres Renaty i o to, co powinien ze sobą przynieść. Jestem tak zdziwiona, że machinalnie dyktuję mu listę zakupów, zanim rozłączam się i przechodzę przez przejście dla pieszych. Kwadrans później przybywa Kamil. Z koszykiem pełnym czekoladowych jajek, opakowaniem ciastek i butelką likieru.

– Umiesz – witam go niekonwencjonalnie.

– He?

– Umiesz się wkupić w łaski brygady samotnych kobiet i dziecka – puszczam mu oczko.

– I schorowanego psa – mówi, machając mi przed nosem żółtym opakowaniem psiego smakołyku.

– Nie wiem, czy zdoła je pogryźć, skoro już prawie nie ma zębów... – parszam śmiechem, ale tak naprawdę wiem, że Axel będzie wniebowzięty.

Po godzinie wiem, że nie tylko on. Babcia wpatruje się w Kamila z zachwytem, Renata nie warczy i nie wyzłośliwia się jak zwykle, Emilka siedzi mu na kolanach i podziwia samoloty, które robi dla niej z papieru, a Axel leży pod jego nogami i niewiele brakuje, by ze szczęścia zaczął go lizać po stopach. Kamil też wydaje się zadowolony. Rozmawia z babcią o profilaktyce osteoporozy, Renacie opowiada o swoich rodzicach, Emilkę rozumie jak równolatak. Co – o dziwo – zamiast mnie cieszyć, to drażni. Dość mocno drażni. Dlaczego? To proste. Nie chcę, żeby spoufalał się z moją rodziną. I nie chcę, żeby oni patrzyli na niego z takim... przyzwoleniem. Tak. Przyzwolenie. Właśnie to mu dają. Przyzwolenie, żeby wziął mnie w obroty i zapewnił inne rozrywki niż oglądanie *Wspaniałego stulecia* z babcią i nocne czytanie thrillerów.

Naburmuszam się jak mała dziewczynka, sącząc bezmyślnie sok. Likieru oczywiście mi nie wolno – leki. Kamil wybucha gromkim śmiechem, gdy podnosi

Emilkę i sadza ją na swoich ramionach. Babcia zaczyna farbować pisanki. Renata obdarza mnie krzywym uśmiechem. Przez moment mam zamiar zrobić dobrą minę do złej gry i zacząć bawić się równie dobrze, jak reszta, ale w ostatniej chwili zmieniam zdanie.

Chociaż wszyscy kręcą się i uwijają w kuchni, ja siedzę nadąsana na taborecie i skubię drożdżówki z serem wyłożone na talerzyku. Mamroczę pod nosem, że nie cierpię Wielkanocy, kiedy wydrapuję bazie na pisance w kolorze zgniłej kapusty, odsuwam od siebie talerzyk z ciastem, odmawiam zabawy w poszukiwaniu czekoladowych jajek schowanych za zasłonami i w mikrofali, a na koniec strzelam focha, kiedy Emilka prosi Kamila, żeby jeszcze ją kiedyś odwiedził.

\*

Dalej nie mogę wrócić do pracy. Prawie się popłakałam, kiedy to usłyszałam z ust ponurego lekarza w śnieżnobiałym i sztywnym od krochmalu fartuchu. Dyrektorka przedszkola wciąż jest wyrozumiała i przekonuje mnie, żebym wzięła sobie wolne nawet i do końca roku szkolnego (niedoczekanie!), a potem przypomina o nasiadówkach z kory dębu i leczniczych właściwościach soku z korzenia pietruszki.

Babcia jest zadowolona, że nie będzie musiała spędzać samotnie przedpołudni, a Renata klaska w dłonie, że zostawi ze mną Emilę, kiedy babcia zacznie zabiegi na kolano. Igor na swoje szczęście robi zmartwioną minę i nie odzywa się słowem, dzięki czemu unika sprawdzenia, jak wygląda prawy sierpowy w moim wykonaniu. A Kamil zapowiada, że odwiedzi mnie wieczorem i poprawi mi nastrój. Brzmi to na tyle tajemniczo, że postanawiam dać mu szansę. I tak nie miałam nic ciekawszego do roboty, jeśli mam być szczerą. Kiedy więc po szóstej dzwoni dzwonek, otwieram drzwi w wyświechtanych dresach i bawełnianej bluzce, która lata świetności ma dawno za sobą. Kamil szczerzy się w szczerym uśmiechu zadowolonego z życia faceta. Wtyka mi w dłoń bezalkoholowe piwo, zsuwając z nóg zamszowe buty, zaczyna bawić się z Gingerem, po czym wyciąga z reklamówki matę do gry w Twistera.

– Umiem? – strzela uśmiechem i choć w pierwszej chwili mam ochotę zdzielić go po głowie za jego optymizm, entuzjazm i nieustanne starania, po pięciu sekundach wyszczerzam się równie szeroko.

\*

Jeszcze nigdy nie czułam się tak beztrosko. Zawsze musiałam się hamować. Bo byłam dziewczynką. Bo byłam w kościele. Bo pani w szkole patrzyła. Bo chłopak wypatrywał podejrzanych oznak, czy nadaję się na żonę. Bo dyrektorka patrzyła spod byka na moje nowatorskie metody nauczania. Teraz nic nie muszę.



Wręcz przeciwnie – mogę wszystko. Mogę grymasić, marudzić i psioczyć, bo muszę siedzieć w domu. Mogę być niemiła, wredna i przykra, bo źle się czuję po nowych lekach. Mogę się czepiać i wyżywać, bo wszyscy chodzą wokół mnie na paluszkach. I choć próbuję, nie mogę zniechęcić do siebie Kamila. Ciągłe do mnie przychodzi, jak nie przychodzi, to dzwoni, jak nie dzwoni, to pisze. Najczęściej jednak przychodzi. Zadowolony i szczęśliwy, jak gdyby fakt, iż może spędzać popołudnia w towarzystwie moim i mojego napuszonego kota, był najwspanialszym sposobem na wczesnowiosenne dni.

Zużyłam całe zapasy energii, żeby przekonać go jak niedobra i trudna jestem. Pokazałam mu zawartość swojej szafki i objaśniłam, z czego ostatnio robiłam sobie kotlety (z ciecioriki), chodziłam przy nim bez makijażu, strasząc go trupiobiałymi rzęsami. Powiedziałam mu, że lunatykuję, że nie chcę mieć dzieci, że zawsze marzyłam, by przejść na buddyzm, a w lecie zamierzam odżywiać się tylko tym, co spadnie z drzewa. Nic. Zero reakcji. Odparł tylko, że jego mama robi genialne kotlety z soczewicy, że on sam kocha naturalność i naturalne dziewczyny, dzieci ma dostatecznie dużo w pracy, wszystkie religie polegają w gruncie rzeczy na tym samym, a on sam w lecie planuje odżywiać się energią słoneczną (przy tym ostatnim oczy zabłyszczały mu podejrzenie, a dołek w policzku zdradził skrywany uśmieszek).

Byłam też wulgarna (kreski na powiekach, niecenzuralne słowa co pięć sekund), przesadnie słodka („Kamilku, a może chcesz zjeść ciasteczko z marmoladką?”), dziecinna (skakanie po tapczanie, kiedy oglądaliśmy mecz), złośliwa (powiedziałam, że ma beznadziejny kształt małżowiny usznej i niesymetryczną twarz) i nudna (dwie godziny beznamiętnym tonem opowiadałam mu o studiach, skupiając się głównie na nazwiskach wykładowców i relacjonowaniu wykładów z filozofii).

Zaciągnęłam go do sklepu zielarskiego, gdzie kazałam sprzedać sobie najbardziej gorzkie i najbardziej zdrowe ziółka i połam go nimi w sobotnie popołudnie, kiedy sama dudliłam przez słomkę sojowe mleko czekoladowe. Przez godzinę opowiadałam mu o metodach pracy z dziećmi, pokazując mu program nauczania i dziecięcy elementarz. Kiedy przyszedł na kawę, ja wieszałam przy nim pranie na połamanej suszarce i kaloryferach, zamiatałam kuchnię i na wychodne wręczyłam mu worek ze śmieciami, mówiąc, że może je przy okazji wynieść.

Wypożyczyłam film instruktażowy, jak wprowadzać się w trans i częstując Kamila pokrojonymi w słupki surowymi marchewkami i selerem naciowym, nadawałam o tym, że chyba powinnam wytatuować sobie trzecie oko na czole.

Zaproponowałam mu wspólny wyjazd na płukanie jelita grubego i zmusiłam do wypicia gluta z siemienia lnianego. Jeszcze trochę, a spróbowałabym wydepilować mu klatę depilatorem albo zafundowałabym hirudoterapię, ale jakaś część mnie wiedziała, że to na nic. Bo w końcu dotarło do mnie, że trafiłam na

wyjatkowo odporny na zniechęcenia materiał. I że nic nie powstrzyma go przed wpatrywaniem się we mnie z pasją i lekką dozą pobłażliwości i nic nie zniechęci go do spędzania ze mną jak najwięcej czasu. Ani nalewka z orzecha włoskiego, ani maseczka z awokado w kolorze niemowlęcej kupy zdobiąca moje policzki, ani nawet szeptanie buddyjskiej mantry podczas zajadania ciasta z buraków bez cukru.

Ostatecznie doszłam do wniosku, że albo jest tak zdesperowany, albo po prostu kręca go dziwne dziewczyny. Koniec końców przestałam go w końcu testować i zaczęłam zachowywać się normalnie. O ile bycie ponurą i wiecznie zamyśloną nauczycielką przedszkola, małomówność i spokojne usposobienie przy równoczesnym uwielbieniu thrillerów i gadanie do rudego kota mieści się w granicach normy...

\*

Święta Wielkanocne spędzam o wiele radośniej niż te bożonarodzeniowe. Zapewne dzieje się tak głównie za sprawą Emilki. Emilki, która podnieca się święceniem koszyczka i dekorowaniem mieszkania żółtymi i zielonymi kurkami z plastiku i którą nade wszystko cieszy pieczenie znieawidzonych przeze mnie słodko-mdławych mazurków.

Zmuszając się poniekąd do stania przy ladzie i mieszania masy, pozwalam jej wylizywać miskę i wyjadać czekoladowe groszki. Axel – o dziwo – nie sępi łąkoci, tylko drzemie pod stołem. Igor robi sałatkę jarzynową i ma wzrok równie głodny, co tajemniczy. W sumie dość dawno nie mówił nic o swoich perypetiach miłosnych. To ja zdominowałam nasze życie. Ja, moja praca, do której chwilowo nie chodzę, moja nerka i mój prywatny pielęgniarz.

– Igor, co u ciebie słyhać? – pytam więc w pewnej chwili, kiedy zaczyna kroić gotowaną marchewkę w idealnie równe kwadraciki.

Przerywa na chwilę, ręka z nożem zamiera w powietrzu, a sam obiekt moich rozmyślań unosi w zdziwieniu brwi.

– Jak to co u mnie słyhać? Przecież widzimy się prawie codziennie – odpowiada wreszcie, przytupując nerwowo nogami.

Oho. Coś jest na rzeczy. Może i kiepska ze mnie flirciara, za to psycholog rodzinny – wyśmienity.

– Wiesz, co mam na myśli... – przeciągam znacząco i dodatkowo mrugam kilka razy oczami, przesyłając mu niewidzialny komunikat: „Brat, jak twoje relacje damsko-męskie?”

Emilka, która od rana kłapała dziobkiem jak najęta, teraz zamilkła, skupiając się na wylizywaniu drewnianej łyżki. Po jej minie widzę, że spija każde słowo z naszych ust. Igor przybiera nieprzenikniony wyraz twarzy.

– A zresztą! – macham nerwowo ręką i odwracam się niechętnie.

Nie będę nikogo ciągnąć za język. Będzie chciał, to sam coś powie. Ja sama

też nie lubię mówić o sobie i swoich problemach. Może to rodzinne. Czuję, że ktoś szturcha mnie od tyłu w kręgosłup i choć pierwsze podejrzenie pada na Emilkę i jej nieposkromiony apetyt na słodczyce i psikusy, okazuje się, że to mój brat marnotrawny.

– Piwo. Dziś wieczorem – wyrzuca z siebie teatralnym szeptem.

– Zgoda – szepczę równie teatralnie i wracam do ozdabiania mazurka wiórkami kokosowymi i zblanszowanymi migdałami, które cudem udaje mi się wyrwać z pulchnych i wymazanych czekoladą łapek Emilki.

\*

– ...a teraz sam nie wiem, co mam o tym myśleć – kończy swój wywód Igor i patrzy na mnie wyczekująco.

To chyba ta chwila, kiedy powinnam wydusić z siebie coś mądrego.

– Eeee... – wydobywa się z głębi mojego gardła. – Yyyy...

Igor wybucha śmiechem. Ja też śmieję się sztucznie. Sama nie wiem, co jest gorsze – to, że Igor wplątał się w podobną historię jak ja, czy to, że doskonale wiem,

co powinien zrobić on, więc wygląda na to, że powinnam też wiedzieć, co powinnam zrobić ja.

– Wiesz... Skoro przespalała się z tobą tylko dla przygody i skoro jest zadeklarowaną singielką, bojącą się zobowiązań, to myślę, że nie powinieneś mieć pretensji, że przestała się z tobą kontaktować – mówię z wysiłkiem, powoli artykułując każde słowo.

– Okej, nie musimy się od razu wiązać. Możemy pójść gdzieś pogadać albo iść razem na ściankę. Ale nie rozumiem, dlaczego całkowicie zerwała kontakt. Przestała odpisywać na esemesy. Nie odbiera telefonu... – Igor wygląda na podłamanego.

„Bo jej nie zależy” – mam na końcu języka, ale udaje mi się powstrzymać wypowiedzenie tego zdania na głos.

– Może się boi.

– Czego? Wyjścia na kawę? – Znów markotna mina.

– Jesteś pewien, że coś do niej czujesz...? – pytam badawczo.

Patrzy na mnie z ukosa.

– Nie ma chwili, żebym o niej nie myślał, nie umiem wyrzucić jej z pamięci, więc tak, myślę, że traktuję ją poważniej niż dziewczynę na jedną noc.

– Możesz więc zrobić tylko jedno. Pogadaj z nią szczerze i powiedz, co czujesz. Przecież ona nie jest jasnowidzem. Nie wie, że ci się podoba.

– Boję się, że powie mi wprost, że byłem jej rozrywką na samotny sobotni wieczór... – mówi Igor smętnie i upija duży łyk z kufła.

– Najwyżej wtedy oboje będziemy leczyć złamane i odrzucone serca –

odpowiadam bez namysłu i już po sekundzie żałuję swoich słów.

– Jak to? Przecież sama zerwałaś z Pawłem... – patrzy na mnie jak na wariatkę.

Czuję, że się rumienię, kiedy kłamię jak z nut:

– Och, no wiesz. W końcu to trwało cztery lata – stwierdzam, myśląc równocześnie: „W końcu to trwało aż czterdzieści pięć minut”.

\*

– Jesteś pewna, że nie chcesz jechać z nami? – dopytuje Renata i odpuszcza dopiero wtedy, kiedy Igor popycha ją nagłaco w stronę drzwi.

– Nie, bawcie się dobrze, paa! – żegnam ich i z ulgą zamykam drzwi.

Nie, żebym cieszyła się, że wszyscy jadą do Krakowa, ale jestem trochę zmęczona po świętach. Dlatego kiedy Igor jedzie na szkolenie i zabiera przy okazji Emilkę i jej opiekunki na wycieczkę, oddycham głęboko, rozkoszując się wizją tymczasowej samotności, która oznacza przede wszystkim ciszę i spokój.

Starodawny zegar z kukułką wybija jedenastą, a ja jestem na nogach już od kilku godzin. Patrzę przez okno, jak wszyscy gramolą się do Renault Megane Igora.

Ginger siada koło mnie na parapecie.

– Znowu głodny? – pytam, tarmosząc go za gęste futerko.

Odpowiada głośnym fuczeniem oznaczającym niezadowolenie. Aha. Chyba wiem, czemu. Axel. Axel, który został z nami na dwa dni. Leży beztrosko w przedpokoju i wygląda na to, że podobnie jak mnie cieszy go wyjazd krzykliwej Renaty i energicznej Emilki. Przykucam przy nim i przez chwilę gładzę jego długą sierść. Spogląda na mnie jednym bystrym okiem. Odpowiada mi cichymi zadowolonymi mlaśnięciami.

– Chcesz iść na spacer, staruszku? – pytam go czułym głosem.

Nie wygląda, jakby miał ochotę gdziekolwiek się ruszać. Nie wykazuje najmniejszych chęci do jakiegokolwiek aktywności. Macha tylko lekko ogonem, bijąc nim o drewnianą podłogę. Siadam na kanapie i włączam sobie jakiś film. Zajadam się mandarynkami i nie myślę o bożym świecie.

W pewnym momencie – jak często ostatnio po nowych tabletkach z jeszcze dłuższą listą skutków ubocznych niż poprzednie – urywa mi się film i budzę się dwie godziny później. Cała jestem zdrętwiąta i dodatkowo ćmi mnie w skroniach. Siadam i jednym haustem pochłaniam szklanek zimnej wody. W głowie nadal mi pulsuje. Podnoszę się z trudem i chwiejnym krokiem człapię do kuchni. Zamieram w bezruchu, kiedy widzę, że Axel wciąż leży rozciągnięty jak dywan na przedpokoju. W tym samym miejscu. W tej samej pozycji. Z zamkniętymi oczami. Całe otępienie znika w ciągu ułamka sekundy, kiedy przyklękam i gorączkowo sprawdzam jego oddech. Jest, ale bardzo słabiutki. Axel wciąż ma zamknięte oczy

i wydaje mi się, że ma kłopoty z oddychaniem. Alarmuje mnie, że nie reaguje na wołanie. Zaczynam panikować. Czuję, że żołądek ściska mi się w supeł, a potem powoli podchodzi do gardła. Wsuwam dłoń pod jego głowę i przemawiając do niego uspokajającym tonem, obiecuję, że zaraz mu pomogę. Łkam bezgłośnie, kiedy w pośpiechu wertuję książkę telefoniczną w poszukiwaniu numeru do weterynarza. Kiedy trzeci telefon nie odpowiada, ze złością odrzucam od siebie książkę, która odlatuje na drugi koniec pokoju.

Chwytam szybko za komórkę.

– Kamil! – wyduszam z siebie tylko tyle, zanim zalewa mnie fala łez, uniemożliwiająca wypowiedzenie choćby jednego słowa.

– Już jadę – odpowiada, a ja, słysząc szumy, nerwowe głosy i popiskiwanie medycznych urządzeń w tle, zdaję sobie sprawę, że właśnie wyciągam go z dyżuru.

\*

Kamil wpada do mojego mieszkania jak burza i zastaje niecodzienny widok. Axel leży rozciągnięty na podłodze, a ja równie rozciągnięta leżę koło niego, całując go i tuląc do siebie. Nie zdejmuję kurtki i nie ściąga butów, przyklęka obok nas. Najpierw ściska mnie mocno, delikatnie, acz stanowczo odsuwa od psa, a potem pochyla się nad nim i dotyka go wprawnymi dłońmi pielęgniarza. Chlipię i rozmazuję po policzkach tusz do rzęs. Czuję, że smarki zaczynają spływać mi do ust, więc wycieram je rąbkiem nowej bluzki.

– Milena... – Słyszę z ust Kamila i już wiem, co to oznacza. Nie muszę być jasnowidzem, nie muszę być wróżką, nie muszę być czarownicą. A on nie musi być weterynarzem... Pewne rzeczy po prostu się wie. – Milena, myślę, że on chce już odejść...

Oczy zasłania mi gęsta kurtyna z łez, które płyną, płyną i płyną. Bez jednego słowa, bez jednego łkania,

bez jednego gestu kładę się znów koło psa i moczę mu futro słonymi łzami.

– Nie, nie, proszę, nie... – mamroczę pod nosem, kiedy czuję słaby i przerywany oddech Axela.

– Nie! – krzyczę, kiedy Kamil próbuje mnie podnieść z podłogi.

Podnosi ręce w geście kapitulacji. Rozbiera się, przynosi koc, który wsuwa pod moje zeszywniałe ciało. Wychodzi do pokoju i słyszę, że rozmawia z kimś przez telefon. Nie obchodzi mnie z kim. Leżę, przytulam swojego najwierniejszego przyjaciela, całuję go po karku i łykam gorzkie łzy swojej rozpacz.

\*

– Wchodzi. – Słyszę jak przez mgłę i przez załzawione oczy widzę niskiego korpulentnego facecika z torbą.

– To mój kolega z liceum, Mirek. Jest weterynarzem – objaśnia szybko

Kamil.

Nie podnoszę się z zaimprovizowanego posłania zrobionego z kraciastego wyświechtanego koca i umierającego psa. Nie zwracając na mnie uwagi, jakby na co dzień widział przyklejone do swoich owczarków niemieckich dziewczyny, zaczyna oglądać Axela z każdej strony. Bada go, osłuchuje, dotyka.

– Mogę skrócić jego cierpienie – mówi wreszcie, a ja podrywam się ze zrećnością atakującej pумы i rzucając się na niego z rękami.

Częściowo przez osłabienie, częściowo przez silne ramiona Kamila, który łapie mnie w pasie – gruby Mirek nie dowiaduje się, jaką siłę ma ta wąła i blada dziewczyna, która zachowuje się jak nacpana.

Do tego chyba też jest przyzwyczajony, bo ociera tylko czoło i wzdycha ciężko.

– W takim razie mogę mu podać środki uśmierzające ból. Będzie półprzytomny, ale przynajmniej nie będzie cierpiał. Będziesz mogła z nim zostać do czasu, aż odejdzie.

Kiwam w milczeniu głową. Grzebie w torbie, szeleszcząc jakimiś papierami. Wyciąga strzykawkę i napełnia ją lekarstwem. Przymykam oczy, kiedy wbija ją w ciało Axela, który ani drgnie. Kamil zaciska uchwyt na mojej talii, kiedy rwę się rozpaczliwie, żeby znów przyłgnąć do jego rozgrzanego, włochatego boku.

– Zostawię was samych. Przyjadę za kilka godzin, kiedy lek przestanie działać. – Ton głosu weterynarza jest urzekająco spokojny.

Chcę mu podziękować i równocześnie przeprosić go za swoje zachowanie, zamiast tego wyplątuję się z objęć Kamila i padam na podłogę. Spędzam na niej kolejne godziny, podczas których nie jem, nie piję i praktycznie nie żyję.

\*

Myślałam, że do samotności, żalu i smutku po śmierci najbliższych członków rodziny można się przyzwyczać. Myliłam się. Myślałam, że w końcu skończy się ta zła passa i będę wreszcie szczęśliwa. Myliłam się. Myślałam, że jak będę odpowiednio mocno zapewniać swojego trzynastoletniego psa o miłości, przeżyje mnie samą. Myliłam się.

Axel odszedł ode mnie we wtorkowy poranek. Przez cały poniedziałek trwałam przy nim, dostając odleżyn od leżenia na podłodze i żyłaków na powiekach od niepohamowanego morza łez. Całą noc spędziłam na podłodze. Spałam okryta dziurawym śpiworem zalatującym pleśnią i troską Kamila, który spał koło mnie na gołych podłogowych deskach. Z godziny na godzinę Axel oddychał coraz słabiej i wolniej. Z wiotkich warg skapywała mu powoli ślina. Sączyłam mu do ucha wszystkie nasze wspólne wspomnienia, śpiewałam piosenki, które śpiewała mi moja mama, kiedy byłam dzieckiem i miałam złe sny, kołysałam w ramionach jak kołysze się nowo narodzonego oseska. Razem z nim przeżywałam

każdy ból, który targał jego ciałem. Serce krajało mi się za każdym razem, kiedy Kamil zanurzał w jego ciele igłę z kolejną porcją leku. Nad ranem ocknął się na tyle, że poruszył przednią łapą i polizał mnie po nosie. O siódmej nerki odmówiły mu posłuszeństwa i oddał pod siebie mocz, który cuchnął chorobą, lekami i śmiercią. Osuszałam go swoim najlepszym i najbardziej miękkim ręcznikiem. Otulałam puchatą kołdrą. Ogrzewałam ciałem. Życie uciekało z niego jak woda z dłoni. Z minuty na minutę robił się coraz bardziej słaby. Z sekundy na sekundę robił się coraz zimniejszy. Zaaplikowaliśmy mu kolejną dawkę leku. O dziewiątej wydał z siebie przeciągły jęk, który poruszył najczulsze struny w moim sercu. Z czerwonych i piekących oczu wytoczyła się łza, która spłynęła powoli po nosie i zaślśniła na jego końcu, po czym spadła na zmechacone ucho. Nie miał nawet siły zastrzyc nim, żeby ją z siebie strącić. Po chwili do szarych oczu zaczęły mi się cisnąć kolejne słone krople, choć wydawało mi się, że przez noc wypłakałam je wszystkie. Axel oddychał dychawicznie, zużywając coraz więcej energii na zaczerpnięcie życiodajnego tlenu. Ostatni ciężki oddech wziął łapczywie, kiedy wybiła dziesiąta godzina. Potem zamarł gwałtownie.

Cisza, jaka wtedy zapadła, była tak namacalna, że powietrze wokół nas zdawało się drgać. Moje ciało, zmęczone całonocnym czuwaniem trzęsło się jak w febrze. Łzy spływały po mnie jak opętane i w szaleńczym tempie spadały na podłogę, rozpryskując się po niej z głośnym plaśnięciem.

Axel momentalnie zrobił się zimny i sztywny, jak wypchany zwierzak. Wtuliłam się w niego ostatni raz. Jedyne ciepło, jakie z niego emanowało, to ciepło moich gorzkich łez, które dalej na niego spadały, jak gdyby moje serce wciąż nie mogło pogodzić się z myślą, że znów nieodwołalnie odszedł ode mnie ktoś, kogo kochałam.

\*

Siedzę w wannie i zupełnie nie przeszkadza mi temperatura wody, która sprawia, że od pięciu minut szczekam zębami. Nogi powoli przybierają sinawy odcień, na mojej skórze już dawno temu pojawiła się gęsia skórka. Wątlymi ramionami obejmuję swoje nogi, a spiczastą brodę oparłam na kościstym kolanie.

Jestem tak zła, że aż mi niedobrze ze złości. Pusty żołądek krzyczy, czuję mdłości i lekkie zawroty głowy. Jestem rozeźlona, rozdrażniona i rozżalona równocześnie. Częściowo cieszę się z zimna, bo poniekąd przypomina ono ból. A ból z kolei pozwala mi strawić przykre emocje. Mniej cierpię psychicznie, kiedy mogę skupić się na fizycznych dolegliwościach.

– Milena, wszystko w porządku? – Słyszę stłumiony głos zza łazienkowych drzwi. Nie chce mi się odpowiadać. – Milena...? – ponawia pytanie Kamil.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich ani jedno słowo. Słyszę jego oddech i szelest, z jakim powoli osuwa się na podłogę. Przez kratę w drzwiach

widzę jego cień. Niepokój emanujący z Kamila czuję niemal tak dobrze, jak chłód bijący od zimnej wody.

– Zaraz wychodzę – mówię wreszcie nieswoim głosem. Głosem przyprawionym szczyptą szczękania zębami i masą emocji. Złych emocji.

Mam ochotę coś rozbić albo rozwalić. Albo uderzyć kogoś. Zbić, obrazić, zranić. Moim ciałem wstrząsa dreszcz i ostatecznie decyduję się wyjść w końcu z wodnej toni. I tak nie miałam kogo uderzyć. Chyba że tylko gąbkę albo butelkę z żelem... Płacz i wychłodzenie osłabiło mnie do tego stopnia, że muszę przytrzymywać się wanny, kiedy wstaję. Zaciśnięte na wannie palce są białe jak ona sama. Ostrożnie staję mokrymi stopami na włóchatym dywaniku. Czuję, jak nasiąka wodą i nic mnie to nie obchodzi. Otulam się ręcznikiem i pocierając nim energicznie, próbuję rozgrzać zziębnięte ciało. Dalej dygoczę, a moje zęby wciąż wystukują żałośnie brzmiącą melodię. Twarz w lustrze wygląda jak nie moja. Jestem sino-blada, z powiekami spuchniętymi jak po ugryzieniu wyjątkowo jadowitej pszczoły. Usta mam fioletowe, białka oczu czerwone. Podobnie zresztą jak nos. Na białej skórze uwidoczniły mi się naczynia krwionośne. Włosy wyglądające spod prowizorycznego koczka są spocone i przyklejone do czoła. Wyglądam tragicznie. A czuję się jeszcze gorzej.

Płuczę usta płynem antyseptycznym, chcąc pozbyć się niemiłego posmaku. Wkładam dresy i miękką bluzę na gołe ciało, na nogi zakładam zimowe pantofle. Wychodzę z łazienki, omal nie uderzając drzwiami w plecy Kamila. Odskakuje bez słowa. Ja bez słowa go mijam. Siadam na kanapie w salonie i otulam się kocem. Siada koło mnie i wpatruje się tępo w ścianę. Siedzimy tak dziesięć minut, dwadzieścia minut, godzinę.

Skoordynowaliśmy nasze oddechy i mam wrażenie, że rozmawiamy, choć żadne z nas nie wypowiedziało choćby słowa. Wreszcie Kamil wstaje. Przynosi mi mój ulubiony kubek w groszki. W środku jest gorąca gorzka herbata. I plasterek cytryny. Biorę parę rozgrzewających łyków. Płyn powoli ścieka mi do gardła i ogrzewa kolejno przelyk oraz żołądek. Dociera do dłoni i stóp, uwalniając je od lodowatego uczucia zimna.

Kamil wciąż się nie odzywa i jestem mu za to wdzięczna. Odkładam kubek na ławę, podkulam pod siebie nogi, a głowę opieram o jego ramię. Bierze mnie za rękę, a ciepły i stanowczy uścisk dłoni dodaje mi więcej otuchy niż jakiegokolwiek słowa pocieszenia.

– Dziękuję – szepczę ni to do niego, ni to do samej siebie.

Odpowiada mi mocniejszym uchwytem, którym pokazuje, że jednak nie jestem sama.

\*

Parujący talerz z gęstą jarzynową zupą wywołuje u mnie jadłowstręt.



Zmuszam się do przełknięcia kilku łyżek, żeby zażyć tabletki. Potem stanowczym ruchem odsuwam od siebie talerz. Kamil wzdycha znacząco. Wiem, że na końcu języka ma: „Musisz jeść”, ale nie mówi tego głośno. Na szczęście. Nie znoszę takiego protekcjonalnego tonu i traktowania mnie jak małej głupiej dziewczynki.

W brzuchu zaczyna mi bulgotać. Dawno nie jadłam, a o ciepłym posiłku w ogóle nie było mowy. Przez ostatnie godziny zajmowaliśmy się Axelem. A właściwie – chowaniem Axela. Nie chciałam zostawiać Kamila z tym problemem. I nie chciałam zostawić swojego psa, nawet po jego śmierci. Nie wiedzieliśmy, co zrobić z ciałem, więc zadzwoniliśmy do Mirka. Długo stałam nad wykopanym dołem na Kamilowej działce pod lasem. Nikt mnie nie popędzał, nie poganiał. Wpatrywałam się w pustą czeluść dziury i zastanawiałam, jak to możliwe, że mój najukochańszy przyjaciel ma się tam za chwilę znaleźć. Wreszcie pozwoliłam włożyć ciało psa do dziury i zakopać go. Sama nie byłam w stanie nawet unieść łopaty. W drodze powrotnej nikt się nie odzywał. Ja milczałam ze względu na szacunek do Axela, chłopacy ze względu na szacunek dla mnie.

Pod blokiem wymamrotałam tylko ciche „dziękuję”, nie patrząc Mirkowi w oczy i razem z Kamilem weszliśmy do mieszkania. Nie pytał, czy może, czy chcę, czy go potrzebuję. Po prostu ze mną został. Sam zadzwonił do Igora, poprosił, żeby przekazał informacje babci i reszcie.

Ja w tym czasie usiłowałam zmobilizować się do kąpieli. Potem przesiadziałam w wannie Bóg wie ile czasu i ostatecznie wylądowałam na kanapie z Kamilem. I z zupą, którą zrobił nie wiem kiedy.

Pociągam markotnie nosem. Ginger podchodzi do moich nóg, łaszac się i tuląc do moich łydek. Wzdrygam się, czując jego naprężone w oczekiwaniu na pieszczoty ciało. Nie mam ochoty go dotykać. Chyba to wyczuwa, bo odchodzi lekkim krokiem. Idzie do przedpokoju i przez chwilę widzę tylko jego ogon, kołyszający się nad ziemią. Przechodzi mnie dreszcz. Proszę w duchu, żeby tym razem się myliła... W tym momencie Ginger zaczyna przeraźliwie miauczeć, a jego miauczenie jest połączeniem rozpaczliwego skowytu z wyciem. Zatykam dłonie uszami, oczy kryję w czeluściach bluzy. Robi tak od śmierci Axela i nie mogę już tego słuchać.

– Zabierz mnie stąd, proszę – szepczę.

Kamil nic nie odpowiada, tylko podnosi mnie z kanapy i wyprowadza za drzwi.

\*

Spacerujemy po mieście, które jest wyludnione i wyciszone. Jest po dwudziestej, więc robi się już ciemno. Latarnie pięknie oświetlają miasto, nadając wszystkiemu złocistą poświatę i otulając ponure zwykle budynki ciepłem. Lekki wiaterek przenika moją bluzę, pod którą przecież nic nie mam, więc przelatuje

mnie dreszcz, ale poza tym jest mi ciepło.

Wyjątkowo ciepło jak na połowę kwietnia. Chodzimy bez celu, przecinając chodniki i mijając uliczki. Wdychamy rześkie nocne powietrze, wdychamy woń kwitnących krzewów. Nie rozmawiamy, nie trzymamy się za ręce. Nie wiem, czego oczekuje Kamil i wiem, że zapewne i tak nie mogłabym mu tego dać. Cieszy mnie jednak jego obecność i dużo daje mi jego wsparcie.

Igor i reszta wracają jutro. Do tej pory mogę liczyć tylko na siebie. I Kamila. Który właśnie szturcha mnie w bok i wskazuje ławkę. Stoi przed obkruszonym i starym pomnikiem. Brakuje w niej jednej deski i odłazi z niej zielona farba. Nie wygląda ani ładnie, ani wygodnie. Nie wybrzydzam jednak i siadam na niej z podkulonymi nogami. To całe milczenie zaczyna mi już pomału wychodzić uszami. Chcę też podziękować i przeprosić Kamila za to, jak niedobra i wredna byłam dla niego i dla innych i że zrozumie, jeśli odejdzie w podskokach i nigdy więcej na mnie nie spojrzy. Patrę na niego i widzę jego dobrze oświetlony przez blask latarni profil. Szukam odpowiednich słów, błędząc w myślach w poszukiwaniu wyjątkowo dobranego słownictwa i wystarczająco patetycznego tonu, żeby podziękować wyczerpująco, a równocześnie zatrzeć złudzenie, że między nami jest coś więcej.

Niestety, w momencie, kiedy już mam zacząć wygłaszać swoją mowę, kątem oka spostrzegam pająka – tłustego krzyżaka, który wolno sunie po oparciu w moim kierunku, więc głosem pełnym paniki oraz grozy wrzeszczę na niego:

– Aaaaaa, czemu musiałeś wybrać ławkę z takim wielkim pająkieeeem!!! – wskakuję Kamilowi na kolana i zacznę okładać go pięściami.

\*

Szybka toaleta. Mycie zębów. Malowanie rzęs. Rozczesywanie włosów. Zakładanie czarnych majtek i białego stanika. Wkładanie szarych spodni i błękitnej bluzki. Nerwowe strzepywanie dłoni. Przyśpieszony oddech. Zakładanie butów. I skrzypnięcie podłogowych desek, kiedy zaspany Igor staje w progu i mrużąc zmęczone oczy, pyta śpiewnym głosem:

– A pani dokąd się wybiera...?

Odwracam się na pięcie i krzyżuję ręce na piersiach.

– Do pracy – mówię buńczuczным tonem, zapominając o zasadach savoir-vivre'u i kulturalnym powitaniu.

– Chyba żartujesz – odpowiada, opierając się bokiem o framugę.

Kręcę przecząco głową.

– Milena... – zaczyna, po czym bierze głęboki oddech, zrezygnowany kręci głową i patrzy mi prosto w oczy.

Jeśli rzeczywiście są one zwierciadłem duszy, mówią teraz ostrzegawczo: „Nie czepiaj się, bo cię ugryzę”. I chyba wysyłają czytelny komunikat, skoro Igor wkłada ręce do luźnych dresowych spodni służących mu za piżamę i mówi:

– Nie przemęczaj się. Miłego dnia – i wycofuje się z powrotem do pokoju.

Przez chwilę mrugam w zdumieniu oczami, otwieram i zamykam usta, po czym usatysfakcjonowana brakiem kazania wymykam się za próg i bezszelestnie zamykam drzwi.

Kiedy Igor wrócił do domu, postanowił przeprowadzić się do mnie na kilka dni. Tę noc, kiedy pochowaliśmy Axela, spędził u mnie Kamil. Bez piżamy, bez szczoteczki do zębów, bez bielizny na zmianę. W nieświeżej koszulce, starej bluzie i pięciu wiadomościach głosowych w telefonie o treści: „Zabiję Cię, jeśli za chwilę nie oddzwonisz i nie wyjaśnisz dlaczego muszę Cię zastępować w pracy, kretynie!” od koleżanki z innej zmiany.

Spał na twardej salonowej kanapie, a w nocy przyszedł do mnie, kiedy zerwałam się z krzykiem z koszmarne go snu, od stóp do głów zlaną zimnym i lepkiem potem, zziębnięta od biegania we śnie i ochrypnięta od krzyku.

W moim śnie przeplatało się wszystko to, czego nie chciałam widzieć. Rodzice, którzy wychodzili ze szpitala, Iga ze swoim uśmiechem i dołkiem w policzku, dociskający mnie do tylnego siedzenia Adam, babcia leżąca w trumnie i oczywiście Axel ze sztywnymi łapami...

Kamil spisał się na medal w roli pocieszyciela i ochroniarza. Obejmował mnie pocieszająco, podawał szklankę z orzeźwiająca wodą i głaskał po ramieniu, kiedy trzęsłam się ze strachu i oblewających mnie zimnych potów. Resztę nocy spędził, siedząc na moim łóżku, co rano wprawiło mnie w osłupienie i jednocześnie zawstydziło do tego stopnia, że nie umiałam spojrzeć mu w oczy.

Otrząsam się z myśli. Maszeruję różnym krokiem, omijając chodnikowe pęknięcia. Do przedszkola docieram przed czasem, ale wcale mnie to nie martwi. Zsuwam buty, wkładam na stopy swoje wysłużone kapcie biedronki i nastawiam wodę na herbatę. Czekaając aż zakipi, przechadzam się po korytarzu i lustruję wzrokiem zmiany, jakie zaszły, odkąd poszłam na przymusowe L4.

Oglądam nowe obrazki, wiosenne dekoracje, kurczaczki z wydmuszek i baranki z waty. Potem otwieram swoją salę i czekam na pierwsze dzieci. Kiedy w czwartek zadzwoniłam do dyrektorki i zapytałam, czy mogę zacząć od poniedziałku, wyczułam w jej głosie niepewność. Ona najwyraźniej w moim wyczuła desperację, bo po paru sekundach zastanowienia zgodziła się, abym w poniedziałek przyszła na parę godzin do pracy. Błogosławię ją w duchu, gdy przeglądam dziennik i przewodnik metodyczny.

Kwadrans później do sali wchodzi pierwszy przedszkolak i kiedy rzuca mi się w ramiona z okrzykiem: „Pani Milena!”, uśmiecham się od ucha do ucha. Parę chwil później pojawia się kolejne dziecko, potem znowu kolejne i jeszcze dwójka. Wszystkie rzucają mi się na szyję, wchodzi na kolana, obdarowują mokrymi całusami, wręczają laurki z oślimi rogami.

I na kilka godzin pozwalają całkowicie zapomnieć o ostatnich przykrych wydarzeniach.

\*

Do domu wracam w dużo lepszym nastroju. Jestem trochę głodna i trochę zmęczona, za to zdecydowanie bardziej usatysfakcjonowana i zadowolona z życia. Opowiadam każdemu o tym, co słuchać, jak zmieniły się „moje” dzieci i jak szybko nauczyły się dziś słów nowej piosenki.

Torebkę mam pełną obrazków i prac plastycznych, którymi zostałam obdarowana i niewiele brakuje, żebym zrobiła z domu Małą Galerię Sztuki. Ostatecznie wiem tylko swój portret (wielki głowonóg z masą żółtych włosów, wielkimi oczami i ogromnym wyszczerzem, który wygląda lekko nieprzyzwoicie, bo jak na ponuraka przystało, nigdy się tak nie uśmiecham) na lodówce i przypinam go kolorowymi magnesami.

Jestem dużo bardziej spokojna, łagodna i powiedziałabym nawet – pokorna. Nie wzdrygam się, kiedy Ginger zaczyna się o mnie ocierać. Biorę go nawet na rękę i szepczę na uszko żarliwe przeprosiny. Potem z apetytem zjadam krupnik z kaszą jaglaną i dzwonię do babci. Czuję, że powoli wracam do życia.

\*

Igor wyprowadził się ode mnie przedwczoraj. Albo uznał, że jestem już na tyle silna i warta zaufania, że można zostawić mnie samą, a ja nie rzucę się pod pociąg, albo miał już dość zajmowania się mną lub chciał spędzić wieczór w inny

sposób, niż handrycząc się ze mną, czy powinnam pracować na ośmiogodzinne zmiany, czy nie. A może też jego tajemnicza jednorazowa kochanka w przeciwieństwie do mojego jednorazowego kochanka postanowiła dać mu szansę na coś więcej niż incydentalny stosunek.

Dziś odwiedziła mnie Renata. Emilkę na moje życzenie zostawiła u babci. Nie potrafiłam jeszcze spotkać się z kimś, kto będzie pytał mnie o Axela, a wiem, że Emilka ze swoim dziecinnym podejściem do życia i szczęściem wymalowanym na buzi nie umiałaby obchodzić się ze mną jak ze śmierdzącym jajkiem, czyli tak, jak robią to inni.

Podczas picia herbaty rozmawiamy więc trochę o pracy, trochę o Emilce, a trochę o Kamilu. Nie wypytuje mnie jednak, czy czuję do niego coś więcej i czy jestem w ogóle gotowa na nowy związek. Mówimy raczej o tym, że jest świetnym przyjacielem i dobrym człowiekiem w ogóle. Oznajmiam, że dużo mi pomógł i że jestem mu za to wdzięczna. Dodaję, że bardzo go lubię i że lubię, jak do mnie przychodzi. Po minie Renaty widzę, że chce coś powiedzieć, ale w porę gryzie się w język.

Od pamiętnego dnia w barze nie rozmawialiśmy o Adamie. Nigdy nawet nie wypowiedziała jego imienia i nie wspomniała o żadnym szczególe, z którego zwierzyłam się jej tamtej nocy. Zawsze jednak kiedy Emilka zaczyna śpiewać: „Cztery słonie”, bawi się czerwonym plastikowym audi bez jednego kółka albo mówi, że chce zacząć ćwiczyć karate, widzę, że jej twarz zastyga jak maska, kiedy gorączkowo usiłuje uniknąć mojego spojrzenia.

Wiem, że ona wie. Wie, kiedy o nim myślę i co mi go przypomina. Wie, że dalej dźga mnie w serce, kiedy słyszę jego imię albo zobaczę coś, co mi się z nim kojarzy. I wiem, że nic z tą wiedzą nie zrobi.

– Masz może ochotę na sernik? – pytam, kiedy na moment zapada między nami dłuższe niż zwykle milczenie i przez chwilę wisi w powietrzu jak gęsta mgła.

– Pod warunkiem, że nie pójdzie mi w tyłek – żartuje, klepiąc się po pośladku.

– Nie ma sprawy. Poproszę go, żeby odłożył się w postaci ładnej fałdki na brzuchu. Puszczam jej oczko i po chwili uchylam się przed lecącym ku mnie pantoflem.

\*

Siedzę na zimnym, twardym krzeselku. Kręcę się i wiercę, przeglądając gazetę o zdrowym stylu życia. Ssie mnie lekko z głodu, więc zagłuszam skręty pustego żołądka żuciem miętowej gummy. Czekam na swoją porę w kolejce do laboratorium. Rząd starowinek w beretach posuwa się tak wolno, że zaczynam się obawiać, czy zdążę dotrzeć do gabinetu zabiegowego, zanim zemdleję z głodu.

Jakaś młoda dziewczyna z rudym kucykiem i krągłym ciężowym brzuszkiem

prosi, żeby przepuścić ją w kolejce, bo idzie robić krzywą cukrową. Od koleżanek z pracy wiem, co to za świństwo i współczuję jej w duchu.

Kwadrans później wciąż siedzę i czekam. Ruda wychodzi z gabinetu bladozielona na twarzy. Wysoki facet koło czterdziestki wchodzi do środka, a ja patrzę nerwowo na zegarek. Jeszcze cztery osoby przede mną. Przeciagam się, czując, jak twarde krzesło wbija mi się w zadek.

Wreszcie nadchodzi moja kolej. Wchodzę do środka i wyciągam z torebki reklamówkę z pojemniczkiem na mocz. Wręczam go pielęgniarce, po czym siadam na krześle. Młoda pielęgniarka w standardowych białych drewniakach robi przerażoną minę na widok mojej ręki z prawie niewidocznymi żyłkami. Z trudem udaje jej się wkluć w najgrubszą z nich. Powstrzymuję się od syknięcia z bólu. Widać, że się uczy, bo ręka pulsuje i boli jak nigdy. Po wszystkim przykładam do ranki wacik i siedzę chwilę w poczekalni. Kupuję drożdżówkę i soczek pomarańczowy, czym zaspokajam na szybko głód.

Przed pracą idę jeszcze do domu wypić ciepłą herbatę i zjeść płatki z mlekiem. Potem wkraczam do przedszkola i daję się obłapiać małym łapkami w okolicy ud, patrząc w roześmiane buźki moich pięciolatek. Ręka wciąż boli, a w miejscu ukłucia mam wielkiego czarnego siniaka. Uśmiecham się jednak szeroko, kiedy skaczą z radości na wieść, że idziemy dziś na spacer do parku. Jak niewiele trzeba do szczęścia.

\*

Spędzam wolne popołudnie w kuchni, rozkoszując się piątkowymi promieniami słońca, wpadającymi przez nie do końca czyste okno. Firanki w czerwono-białą kratkę wyglądają uroczym jak nigdy, zioła na parapecie są bardziej zielone niż tropikalny las. Smaruję świeży chleb nutellą i oblizuję palce.

Emilka kręci się koło mnie jak fryga, paplając jak najęta. Opowiada mi o koledze z klasy, który ma na imię Olaf (czyli tak samo jak bałwan z bajki o Elsie i Annie – mam nadzieję, że oprócz imienia nie ma nic wspólnego z bałwanem...), o pani Zosi, która uczy w jej szkole, panu Darku, który dzisiaj powiedział jej: „Cześć, Emilka” (pan Darek zamiata ulicę przez blokiem Emilki), ładnym kwiatku znalezionym po drodze ze szkoły, nowej żółtej bluzeczce z baletnicą i marzeniu bycia zębowa wróżką. Słucham jej i z trudem powstrzymuję się od parsknięcia śmiechem.

Emilka opycha się chlebem z czekoladą, wycierając buzię rękawem i brudząc wszystko wokół. Razem zastanawiamy się, czy istnieje jakaś specjalna szkoła dla wróżek, kminimy, do czego najlepiej będzie pasować nowa żółta bluzka i malujemy paznokcie na czerwono. Te u ręki wyglądają całkiem porządnie, u stóp nieco gorzej, ale też znośnie. Jeszcze nie noszę sandałów i kłapek, trzęsąc się cały czas nad nerką.

Niby wyniki ostatnich badań wyszły przyzwoite, ale za bardzo cykam się przed kolejnym pobytem w szpitalu. Zwłaszcza że doktor Kocur chyba zjadłby mnie na podwieczorek, gdybym znów trafiła na oddział przez zaniedbanie zdrowia.

Koło siedemnastej przychodzi do nas Renata, która zrobiła po drodze zakupy i zaopatrzyła mnie w składniki do sałatki greckiej. Kroję pomidory, Emilka strzępi sałatę lodową, a Renata odpoczywa z nogami w górze. Babcia chciała dziś zostać w domu, żeby pooglądać serial, za to Igor zapowiedział, że dołączy do nas o dziewiętnastej.

Kamil ma dyżur. Gdyby nie to, pewnie warowałby właśnie przy ladzie albo dałby się zapędzić do mycia garów.

Renata przeskakuje po kanałach telewizyjnych i słyszę tylko szum zmienianego co chwilę filmowego repertuaru. Wreszcie wyłącza telewizor i człapie do nas do kuchni. Ma zmęczone spojrzenie i cienie pod oczami.

– Masz ochotę czegoś się napić? – proponuję.

– A masz coś mocniejszego?

Parskam śmiechem, ale po jej minie widzę, że wcale nie żartowała.

– W zasadzie mam gdzieś całkiem dobre wino – mówię pod nosem.

Renata strzela kołtuńskim uśmiechem. Ja też uśmiecham się pod wąsem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz piłam coś z procentami. Dopiero niedawno przestałam brać leki, których nie wolno mi było mieszać z alkoholem. Wyciągam ze spiżarki butelkę i zdmuchuję z niej kurz. Przecieram etykietę mokrą ściereczką, myję i poleruję kieliszki. Emilka zerka mi przez ramię, robiąc wielkie oczy.

– Ja też chcę! Ja też! – woła.

Przez chwilę zastanawiam się, jak ją oszukać, ale po chwili robię jej czarodziejski napój z wody gazowanej i soku malinowego i ozdabiam całość różową słomką oraz parasolką.

Nawet nie wiem, skąd w mojej spiżarce parasolki do drinków. Pewnie są jeszcze z czasów Pawła, gdy czasami wpadała do nas znajoma para. Dociera do mnie, że minęło już dziewięć miesięcy od naszego zerwania. Potrząsam głową, uwalniając się od myśli i nalewam nam wina.

Mam nawet żółty ser i krakersy, więc układam je profesjonalnie na deseczce. Zarówno ja, jak i Renata nie należymy do osób obdarzonych mocną głową, więc już po paru łykach chichoczymy i rumienimy się jak nastolatki na komplement chłopaka ze starszej klasy.

Emilka zajęła się oglądaniem moich ubrań i chociaż gdzieś w głębi czaszki czai się lęk, co zastanę w szafie po jej wyjściu, nie przeszkadza mi to w relaksowaniu się podczas rozmów z Renatą. Najwyraźniej w naszym przypadku alkohol rozwiązuje języki, bo zeszło nam właśnie na tematy erotyczno-seksualne. Śmiejemy się do rozpuku, kiedy Renata opowiada mi o poznanym na czacie facecie i próbie przełamania swoich oporów, żeby pójść z kimś do łóżka po rozwodzie

z mężem.

Delikwent ma na imię Jonasz i jest nauczycielem historii w gimnazjum. Płacę ze śmiechu, gdy słyszę malowniczy opis luźnych bokserów w kratkę i małego przyrodzenia, chociaż w sumie nie wiem, co w tym śmiesznego. Przez następny kwadrans debatujemy nad wielkością męskich członków (za mały źle, za duży powoduje dziwne uczucie robienia z jajników szaszłyków...), wielkości piersi na poziom swojej samooceny i bólu głowy na jakość stosunku.

Obie leżymy już na podłodze, zwiwając się ze śmiechu. Emilka przychodzi do nas ubrana jak dziecko ulicy – w za dużej sukience i moich rozczłapanych sportowych butach. Wygląda przekomicznie, więc jeszcze bardziej się śmiejemy. W takim stanie zastaje nas Igor, przybywający z odsieczą i koszykiem truskawek. Rzucamy mu się na szyję, uznając truskawki za bardzo romantyczny pomysł, w sam raz dla rozwódki i singielki. Szybko szukamy świeczek. Igor patrzy na nas jak na wariatki, jednak kiedy dostaje miskę sałatki i świeże bagietki z czosnkiem, przechodzi mu ochota na nabijanie się z naszego stanu podchmienia. Zajadamy sałatkę, popijamy ją winem, słuchamy płyty Eda Sheerana, śmiejemy się z Emilki, która padła na fotelu z nogami i rękami zwisającymi bezwładnie na podłogę, i gadamy do drugiej nad ranem, aż wszyscy jesteśmy zbyt zmęczeni i pijani, żeby myśleć racjonalnie.

Czternaście po drugiej kładziemy Emilę na kanapie w salonie, Igora lokujemy na podłodze koło niej, a same kładziemy się w jednym łóżku w mojej sypialni.

Rano budzi mnie suchość w ustach, dziwny rollercoaster w głowie, Emilka z czekoladowymi smugami na buzi, która wskakuje nam do łóżka i skacowany Igor, który wygląda jak przerośnięty basset z włosami sterczącymi każdy w inną stronę.

Pod szafą leży skłębiona sterta ubrań, lada w kuchni jest upaprana sosem winegret i kremem czekoladowym, a pod ławą w pokoju jest mnóstwo okruchów. I chociaż w ustach mam niesmak, a w mieszkaniu okrutny bałagan, jest mi dobrze jak nigdy.

\*

Szybko udaje mi się wdrożyć w nowe/stare obowiązki i po paru tygodniach pracy czuję się, jakbym nigdy nie zrobiła sobie prawie trzymiesięcznej przerwy w byciu nauczycielką.

Kiedy jestem z dziećmi, rozpira mnie energia, a uśmiech nie schodzi z mojej twarzy. Nawet zaczęłam się lepiej odnosić do Kamila, nie traktując go po macoszemu, nie warcząc na niego i nie fukając o byle co. W zasadzie to Kamil stał się kolejnym członkiem naszej rodziny. Jest u mnie praktycznie codziennie. Przed dyżurem, po dyżurze, w dni wolne od pracy. Przestał się już zapowiadać



telefonicznie. Po prostu przychodzi, dzwoni dzwonkiem i wchodzi jak do siebie. Zachowuje się w moim mieszkaniu swobodnie, ale nie bezczelnie. Kapci i szczoteczki na szczęście jeszcze nie przyniósł. Nie przyszło mu też do głowy, żeby mnie obłapiać, dotykać czy nie daj Boże – całować.

Chociaż nawet jeśli taka myśl wpadła mu do tej rozczochranej głowy, nie ośmielił się wprowadzić w życie tego zamiaru. Wciąż jesteśmy tylko przyjaciółmi i podoba mi się ta swoboda między nami, a równocześnie ten dobry kontakt. Dobrze się z nim czuję i przyzwyczaiałam się już do jego obecności. Nie czuję do niego nic więcej, ale myślę, że zdaje sobie z tego sprawę i akceptuje ten fakt. Najwyraźniej lubi mnie w ten aseksualny, neutralny sposób, skoro mimo wyraźnego braku zainteresowania z mojej strony on wciąż utrzymuje tę znajomość.

Igor zachowuje się już normalnie i z dnia na dzień ma coraz lepszy humor. Babcia zaczęła chodzić z sąsiadką na działkę i ekscytuje się nowymi sadzonkami kwiatów i naturalnym nawozem, który wspaniale użyźnił glebę pani Krysi.

Wszystko układa się idealnie. Zapominam o tym, co złe, nie skupiam się na przykrościach, jestem zadowolona z życia.

I właśnie w dniu, kiedy jestem naładowana dobrą energią po same brzegi i kiedy rozpiera mnie poczucie szczęścia i spełnienia, dyrektorka mówi, że Kaśka od karate złamała nogę i że od jutra pracę zaczyna nowy nauczyciel.

Wszystkie dziewczyny pieją z zachwytu, że ktoś wreszcie przełamie ten babiniec choćby odrobiną testosteronu, a mi zaczyna się coś przewracać w żołądku.

– Jak się nazywa ten nowy nauczyciel? – wyduszam z siebie, ściskając kciuki, żeby choć raz zawiódł mnie szósty zmysł.

– Adam Trafalski. – Słyszę i robi mi się dziwnie miękko w kolanach.

\*

Przez cały dzień udaje mi się spychać tę wiadomość głęboko w sferę podświadomości. Biorę dzieci na plac zabaw, a po powrocie do przedszkola pomagam im robić samochody z opakowań po herbacie. W domu odgrzewam sobie ryż z jabłkami i piję herbatę z cytryną. Nie odbieram telefonu od babci, odmawiam wyjścia na spacer z Renatą i Emilką, spławiam Kamila, tłumacząc się koniecznością przygotowania się do zajęć z dziećmi.

Wieczorem próbuję wymyślić sposoby na uniknięcie spotkania z Adamem, przez wzięcie kolejnego L4, wyjazd do Honolulu i uduszenie go we śnie. Zastanawiam się, jak los może być tak okrutny i podsuwać mi go akurat wtedy, gdy udało mi się wyrzucić go z umysłu na dłużej.

Boję się, że wszystko to, co udało mi się wyperswadować sobie, przemawiając do swojego odbicia w lustrze, skończy się w momencie, kiedy go zobaczę. Koniec końców kładę się spać przed dwudziestą drugą, a potem pół nocy bezowocnie kręcę się w pościeli, psiocząc na bezsenność, pecha i nauczycieli

karate.

\*

Poranek następnego dnia przypomina mi dzień obrony pracy magisterskiej. Jestem blada, w żołądku szaleje mi stado szarańczy, a dłonie się trzęsą. Nic nie zjadłam, bo po paru łyżkach płatków kukurydzianych poczułam, że zaraz je wymiotuję.

Idę do pracy szybkim, nerwowym krokiem. Serce wali mi jak szalone i nie umiem powstrzymać jego pędu. Próbuje się uspokoić, zmuszając się do głębokich i spokojnych oddechów, ale nic nie pomaga.

Kieruję się w stronę pokoju nauczycielskiego i zamieram, kiedy po otwarciu drzwi wpadam wprost na Adama. Adama, który stoi w drzwiach w grafitowych dresach i chabrowej koszulce. Adama, który trzyma pudełko z krążkami, piłkami i innymi kolorowymi przedmiotami i który na mój widok ani trochę się nie peszy, a wyszczerza w pełnym uśmiechu i lustrując mnie z góry na dół, mruczy:

– Milena...

Na co reaguję otworzeniem ust i bezgłośnym nimi ruszaniem, jak upośledzona rybka, zanim udaje mi się wydukać:

– Adam... – Co zamiast zabrzmieć mocno i twardo, brzmi bardzo, baaardzo słabo.

\*

Zamaszyście stawiam podpis w dzienniku, o mało nie dziurawiąc przy tym kartki. Wertuję poradnik metodyczny z takim zapalem, że aż dziwię się, czemu kartki jeszcze nie zaczęły fruwać po sali. Na zadane mi pytania odpowiadam półsłówkami i zaciskam wargi do tego stopnia, że czuję, jak bieleją.

Adam stoi pięć metrów ode mnie i nawet patrząc w podłogę, czuję na sobie jego spojrzenie. Za nic w świecie nie podniosę na niego wzroku... Nawet kiedy wiedziałam już, że Adam będzie ze mną pracował, nawet kiedy dzięki głębokim oddechom udało mi się zaakceptować ten fakt, nawet kiedy uznałam, że jakoś to przeżyję, nie sądziłam, że jego praca będzie polegała na współpracy ze mną.

Gdy na przemian rumieniłam się i bladłam w pokoju nauczycielskim, weszła dyrektorka.

– Pani Mileno, dziś od rana będzie pani towarzyszyć nasz nowy nauczyciel.

– Tu puściła czarujący uśmiezek, powodujący, że fala mdłości podeszła mi do gardła. – Chcę, żeby poznał dzieci, przypatrzył się sposobom prowadzenia zajęć, a także zobaczył, jak może sobie z nimi radzić w trudnych sytuacjach. Następnie przeprowadzi trening, a pani pomoże mu okiełznać grupę.

Popatrzyłam na nią w osłupieniu i przez głowę przeleciała mi myśl, że może jednak powinnam skoczyć pod pociąg, póki miałam okazję... Zamiast tego

oczywiście uległam głową, przełknęłam gorzko ślinę i gestem zaprosiłam Adama do sali. Przez cały ranek bacznie mnie lustrował, patrząc na każdy mój ruch i zadając masę pytań. Udzielałam mu rzetelnych informacji, nie wymądrzając się i nie robiąc z siebie gwiazdy.

Od samego początku złapał świetny kontakt z dziećmi, które nie mogły doczekać się zajęć karate. A teraz prowadzi z nimi te swoje głupie gry i zabawy na rozgrzewkę, spoglądając raz po raz na mnie i błyskając do mnie swoim przebiegłym uśmiechem, od którego robi mi się gorąco w okolicy szyi.

Choćbym nie wiem, jak się starała, nie mogę wyprzeć z głowy wspomnienia naszego nieszczęsnego stosunku. Choćbym nie wiem, jak się starała, nie potrafię zapomnieć, co we mnie wywołał dotyk jego ciała. Choćbym nie wiem, jak się starała, nie umiem przekonać się, że to żałosny dupek i podrywacz, w którego stronę nie powinnam nawet patrzeć. Choćbym nie wiem, jak się starała, wiem też z góry, że mogę dwoić się i troić, a Adam i tak nie przestanie wywoływać u mnie tych dziwnych sensacji, będących połączeniem ścisłu trzewi i lekkiego stanu przedzawałowego.

\*

– Milena. Milena!

Potrząsam głową, otrzepując się z odrętwienia. Wychodzę z warzywniaka, kiedy dopada mnie znajomy głos.

– Coś ty taka zamyślona? – Renata parska śmiechem i patrzy mi badawczo w oczy.

Wzruszam ramionami, chwytając Emilkę w objęcia.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – mówi, marszcząc brwi.

– Bo zobaczyłam... – mamrocę niewyraźnie.

– Jakiego? Kacperka, przyjaznego duszka? – pyta Emilka, podskakując radośnie na chodniku.

Przez twarz przebiega mi blady uśmiech.

– Nie. Ten jest zdecydowanie mniej przyjazny...

Patrzę Renacie w oczy i potwierdzam jej milczenie skinieniem głowy. Robi zbolaną minę, po czym chwyta mnie pod ramię i szepcze mi do ucha konspiracyjnie:

– Słonko, przecież mieszkacie w jednym mieście. Kiedyś w końcu musiałyś na niego...

– Pracuje jako nauczyciel karate w naszym przedszkolu – przerywam jej i patrzę, jak jej oczy powiększają się ze zdziwienia.

– Och. Może uda ci się z nim wyminąć – bąka bez przekonania.

– Mam go przyuczać i pomagać mu podczas treningów – wyduszam z siebie zrezygnowanym tonem.

– Oj... Chodźmy na herbatę – ciągnie mnie za łokieć i po chwili siedzę w jej ciasnej kuchni, parząc sobie język gorącą cieczą kwaśną od soczystej cytryny.

Emilka bawi się w pokoju obok, a ja jak przed paroma tygodniami wyrzucam z siebie wszystko. Przez pluszowego słonia, krzyczenie na Gingera, niewypraną bluzkę z kotem po nocne koszmary i motylki w brzuchu na dźwięk imienia Adam.

Renata słucha, nie przerywając i ani na chwilę nie spuszcza mnie z oczu.

– Wiesz, że będziesz musiała o nim zapomnieć? Nawet jeśli to tak bardzo boli?

– Wiem.

– Wiesz, że nie możesz pozwolić sobie na kontynuację tej znajomości, bo będziesz cierpiała?

– Tak.

– Wiesz, co masz teraz zrobić?

– Nie. Nie mam zielonego pojęcia, a ty?

– Gdybym to wiedziała, słonko, byłabym naprawdę dużo bardziej szczęśliwa – wzdycha i sięga po papierosa. – Chcesz się sztachnąć?

\*

Kamil bawi się na dywanie z Gingerem, a ja gotuję owsiankę na mleku sojowym z bananem. Przyprawiam ją szczyptą cynamonu i oblizuję drewnianą łyżkę. Podskakuję nerwowo, kiedy Kamil wsuwa się bezszelestnie do kuchni, przyciskając się lekko do mojego boku. Nic nie mówi, tylko zapuszcza żurawia do garnka.

– Długo jeszcze? – pyta i robi minę na wpół wygłodzonego szczeniaka.

Biję go w pośladek ścierką i przeganiam z kuchni.

– Zawołam cię, jak będzie gotowe, głodomorze! – śmieję się i równocześnie czuję twardą kulę w gardle.

Chichocze, znikając w pokoju. Łzy same napływają mi do oczu, kiedy pomyślę sobie, że jestem równocześnie tak bardzo szczęśliwa, że aż nieszczęśliwa. Spływają powoli po policzkach, gdy dociera do mnie, że mam przy sobie takiego wspianiałego przyjaciela, a wzdycham do kretyna traktującego kobiety jak zabawki. Przyspieszają tempa, kiedy zdaję sobie sprawę, że choć byłoby to najlepsze rozwiązanie, nie zakocham się nagle w Kamilu i nie odkocham w Adamie. To sprawia, że jeszcze więcej łez spływa mi po policzkach i wpada do garnka z owsianką.

\*

Kolejny dzień zaczynam od modlitwy. Szczerej, głębokiej, płynącej z samego serca. Pokornie klękam na twardej drewnianej podłodze koło łóżka i żarliwie proszę Boga, żeby Adam wpadł dziś pod ciężarówkę albo żeby został

pożarty przez krokodyla. Co też szybko odwołuję, bo przecież skąd w naszym mieście miałyby się wziąć krokodyl? Chyba tylko z drukarki 3D...

Potrząsam głową i wlepiam swoje niewinne oczy w ścianę. Świętych obrazków jakoś na niej brakuje, bo nigdy nie byłam typem świętoszki i oazowiczki ani pasjonatki sztuki religijnej, jednak teraz zwracam się do wyimaginowanego Jezusa i proszę o siłę i moc na przeżycie tego dnia. Kreślę na czole porządny znak krzyża, wstaję, klnąc na twardość podłogi. Następnie kuśtykając, podążam do kuchni nakarmić miauczącego donośnie kota. Jestem tak zamyślona, że omyłkowo sypię mu hojnie całą miskę karmy, ale niech ma, niech je, niech się kociak cieszy.

Ja nie zjadłam nic od wczoraj, więc przynajmniej Ginger nie będzie chodził głodny. Odwlekam, jak mogę, moment wyjścia z domu i zastanawiam się, czy naprawdę jeszcze parę tygodni temu oddałabym życie za możliwość powrotu do pracy.

Do przedszkola wchodzę z duszą na ramieniu. Oddycham z ulgą, kiedy udaje mi się przejść przez korytarz niezaczepona przez dyrektorkę ani przez Adama. Na paluszkach biorę z pokoju dziennik i swój fioletowy kubek z herbatą. A potem o mało nie wylewam jej na swój mizerny biust, kiedy wchodzę do sali i zastaję Adama, pyszniącego się na moim obrotowym krześle.

– Hej! Dziś jestem cały do twojej dyspozycji – mówi wesołym tonem i prostuje plecy.

– Cudownie... – bąkam, stawiając stanowczo kubek na biurku.

Sięgam po dziennik i podręcznik – niezawodny duet sprawiający wrażenie, że jestem bardziej zajęta niż w rzeczywistości, odkąd Adam zawitał w nasze przedszkolne progi.

– Co u ciebie słyhać? Słyszałem, że chorowałaś – zagaja, siląc się na troskliwość.

Wzruszam ramionami, siadając na odrapanym krześle. Otwieram dziennik na chybił trafił i robiąc skupioną minę, zaczynam wodzić oczami po domowych adresach naszych przedszkolaków.

– Strasznie dawno cię nie widziałem. Chyba w ogóle nie wychodziłaś z domu, skoro ani razu nie spotkaliśmy się na mieście – ciągnie dalej, nie zważając na moje uporczywe milczenie.

Na końcu języka mam jakąś kąśliwą odpowiedź, ale sama nie wiem, co by mi to dało. Na razie Adam zachowuje się kulturalnie i nie przekracza granic. Nie sądzę też, żeby chciał je przekroczyć – w końcu minęło parę miesięcy, podczas których najwyraźniej uznał, że nie istnieję, więc po co miałyby mnie znów podrywać? Nie wydaje mi się również, żeby był typem faceta, który nie może znaleźć nowej rozrywki do łóżka, a ja nie jestem znowuż aż taka zajebista w te klocki, żeby miał ochotę akurat na mnie...

– Nie było cię w mieście? – ponawia natrętnie pytanie.

Mruczę coś wymijająco, bo naprawdę nie chcę powiedzieć na głos, że przez ostatni okres szukałam takich sekretnych ścieżek, które umożliwiają przemieszczanie się do centrum miasta bez zahaczania o jego sklep.

Dalej niczym niezrażony Adam zaczyna nawijać o tym, jak znalazł się w naszym przedszkolu (jego mama zna dyrektorkę z Koła Ogrodniczego czy czegoś równie banalnego, choć istotnego, gdy ma się lat sześćdziesiąt plus), o swojej nowej pasji (nurkowanie) i podróży, którą odbył w lutym, kiedy ja zwijałam się z bólu na szpitalnym łóżku (Kambodża).

Nie wiem, czy tak bardzo lubi być ignorowany, czy może mój brak kontaktu wzrokowego i zupełny brak zainteresowania motywuje go do jeszcze większej wylewności, mimo to – mówi równie chętnie jak wtedy, gdy patrzyłam mu w oczy i potakiwałam głową do rytmu jego przechwałek.

Mało tego, że mówi z pasją – mówi też z takim ciepłem w głosie, że gdyby nie to, że jestem tak bardzo cyniczna, pomyślałabym, że to jego zaginiony brat bliźniak zbajerował mnie i olał albo że Adam na kilka miesięcy został porwany w niewolę i nie mógł się ze mną skontaktować. Traktuje mnie z taką sympatią i pewną poufałością, aż dziwię się, że nie zaczęliśmy wspólnie szukać mieszkania.

Parskam w duchu na tę myśl i dopiero kiedy milknie, zdaję sobie sprawę, że zrobiłam to na głos. Ups – myślę, ale nie mam zamiaru tego komentować. Wstaję tylko od biurka i ziewam, przeciągając się. Niech ma świadomość, że mnie nudzi, a jego słowa trafiają w próżnię. Sama nie wiem, czy jestem bardziej dumna ze swojego uporu, czy usatysfakcjonowana swą siłą, kiedy udaje mi się tak ewidentnie dać mu do zrozumienia, że wisi mi i powiewa.

Niestety, duma i satysfakcja nie trwają zbyt długo, bo kiedy na chwilę zapominam się i pozwalam sobie popatrzeć mu w oczy, widzę w nich ten sam głód, który widziałam w nich w listopadzie, gdy rozbierał mnie w ciemności swojego auta. Oprócz tego, że wtedy blask jego spojrzenia podkreślony był światłem księżycy, a dziś rozjaśnia go czyste pożądanie tak wyraźne, że księżyc nie musi dodawać mu ani grama blasku.

\*

Czy ktoś może mi to wyjaśnić? Jakiś mędrzec z Tybetu, światowy guru, szaman, wróżka, jasnowidz? Czy ktokolwiek umie to właściwie zinterpretować? Dlaczego to, co czasem dzieje się między dwojgiem ludzi, jest tak pogmatwane i skomplikowane jak dwutysięcznoelementowe puzzle?

Żeby było jasne. Nie było żadnego rażenia gromem, walnięcia w głowę czy innych takich. Była ulewa, stadko mokrych przedszkolaków, ja z wyglądem mokrej kury i sprzedawca w sklepie sportowym. Brzmi to jak początek ognistego romansu? Nie. Widzielibyście finał takiego zdarzenia w łóżku? Nie. Są niby przypadkowe spotkania, rozmowy, odwiedziny i lekkie flirty. Są podteksty, coraz

mocniejsze i odważniejsze, są motylki w brzuchu i są rękoczyny. Czy to o czymś świadczy? Nie.

Potem następuje nagły zwrot akcji i dochodzi do stosunku, podczas którego wszędzie są moje włosy i jego dłonie, a po tym – bach! Nie ma nic. Nie ma flirtów, rozmów, zagadkowych spojrzeń. Nie ma esemesów, zagryzania warg podczas rozmawiania przez telefon. Zero kontaktu. Są tylko sny, marzenia, wyżywanie się na kocie, płucie sobie w brodę za własną głupotę i totalna zlewka z jego strony. Wniosek? Zbałamucił, stuknął, wyrzucił z pamięci. Zaakceptowane, przełknięte, zrozumiane. Po ciężkich trudach nawet docenione.

Zrozumiałam swój błąd. Przełknęłam gorycz porażki. Dowiedziałam się, że jednak umiem się głupio zadurzyć. Postanowiłam nie utrzymywać z nim kontaktu i zapomnieć o nim do końca życia. Prawie się udało, skoro go nie widziałam i nie musiałam się zastanawiać, czy coś do niego czuję, czy nie. A teraz nagle on nie dość, że ze mną pracuje, to jeszcze zachowuje się jak gdyby nigdy nic, traktuje mnie jak swoją najlepszą koleżankę i patrzy z błyskiem w oku, jakby miał ochotę mnie zgwałcić na przedszkolnym stoliku do kolorowania.

Czy jakikolwiek mędrzec, guru albo psycholog jest mi to w stanie wyjaśnić? Bo ja najwyraźniej jestem na to za głupia...

\*

– Jak sobie radzisz? – szepcze do mnie Renata, kiedy babcia jest zajęta uczeniem Emilki haftowania kwiatków na serwetkach.

– Nijak... – odpowiadam, klepiąc Gingera po łebku.

Dziś ewidentnie ma ochotę na pieszczoty, bo nie schodzi mi z kolan od rana.

Nie chce mi się odpowiadać Renacie bardziej wylewnie. Nie chcę mówić tego na głos.

Adam pracuje u nas od trzech tygodni, ale całkowicie zawładnął już sercami dzieci, ich mam i moich koleżanek po fachu. O dyrektorze, która traktuje go jak rodzonego syna, nie ma co wspominać. Wszystkie prześcigają się w robieniu mu kawy, proponowaniu ciastka i nadskakiwaniu. Jak tylko wychodzi z pokoju nauczycielskiego, wywracają oczami z zachwytem i ekscytują się jego atletyczną budową i ciemnymi oczami. Wszystkie żałują, że są już zajęte i zastanawiają się, czy Adam kogoś ma. Żadna na szczęście nie próbuje mnie z nim swatać. Pewnie myślą, że taka szara myszka nie miałaby u niego szans. I racja. Chociaż czymś musiałam go do siebie przekonać, skoro wylądowaliśmy razem na tylnym siedzeniu jego wozu, jakoś nie mam już ochoty powtarzać tego błędu. Przykro mi, ale nie dam się już więcej przelecieć w aucie. Ani w innym miejscu też nie...

Nie wiem, czy Adam zdaje sobie sprawę, co oznacza moje zdystansowanie i brak ochoty na spoufalanie się z jego osobą. Pewnie nie, bo wciąż mnie zagaduje i zaczepia. Pyta się o każdą pierdołę, o każdy szczegół. Chętnie mi też pomaga, co

jest akurat dość przydatne w pracy. Kiedy kończy swoje zajęcia, przychodzi się pożegnać. I codziennie pyta, kiedy zjawię się w sklepie. Nie mam pojęcia, czy myśli, że jestem fanką zapleczych macanek, czy może myśli, że naprawdę jara mnie sprzęt do ćwiczeń.

Może powinnam mu prosto z mostu powiedzieć, że łąziłam do niego, bo przyciągał mnie do siebie jak magnes, a że teraz zmądrzałam i nie zamierzam się więcej poniżać. Może wtedy dotarłoby do niego, że nie jesteśmy żadnymi przyjaciółmi, a szanse na kolejne małe bara-bara są równe zeru i przestałby stawać na rzęsach, żeby mi się przypodobać.

W zasadzie to po cholere tak się stara? Przecież sam zerwał kontakt, sam nie odezwał się, kiedy przespaliśmy się ze sobą w tę chłodną i ponurą noc. Co najśmieszniejsze – teraz choć świat powoli robi się coraz bardziej zielony i kolorowy, ja z nostalgią wracam do brzydkich i szarych dni końca zeszłego roku. Długie wietrzne wieczory, które spędzałam w domu z książką i kubkiem herbaty osładzały mi pikantne esemesy, które krążyły między mną a Adamem i które do dziś mam w swoim telefonie.

Biorę do ręki komórkę i zaczynam je czytać, ale szybko wpadam w niepohamowaną złość i kasuję wszystkie hurtem. Nigdzie nie było napisane, że mnie lubi, że dobrze się dogadujemy albo że miło spędzamy razem czas. Były tylko seksualne aluzje skryte pod maską tajemniczości. Okej, racja. To ja sobie uroiłam Bóg wie co. To ja jestem głupia. Ale to on teraz znów próbuje ze mną flirtować. Wrrr. Nigdy nie zrozumie facetów. Nigdy nie pojmę, o co im chodzi. Nigdy nie dowiem się, czemu zachowują się tak dziwnie.

– Miau? – Ginger stroszy rude uszka.

Wracam do machinalnego głaskania jego puszystego ciała. Pręży się w zadowoleniu i mruży w zadowoleniu ślepią. Przynajmniej z nim wiem, jak postępować...

\*

– Chyba oszalałeś! – krzyżuję dłonie na piersiach i zabijam Kamila ironią płynącą z moich oczu.

Właśnie próbuje przekonać mnie do spędzenia popołudnia z jego rodziną na działkowym ogródku.

– Nie rozumiem, czego się tak boisz.

– Nie boję się. Po prostu... Nie mam ochoty na taki rodzinny spęd – wyjaśniam, ani trochę nie zmieniając postawy.

– Milena...

– Milena, Milena – przedrzeźniam go, wywracając oczami.

Jeszcze mocniej oplatom się ramionami.

– Okej. Nie to nie. Przynajmniej próbowałem. Pa – rzuca na odchodne



i znika za progiem.

Zatyka mnie. Święty Kamil ma charakterek? Biorę ze stołu kubek z przestudzoną herbatą. Zamiast cytryny pływa w niej tłusta mucha. Z obrzydzeniem wylewam zawartość do zlewu.

Siadam na kanapie w salonie i podwijam pod siebie nogi. Włączam pierwszą lepszą stację telewizji i sama przed sobą udaję, że ciekawi mnie polski serial z przewidywalnymi bohaterami i przewidywalną akcją. Przełączam nerwowo kanał i powtarzam tę czynność stukrotnie. Wreszcie wstaję poirytowana z kanapy i zerkam przez okno. Jest ciepło, słoneczne majowe popołudnie. Długi majowy weekend. Przed blokiem ani żywej duszy. Wracam do pokoju i przeglądam zawartość swojej półki z książkami. Zwykle leży na niej kilka nieprzeczytanych jeszcze pozycji, ale tym razem okazuje się, że wszystko już przeczytałam.

Dzwonię do babci, ale ucina szybko rozmowę, mówiąc, że są u niej Zbyszkowie z Krakowa i że cioteczka bardzo chciałaby mnie zobaczyć. Potrząsam głową w niemym przerażeniu. Nie mam ochoty na wysłuchiwanie, jaka chuda, biedna i samotna jestem, siedząc w tej zabitej deskami miejscinie, bez chłopca i dzieci uwieszonych u spódnicy. W dodatku bez auta, bez wysokiej pensji i bez cycków.

Zakładam rozczłapane adidas i wychodzę na zewnątrz. Miasto jest opustoszałe i przez chwilę czuję się jak ostatni mieszkaniec Ziemi. Wszystkie okna są pootwierane, wszystkie mieszkania puste. Kręcę się przez chwilę po osiedlu, idę na rynek, patrzę na pozamykane na cztery spusty sklepy.

– Jak trafić na tę działkę? – pytam, kiedy tylko Kamil odbiera swoją komórkę.

– Będę po ciebie za piętnaście minut – odpowiada ze śmiechem.

– Mam coś ze sobą zabrać?

– Dobry nastrój i coś na komary – radzi, zanim żegna się i przerywa połączenie.

\*

Nie wiedziałam, że jazda na hulajnodze z czterolatką jest taką wspaniałą zabawą ani że malowanie powiek cieniami w kolorze turkus, szmaragdu i fioletu daje dziewczynkom w przedziale od czterech do ośmiu lat tyle radości. Domek na działce jest mały, za to rodzina Kamila całkiem spora. Wystarczy, że są jego rumiani i radosni rodzice, brat z żoną i czwórką dzieci, trzy złośliwe shih-tzu i jeden znudzony życiem pers.

Adam wygląda jak starsza kopia Kamila, choć jest odrobinę okrąglejszy na twarzy. Adela jest z kolei typową kobietą stawiającą na macierzyństwo. Z pełnymi biodrami i pełnymi piersiami, rudymi włosami do połowy pleców, piegawatymi policzkami i ramionami oraz powiewającą długą spódnicą. Cztery łobuziary to

kolejno roczna, cztero-, sześćio- i ośmioletnie małe indywidualności. Najstarsza to pyzata i rumiana Ula z dwoma warkoczami i poważnym spojrzeniem romantycznie fiołkowych oczu. Sześćioletnia Inka łobuzerstwo ma wypisane w błyszczących jak dwa węgielki oczkach i mocno zaciśniętych usteczkach. Chociaż poobijane kolana i brudne bosc stopy też nie robią z niej zbyt dziewczynskiej istoty. Pola to miks dwóch sióstr – z jednej strony fiołkowe oczy i rumieńce, z drugiej szatańskie błyski i sińce na nogach. A bobas to niechodząca jeszcze rozkosz w pieluszcze zwana Julianką.

Szybko zapamiętuję imiona dziewczynek i szybko staję się kochaną ciocią Mileną. Całe popołudnie mija w cudownej atmosferze zabawy, śmiechu i rodzinnej sielanki. Dzieci się przekrzykują, Adela wyciąga bladą pierś i podaje ją Julce, kiedy tylko ta zaczyna szarpać ją za bluzkę. Kot goni psa, Kamil udaje, że potrafi rozpalić grilla, pani Zosia i pan Leon rozmawiają przy stole o puszczańskiej sąsiadce, ja gorączkowo odmawiam jedzenia kiełbasy, a niepilnowany przez nikogo najbardziej wredny pies sika Adamowi do sandała.

Jest swojsko. Jest wesoło. Jest przytulnie. Jest rodzinnie.

Wieczorem trzy dziewczynki z powiekami błyszczącym jak rybie łuski zasypiają kolejno na drewnianej huśtawce, hamaku i w wiklinowym koszu, roczna Julka okupuje moje kolana i raz na jakiś czas łypie ciekawskimi oczkami za mój dekolt zdziwiona, że nie ma ani cyca, ani mleka. Na łydce mam trzy wielkie bąble po ukąszeniu komara mimo tony sprayu na insekty, jestem objedzona faszerowanymi paprykami i sałatką jarzynową, mój „czarodziejski” makijaż made by Ula robi ze mnie zdzirę, a Adam wciąż opowiada suchary. Śmieję się na głos, bo w ten oto dziwaczny i pokrętny sposób spędzam jeden z najfajniejszych dni od niepamiętnych czasów.

\*

Czuję się rozleniwiona po majowym świętowaniu, a mimo to znajduję motywację, żeby poukładać lego z Emilką. Siedzimy na dywanie w jej pokoju i porzuciwszy instrukcję gdzieś koło pudełka z pacynkami, zajmujemy się kreatywnym tworzeniem zamku dla księżniczki.

Kamil ma dziś dyżur i muszę przyznać, że trochę mi go brakuje, zwłaszcza że Igor też nie mógł się dziś pojawić. Jutro wracam do pracy i naprawdę jest to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Wszystko byłoby idealnie, gdyby nie to, że będzie tam Adam. To nie tak, że nie mogę powstrzymać się, żeby się na niego nie rzucić. Nie. W zasadzie to wybiłam go sobie z głowy. Problem w tym, że rozsądek mówi jedno, ciało drugie. Ja niechętnie odwracam wzrok, mój puls przyśpiesza. Wywracam oczami na jego komplement, w podbrzuszu przelewają się przyjemne gorące fale. Nie słucham, co mówi, a moje uszy i tak wyłapują jego głos. Ciężko mi to zinterpretować i ciekawi mnie, co tak naprawdę mnie w nim pociąga. Widzę

jego wady, wiem, że nie jest w moim typie, uważam go za bufona i pozera. Na jednym wdechu potrafiłabym wyliczyć jego wady, przy dokładniejszych oględzinach uznaję, że wcale nie jest aż taki przystojny, a za niewątpliwe atuty mogę uznać jedynie bezpośredniość i szczerą uśmiech. Wiem, że jest próżny, że leci na wygląd, seks traktuje jak sport, a kobiety jak przedmioty bez uczuć wyższych. Wiem, że ma przewrócone w głowie, że jest dużym chłopcem i nie reprezentuje sobą w zasadzie nic wartościowego. Wiem też, że trudno jest mi się skupić na czymkolwiek, kiedy jest blisko mnie. Że jego zapach powoduje, iż czuję trudną do opisu miękkość we wszystkich członkach ciała. Że korci mnie, żeby na niego patrzeć. Obserwować, jak pokazuje dzieciom jakąś sekwencję ruchów, widzieć, jak kącik jego ust unosi się albo jak koncentruje się na obliczaniu stóp, kiedy wymierza boisko do gry w dwa ognie. Że pociąga mnie wewnętrznie i podnieca mnie sama myśl, że pod tym sportowym ubraniem kryje się umięśnione ciało, które zafundowało mi taką przyjemną formę ćwiczeń. Co tu dużo mówić. Działa na mnie. Jak nikt inny. A ja nie umiem powiedzieć, na czym dokładnie polega to działanie, i co zrobić, żeby jednym przyciskiem dłoni je wyłączyć.

\*

– Słoni, masz może jakieś dobre ćwiczenia na uda? – Mariolka trzepocze rzęsami i złośliwie stwierdza, że rzeczywiście przydałyby się jej jakieś ćwiczenia na tę partię ciała. Zwłaszcza że odkrywa je, zakładając przykusawę beżowe szorty w dni, kiedy Adam ma swoje sportowe zajęcia.

– O właśnie, Słoni, a może znasz jakiś sposób na wzmocnienie pleców? – dołącza Beata, prostując się i niby przypadkiem wypinając do przodu swój wydatny biust.

Zagryzam wargi. „On ma na imię Adam!” – mam ochotę krzyknąć, ale w sumie, co mnie to obchodzi. Niech go sobie nazywają, jak chcą...

– Tobie to dobrze – wzdycha Mariolka i szturcha mnie pulchnym palcem w bok. – Jesteś taaaka chuda, a przecież nie ćwiczysz.

Parskam wymuszonym śmiechem.

– Och, Milena ćwicz i to całkiem intensywnie – stwierdza nonszalanckim tonem Adam.

Czuję, jak sztywnieję, widząc igrające w jego oczach błyski.

– Naprawdę? A co takiego? – docieka Beata.

Mam ochotę ją ugryźć.

– Aaa... No wiesz... W zasadzie...

– Patrz, jaka jest gibka i elastyczna. Przecież widać, że ćwiczysz – stwierdza Adam.

– No wiem, ale co takiego robi, że jest taka sprawna? – Unosi w górę swoje sztucznie wydepilowane brwi.

– Lekkoatletyka – rzucam szybko. – W liceum byłam całkiem niezła w bieganiu – zmyślam naprędce, dziwiąc się, że tak dobrze mi poszło.

– W sumie to byłaby z ciebie całkiem dobra akrobatka artystyczna – dorzuca beztrąsko Adam.

– A skąd ten pomysł? – pyta ciekawska Mariolka.

– No właśnie. Skąd ten pomysł? – podnoszę podbródek i patrzę na niego wyczekująco.

Niech teraz on da popis swoim umiejętnościom bajko-pisarza.

– Och. Po prostu miałem okazję zobaczyć ją w akcji. Uwierz mi na słowo, chodzący wulkan energii – kończy i mrugając do niej, wychodzi z pokoju.

Oddycham głęboko, ale mimo to czuję, że pąsowieję. Mariolka patrzy na mnie z dziwną mieszaniną zdziwienia i zazdrości.

– Chodziliście razem na zajęcia fitness i nic nie powiedziałaś? – robi naburmuszoną minę i krzyżuje ramiona.

– Och. Nie zajmujemy się głupotami. Wracam do sali. Dzieciaki chyba już skończyły lekcję angielskiego – ucinam dyskusję i wymykam się spod ich wścibskich spojrzeń, oddychając z ulgą, kiedy wychodzę na chłodny korytarz.

„Wulkan energii, co ty nie powiesz...” Z nerwów zaczęły mi drżeć ręce, a policzki wciąż pałą żywym ogniem. I tylko dziwne, że w brzuchu też coś mnie dziwnie grzeje, jakbym niechcący włączyła sobie opcję podgrzewania przydatków...

\*

– Cieszę się, że masz lepszy apetyt. – Babcia przyciąga mnie do siebie, kiedy obieram pieczarki do zapiekanki.

Obieranie oślizgłych grzybów nie jest moją ulubioną czynnością, ale przebywanie w przytulnej babcinej kuchni wynagradza obrzydzenie. Igor ogląda wiadomości w pokoju obok. Właśnie wrócił z pracy i pada z głodu i zmęczenia. Maj zaczął się dla niego wypadkiem i kontuzją, więc całe dni ratuje młodziaków z motorowych kraks i młode małżeństwa z samochodowych stłuczek. Uśmiecham się do babci, przytulając się do jej boku. Emilka jest przeziębiona i Renata została z nią w domu. Dawno nie mieliśmy okazji posiedzieć tylko we troje.

– Martwi mnie tylko twoje zachowanie. Od zeszłorocznej jesieni dziwnie się zachowujesz. Czy to przez rozstanie z Pawłem? – pyta mnie, kiedy zaczynam układać ziemniaki w naczyniu żaroodpornym.

– Pewnie częściowo tak – mówię po chwili, kiedy nie udaje mi się znaleźć lepszego wyjaśnienia.

Wprowadzanie babci w swoje życie seksualne nie wydaje mi się zbyt mądrą decyzją. Zwłaszcza że chodzi o jednorazowy incydent z nieznajomym.

– Częściowo?

Udaję przygłuchawą, kiedy skupiam się na krojeniu papryki.

Niežnośna półminutowa cisza każe mi wreszcie podnieść głowę.

– Odnoszę dziwne wrażenie, że i ty, i Igor daliście się wplątać w coś, co ma podłoże miłosno-seksualne i co w równym stopniu mocno i niezdrowo zaprzęta wasze głowy – wygłasza w końcu, patrząc na mnie swoim dobrotliwym spojrzeniem.

– Odnoszę wrażenie, że jesteś jasnowidzem i wydaje mi się, że na tym powinnyśmy uciąć tę rozmowę – mówię szczerze i wzdycham.

– Czasami lepiej to z siebie wyrzucić. Nie uważasz, że powinnaś wreszcie komuś zaufać i porozmawiać od serca?

– Renata... – mruczę w odpowiedzi.

– O! – Babcia nie kryje zdziwienia. – O, to niespodzianka – dodaje tajemniczo.

– Przepraszam, ale...

– Nie tłumacz się, kochanie. Przecież wiem, że jestem za stara na rozmowy o flirtach i facetach. Nie zrozumiałybyśmy się, chyba że powiesz mi, że jakiś chłopiec przytrzymał cię dłużej za rękę albo obdarzył cię przeciągłym spojrzeniem, kiedy miałaś na sobie sukienkę wyżej kolan.

Obie wybuchamy głośnym śmiechem i tym nagłym wybuchem zwabiamy do siebie Igora.

– Co wam tak wesoło? – pyta, szczypiąc mnie w bok.

– Lepiej nie wnikać – ostrzegam go lojalnie.

– A to niby czemu? Chciałbym wiedzieć, z jakiego powodu tak się chichracie.

– Ja natomiast chciałabym wiedzieć, dlaczego ostatnio chodzisz przygaszony, a w oczach zamiast źrenic masz dwie szpileczki zdradzające rozczarowanie miłosne? – zastrzela go pytaniem babcia.

– Okej. To może jednak zostawię was same i pozwolę wam na babskie pogaduszki – stwierdza dyplomatycznie i chyłkiem wycofuje się do pokoju.

Targa nami niekontrolowany wybuch śmiechu.

– Jego też nie zostawiłam samego sobie – uspokajam babcie, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Cieszę się, że jesteście dla siebie wsparciem i że macie wsparcie z zewnątrz. Chociaż to tylko mocniej pokazuje mi, jak bardzo jesteście już samowystarczalni i niezależni – mówi ze wzruszeniem w głosie.

Widzę, że oczy zaczynają się jej niebezpiecznie szklić.

– Oj, babciu....

– Nie babciu mi tu, tylko krój tę nieszczęsną paprykę. Jeśli Igor usycha z miłości, niech przynajmniej nie uschnie nam z głodu... – sili się na dowcip i sięga do chlebaka po świeży chleb przyprószony mąką, po czym kładzie go na

ładzie i przytula mnie mocno do siebie.

– Tak bardzo cię kocham – szepczę jej do ucha, dając się ścisnąć i przytulić. Dziwię się, że w przypadku bliskich tak łatwo przychodzi mi wyrażanie swoich uczuć i mówienie tego, co do nich czuję.

\*

Po ostatnim incydencie w pokoju nauczycielskim unikam Adama jak ognia. Nie muszę go już na szczęście niańczyć, bo wdrożył się w pracę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co należy do jego obowiązków. Zajęcia karate także odbywają się już bez mojej obecności. Nasze spotkania sprowadzają się więc do przypadkowych i przelotnych kontaktów w pokoju nauczycielskim, które w zasadzie ograniczyłam już do minimum. Zachowuję wobec niego dystans i traktuję go bardzo, ale to bardzo neutralnie. Wydaje mi się nawet, że większą sympatię okazuję dziennikowi lekcyjnemu niż jemu. Nie odpowiadam na jego zaczepki, ignoruję, kiedy zaczyna mnie zagadywać.

– Pani Mileno, może pani do mnie przyjść na minutę? – Dyrektorka wpada do sali moich pięciolatek jak bomba i po jej minie widzę, że nie ma opcji, abym jej odmówiła.

Wołam Mariolkę, która ma teraz lukę, a sama kieruję się do gabinetu dyrektorki. Jest ciasny i zagracony, ale wynika to raczej z braku organizacji niż rzeczywistego braku miejsca. Paraliżuje mnie na widok Adama siedzącego na krześle. Przetykam gorączkowo ślinę.

– Proszę usiąść – mówi dyrektorka trudnym do określenia tonem.

Jakimś cudem dowiedziała się o nas i widzi, że nasz nieszczęsny, odbyty w listopadzie stosunek psuje nasze relacje w pracy?

– Mam dla was dobrą wiadomość – mówi poufałym tonem i już czuję, że wcale nie jest to taka dobra wiadomość.

Adam uśmiecha się promiennie, a ja czuję, że blednę.

Dotychczas „dobrymi” wiadomościami było wprowadzenie obowiązkowych konsultacji z rodzicami po godzinach, godzinne posiedzenia rad pedagogicznych oraz masa szkoleń i konferencji, na których nieobecność byłaby równoznaczna z wyrzuceniem z pracy.

– Dostałam ofertę nie do odrzucenia i postanowiłam, że z niej skorzystam – snuje tajemniczym tonem.

Adam niecierpliwie kręci się na krześle, a mi zasycha w gardle.

– Zapisalam was na kurs pierwszej pomocy! – wykrzykuje wreszcie, a ja oddycham z ulgą. Boże, tylko tyle? Kamień z serca.

– Szkolenie zaczyna się w ostatni weekend lipca i trwa cztery dni – dodaje, robiąc wrażenie, że puchnie z dumy ze swojego pomysłu.

– Fantastycznie! – stwierdza Adam z entuzjazmem.

Ja też staram się zrobić minę sprawiającą wrażenie zadowolenia.

– Najlepsze jednak jest to, że... – dyrektorka zaczyna bawić się w prezenterkę telewizyjną i potęguje nasze napięcie. – Szkolenie odbywa się na Mazurach!

Krew odpływa mi z twarzy. Weekendowy wyjazd? Z Adamem? W lipcu? W gabinecie zapada ciężka cisza. Słysząc stukanie paznokci o biurko, kiedy dyrektorka patrzy na nas z oczekiwaniem.

– To wspaniale! – woła Adam. – Dziękujemy za taką niespodziankę! – Uśmiecha się od ucha do ucha i poznaję, że jego uśmiech jest jak najzupełniej szczery.

Próbuję zrobić to równie szczerze, ale czuję, że na moje usta wpływa sztuczny i krzywy uśmieszek.

– Taaa... Genialna niespodzianka – mruczę wymijająco i patrzę na swoje stopy.

– Szczegóły wyślę wam mejlem, a jeśli pan Adam wyrazi chęć pojechania na szkolenie swoim samochodem, organizatorzy kursu zwrócą mu koszty paliwa – ekscytuje się dyrektorka, a ja czuję nagle mdłości na myśl, że miałabym jechać z nim setki kilometrów w samochodzie, w którym pewnie zrobiliśmy dziury, dynamicznie ugniatając siedzenia.

– Dobrze. Dziękujemy, będę czekać na mejla – mówi Adam i wstaje.

Podrywam się za nim. Najwyraźniej robię to za szybko, bo kręci mi się w głowie.

– Oj, proszę uważać – stwierdza dyrektorka, kiedy Adam łapie mnie za łokieć.

– Och. Najwyraźniej jestem jeszcze osłabiona po chorobie – rzucam, wkładając w to najmniej energii, jak jestem w stanie, by mój głos zabrzmiał słabowicie i przekonująco.

– Dlatego przyda się pani powiew mazurskiego powietrza, chwila wytchnienia od pracy i okazja do integracji z naszym nowym pracownikiem – oznajmia dyrektorka pompatycznym głosem i puszcza mi oczko.

– Jestem pewna, że jestem już wystarczająco mocno zintegrowana z naszym nowym pracownikiem – dukam. – Obawiam się jedynie, że...

– Spokojnie, pani Mileno. Wiem, że ma pani za sobą ciężki okres, ale zapewniam: z panem Adamem nic pani nie grozi, szkolenie jest już opłacone i zaklepane, a taki kurs będzie jak najbardziej przydatny w pracy z dziećmi.

Otwieram bezgłośnie usta, ale nie wydobywa się z nich żadne słowo.

– No. Wracajcie zatem do swoich zajęć, przyszli kursanci – przechodzi na spoufalony ton dyrektorka i subtelnym ruchem dłoni praktycznie wygania nas z gabinetu.

– Szykuje się niezła zabawa – stwierdza Adam, kiedy zatrząskują się za nami

drzwi.

– Nie nazwałabym tego zabawą – oznajmiam ponuro, zaciskając pięści ze złości.

– Nie? A to szkoda. Bo ja już nie mogę się doczekać tego wyjazdu – śmieje mi się w twarz.

Zastanawiam się, czy jeśli rzucę się na niego z pazurami, stwierdzą u mnie zaburzenia psychiczne i zamkną w szpitalu dla obłąkanych, tym samym pozwalając uniknąć szkolenia, czy raczej od razu wydalą z pracy.

Ostatecznie odwracam się do niego plecami i szybkim marszem wracam do swoich przedszkolaków, lekceważąc swoje trzęsące się wargi, zwiastujące wybuch płaczu albo złości.

\*

„Więc to tak wygląda atak paniki” – stwierdzam, osuwając się na kafelki w łazience, z włosami mokrymi od potu i zimnymi strumieniami spływającymi mi po plecach.

Lepki materiał luźnej męskiej koszulki przykleił mi się do ciała, a włosy do wilgotnego czoła. Cały wieczór schizowałam i panikowałam, siedząc w fotelu, ale kiedy zaczęło mi się robić na przemian słabo i niedobrze, postanowiłam, że lepiej mi będzie w łazience, gdzie w pobliżu mam umywalkę z zimną wodą i kibel, do którego mogę zwrócić kolację.

W ustach mam tak sucho, że przełykanie śliny powoduje ból. Wiem, wiem, to nic takiego, że muszę pojechać na szkolenie z Adamem. Ludzie mają większe problemy... Ale wyjazd na czterodniowy kurs pierwszej pomocy z facetem, z którym się przespałam, do którego wzdycham, a który jest równie pociągający co niewarty uwagi, brzmi okropnie dla osoby z takim życiem osobistym, jakie mam ja. Czyli z żadnym. Żyję pracą, rozmowami z kotem, odwiedzinami u babci i zabawą z chorą dziewczynką. Nie chodzę na imprezy, kawki z psiapsiółkami ani na babskie pogaduchy. Nie chodzę na randki, nie chodzę do łóżka z przystojniakami. W ogóle nie chodzę z nikim do łóżka, chyba że z książką, poradnikiem nauczycielki wychowania przedszkolnego albo z rudym złośliwym kotem.

Odklejam od ciała mokrą koszulkę. Można by z niej wyzymać wodę... Wstaję powoli i opłukuję twarz wodą. Nie patrzę na swoje odbicie. I tak wiem, że wyglądam okropnie. Wracam na fotel i nakrywam się szczelnie kocem. Resztę nocy spędzam z żalem, z wyrzutami sumienia, że jednak zrobiłam coś głupiego, z niesmakiem w ustach, z uciskiem w żołądku i z kubkiem z gorzką gorącą herbatą. Z cytryną. I z postanowieniem, że jutro porozmawiam z dyrektorką.

\*

Stoję pod drzwiami gabinetu jak kretynka i pukam. Robię to już trzeci raz,



odkąd tylko przyszedłam do pracy. Dziś na szczęście Adam nie ma zajęć, więc przynajmniej nie natknę się na niego w pokoju nauczycielskim.

– Co robisz?

– Muszę porozmawiać z dyrektorką – mówię, nie podnosząc wzroku na Irenę.

– Ale jej nie ma – odpowiada z lekkością.

– Poczekam – wzruszam ramionami.

– Powodzenia – prycha.

Zerkam na nią.

– Wyjechała na parę dni nad morze. Chora ciotka czy coś w tym stylu – macha lekceważąco ręką.

– Aha – kwituję krótko.

– W takim razie zadzwonię do niej po pracy.

– Nie radzę. Zabroniła zawracać jej głowę, chyba że to sprawa życia lub śmierci. Sprawa życia lub śmierci? – błyska do mnie sztucznym uśmiechem.

Pytanie! Oczywiście, że tak!

– Nieee... – wzdycham i dziękując za informacje, ruszam do swojej sali.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie realizuję swoich planów i nie zapewniam dzieciom wystarczająco stymulującej dawki bodźców, tylko rozdaję im karty pracy, a po skończeniu zadania pozwalam im bawić się w to, na co mają ochotę. Jestem rozkojarzona i nieobecna. Zastanawiam się, jak skończy się ten wyjazd i boję się, że słuchaniem swoich zwierzęcych instynktów i pluciem sobie w brodę za własną głupotę.

Zauważam Maksa dopiero wtedy, kiedy wdrapuje mi się na kolana i patrzy prosto w oczy.

– Dlaczego jest pani smutna? – pyta.

Zawsze wiedziałam, że Maks jest mądrym dzieckiem, ale nie posądzałam go o taką empatię.

– Och. Wcale nie jestem smutna – kłamię i od razu czuję się z tym źle. – No dobrze. Troszeczkę jestem. Ale to nic takiego – klepię go po szczupłym ramionku.

– Przecież widzę, że zachowuje się pani nieswojo – mówi przemądrzałym tonem i już wiem, że tato psycholog wpływa nie tylko na pacjentów.

– Racja. Wiesz... Czeka mnie podróż w nieznane i jak każdy boję się tego, co może mnie tam spotkać.

– A będzie pani musiała lecieć samolotem? – docieka chłopiec.

– Nie, ale mój środek transportu jest równie niebezpieczny.

– Ojej! – woła Maks. – Szybki i wściekły?

– Szybki i wściekły... – kiwam głową.

– Hm... Wie pani co? Mam pomysł! – Zanim zdążę zareagować, zeskakuje mi z kolan i biegnie do swojej szafki. – To Miś Zbyś. Tato dał mi go, jak bałem się

iść do dentysty. Może go pani pożyczyć. Będzie dotrzymywał pani towarzystwa.

– Dziękuję, Maksiu – uśmiecham się szeroko, powstrzymując ramiona od drżenia ze śmiechu.

– A to miejsce, w które pani jedzie, jest ładne? – pyta dziecko podchwytliwym tonem.

– Taaak – odpowiadam po krótkiej chwili zawahania.

– Super. Niech więc Misiu Zbysiu przygląda się uważnie. Jak wróci, opowie mi, jak było – uśmiecha się przebiegle.

– Ooo, na pewno opowie – szczerzę się do malca.

– Tylko bacznie wszystko obserwuj. Nic nie może umknąć twojej uwadze! – napomina misia Maks, a ja mrużę sobie w duchu: „Lepiej, żeby wszystkiego nie widział...”.

\*

Bluzka z motywem *Krainy Lodu*, gra planszowa, fosforyzujące mazaki. Wszystko to ładnie zapakowane w dziecięcą torbę pakunkową. Plus małe paczuszki z kolorowaną i czekoladą dla pozostałych dzieciaczków. Jestem przygotowana na kinderbal. Psychicznie też. Chcę iść na urodziny Inki.

Kiedy tylko Kamil zaproponował mi uczestnictwo w tej rodzinnej imprezie, wiedziałam, że nie mogę odmówić. Za bardzo polubiłam dziewczynki, ich rodziców i rodziców Kamila. Ani trochę się nie spinam, bo przecież idę na urodziny sześciolatki. Włożyłam prostą kwiecistą sukienkę i sandały. Kamil ma po mnie przyjechać za pół godziny. Chodzę po mieszkaniu i szukam sobie czegoś, co można robić w tym czasie. Krzątam się po pokoju, sięgam po książkę, gazetę, ulotkę z Biedronki. Ostatecznie łąduję na kuchennym krześle i spędzam dwadzieścia minut na wpatrywaniu się w wolno przesuwające się wskazówki zegara.

Na dźwięk dzwonka podrywam się i w trzy sekundy jestem gotowa do wyjścia. Kamil wita mnie z opadniętą ze zdziwienia szczęką.

\*

Czy mi się zdaje, czy mama Kamila traktuje mnie jak potencjalną synową...? Wzdrygam się i wmawiam sobie, że to tylko przewidzenie, ale znów uśmiecha się do mnie pobłaźliwie i głaska mnie po wierzchu dłoni. Zagaduje coś o kwiatach i warzywniaku, zachęca do obejrzenia rabatki. Wymawiam się wyjściem do toalety i przecinam trawnik, żeby dojść do domku.

W środku jest chłodno i pachnie świeżym drewnem. Są tam dwie łazienki – osobno kibelek, osobno łazienka z wanną i prysznicem. Toaleta przyprawia o klaustrofobię, ale łazienka jest całkiem spora. Z zazdrością patrzę na nowiutką białą wannę. Błękitne płytki są czyste i błyszczące, a w umywalce nie ma żadnych

włosów, co przy trzech długowłosych dziewczynkach zakrawa na cud.

Długo mydlę ręce i osuszam je dziecięcym ręcznikiem w kucyki My Little Pony. Ociągam się z opuszczeniem łazienki. Niby kinderbal jest całkiem udany. Są kolorowe balony w kształcie serduszek, tęczy, tort z elfem, bananowe muffinki i owocowe szaszłyki. Jest gwarno, wesoło i gorąco, dzięki bezwietrznej pogodzie i słońku, mającemu za życiowy cel spiec mnie na raka i zedrzyć mi skórę z nosa.

Dziewczynki hasają po podwórku, Julianka stawia nieporadne kroczyki na miękkiej trawie, psy chłodzą się w cieniu. Dorośli piją cydr jabłkowy, dzieci jabłkowy sok. Wszyscy mają wyśmienity nastrój. Ja też. Ale przecież jestem typem zamartwiacza. I teraz też coś mnie martwi. Jak to wygląda z boku? Jak odbierają mnie bliscy Kamila? Co on im o mnie właściwie powiedział? Że poznał mnie na oddziale wewnętrznym? Że chował ze mną trzynastoletniego psa? Że jestem dziką samotnicą, a on dotrzymuje mi towarzystwa, abym całkiem nie zbzikowała...?

Jego rodzinka jest wyluzowana. Są dla mnie mili, ale nie jest to sztuczna uprzejmość, tylko szczerza życzliwość. Szanują mnie, co nie przeszkadza im nabijać się ze mnie, kiedy okazuje się, że jestem sztywną i melancholijną istotą.

Rodzice Kamila chętnie ze mną rozmawiają, ale nic ze mnie nie wyciągają, więc nie czuję się jak na wywiadzie środowiskowym. Niemniej jednak... Widzę, że nie odbierają mnie jako zwykłej przyjaciółki i byłej pacjentki. Niby nie mówią tego wprost, ale przecież nie jestem ślepa. Nie widzą mnie jako pojedynczej jednostki. Widzą mnie jako drugą część Kamila.

\*

Dyrektorki wciąż nie ma w pracy. Codziennie odprawiam pielgrzymki pod jej gabinet z nadzieją, że jednak uda mi się ją dorwać. Nadaremnie. Dyrektorki jak nie było, tak nie ma.

Nie ma też Adama, który – szczęście w nieszczęściu – skończył już swoje zajęcia z dziećmi i wrócił do sklepu, gdzie podczas nieobecności zastępował go pracownik. Nie ma mojej woźnej i zamiast niej mam młodą stażystkę, której wszystko muszę pokazywać palcem.

Dzieci chyba wyczuwają nadchodzące wakacje, bo ani w głowie im przyswajanie wiedzy i nauka nowych umiejętności. Czas najchętniej spędzałyby na placu zabaw, ewentualnie w parku i nic sobie nie robią z tego, że w przyszłym roku idą do zerówki.

Nawijam włosy na palec wskazujący i obserwuję dzieciaki bawiące się na dywanie.

– Idziemy na plac zabaw, dzieci? – przekrzykuję ich gwar, zdzierając sobie doszczętnie gardło.

– Taaaaaak! – ogłusza mnie ich krzyk.

Pakuje notatnik do torebki i wrzucam do niej komórkę. Ustawiam dzieciarnię

w pary i uśmiecham się, widząc ich podniecone buźki i niecierpliwe przytupywania kolorowych tenisówek. A potem otwieram drzwi i pozwalam im wypaść na plac zabaw jak stado szarańczy. Nie upominam, żeby były cicho i żeby nie biegały, tylko pilnuję, żeby podczas tych szaleństw nie postrzącały się wzajemnie z drabinek.

\*

Kiedy przychodzę do mieszkania, zastaję w nim babcię, zupę ogórkową i wiosenny bukiet kwiatów. Babcia przeciera blat stołu wilgotną ściereczką, zupa w wazie wypełnia dom zapachem, a kwiaty cieszą oko.

- Ooo – mruczę, wtulając nos w barwne tulipany.
- Kamil wpadł do mnie przed pracą – tłumaczy babcia.
- Chyba do mnie – parskam śmiechem.
- Do twojego mieszkania na pogawędkę ze mną – uściśla.

Zrzucam z ramion ciężar torby wypełnionej książkami i notatkami. Siadam na krześle i wzdychając, odgarniam włosy z czoła.

– Bardziej czysty nie będzie – żartuję, kiedy widzę, że babcia wciąż poleruje stół, choć nie ma na nim ani jednego okruszka czy smugi.

Po jej minie widzę, że chce ze mną porozmawiać o czymś ważnym. Albo będzie to moje zdrowie, albo życie osobiste.

- Milenko... – zaczyna i już czuję się zmęczona.
- Przebiorę się i zaraz przyjdę – mówię i szybko wstaję.

Zamykam się w sypialni i padam na łóżko. Naprawdę nie chce mi się teraz rozmawiać o facetach ani o nerkach... Przekręcam się na brzuch i czuję, że głośno burczy, przypominając mi, że nie jadłam drugiego śniadania. Ubieram się w wyblaknięte džinsy i białą koszulkę na ramiączkach, po czym wracam do kuchni.

- Nalać ci zupy? – pyta babcia.
- Poproszę – odpowiadam do jej pleców.

Jest obrażona. Na sto procent. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy nalewa mi pełen talerz zupy. Stawia mi go przed nosem razem z grubą kromką chleba z czarnuszką. Zajadam się, mlaskając ze smakiem. Nie udaje mi się jej przejednać oznakami zadowolenia z posiłku, więc między jedną łyżką a drugą opowiadam jej o pracy, o dzieciach i ich nowych dziecięcych pomysłach. Staje na wprost mnie, a ja widzę mars na jej czole i oczy pociemniałe ze złości.

- Słonko... Cieszę się, że lubisz swoją pracę...
- Ale powinnam wyjść za Kamila, urodzić mu dzieci i żyć długo i szczęśliwie, tak? – sarkam, odkładając na bok łyżkę.

Babcia milczy, a ja już żałuję swojej postawy.

- Przepraszam – bąkam wreszcie, stukając łyżką o stół.

Podnoszę na nią wzrok. Mars jakby zelżał. Oczy wciąż są ciemne jak dwa jeziora.

- Nie chodzi mi o Kamila – mówi wreszcie.
- Och. A o co?
- Ostatnio jesteś jakaś...
- Dziwniejsza niż zwykle? – parskam.
- Nie. Sama nie wiem, jak to określić. Wydaje mi się, że jesteś smutna

i przytłoczona jednocześnie.

Patrzę w podłogę, jakbym dzięki temu miała znaleźć odpowiedź na swój dziwny stan ducha. Wiem, że powiedzenie „bo życie przytłacza” włączy babci alarm ratunkowy i skłoni ją do zapisania mnie na wizytę u psychiatry, z kolei przyznanie się do nieszczęsnego stosunku z Adamem też nie brzmi zbyt dobrze.

- Oj, babciu... – mruczę i wyciągam do niej rękę, żeby ją zmiękczyć.

Nie zmiękcza.

- Nie babciuj mi tu, tylko choć raz nie bądź taka zamknięta w sobie – prosi.

– Nie jestem zamknięta w sobie – atakuję ją, po czym wstaję i wkładam z impetem talerz z połową zupy do zlewu. – Mam znajomych. Przyjaciół. Kota.

Wywraca oczami. Nie sądziłam, że po siedemdziesiątce też stosuje się ten trik.

– Wiem, że to facet. I wiem też, że nie chodzi tylko o Pawła. Ani że Kamil też nie jest w to zamieszany. Ciekawi mnie tylko, czy nie wplątałaś się w coś ciężkiego, z czego trudno się wyplątać... Może ma żonę albo...

Parskam śmiechem. Łapię ją za rękę, widząc jej urażoną minę.

– Zadałam się z typem nie lubiącym zobowiązań. Ot, cała historia – kapituluję w końcu.

- Przecież sama też nie chciałaś zobowiązań. Bałaś się ich – przypomina.

– Tak, ale niekoniecznie miałam na myśli nie odzywanie się do siebie po... przełamaniu pierwszych lodów – udaje mi się wybrnąć i udać, że nie widzę porozumiewawczego uśmiešku, jakim obdarza mnie babcia.

Staram się zlekceważyć falę gorąca na policzkach. Babcia nie kryje zadowolenia.

- Wiedziałaś, że jest coś na rzeczy – pieje triumfalnie.

– Brawo. Zasłużyłaś sobie na naklejkę Babci Miesiąca – ironizuję.

– Nie ironizuj tak, tylko zastanów się, co powinnaś teraz zrobić – mówi belferowskim głosem.

- Nic. Nic nie mogę zrobić.

– Zawsze można coś zrobić – stwierdza z przekonaniem.

- Nie w tym przypadku – tłumię znużenie.

– Dlaczego?

– Bo ewidentnie coś do niego czuję, a on do mnie nie. Bo wiem, że to nie jest właściwy czas ani właściwa osoba. Bo czuję, że tylko się rozczaruję. Bo będę tego żałować... – wyliczam na wdechu.

– Bo może masz pod nosem coś cenniejszego, a szukasz sobie problemu, myśląc o czymś, czego mieć nie powinnaś – fuczy na mnie wreszcie.

Mrugam zaskoczona.

– Mówiłaś, że nie chodzi ci o Kamila – wytykam jej.

– Kłamałam – wzrusza ramionami i spuszcza pokornie wzrok, po czym wychodzi z kuchni, zostawiając mnie z otwartymi ustami i szczęką na kuchennym linoleum.

\*

Chodzę po targu i uważnie oglądam każdy wkładany do koszyka owoc. Wącham pomidory pachnące pomidorami i młode jabłka, których wygląd mówi, że będą kruche i soczyste. Daję się zaczepiać starszemu sprzedawcy, który usiłuje mi wcisnąć trzy babciowe pary majtek w blad różowym kolorze za piąta, choć asertywnie odmawiam zakupu i odchodzę z uśmiechem.

W drodze do domu spotykam lekarza, który w lutym przyjął mnie na oddział wewnętrzny. Gawędzimy chwilę, na szczęście nie poruszając tematu nerek ani ilości wydalanego przez mnie moczu.

Na ławce pod blokiem siedzi jedna z najbardziej wścibskich sąsiadek. Jedna z tych, które na pewno prowadziły rejestr nocnych odwiedzin Pawła i która na pewno dostała zawału, widząc Kamila wychodzącego rano z mojego mieszkania po tym, kiedy został u mnie na noc.

– Dzień dobry – mówię, szukając szybko klucza w torebce.

– A, dzień dobry, dzień dobry – szczerzy się do mnie, choć prawie nie ma zębów.

Przywołuję na twarz wymuszony uśmiech i próbuję ją wyminąć.

– Panienska Milena – cedzi z uśmiechem równie szerokim, co fałszywym.

– Przepraszam, śpieszę się – zbywam ją wciąż łagodnym tonem.

– Aaaa... Pewnie szykuje się panienska na randkę – strzela jeszcze bardziej obleśnym uśmiechem.

Mierzę wzrokiem jej całe metr sześćdziesiąt odziane w kwiecisty fartuch i góralskie papucie.

– Nie – ucinam krótko. – Idę gotować obiad... – gryzę się w język, bo przecież nie muszę się tłumaczyć tej wstrętnej ciekawskiej babuszce.

– Pewnie dla tego kawalera, co tu przychodzi do panienski – stwierdza z niezachwianą pewnością siebie, co sprawia, że w głowie zaczyna mi niebezpiecznie pulsować.

Wiem, że powinnam teraz poćwiczyć relaksacyjne oddechy. Wiem, że powinnam uśmiechnąć się sztucznie, powiedzieć grzecznie „Do widzenia”. Wiem, że powinnam opanować swój cięty i wredny język, a mimo to wcale nie żałuję, kiedy ze złościwością w głosie stwierdzam:

– Nie, ten przychodzi tylko w dni nieparzyste. Dziś odwiedza mnie inny kawaler. Proszę czuwać przy swoim stanowisku między dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą, to z pewnością go pani zobaczy.

Pobladła twarz starszej pani nie wywołuje u mnie najmniejszych wyrzutów sumienia, a wręcz sprawia mi ogromną mściwą satysfakcję i dodaje animuszu, kiedy z lekkością wbiegam po schodach.

Rzucam zakupy na ziemię i porywam na ręce niewinnego Gingera, który wytrzeszcza swoje piwne oczka w zaskoczeniu.

– Co ja najlepszego zrobiłam... – miauczę w jego długie puszyste futerko. I wcale nie mam na myśli wrednej odpowiedzi skierowanej do pani Lusi...

\*

Jak to zrobić?

Siedzę na podłodze w łazience i tonę w stercie brudnych ciuchów. Ładuję je kolejno do pralki, uważając, żeby przypadkiem nie wrzucić do bębna Gingera, który uwielbia buszować w porzrzuconych ubraniach. Zwłaszcza w biustonoszach, które może tarmosić za szelki. Chwilowo zniknął mi z oczu, więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że sterczy pod lodówką i miauczy, żałośnie drapiąc w nią pazurkami. Potrząsam głową. Myśl! Od godziny próbuję bezskutecznie wymyślić sposób, jak zacząć rozmowę z Kamilem i Adamem. Oczywiście nie równocześnie. Kamilowi muszę jasno dać do zrozumienia, że z tej mąki chleba nie będzie. Nie nadaję się do związku i już. Jest dla mnie tylko... Kim? Przyjacielem? Powiedzmy. W każdym razie musi dowiedzieć się, że nie skruszy mojego zatwardziałego serca, jakkolwiek ckliwie i melodramatycznie to brzmi.

Adam z kolei jest nikim. Choć jak na „nikogo” trochę za mocno bije mi serce na jego widok i nieco za szybko miękną mi nogi w kolanach. Nieważne. Nic dla mnie nie znaczy. I to, że na mnie działa, wcale nie oznacza, że po raz kolejny uwierzę w jego przebiegłe błyski w oczkach. Może się do mnie uśmiechać i myśleć Bóg wie co o wspólnym wyjeździe na szkolenie. Może próbować, bajerować i zaczepiać mnie. Ja za to mogę mu grać na nosie. I muszę to jasno i dobitnie pokazać. Na razie nie wychodzi mi to za dobrze.

Ze złością zatrząskuję drzwiczki od pralki. Nie chcą współpracować i otwierają się ze złośliwym kliknięciem. Jak wszystko w moim mieszkaniu nadaje się do wymiany. Jak wszystko jest stare, bo pralka to też przedpotopowy model. Trzaskam nimi z impetem i włączam przycisk „Start”.

Kiedy ubrania wirują w pralce, trzęsącej się i podskakującej po całej łazience, ja nadal siedzę z pustką w głowie, a moje myśli wirują mniej więcej tak samo szybko jak barwne ciuchy w przerdzewiałym bębnie.

\*

Korzystając z ładnej pogody, wyciągam się na balkonie. Jest strasznie mały, więc muszę wybrać, czy chcę siedzieć z podkulonymi nogami, czy wolę, żeby nogi od kolan zwisały w swobodnym zwisie.

Zamiast gorącej herbaty raczę się zimną wodą z lodem i cytryną. Letnia odmiana. Podczytuję książkę podróżniczą Pawlikowskiej i bezmyślnie głaszczę kota po grzbiecie. Mruży oczka przed słońcem i głośno mruczy w odpowiedzi. Pod wpływem pieśczoły wyciągnął się na całą długość, zostawiając mi jeszcze mniej miejsca. Szturcham go sfrustrowana, ale ma mnie w nosie. Wołam: „kici, kici” i próbuję go lekko przesunąć. Rozciąga się jeszcze bardziej. Zupełnie jakby umiał złośliwie wydłużać się na zawołanie. Ostatecznie strącam go z koca, wkładam sobie pled pod pachę, wołam Gintera do środka, a potem przymykam nogą drzwi balkonowe i wychodzę na podwórko z całym majdanem. Nieco zdezorientowany kocur wygina się w pałąk, ziewa i przeciera oczy łapką w białej skarpetce, kiedy rozsiadam się na ławce z odrapanym oparciem.

Ławka jest pusta. Wszystkie staruszki chyba oglądają teraz swój ulubiony serial albo odmawiają zbiorowy różaniec, równocześnie obgadując wszystkich wokół ze wszystkich możliwych grzechów, łącznie z nieuczestnictwem w niedzielnym nabożeństwie i wachaniem salcesonu w piątek.

Siadam po turecku na ławce. Przeciagam się aż do chrupnięcia wszystkich kosteczek. Ledwo udaje mi się znaleźć zagięty róg książki w miejscu, w którym skończyłam czytać, a już przysiadła się do mnie starsza pani spod dwójki, która pojawia się nie wiadomo skąd na alejce. Sapie dychawicznie i między jednym haustem powietrza a spazmatycznym oddechem wieloletniej palaczki, zupełnie o to nieproszona, opowiada mi przebieg swojego dnia i powód do przebywania o tej porze poza domem. Próbuję zrobić obojętną minę, chociaż wiem, że przez to zapewne znów dostanę etykietkę nieprzystępnej, niemiłej i zdystansowanej. Dla dobrej sprawy zmuszam się więc do pięciosekundowego kontaktu wzrokowego i udaje mi się nawet zrobić prawie zainteresowaną minę.

Gawędzę z nią chwilę o Ginterku (szczęściarz wyklada się beztrąsko na soczycie zielonym trawniku i wystawia rude ciało do słońca, i nie musi z nikim rozmawiać), a potem wypuszczam z ulgą powietrze, kiedy mówi, że idzie obejrzyć nabożeństwo w telewizji.

Dostaję od niebios jedenaście minut upragnionego spokoju, podczas którego mogę pochłaniać kolejne strony książki, zanim ktoś nie chrząknie porozumiewawczo. Odskakuję nerwowo, co jest chyba zresztą dość zdrowym odruchem, gdy ktoś zaczyna dyszeć nam w kark.

– Coś taka zaczytana?

– Korzystam z wolnego czasu – odpowiadam, próbując sobie przypomnieć dialog, który wymyśliłam, będąc w mieszkaniu.



– Aha – stwierdza Kamil i nonszalancko zasiada koło mnie.

Szybko patrzę w okna, wypatrując podejrzanego ruchu śnieżnobiałych i wykrochmalonych firanek. Lepiej nie utwierdzać moich wścibskich sąsiadek w przekonaniu, że mam faceta.

– Może wejdziemy do środka? Strasznie tu gorąco... – wstaję i zaczynam wachlować się książką.

Widzę, że w oknie na parterze faluje firanka i nie wiem, czy to tylko przejaw mojej zbyt wybujałej wyobraźni, czy rzeczywiste podglądactwo jako naturalna konsekwencja mieszkania z samymi starszymi ludźmi.

– Usiądź w cieniu – radzi Kamil, rozsiadając się na ławce.

– Oj, proszę cię – jęczę, ciągnąc go za rękaw.

Wybuchu jowialnie swoim szczerym śmiechem. Ginger wskakuje koło nas na ławkę i wchodzi Kamilowi na kolana. Ten tarnosi go przez chwilę, dopóki Ginger

nie wkroczy na chwiejnych łapkach na mnie. Podnoszę go, łapię za książkę i nie patrząc na Kamila, wchodzę do klatki schodowej.

– Jeeezu, chyba kupię ci parasol ochronny na słońce – wytyka mi Kamil, szturchając mnie w kościsty bok.

– Haha – śmieję się sztucznie, popychając drzwi od mieszkania.

Albo mi się wydaje, albo sąsiadka z naprzeciwka zerka przez wizjoner. Popycham Kamila do środka i zatraskuję za nami drzwi.

– Spokojnie. Przecież ci nie uciekam – robi na pół zdziwioną, na pół zadowoloną minę. Może myśli, że słońko przygrzało mi na tyle, że teraz mur beton zgwałcę go na starym chybotliwym taborecie w kuchni...

– Musimy porozmawiać – stwierdzam poważnym głosem i krzyżuję ramiona na piersiach. Albo w miejscu gdzie powinny one być. Czekam cierpliwie, kiedy Kamil usadowi swoje cztery litery przy stole. Na starym chybotliwym taborecie.

– A co niby robimy przez cały czas? – pyta z przekorą, sięgając po nieco zwietrzałe biszkopty leżące na talerzu.

– Nie w tym rzecz... – przetykam głośno ślinę.

– No dawaj. Masz jakiś dziwny ton – mówi z pełnymi ustami.

Patrzę na jego pocziwą twarz, okruszek ciastka przyklejony do lewego kącika ust i błyszczące radośnie oczy. Świecą się, nawet gdy Kamil zamiera w oczekiwaniu na moje słowa.

– Kiedy idziemy do Adama i Adeli? Stęskniłam się za dziewczynkami – wzruszam ramionami, luzując skrzyżowane ręce.

– Pfff... Możemy choćby i jutro – odpowiada i sięga po kolejnego biszkopta. Opuszczam ręce z rezygnacją i siadam na blacie w kuchni.

– Ałaaaa! Jaki twardy! O mało nie straciłem na nim zęba! – joczy Kamil, rozcierając sobie szczękę.

Śmieję się z jego grymasu i zażawionych oczu. Ginger patrzy na mnie z góry, choć siedzi na podłodze. Mam wrażenie, że śmieje się z mojej tchórzliwości.

\*

Renata umówiła się na kawę z koleżanką, więc razem z Emilką okupujemy sofę w salonie i oglądamy *Króla Lwa*. Podjadamy herbatniki w czekoladzie i pijamy je lemoniadą. Błogi spokój przerywa nam pukanie do drzwi. Wycieram ręce z czekolady w krótkie szare szorty i idę otworzyć w rozczłapanych kapciach. Widok Kamila wcale mnie już nie zaskakuje.

– Hej!

– Hej... – odsuwam się w głąb mieszkania, robiąc mu przejście.

– Co robicie? – pyta, ściągając buty.

– Oglądamy bajkę... – drapię się po żebrach.

– *Król Lew*? – zgaduje, nastawiając uszy.

– Tak jest – uśmiecham się, wręczając mu szklankę z lemoniadą.

– Cześć, Emila! – wita się z małą, tarmosząc jej grzywkę.

– Wujek Kamil! – woła z przejęciem, zeskakując z kanapy.

Widzę na niej smugi czekolady. Na kanapie, nie na Emilce. Emilka cała wygląda jak z czekolady. Mam nadzieję, że uda mi się ją domyc mydłem. I że plamy na tapicerce spiorą się przy użyciu ludwika. Emilka tuli się do Kamila, a on głaska ją po głowie.

– Mogę do was dołączyć?

– Pewnie! – krzyczy, robiąc mu koło siebie miejsce i podtykając pod nos talerz z ciastkami.

Emilka przechyla go na bok, więc rzucam się szczupakiem, próbując złapać spadające ciastka. Kamil też wyciąga rękę do talerza, więc – chcąc nie chcąc – stykamy się dłońmi. Poprawiamy herbatniki. Kładę talerz na ławie. Emilka siada pośrodku, by mieć blisko siebie zarówno mnie, jak i Kamila. Ścisła raz jedno, raz drugie z nas. Uśmiecham się za każdym razem, kiedy zaczyna się do mnie lepić albo kiedy łapie mnie za rękę. Po filmie urządzamy komisyjne mycie rąk i buzi z czekolady, ja wkładam czyste spodenki, Emilkę przebieram w dziewczęcą sukienkę, a potem wspólnie wychodzimy na spacer.

– Jaka piękna rodzinka... – sąsiad z alzheimerem z sąsiedniego bloku klaska teatralnie w dłonie, kiedy widzi wyszczerzoną od ucha do ucha Emilkę, uczipioną boku Kamila i ciągnącą mnie za rękę.

Nie chce mi się go poprawiać, więc udaję przygłuchawą i kieruję swoją bandę w stronę okolicznego placu zabaw.

Emilka szybko znajduje sobie towarzystwo do zabawy, a my siadamy na zacienionej ławce z widokiem na huśtawki i zjeżdżalnie. Pięć minut później

przybiega do nas rudowłosa dziewczynka z wielką szparą między jedykami.

– To prawda, że jest pani ciocią Emilki, a to jest jej wujek, ale nie jesteście małżeństwem? – pyta nas zuchwałym głosem.

– Tak – oznajmiamy równocześnie.

– Fajnie. Moja ciocia też żyje ze swoim chłopakiem na kocią łapę – wyszczerza się i jednym susem wskakuje na karuzelę, potrząsając głową jak mały czubek.

Zamieram w bezruchu, nie mówiąc słowa. Kamil chichocze bezgłośnie. Widzę, jak jego ramiona trzęsą się pod cienką koszulką. Chcąc nie chcąc, też się uśmiecham.

\*

Zakończenie roku szkolnego jest radosnym wydarzeniem. Dzieciaki podskakują niecierpliwie, miętoląc białe bluzeczki i wycierając spocone łapki w plisowane spódniczki i wyprasowane w kant spodnie. Ja ściskam w dłoniach wielki bukiet żywych kwiatów i zastanawiam się, gdzie mogłabym go położyć.

Na szkolnej sali gimnastycznej, gdzie mamy uroczystość, jest ciasno i duszno od elegancko ubranych osób. Adam też wystroił się w białą koszulę i czarne spodnie.

– Bez dresów wygląda lepiej – szepcze mi na ucho Beata.

Korci mnie, żeby dla jej bezcennej zapewne miny odszepnąć: „Bez bokserek też”, ale wiem, że to zły pomysł. Puszczam więc jej uwagę mimo uszu. Po chwili muszę wyjść na środek, żeby wręczyć dzieciakom dyplomy. Dalej nie mam, co zrobić z kwiatami. Adam zjawia się nie wiadomo skąd. Przejmuje moje kwiaty, życzy powodzenia i popycha mnie lekko na środek. Przemawiam bez cienia tremy, dziękując dzieciom i rodzicom za miły rok szkolny. Pod koniec nawet zaczyna drżeć mi głos, kiedy uświadamiam sobie, że maluchy, którym pomagałam się jeszcze niedawno podcierać, za chwilę pójną do szkoły. Kończę przemowę, zanim całkiem się rozkleję i wracam na swoje miejsce. Adam klepie mnie poufale w ramię. Zabieram z powrotem swoje kwiatki. Dyrektorki dalej nie ma i zastępuje ją Irenka, która zawsze wie, co i kiedy trzeba zrobić czy powiedzieć.

Tym razem też wypada genialnie w roli mówcy. W dwóch zręcznie sklejonych zdaniach zawiera wszystko, co powinno się zawrzeć na zakończeniu i żegna wszystkich życzliwym uśmiechem. Potem rodzice i ich milusińscy rozchodzą się do domów, a ja i reszta nauczycielek zostajemy, żeby ogarnąć swoje rzeczy w pokoju nauczycielskim.

Wzięłam sobie wolne na całe wakacje. Zwykle pracowałam ostro podczas lipcowych półkolonii, więc dyrektorka nie miała żadnych wątpliwości co do mojego zasłużonego wolnego.

Wychodzimy hurtem z przedszkola. Sam babiniec, same przedszkolanki.

Plus kwiaty i roztopiające się powoli czekoladki. Dziewczyny śmieją się i rozmawiają, jakby mało im było rozmów w pracy. Ja tradycyjnie nie uczestniczę w tych babskich pogaduchach, lecz oddaję się swoim myślom. Świadomość, że przez najbliższe dwa miesiące nie wrócę do tego budynku, jest z jednej strony cudowna, z drugiej – niepokojąca. Nie będzie mi brakowało zajęcia? Wdrożę się ponownie w obowiązki po wakacjach?

Zamyślona i pogrążona w swoim świecie zauważam Kamila dopiero, kiedy do mnie podchodzi. Kłania się moim koleżankom, następnie wyciąga w moją stronę bukiet stokrotek, obdarzając mnie szerokim uśmiechem. Czuję, że robi mi się słabawo. Dziewczyny wciągają gwałtownie powietrze. Po pani Hani widzę, że zawał jest blisko. Zamykam oczy, ale gdy je otwieram, wciąż widzę przed nimi Kamila. I stokrotki z idealnie białymi płatkami.

– Myślałam, że stokrotki są pod ochroną... – bąkam głupio, nie wiedząc, jak się zachować.

Moje koleżanki chichoczą. Czuję niewidzialne wibracje, jakie rozchodzą się po moich kościach, kiedy obdarzają się pełnymi konspiracji kuksańcami. Kamil patrzy na mnie wyczekująco. Biorę kwiatki do ręki i zaciskam palce na niewinnych jasnozielonych łodyżkach.

– Co ty tu robisz? – udaje mi się w końcu wydusić.

– Witam cię w wakacyjnym nastroju – wyszczerza się.

Mam ochotę zetrzeć mu ten uśmiech gąbką. Nasączoną domestosem... Dziewczyny, widząc moje skrępowanie, jedna po drugiej żegnają się szybko i odmaszerowują chodnikiem. Słyszę strzępki ich zdziwionych rozmów. Prawie czuję ich namacalne podniecenie i temat plotek na najbliższe tygodnie. Oczyma wyobraźni widzę, jak z podekscytowania zaczynają wyłazić im oczy z orbit. Mam ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. A wcześniej zabić i zakopać Kamila. Kamila, który rozprawia beztrósco, wkładając lub wyciągając ręce z kieszeni dżinsów.

– Przechodziłem koło twojego bloku. Jest u was największy wysyp stokrotek w okolicy. Uciałem sobie nawet pogawędkę z...

– Kamil... – z rezygnacją wypuszczam z siebie powietrze.

– Słucham?

Mrozę go wzrokiem.

Przestaje paplać.

– Jesteś na mnie zła – zgaduje.

– Nie jestem zła – prostuję.

– Tylko...?

Czuję się jak kretyńka, stojąc pod szkołą z naręczem kwiatów. I bukiecikiem stokrotek. Daję Kamilowi znak ręką i zaczynamy iść w stronę mojego bloku.

– Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji – dukam w końcu.

- Przecież nic nie zrobiłem – dziwi się.
- Wskoczyłeś z kwiatami... – wywracam oczami.
- Ze stokrotkami – poprawia mnie.

Milknę. Jak mam mu powiedzieć, że dla mnie to prawie tak samo, jakby rzucił się na mnie i zaczął całować z języczkiem?

- Po prostu... Teraz zaczną się plotki... – mówię bez składu i ładu.
- Jakie? Że dostałaś bukiet stokrotek? Nie wiedziałem, że to taka zbrodnia... Ja z kolei nie wiedziałam, że Kamil potrafi ironizować. Znowu milczę.
- Przepraszam. Więcej nie będę ci robił niespodzianek – mówi z goryczą.
- Teraz wszyscy będą mówić, że jesteś moim chłopakiem – tłumaczę.
- No i?

– Przecież nim nie jesteś... – zatrzymuję się na środku chodnika i zmuszam go do konfrontacji ze stalowym chłodem moich oczu.

– Ale jesteśmy ze sobą blisko. Chyba jestem dla ciebie kimś więcej niż przypadkowym facetem, co?

Czas nagle się zatrzymuje. Zatrzymuje się wiatr poruszający drzewami. Zatrzymują się jadące samochody. Zatrzymuję się ja i zatrzymuje się on. Stoimy naprzeciw siebie na chodniku. Powinam powiedzieć: „Oczywiście, że nie jesteś przypadkowym facetem”, ale wtedy musiałabym dodać, kim dla mnie jest. A przecież nie znam odpowiedzi na to pytanie. Raczej nie jest kimś zbliżonym do chłopaka. Miotam się więc niespokojnie. Być szczerą czy lepiej nie? Patrzę mu w oczy i już wiem, że nie mogę skłamać. Nie jemu. Wiem też, że prawdy nie będę umiała mu powiedzieć. Stoję przed nim i milczę. Widzę w jego wielkich niebieskich tęczęwkach ból, kiedy tak patrzę i się nie odzywam. Zaczynają mnie piec oczy, ale dalej nic nie mówię. Cisza mnie zabija. Zabija mnie jego wzrok. Zabijają zaciśnięte usta. I jego głuche milczenie. Wreszcie otrząsa się, odwraca ode mnie wzrok i bez słowa odchodzi.

Samochody znów zaczynają jeździć ulicą. Poruszone wiatrem noski lipy wirują koło mojego ucha. Znów słyszę ludzkie głosy. Głuche uderzenia swojego serca. I głośny odgłos przetykania śliny dobiegający z mojej krtani. Stoję jak ten słup soli. Zamarła w bezruchu. Niezdolna do wykonania jakiegokolwiek czynności. Stoję i pozwalam, żeby oczy mnie piekły, ludzie omijali szerokim łukiem, a wiatr wyrывał z dłoni stokrotki i rozrzucał ich idealne kwiatuszki po krzywym chodniku.

\*

- Brawo – oznajmia krótko Renata.

Renata, do której wpadłam jak bomba, rzucając na podłogę kwiatki i czekoladki, i którą od razu wyciągnęłam na balkon w celu urządzenia sobie szybkiej terapii.

- Brawo, Pani Niedostępna... – prycha teraz złośliwie, gasząc papierosa.

Opieram się o balkonową poręcz. Zastanawiam się, czy nie łatwiej byłoby skoczyć w dół...

– Jesteś z siebie zadowolona? – atakuje mnie Renata.

– Daj mi chwilę pomyśleć! – odwarkuję.

– Jasne... – kwituje to z kwaśnym uśmiechem i wchodzi do pokoju.

Przez chwilę stoję na balkonie sama, ale wiatr próbuje wycisnąć z moich oczu łzy, więc chowam się do środka. Renata jest w kuchni. Tłucze garnkami i miskami, dlatego domniemywam, że jest nieprzeciętnie wkurzona.

– Dlaczego tak się sadzisz? Przecież to moja sprawa – siadam na taborecie.

– Świetnie. Rób sobie, co chcesz – oznajmia, wkładając z impetem garnki do szafki.

Pocieram dłonią skronie. Jestem znużona gorącem i emocjami.

– Tak było lepiej – stwierdzam beznamiętnie.

– Dla kogo?

– I dla mnie, i dla niego.

– Oczywiście. Tak sobie to tłumacz – znów parska.

– Co niby miałam mu powiedzieć? Że go kocham czy że jest dla mnie kimś wyjątkowym? Po co miałam go okłamywać?

– Milena, czasami zachowujesz się jak totalna kretynka. Nikt cię nie zmusza do miłości. Zresztą, ja nawet w nią nie wierzę. Ale nie powiesz mi chyba, że nic dla ciebie nie znaczył? Nie powiesz, że nie lubiłaś spędzać czasu z nim i jego rodziną? Nie powiesz, że nie pomógł ci, kiedy wracałaś do zdrowia albo dochodziłaś do siebie po śmierci Axela...

– Zrozum, gdybym powiedziała, że coś dla mnie znaczy, on zinterpretowałby sobie to jako szansę na coś więcej. A przecież wiesz, że nie przekonam się do związku... – z trudem powstrzymuję się od wywrócenia oczami.

– Wiesz, Kamil jest w ciebie tak zapatrzony, że jestem pewna, że trzymałby się narzuconych przez ciebie zasad ściślej niż przepisów w szpitalu. Daj spokój. Przecież nikt nie mówi o planowaniu przyszłości czy wybieraniu imion dla dzieci. Chodziło tylko o powiedzenie, że nie jest dla ciebie całkiem obojętną osobą.

– Okej, powinnam była coś powiedzieć, ale... Nie wiedziałam jak.

– I dlatego wolałaś milczeć i dać mu odczuć, że jest dla ciebie nikim? – Renata unosi w górę brew.

– Nie dałam mu odczuć, że jest dla mnie nikim. Nigdy bym mu tego nie zrobiła – burzę się.

– Ale zrobiłaś – stwierdza dobitnie.

– Okej. Niech będzie, że to ja jestem tą złą. Przynajmniej dałam mu jasno do zrozumienia, że z happy endu nici.

– Zobaczymy, kto na tym straci – straszy Renata.

– Mnie tam niczego nie będzie brakować. Nie chciałam faceta – burczę.

– Zobaczymy.

Wzruszam ramionami.

– Nie masz choć lekkich wyrzutów sumienia? Nie żałujesz, że tak to zakończyłaś?

– Nie zakończyłam. Przecież nic się nie zaczęło! – naskakuję na nią.

– No właśnie... – stwierdza głucho i wychodzi z kuchni.

Zostaję w kuchni sama. Bawię się rąbkiem obrusu. Mrugam oczami, które pieką, choć tym razem nie mogę zwalić winy na wiatr.

\*

Pierwszy dzień upragnionych wakacji rozpoczyna się od burzy. Zaczyna się nad ranem, kiedy w błogiej nieświadomości mruczę sobie do poduszki na spójkę z Gingerem. Wiatr wpada przez uchylone okno i niesie ze sobą świszczące, zimne powietrze. Podnoszę głowę znad poduszki i półprzytomnie zerkam za okno. Drzewa wyginają się jak tancerki, liście i drobne gałązki fruwią po osiedlu. Wstaję i na bosaka podchodzę do okna. Muszę się przyłożyć, żeby je zamknąć. Wiatr hula jak szalony. Budzik pokazuje piątą dwadzieścia dwie. Człapię do łazienki, a potem z powrotem moszczę się w łóżku. Opatulam się szczelnie kołdrą i przytulam do siebie kota. Nie mogę już jednak zasnąć i im bardziej zaciskam powieki, tym bardziej czuję się rozbudzona. Nie mogę też zatrzeć obrazu Kamila, kiedy patrzył na mnie i czekał na odpowiedź. Dopiero teraz zaczynam czuć coś na kształt wyrzutów sumienia i ściskania w dołku. No dobra. Może zachowałam się ciut... Wrednie. Tak. Nazywajmy sprawy po imieniu. Zachowałam się jak zimna, wredna małpa. Ale przecież nie mogłam postąpić inaczej.

Znów zaczęłyby się zobowiązania, plany, propozycje... I strach. A potem rozczarowanie. Potrząsam głową. Próbuję myśleć o tym, co mogę zrobić na wakacjach, ale zamiast tego wciąż widzę te nieszczęsne stokrotki, podsunięte mi pod nos. W oddali słyszę grzmoty, szum wiatru stanowi idealny podkład do snu, a ja wiercę się w skłębionej już pościeli i szeroko otwartymi oczami o mało nie wywiercam dziury w suficie.

\*

Wstałam po dziesiątej. Z obolałymi kośćmi i zastanymi mięśniami. Nie byłam głodna, więc na śniadanie zjadłam miskę truskawek. Do dwunastej paradowałam po mieszkaniu w pizamie. Ogarnęłam się koło pierwszej i od razu wyszłam na targ po świeże warzywa. Na obiad zrobiłam sobie pierogi z czereśniami. Zadzwoiłam do Igora, żeby przyszedł pomóc mi je jeść, ale miał inne plany. Zadzwoiłam więc do babci. Zamieniła ze mną dwa słowa i poleciała do fryzjera. Spróbowałam z Renatą. Zbierała się właśnie na urodzinową imprezę do koleżanki Emilki. Prawie machinalnie wybrałam numer Kamila i od razu

przegryzłam niepewnie wargę. Rozłączyłam się, zanim uzyskałam choćby jeden sygnał połączenia, po czym schowałam pierogi do lodówki

Popołudnie spędziłam nad krzyżówkami, gazetami, książką i zimną lemoniadą z soczystych cytryn. Koło piątej doszłam do wniosku, że mam dość lenistwa i zaczęłam sprzątać mieszkanie. Wieczorem wszystko lśniło, muzyka sączyła się z radia, a ja nie miałam już co ze sobą zrobić.

Włożyłam adidasy i poszłam na spacer. Zajrzałam do babci, ale plotkowała w najlepsze z owdowiałym niedawno sąsiadem, więc nie chciałam im przeszkadzać.

Pokręciłam się po mieście, jednak prócz rozrabiających dzieciaków nie było nikogo, z kim mogłabym zamienić słowo.

Wróciłam do siebie i resztę dnia spędziłam, mocząc się w wannie. Poszłam spać o nieprzyzwoicie wczesnej porze, z niemałym przerażeniem stwierdzając, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że wakacje spędzę tak nudno i samotnie jak nigdy wcześniej i że stanie się tak tylko i wyłącznie na moje własne życzenie.

\*

Kolejny ranek zaczyna się dla mnie mało apetycznie. Wszystko dzięki Gingerowi, któremu zachciało się zwrócić kolację w przedpokoju. Odgłos kociego pawia budzi mnie o siódmej, a wysiłek włożony w doczyszczenie futrzastej wycieraczki odbiera ochotę na sen. Na śniadanie też ją odbiera, więc zaczynam dzień od gorzkiej herbaty. Z cytryną. Ginger przychodzi za mną do kuchni i wspina mi się po nogach, drapiąc po gołej skórze pazurkami. Odpycham go delikatnie. Podchodzi do lodówki i skrobiąc po niej pazurkami, miauczy bezgłośnie.

– Jesteś mało ekonomiczny w utrzymaniu – odciągam go od lodówki, sypiąc mu suchą karmę.

Robi zniesmaczoną minę, mrużąc ślepkę.

– Przykro mi, kochany. Pijawki i dietka ścisła. Od tego pomyślność w leczeniu zawisła – chichoczę, smyrając go po łepku.

Co by tu robić? Co by tu robić? Obserwacja Gingera, który pochłania whiskasa, jakby nie jadł przez tydzień, nie jest zbyt fascynującym zajęciem. Przez chwilę przeglądam gazety, ale przeczytałam już wszystko wczoraj. Biorę prysznic, ubieram się i wychodzę do biblioteki. Oczywiście jest jeszcze nieczynna, więc snuję się wokół, robiąc sobie rundę po mieście. Zapominam się i przechodzę koło sklepu Adama. Na szczęście on też zaczyna pracę o dziewiątej, na sklepie wisi tabliczka: „Nieczynne”.

– O, hej! – Słyszę jego głos i okazuje się, że chyba jednak dziś postanowił otworzyć sklep wcześniej. Dochodzi właśnie do drzwi i brzęczy kluczami.

– Cześć – odpowiadam, nie zwalniając kroku.

– Gdzie tak pędzisz?



– Do biblioteki – zatrzymuję się niechętnie.  
– Cóż za przejaw ambicji, odwiedzać bibliotekę w pierwszych dniach wakacji, zanim jeszcze została otwarta – śmieje się.  
Parskam wymuszonym śmiechem.  
– Możesz poczekać u mnie – składa mi propozycję nie do odrzucenia, którą oczywiście od razu odrzucam.  
– Dziękuję, za dziesięć minut ją otworzą.  
– Tak ci się tylko wydaje. Zanim ciocia Jasia doczłapie do biblioteki i ją otworzy, z pewnością minie pół godziny.  
– Ciocia Jasia? – dziwię się.  
– To siostra mojej babci.  
– Aaaa – mruczę.  
– To co, herbatka? – podłapuje Adam.  
– Za ciepło na herbatę – oponuję.  
– Okej, to sok. Wskakuj do środka. Musimy przecież porozmawiać o szkoleniu – otwiera drzwi i zaprasza mnie do środka gestem.  
Stoję przez chwilę niezdecydowana, aż wreszcie biorę wdech i wchodzę do środka. Adam uchyla okno i rzuca na stół torbę.  
– Rozgość się – podsuwa mi obrotowe krzesło.  
Idzie na zaplecze i słyszę dźwięk otwieranej lodówki i szcęk szklanych butelek. Sok pomarańczowy jest zimny i orzeźwiający. Sklep pachnie znajomo. Adam też. Siedzę i staram się płytko oddychać, żeby nie czuć jego zapachu.  
– Myślę, że pojedziemy moim samochodem. Dostanę zwrot kasy za paliwo, także nie opłaca się tłuc autobusem.  
– Hm. Okej. Kiedy wyjeżdżamy?  
– W czwartek w nocy albo piątek z samego rana – patrzy na mnie wyczekująco.  
– W piątek rano – postanawiam.  
Zero nocnych wojaży z tym podrywaczem.  
– Nocą jeździ się przyjemniej. Nie ma upałów, korków...  
– Piątek rano – przerywam mu nieładnie.  
– Jak wolisz – wzrusza ramionami.  
Piję sok, nie patrząc w jego stronę.  
– Jak spędzasz wakacje? – pyta.  
Udzielam wymijającej odpowiedzi, zasłaniając się „organizowaniem sobie czasu wolnego”.  
– Planujesz jakiś wyjazd, wycieczkę?  
– Pod warunkiem, że obrobię wcześniej bank – parskam śmiechem.  
– Jadę w sierpniu na Chorwację, mogę cię zabrać ze sobą – uśmiecha się przebiegle.

– W zamian za codzienne usługi seksualne czy pranie skarpetek? – patrzę na niego wyzywająco.

On też na mnie patrzy. Powiedzieć, że jest zdziwiony to za mało. W sumie sama też dziwię się, że palnęłam takie głupstwo bez chwili zastanowienia. Skoro jednak to zrobiłam, nie pozostaje mi nic innego, jak pójść dalej w tę stronę.

– Powiedz mi, proszę, czy to moja wybujała fantazja, czy naprawdę próbujesz ze mną flirtować?

Wygląda jakbym przycisnęła go do muru i dodatkowo przyduśiła fortepianem.

– Jakoś tak samo wychodzi – stwierdza wreszcie zduszonym głosem.

– Co samo wychodzi?

– Flirt – wzrusza niepewnie ramionami.

Niepewny Adam, coś nowego...

Patrzę na niego z ukosa. Czekam.

– Podobasz mi się – mówi w końcu.

Trawię jego słowa.

– Tak? A to ciekawe... – ironizuję.

– Dlaczego?

– Zgadnij.

– Dobrze się dogadujemy. Pociągasz mnie. Intrygujesz... – mówi, prostując się na krześle.

– Od kiedy?

– Odkąd cię poznałem.

Prycham, odwracając wzrok.

– Jestem dla ciebie tak pociągająca, że kiedy mnie zaliczyłeś, zerwałeś ze mną kontakt, a kiedy przypadkiem spotykaliśmy się w pracy, znów zaczynasz mnie bałamucić?

– Nie zerwałem kontaktu. To nie tak – oponuje.

Mierzę go wzrokiem.

– Doprawdy?

Wzdycha.

– Wcześniej też mi się podobałaś, ale odkąd mam okazję częściej z tobą przebywać, coraz bardziej na mnie działasz. Podobasz mi się – powtarza.

– Za to ty mi coraz mniej – stwierdzam nonszalancko, wstając i zostawiając na blacie niedopity sok.

Zerkam na niego i widzę osłupiałą minę. Powstrzymuję się przed triumfalnym uśmiechem, kierując się w stronę drzwi.

– Dziękuję za sok – mówię i odwracam się na pięcie.

Czuję w plecach dziwne mrowienie. Czuję, że czerwienieją mi uszy. Czuję rozlewającą się w brzuchu falę satysfakcji. I czuję motylki. Też w brzuchu...

\*

Babcia jest przeszczeniwa, że do niej przyszaam. Od razu nastawia wodę i zaczyna wykładać na stół krakersy, ciastka z kremem i gorzką czekoladę, zachęcając mnie do jedzenia. Przegryzam bezmyślnie krakersy. Przeglądam wypożyczone książki. Pani Jasia była dla mnie wyjątkowo miła i nawet poleciła thriller nowego, nieznanego mi jeszcze autora. Na szczęście nie wspominała nic o swoim siostrzeńcu.

– Chyba coś cię gryzie... – Babcia patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem.

– Nie czepiaj się mnie, proszę – jęczę, wtykając nos do kubka z herbatą.

– Ale może ulży ci, jak...

– To co by mi ulżyło, jest karane, więc jak nie chcesz pójść siedzieć za współudział, to mnie nie prowokuj – ostrzegam.

– Boże święty, nie poznaję mojej wnuczki! – grzmi babcia, gromiąc mnie wzrokiem.

Truchleję. Mina babci skruszyłaby największego twardziela.

– Oj, babciu... – marudzę.

Kręci powątpiewająco głową.

– Nie wiem, co ty kombinujesz. Naprawdę tego nie wiem... – zaciska usta w wąską kresczkę.

– Może to i lepiej... – opieram głowę na stole.

– Z tego wszystkiego najbardziej szkoda mi Kamila. – Słyszę w oddali babciny głos.

– Mnie też, ale to musiało się tak skończyć – stwierdzam.

– Nieprawda.

– Nie musiał mnie tak przytłaczać swoją osobą i roić sobie nie wiadomo czego. Przecież wiedział, że niedawno zerwałam z chłopakiem. Wiedział, że nie jestem gotowa na nic nowego – mówię, patrząc tępo w stół i powiększając paznokciem dziurę w ceracie.

– Oczywiście, że tak. To nie twoja wina, że wszystkich odtrącasz. To wszyscy inni zrobili źle, bo skakali koło ciebie jak koło księżniczki, mimo że nie potrafisz wykrzesać z siebie odrobiny ludzkich uczuć i przywiązania – mruczy zjadliwie.

Zamieram. Przestaję nawet grzebać w ceracie.

– Przepraszam. Nie chciałam...

Czuję na ramionach jej dłonie i powstrzymuję się, żeby ich nie stracić.

– Wiem, że straciłaś rodzinę. Nie powinnam była uderzać w tę strunę – tłumaczy się.

– Muszę już iść – podnoszę się z krzesła.

– Przepraszam, słonko. Nie gniewaj się na mnie – łapie mnie za rękę

i wymusza spojrzenie w oczy.

– Nic się nie stało. Masz rację. To ze mną jest problem – wzdygam.

– Daj spokój. Absolutnie nie to miałam...

– Jasne, jasne... Nic się nie stało, babciu. I tak miałam się już zbierać.

Dziękuję za herbatę – mówię na odchodnym.

– Nie ma za co... – szepcze.

Idę ulicą, patrząc w swoje sandały. Zerwałam z chłopakiem, który mnie kochał, przespałam się z takim, który mnie zlał, a odrzuciłam tego, któremu na mnie zależało.

– Hej! Gdzie leziesz! – wrzeszczy kierowca, któremu o mało nie weszłam pod saaba. O, i jeszcze chodzę jak sierota. Brawo...

\*

Szybko przyzwyczajam się i do wolności, i do samotności. Mam wrażenie, że Renata i babcia prowadzą bogatsze życie towarzyskie niż ja. Ciągłe chodzą na jakieś imieniny, spotkania i inne spędy. Renata czasem podrzuci mi Emilę, czasem nie. Igor rzadko kiedy ma dla mnie czas. Tłumaczy się pracą i zmęczeniem, ale nie do końca mu wierzę. Pewnie też karze mnie za pozbawienie go towarzystwa jedyne go faceta przełamującego nasz babiniec.

Koleżanek w sumie nie mam, więc czas spędzam głównie w swoim towarzystwie. Śpię do oporu, jem obiad na śniadanie, gadam do kota i snuję się po domu, szukając sobie zajęcia. Czasem wyjdę poczytać do parku, czasem wybiorę się na spacer nad rzekę. Czytam, rozwiązuję krzyżówki, nadrabiam zaległości w oglądaniu filmów. Wczoraj zrobiłam przegląd swojej szafy i oddałam część ciuchów dla biednych. Potem kupiłam sobie nowe poduszki i dywanik do salonu. Raz na kilka dni piekę jakieś ciasto z owocami sezonowymi, a kiedy po paru dniach wciąż zostaje mi połowa blaszki, hojnie dzielę się nim z gołębiami. Ptaki mnie uwielbiają i dziwne, że nie zaczęły za mną latać do sklepu. Sąsiedzi uwielbiają mnie mniej, bo przeze mnie gołębie opanowały naszą okolicę. Tak źle, tak niedobrze...

W połowie lipca dzwoni do mnie dyrektorka.

– Gotowa na przygodę życia?! – trąbi na powitanie.

Przygoda życia... Dobre żarty...

– Tak, właśnie wynajęłam busa – odpowiadam spokojnie.

– Żartuje pani? Przecież pan Adam jedzie samochodem! – stwierdza z wyrzutem.

– Nie szkodzi. Zarezerwowałam busa – powtarzam.

– Proszę nie zgrywać niezależnej kobiety, skoro ma pani okazję dotrzeć bezpiecznie na miejsce. Poza tym mówiła pani, że nie czuje się jeszcze najlepiej, więc samotna jazda...

Wyłączam się. Mentalnie. Nie jestem na tyle bezczelna, żeby przerwać połączenie z przełożoną...

– ...wtedy przyniesie mi pani zaświadczenie, a potem zobaczymy się dopiero we wrześniu – kończy śpiewnym głosem.

Poruszam bezgłośnie ustami.

– A więc żadnych kombinacji. Zrozumiano?

– Tak jest... – przytakuję niechętnie.

– Ahoj, przygodo! – woła dziarsko.

– Ahoj, przygodo! – wołam żałośnie.

Po odłożeniu słuchawki mam ochotę zwymiotować.

Patrzę niechętnie na kalendarz i odliczam, ile dni zostało do wyjazdu.

– Ahoj, przygodo...

\*

Lipiec jest pogodny, ciepły i słoneczny. Czasami zdarzą się upalne dni, czasami zagrzmie. Poza tym pogoda jest idealna i nikt nie może na nic narzekać. Wkręciłam się w codzienną rutynę i nie narzekam na samotność. Cieszę mnie wolne dni, cieszy mnie zwolnienie tempa. Nie cieszy mnie jedynie wizja szkolenia, które zbliża się wielkimi krokami.

Wczoraj śnił mi się Kamil i obudziłam się z wyrzutami sumienia. To, że przestał mnie odwiedzać też mnie nie cieszy. Oczywiście nigdy nie powiem tego na głos, bo dałabym tym samym mściwą satysfakcję mojej rodzinie, jednak uczucie żalu gniecie mnie w dołku za każdym razem, kiedy przypomnę sobie coś związanego z Kamilem.

Emilka ciągle o niego pyta i nie wiem, co mam jej odpowiadać. Staram się poświęcać jej dużo czasu, zabierając ją na spacer i zapewniając rozrywki w postaci lodów, wesołego miasteczka i dwugodzinnych wizyt na basenie. Próby przekupstwa kończą się na ogół fiaskiem, bo mała oblizując rożek z roztopiającej się czekolady, mimochodem wspomina, że wujek Kamil też lubi ten smak, po zjeździe z wodnej zjeżdźalni robi smutną minę i mówi, że chciałaby z niej zjechać z wujkiem Kamilem, a oprócz tego wszystko byłoby lepsze z wujkiem Kamilem, nawet poranne wstawanie i deszczowe dni.

Czuję się okropnie ze świadomością, że ona wypełnia moje dni słońcem, a ja jej to słońce odbieram. Nie jestem choćby w połowie tak zabawna i spontaniczna jak Kamil. Nie umiem udawać Scooby-Doo ani grać na harmonijce. Nie mam jego poczucia humoru i zaraźliwego śmiechu. W niektóre ciepłe wieczory, kiedy słyszę odgłosy lata za oknem, z trudem powstrzymuję się, żeby do niego nie zadzwonić. Myślę – okej, może jednak na mnie leci, ale mogliśmy zachowywać pozory przyjaźni damsko-męskiej. Ale nie. Ja musiałam być tą szczerą i tą stanowczą. A teraz mam za swoje. Renata mnie potępia, babcia mnie potępia, Igor mnie

potępia, a Emilka zwyczajnie tęskni.

– To była dobra decyzja – mówię sama do siebie, rozkładając się na kanapie i słuchając bębniących kropli deszczu na zewnątrz.

Powtarzam to samo bardziej przekonującym tonem. W głosie dalej słyszę wyraźne powątpiewanie, więc wałkuję to zdanie raz za razem jak dziecko, uczące się wierszyka na pamięć, każde kolejne zdanie wypowiadając trochę głośniej.

Za piętnastym razem, kiedy wykrzykuję: „To była dobra decyzja!”, sąsiadka z boku zaczyna walić czymś w kaloryfer. Szesnasty raz powtarzam szeptem. I dalej nie wierzę w to, co mówię.

\*

– W weekend wyjeżdżam na Mazury – komunikuję Renacie w poniedziałek podczas robienia ciasta ze śliwkami.

– Ooo. Coś nowego – burczy, drapiąc się po nosie.

Pokazuję jej na migi, że ma na nosie mąkę. Próbuje zetrzeć ją dłonią, ale zostawia tylko większą białą smugę.

– Jadę na weekendowe szkolenie – oznajmiam niby mimochodem, sprawdzając stan robaczywości śliwki, po czym wrzucam ją do buzi.

– Szkolenie? Latem?

– Ymmm – mruczę wymijająco.

– Z pracy? – dopytuje.

– Yhm.

– Sama? – patrzy na mnie przenikliwie.

Moja prywatna wróżka...

– Yyy – zaprzeczam.

Po jej oczach widzę, że wie.

– Nie mów! – odpowiada z przejęciem.

– No to nie powiem...

Zapowietrza się na chwilę.

– Żartujesz! – parska wymuszonym śmiechem.

– Chciałabym...

– Jak do tego doszło? – z wrażenia przerywa ugniatanie ciasta.

– Zwyczajnie... Oczywiście wbrew mojej woli – zaznaczam.

– To się źle skończy... – złowróży Renata.

Szybki awans na osobistą wyrocznię.

– Nie ma opcji – stwierdzam, zjadając kolejną śliwkę.

– Jeszcze powiedz, że jedziecie jego autem?

– I owszem – mówię lekko.

– Chyba zwariowałaś!

– Nie mam wyjścia – mówię, siadając ciężko na krzesło.

- Jak to nie masz? Odmów!
- Próbowałam. Mówiłam, że nie czuję się na siłach, by brać udział w szkoleniu, że nie mogę, że nie dam rady... – wyliczam.
- Powiedz, że złapałaś salmonellę, złam nogę, poproś doktora Kocura, żeby wziął cię na oddział wewnętrzny. Cokolwiek!
- Parskam złośliwym śmieszkiem.
- Nie znasz dyrektorki...
- Wiesz, co myślę? – pyta, wracając do ciasta.
- W przeciwieństwie do ciebie nie jestem jasnowidzem...
- Myślę... – napiera na ciasto, jakby chciała je rozpląszczyć na stolnicy. – Myślę, że ty chcesz z nim pojechać – kończy mściwym tonem.
- Guzik prawda, wysoki sędzie – parskam.
- To dlaczego nie odmówisz?
- Bo nie mogę! To obowiązkowe szkolenie. Próbowałam się wymigać. Bezskutecznie... – W głowie zaczyna mi lekko pulsować, jak zawsze kiedy podnosi mi się ciśnienie.
- Przez chwilę Renata milczy.
- Uważaj na siebie. Wiem, że masz twardą dupę, ale masz też miękkie serce – mówi tylko.
- Cała jestem twarda – śmieję się sztucznie.
- Mówię serio. Uważaj.
- Spokojnie. To szkolenie z pierwszej pomocy.
- Renata zamiera z rękami zaciśniętymi na cieście.
- Jezu Chryste... Już widzę jego metodę usta-usta...
- Akurat tej metody nie miałam okazji z nim zbyt dobrze przećwiczyć – mówię cicho.
- Akurat lepiej już nic z nim nie ćwicz! – krzyczy przerażona.
- Spokojnie... – burczę. – Przecież nawet go nie lubię.
- Nie lubisz. Ty po prostu na niego lecisz!
- \*

Słone paluszki, woda, chusteczki higieniczne, spakowana torba, wafle ryżowe. I kubek melisy w moim żołądku. Jestem gotowa do wyjazdu. Wczoraj zniosłam Gingera do babci. Mam nadzieję, że nie będzie tęsknił.

Obudziłam się o trzeciej nad ranem i jak na tę porę przystało – myślałam o samych niemądrych rzeczach. Po godzinie wstałam, wzięłam prysznic i resztę ciemnego jeszcze dnia spędziłam, siedząc na kanapie i oglądając telewizor.

I teraz też siedzę, czekam i gryzę paznokcie z niecierpliwego oczekiwania. Pięć po piątej Adam puszcza mi sygnał, że wyjeżdża z domu. Idę się wysikać, po raz setny dzisiejszego nerwowego poranka, a potem zamykam drzwi i zaciągam

torbę na dół. Kiedy ciągnę ją w stronę parkingu, zauważam kątem oka parkującego Adama. On chyba też mnie widzi, bo wyskakuje z auta i podbiega do mnie, by przejąć moje tobołki.

– Hej! – rzuca, zabierając mi z dłoni torbę.

– Cześć!

– Zapraszam – woła mnie gestem do samochodu.

Udaję, że nie rusza mnie zapach skórzanych siedzeń, przypominających wspomnienia z listopadowej nocy.

Adam wrzuca moje rzeczy do bagażnika, zapala samochód i sprawnie wycofuje się z parkingu. Pokonujemy znajome skrzyżowania i aż do wyjazdu z miasta praktycznie się nie odzywamy. Słuchamy muzyki sączącej się z radia, kontemplujemy ciszę. Chłód poranka, cisza i bezruch na drodze wywołują u mnie senność, ale nie ufam Adamowi na tyle, by zasnąć. Nie, żebym obawiała się, że puści kierownicę i zacznie mnie napastować seksualnie, ale po prostu podświadomie nie chcę przy nim tracić czujności.

Wytrzeszczam szeroko oczy, zmuszając je do stałej obserwacji otoczenia, ale brak zajęcia i milczenie Adama sprawia, że głowa coraz bardziej zaczyna mi ciążyć. Ostatecznie pozwalam jej opaść na ramię i odpływam w szybkim sportowym aucie prędzej niż kiedykolwiek w swoim na wskroś babskim, pastelowym łóżku.

\*

Budzę się z watą w ustach i ścierpiętym karkiem. Czuję dziwny posmak w buzi i mam delikatne zawroty głowy. Otwieram oczy i widzę, że jestem sama w aucie. Otrząsam się z resztek snu i przecieram oczy. Stoimy na stacji benzynowej. Przez chwilę siedzę zdezorientowana, ale po chwili do auta wraca Adam.

– Dzień dobry, hot doga? – woła dziarsko, machając w moją stronę bułką.

Kręcę odmownie głową.

– Chyba że mają takiego z tofu... – ziewam.

– Jesteś wegetarianką? – dziwi się.

– Yhmm... – mruczę, przeciągając się. W sumie jedzenie jest teraz ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę. – Poczekasz chwilkę? – pytam, otwierając drzwi.

– Jasne.

Gramolę się z samochodu, z trudem łapiąc równowagę. Poprawiam gumkę od luźnych materiałowych spodni i człapię do łazienki. Korzystam z toalety, myję ręce, chlapię twarz zimną wodą. Nie wyglądam tak źle, chociaż czuję się dziwnie słabawo. W zasadzie od kilku lat nie cierpię z powodu choroby lokomocyjnej, ale równocześnie od kilku lat nie jeździłam dalej niż do miasta oddalonego o dwie godziny drogi...



Kupuję sobie herbatę na wynos i wracam do Adama. Wyciera właśnie ręce w serwetkę.

– Jedziemy dalej?

W odpowiedzi zapinam pas i rozcieram ramiona pokryte gęsią skórką.

– Za chwilę będzie gorąco – śmieje się.

Odpowiadam półuśmieszkiem. I milczeniem. Nie chce mi się jednak spać. Patrzę na zegarek. Jest dopiero po siódmej. Czekają nas jeszcze kawał drogi, więc nie wiem, co będziemy robić przez resztę czasu. Mogłam zainwestować w e-booka albo w dobrą muzykę na telefonie. Niestety, nie pomyślałam i teraz mogę tylko żałować.

– Jak mijają wakacje? Obrobiłaś już bank? – Adam przerywa moje rozmyślenia.

– Odpoczywam. Daruję sobie karierę złodziejki. Nie w tym wcieleniu.

– Całe szczęście. Nie chciałbym cię odwiedzać za kratkami.

– Nie wiem, czy chciałabym, żebyś to robił – stwierdzam.

– No wiesz, przecież nawet więźniom należą się „miękkie widzenia”.

– A co to jest? – marszczę czoło i widząc jego szelmowski uśmiech, domyślam się odpowiedzi. – Okej, okej! – mówię szybko, zanim wypowie to głośno. – Jak tobie mijają wakacje? – zmieniam szybko temat.

Rozcieram sobie czoło dłonią i popijam herbatę małymi łykami. Dziwna słabość wciąż przytłacza mnie swoim ciężarem.

– Ja nie mam wakacji. Prowadzę sklep.

– Wracasz we wrześniu do przedszkola? – pytam, czując gulę w gardle.

– Nie wiem. Z jednej strony podoba mi się praca z dziećmi, z drugiej nie zarobię w przedszkolu na tyle, żeby opłacało mi się zatrudniać pracownika, a potem nadrabiać straty.

– Hm... – burczę pod nosem.

– Pewnie cieszysz się, że już nie będziesz musiała znosić mojego towarzystwa – zawiesza głos.

– Pewnie powinnam grzecznie zaprzeczyć? – odpowiadam po paru sekundach.

– Nie. Powinnaś powiedzieć, co o tym myślisz.

– A jak uważasz? – zbywam go pytaniem.

– Mam wrażenie, że jestem na twojej liście niezbyt lubianych osób... – parska śmiechem.

– Nie bez przyczyny – stwierdzam, wzruszając ramionami.

– Więc dlaczego? – docieka.

– Zgadnij. Wyglądasz na inteligentnego... – ironizuję.

– Domyślam się, że to, że się kochaliśmy, ma w tym największe znaczenie?

– Pytanie zawisa w powietrzu.

Przez chwilę wysilam mózgownicę, aby przyswoić usłyszaną treść.

- Kochaliśmy? Kochać mogą się osoby, które coś do siebie czują – odpowiadam wreszcie.
- Przecież coś do siebie czuliśmy. Nie możesz zaprzeczyć, że była między nami chemia.
- Chemia to nie uczucie – ucinam.
- A co?

Przełykam ślinę. Nie podoba mi się ten dziwny niesmak w ustach i tępe pulsowanie w głowie.

- Nie wiem. Nie jestem ekspertką. Zadziałaliśmy na siebie zapachowo. Poleciliśmy na swoje feromony i ot, cała filozofia.
- To dlaczego rozmawialiśmy? Dlaczego przychodziłaś i pozwalałaś ze sobą flirtować?
- Bo... lubiłam – mówię, po raz pierwszy patrząc mu w oczy.
- Co lubiłaś?
- Rozmawiać z tobą.
- Nie chciałaś mnie poderwać? Nie chciałaś czegoś więcej?
- Skąd to pytanie?
- Bo teraz jesteś na mnie wyraźnie zła i nie bardzo wiem czemu – oznajmia głucho.
- Może z powodu potraktowania mnie jak dziewczyny na jeden raz? Może z braku szacunku? Może przez to, że przeleciałaś mnie i zerwałaś kontakt? A może przez to wszystko na raz? – odparowuję.
- Nie przeleciałem cię. I na pewno nie potraktowałem jak dziewczyny na jeden raz – broni się, zaciskając dłonie na kierownicy.
- Przecież po tym feralnym stosunku przestałaś się ze mną kontaktować – prychnam rozjuszona.
- To ty przestałaś do mnie przychodzić – wypomina lekkim tonem.
- Po cholere miałam przychodzić, skoro przespałaś się ze mną i od tej pory nie dałaś pieprzonego znaku życia! – podnoszę głos.
- Jakoś wcześniej nie przeszkadzało ci, że to głównie ty inicjujesz nasze spotkania...
- Jakoś wcześniej byłam głupsza – mówię bez zastanowienia.
- A mi się wydaje, że między nami było coś więcej i że ty też to czułaś, skoro ciągnęło cię w moją stronę.
- Niestety albo stety nie skorzystałaś z okazji i teraz traktuję cię równie aseksualnie jak swojego kota – stwierdzam, naciągając rękawy na dłonie.

Teraz dodatkowo zalała mnie fala zimna...

- Och, więc nagle ci przeszło i już nie lecisz na moje feromony, tak?
- Dokładnie tak – oznajmiam.

– Jakoś ci nie wierzę. Zwłaszcza że patrzysz na mnie z wyrzutem w tych swoich chłodnych, smutnych oczach.

– Wybacz, że na twój widok nie rozbłyskują feerią radosnych barw...

– Pięknie się złościsz, doprawdy.

– Lepiej, żebyś się nie przekonał, co robię, kiedy naprawdę się złościę.

– Lepiej mi nie groź, bo wpadniemy do rowu.

– Lepiej mnie nie prowokuj, bo wpadnięcie do rowu będzie najmniejszym problemem...

Dyszę spazmatycznie jak maratończyk po biegu. Serce mi wali, a chłodne ręce są wilgotne od potu. Po raz pierwszy szczerze rozmawiamy. Po raz pierwszy rozmawiamy o tym, co się między nami wydarzyło, nie owijając niczego w bawełnę. Po raz pierwszy się cieszę i równocześnie boję. Próbuję uspokoić swój galopujący oddech z myślą, że jak uda mi się go zwolnić, zwolni też mocne walenie serca.

Adam też ani drgnie. Po jego zaciśniętej szczęce wnioskuję, że jest zły.

– Przepraszam – mówi w końcu.

Patrzę na niego niepewnym spojrzeniem.

– Przepraszam – powtarza. – Przepraszam, jeśli poczułaś się urażona, przepraszam, że nie odezwałem się po tym, co między nami zaszło. Przepraszam...

Przeprosiny to ostatnia rzecz, na jaką liczyłam. Nawet w najśmielszych snach nie przyszła mi do głowy wizja skruszonego Adama z pokornie zwieszoną brodą. Otwieram usta i poruszam nimi bezgłośnie jak upośledzona rybka. A potem otwieram szybę w oknie i głośno zaczerpuję świeżego powietrza, wyjąkując:

– Troszeczkę mi niedobrze...

\*

– Lepiej ci...?

Troskliwy Adam, coś niespotykanego. Siedzę na jego bluzie, oparta o samochód i czuję, jak zalewają mnie strugi potu. W dłoni ściskam małą butelkę z wodą. Adam zaczyna wachlować mnie chusteczką, a ja próbuję utrzymać głowę w pionie. Oddycham, jakbym miała za chwilę urodzić i modlę się, żeby nie obrzygać jego butów. Dotychczas udało mi się utrzymać dzisiejsze śniadanie w brzuchu i nie chciałabym zmieniać tego stanu rzeczy.

– Taaak – chrypię wreszcie słabo.

Wycieram czoło dłonią. Jest zimne i zroszone potem. Czuję, że nadchodzi kolejna fala mdłości i robię coś, co nigdy nie wpadłoby mi do głowy, gdybym nie siedziała na poboczu targana nudnościami. Łapię Adama za poły jego koszulki, mówiąc gorączkowo: „Dmuchaaj!” i proszę Boga, żeby nie pozwolił mi się przy nim całkowicie skompromitować, a potem z ulgą oddycham, czując na twarzy podmuchy, którymi próbuje mnie cucić.

Patrzy na mnie przenikliwie i trzyma mnie za rękę. Błogosławię go w duchu za spokój i opanowanie oraz za to, że wciąż robi mi sztuczny wiaterek. Oddycham niespokojnie krótkimi przerywanymi haustami, zaciskając kurczowo palce na jego dłoni. Próbuję mu podziękować, ale język mi zeszywniał i nie mogę wykrztusić ani jednego słowa. Oddycham trochę wolniej i płycej, wciąż czuję się mniej więcej tak słaba jak przydeptana dżdżownica.

Kiedy mdłości mijają, opieram się swoim lepkiem czołem o jego klatkę, trzęsąc się na całym ciele i zostawiając zapewne na jego koszulce mokrą plamę potu. Myślę, że nie na takie podziękowanie liczył...

\*

Kolejnym miejscem, które odwiedzamy, jest okoliczna apteka, gdzie kupuję tabletki i opaski na chorobę lokomocyjną. Dla bezpieczeństwa nabywam nawet plastry do zaklejenia pępka i zaopatrzam się w plastikowe reklamówki.

Adam czeka na mnie przed budynkiem. Po jego minie widzę, że wciąż jestem bladozielona.

Połykam śmierzącą imbirem pigułkę, popijam ją wodą i zakładam na rękę opaski. Potem podciągam koszulkę i przyklejam na pępek tęczyowy plasterk z motywem Dzwoneczka. Udaję, że nie widzę jego spojrzenia, jakim obdarza mój brzuch. Bynajmniej nie uważam go za fana bajkowej wróżki...

– Chyba możemy już jechać – wybąkuję niemrawo.

– W porządku. W razie czego...

– Dam znać – wpadam mu w słowo.

Siadam na swoim miejscu i opieram się o zagłówek. Koszulkę wciąż mam wilgotną od potu i żałuję, że nie przebrałam się, kiedy była ku temu okazja. Oddycham głęboko, wdychając lekkie strugi powietrza napływające zza okna i patrzę przed siebie, unikając gwałtownych ruchów i oglądania się na boki. Albo opaski i ziołowe specyfiki tak na mnie działają, albo jestem zmęczona akcją „Pierwsza pomoc przy chorobie lokomocyjnej”, bo po paru kilometrach czuję, że znów morzy mnie sen.

– Jeśli nie masz nic przeciwko... – zaczynam sennie, ale Adam macha tylko ręką.

– Śpij – mówi, zarzucając na mnie jedną ręką swoją bluzę.

Uznaję to za całkiem miły gest, a chwilę później padam jak mytka i śpię na siedząco przez resztę drogi.

\*

– Wróciły ci kolorki – wita mnie Adam, kiedy otwieram oczy.

Jestem zamroczone i zaspana, ale po mdłościach nie ma śladu. Zaczyna mi nawet lekko burczeć w brzuchu.

– Ile jeszcze drogi? – pytam półsennie.  
– Około godziny – odpowiada.  
Wyciągam z reklamówki wafle ryżowe.  
– Poczęstujesz się? – pytam.  
Może przez spokojny sen, może przez jego akcję ratowniczą – jestem trochę mniej buntownicza i wojownicza niż wcześniej.  
– Nie, dzięki. Jakoś nie jestem głodny.  
Zerkam na komórkę i widzę cztery nieodebrane połączenia. Renata, Igor, babcia, Igor. Oddzwaniam szybko do brata.  
– Żyjesz?! – wrzeszczy do telefonu.  
Odsuwam od siebie słuchawkę.  
– Czemu tak krzyczysz?  
– Mam słaby zasięg! – odkrzykuje.  
– Gdzie jesteś?  
– W Bieszczadach!  
– Sam? – dociekam.  
– Co?! Nic nie słyszę!  
– Sam jesteś?! – próbuję nieco głośniej.  
– Nie! – Słyszę w odpowiedzi.  
Nie drażę tematu.  
– Wszystko w porządku? – krzyczy ponownie.  
– Tak! – odwrzaskuję mu.  
– Nikt cię nie porwał i nie zgwałcił?! Droga przebiega bez problemu?!  
– Dokładnie tak! – krzyczę ja.  
– Okej! To trzymaj się ciepło! Napisz esa, jak dojedziesz!  
– Jasne! – drę się na pożegnanie.  
– W domu wszyscy zdrowi? – kwituje tę sytuację Adam.  
Szczereżę się sama do siebie.  
– Taaa... To tylko mój kochany starszy brat.  
– Masz z nim dobry kontakt? – pyta.  
– Częściowo jestem zmuszona mieć z nim dobry kontakt.  
Patrzy na mnie czujnie.  
– Nasi rodzice i siostra zginęli w wypadku. Został mi tylko brat i babcia.  
Przez chwilę nic nie mówi.  
– Nie wiem, co powiedzieć... – stwierdza.  
Z jednej strony mnie dziwi, z drugiej cieszy, że nie wpada w litościwy ton i nie zaczyna mówić, jak mu przykro i jak sobie z tym radzę.  
– Bo tego nie da się skomentować – oznajmiam.  
– Nie straciłem nikogo bliskiego. Nie wiem, co znaczy taka strata, więc nie będę nawet próbował cię pocieszać.

- Nikt z twoich bliskich nie umarł? – pytam, gryząc się w język.
  - Pies.
  - Piorun? – uśmiecham się.
  - Pamiętasz? – unosi w górę brwi.
  - Pewnie! – parskam.
  - Widzę, że wiesz o mnie całkiem sporo – zauważa.
  - Chyba nikogo nie da się do końca poznać... – poprawiam się w fotelu.
- Nie odpowiada. Ja też nic już nie mówię.
- Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli oddzwonię jeszcze do babci? – pytam.
  - Skądże. Dzwoń, powiedz, że jesteś cała, zdrowa i tylko delikatnie zielona – rzuca.

Uśmiecham się lekko. Potem wykręcam numer do babci. Na wstępie ruga mnie za brak znaku życia, kiedy ona umiera ze strachu o piratów drogowych. Jak już daje mi dojsć do głosu, mówię jej, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i że tylko spałam. Konspiracyjnym szeptem pyta, czy „mój znajomy z pracy” jedzie powoli i czy nie popełnia wszystkich możliwych wykroczeń na dziesięciometrowym odcinku. Uspokajam ją, pytam o Gingera (jadł, spał, miauczał, ogólnie wydaje się nie zauważać mojego braku) i przez pięć minut słucham relacji z jej dzisiejszego pełnego emocji (spacer, ławeczka pod blokiem, zakupy w sklepie mięsny, serial) dnia. Przesyłam jej moc uścisków i wrzucam komórkę do torebki. Widzę kołyszący się na ustach Adama uśmiech.

- Nie powiedziałaś o przygodzie z chorobą lokomocyjną – wytyka mi.
- Wolałam jej nie denerwować – odpowiadam.
- Wnuczka idealna – ironizuje.
- Żebyś wiedział – śmieję się głośno.

Z lekkim niepokojem dochodzę do wniosku, że rozmowa z Adamem przestała być wymuszona, a znów staje się czymś naturalnym i w zasadzie całkiem miłym. Sama dokładnie nie wiem, na czym stanęło, ale wiem, że całkiem przyjemnie płynie mi czas i że nie mam powodów, aby się go czepiać.

- Co tam? – pyta Adam, lustrując mnie dokładnie.
- Nic, nic. Jedź – uspokajam go.

Samą dziwi mnie mój łagodny i miły głos. Bez cienia ironii. Bez grama sarkazmu. Bez odrobiny złości.

\*

Pensjonat nie należy do najnowocześniejszych. Budynek wygląda tak, jakby miał się rozsypać przy najlżejszym podmuchu wiatru, a wokół niego pnie się zielsko, którego nie widziałam nigdy wcześniej. Nawet w książkach o flejowatych czarownicach i ich zaniedbanych chatynkach.

Altanka z kamiennym grillem rzeczywiście jest przytulna i klimatyczna, ale chaszcze, które trzeba przejść, aby do niej dojść, są na tyle wysokie, że nie sądzę, bym chciała się w niej zaszyć z książką. Nie widzę też w pobliżu wody i poniekąd czuję się trochę oszukana.

Wyciągamy nasze walizki i przyglądamy się miejscu, w którym mamy spędzić cały nieznacznie upalny lipcowy weekend.

Recepcjonistka wita nas sztucznym uśmiechem rzucanym spod sztucznych rzęs i tony cieni do powiek w kolorze wściekłego rózu pomieszanego z liliowym odcieniem spranych majtek. Na śnieżnobiałych, nienaturalnie wyglądających zębach ma ślady krwistej czerwonej szminki, a długość paznokci mogłabym mierzyć metrem. Patrząc na nią przez chwilę z lekkim podziwem i myślę, skąd, do licha, biorą się takie dziewczyny. Uciekają z domku dla Barbie? Urywają się z choinki? Pozwalam Adamowi przejąć inicjatywę, a sama oglądam recepcję. Na ścianach wiszą kiczowate obrazki przedstawiające jezioro i żaglówki. Mazury...

Na obkruszonych płytkach leży wyliniały dywan i tylko dwa krzesła stojące koło recepcji wyglądają na nowe. Trzy minuty później Adam pogwizduje wesoło, wręczając mi brzęczące kluczyki do pokoju. Sam będzie mieszkał obok. Oddycham z ulgą, że na skutek pomyłki nie musimy dzielić jednego pokoju. W filmach zawsze dzieją się takie historie...

Dzielnie niosę swoją torbę na pierwsze piętro, ale kiedy okazuje się, że muszę pokonać jeszcze dwie kondygnacje, przekazuję ciężar Adamowi.

– Nie mają tu windy? – jęczę, rozcierając sobie bark.

– Zepsuta... – mruczy, zarzucając sobie torbę na ramię.

Prycham pod nosem. Zanim docieramy do swoich pokoi, jesteśmy mokrzy od potu.

– Pryszyć! – jęczę, wpychając nerwowo klucz do zamka.

Otwierają się przede mną z cichym skrzypieniem. Brzmi on dość złowieszczo, ale wcale mi nie przeszkadza. Wchodzę do środka i z entuzjazmem stwierdzam, że mam w pokoju łazienkę. Uśmiecham się cynicznie do Adama, a on wychodzi za drzwi.

– W razie czego...

– Wiem, wiem, pokój obok – strzelam usatysfakcjonowanym uśmiechem.

Zamykam się i od razu zaczynam zdzierać z siebie przepecone ubranie. Ledwo udaje mi się oderwać stanik od lepkiego ciała i odkleić bokserki z tyłka, który spędził tyle godzin na fotelu pasażera. Z ulgą wchodzę do łazienki. Patrząc uważnie na podłogę. Płytki są stare i gdzieś tam popękane, ale nie widzę żadnych karaluchów, rybików ani dzięki Bogu choćby jednego pająka.

Ostrożnie wchodzę do brodzika. Nie ma kabiny, za to jest zasłona z lekko przybrudzonym dołem. W dodatku pachnie ładnie kwiatowym proszkiem do prania. Brodzik jest czysty i – o dziwo – biały, a w dozowniku znajduje się mydło.

Są nawet dwa białe ręczniki, powieszzone na wieszaczku koło prysznic. Brakuje im trochę puszystości, ale i tak jestem mile zaskoczona. Puszczam wodę, która już po chwili robi się przyjemnie ciepła. Spłukuję z siebie pot i znużenie. Dla bezpieczeństwa sięgam po swój żel i szampon.

Cała tonę w pachnącej toni, stopy grzęzną mi w gęstej pianie o zapachu zielonej herbaty i ogórka. Zamykam oczy i pozwalam wodzie spływać po całej mojej twarzy. Skręcam trochę kurek i rozkoszuję się chłodniejszymi strumieniami. Czuję ulgę i cieszę się, że moje przypuszczenia dotyczące stanu czystości i ciepła wody tym razem się nie sprawdziły.

Na koniec biorę szybki zimny prysznic, otulam się ręcznikiem i wychodzę na położony pod brodzikiem ręcznik. Przecieram dłonią zaparowane lustro i wzdrygam się na widok swoich czarnych od tuszu oczu. Zmywam je płatkim kosmetycznym i myję zęby orzeźwiająco miętową pastą. Na odgłos stukania do drzwi o mało nie puszczam ręcznika, którym się owinęłam. Człapię do drzwi, zostawiając na tanich panelach ślady mokrych stóp. W drzwiach nie ma judasza, więc pytam niepewnie, kto to.

– To ja. – Słyszę lekko zirytowany, znajomy męski głos.

– Co się stało?

– Mam problem z prysznicem...

Marszczę brwi, słysząc tę ściemę roku. Otwieram drzwi. Adam patrzy mi w oczy przez nanosekundę. Potem jego wzrok schodzi w dół.

– Co się stało? – pytam po raz drugi.

– Jest nie do użytku...

Patrzę na niego podejrzliwie. On podejrzliwie zerka na małą kałużę pod moimi nogami.

– Sama zobacz – mówi i macha na mnie ręką.

Korytarz wydaje się pusty, więc drobię małymi kroczkami, starając się utrzymać ręcznik na cyckach. Adam prowadzi mnie prosto do łazienki. Też jest w niej czysto, w płytkach widzę parę swojskich pęknięć, ale prysznic przedstawia obraz nędzy i rozpaczy. Słuchawka jest przerdzewiała, woda leci jak krew z nosa.

– Ups – mówię tylko. – Może dadzą ci inny pokój? – sugeruję.

– Pytałem. Nie mają więcej wolnych pokoi.

Powoli dociera do mnie, po co Adam do mnie przyszedł i o co zamierza mnie poprosić. Wiem, że widok jego ciała owiniętego w kąpielowy ręcznik nie jest szczytem moich marzeń, ale wiem też, że przywiózł moje szanowne cztery litery na Mazury i pomógł mi, kiedy o mało nie wyhaftowałam śniadania przy drodze...

– Chodź do mnie. Skorzystasz z mojej łazienki – mówię więc, wkładając w swoje słowa jak najwięcej entuzjazmu.

Rozpromienia się jak dziecko. Zabiera z łóżka ręcznik i idzie za mną lekkim krokiem. Wpuszczam go do łazienki. Kiedy słyszę szum wody, ostrożnie



wyswobadzam się z ręcznika.

Plany paradowania w samej bieliźnie spełzły na niczym, więc zakładam cienki kombinezon na ramiączkach i rzucając się na łóżko z mokrą głową. Zza ściany słyszę Adama śpiewającego pod prysznicem. Zaciskam zęby, zakrywam oczy dłonią. Ale kiedy Adam zaczyna nucić do rytmu, przewracam się na brzuch, a na ustach rozlewa mi się najpierw lekki, potem coraz szerszy uśmiech.

\*

Obiadokolacja rozpoczynająca kurs jest całkiem całkiem. Nie dostałam mięsa ani ryby, a to już jest plus. Zajadam warzywne risotto i przysłuchuję się paplaninie żeńskiej części kursu. Facetów jest trochę mniej, ale Adam nie jest rodzyńkiem. Choć trzeba przyznać, że jest najprzystojniejszy.

Po posiłku wstaje jakaś kobieta, której wzrost nie przekracza chyba metra pięćdziesięciu i zdumiewająco pewnym głosem wita nas na kursie. Nie rozwleka się i nie przeciąga. Jest konkretna i rzetelna. Tak jak lubię. Jej wystąpienie kończy się brawami, potem wszyscy rozchodzimy się do swoich pokoi. Nie ma jeszcze dwudziestej, ale jestem już zmęczona.

– Pst! – Adam szturcha mnie w bok. – Może jakaś mała integracja? Przywiozłem wino – szepcze poufale do mojego ucha.

– Dzięki, ale chcę odpocząć – odszeptuję.

Próbuje mnie przekonać, ale kręcąc głową, mówię mu „dobranoc” i wślizguję się do swojego pokoju. Przebieram się w piżamę i siadam na łóżku z książką. Nie chce mi się jednak czytać i przez chwilę analizuję miniony dzień. W pokoju nie ma telewizora, panuje więc nietypowa cisza. Uchylam okno i słyszę odgłosy z altanki. Najwyraźniej ktoś jednak rozpoczął kurs od integracji. Przeciagam się i otwieram książkę. W trakcie piątego rozdziału ktoś puka do drzwi. Truchleję i przestaję oddychać.

– Śpisz? – Słyszę aż do bólu znajomy głos.

Sznuruję usta, by nie wydać żadnego dźwięku. Dwie sekundy później telefon zaczyna wibrować jak szalony, wyświetlając numer Adama. Otworzenie mu drzwi będzie głupotą. Nie będę głupia. Nie tym razem... Pukanie się powtarza.

– Milena, otwórz! – mówi głośnym szeptem.

Zagryzam wargi, zaciskając dłonie na okładce książki.

– Przecież widzę, że się u ciebie świeci. Myślę, że jeśli nie otworzysz, będziesz tego żałować. Słyszysz?

Zaciskam mocniej szczękę. Po chwili słyszę westchnienie i kroki. Oddycham z ulgą, odkładam książkę i gaszę lampkę. Nakrywam się po uszy kołdrą. Jestem z siebie duma i cieszę się, że nie dałam mu się podejść. Uśmiecham się do siebie. W pokoju jest ciemno jak diabli. Nie widzę czubka własnego nosa. Kiedy dostaję esemesa, pokój rozświetla się blaskiem komórki. Sięgam po nią, mrużąc oczy.

Adam. Co za pieprzony natręt! „Jeśli masz otwarte okno, to je zamknij. Na budynku jest całe stado pajaków”. Wytrzeszczam oczy. Wyskakuję z łóżka. Włączam światło. Błądzą wzrokiem po podłodze, oglądam wszystkie ściany. Pajaków brak. Biegnę do okna i zamykam je z głuchym trzaskiem. Przez chwilę stoję w bezruchu, czując, jak serce próbuje uwolnić się z mojej piersi. Wciąż rozglądam się bacznie po pokoju. Nie ma ani jednego pajaka. Głupi żart! – myślę i wtedy dostrzegam na szybie cień. I drugi, i trzeci, i czwarty. Przełykam głośno ślinę, przebierając nerwowo nogami. Walczę z pokusą pobiegnięcia do Adama i wskoczenia mu do łóżka, chowając się pod jego umięśnionym pajakoodpornym ciałem.

„Są za oknem. Są po drugiej stronie szklanej tafli” – mówię sobie po cichu, ale kiedy pajaki za szybą zaczynają się poruszać w rytm wiatru, wydaję z siebie mrozący krew w żyłach pisk i z impetem wskakuję do łóżka, nakrywając głowę poduszką. Wzdrygam się na dźwięk esemesa, zupełnie jakbym podejrzewała, że jakiś pajak nauczył się wydawać dźwięki imitujące przyjście wiadomości. „Dobrej nocy. Śpij spokojnie ” – brzmi treść. Plus cwaniacki uśmiezek z kwadratowego nawiasu. Szybko mija mi ochota na pobiegnięcie i wskoczenie mu do łóżka, żeby schować się w jego ramionach. Teraz czuję nagle chęć pobiegnięcia, wskoczenia mu do łóżka i odgryzienia mu przynajmniej jednego ucha...

\*

Budzę się połamana i niewyspana. Pół nocy nie mogłam zmrużyć oka, drugie pół śniłam o przebrzydłych stworzeniach obdarzonych kompletem ośmiu kosmatych odnóży.

Zanim wstaję z łóżka, dokładnie sprawdzam podłogę. Idę do toalety, biorę szybki prysznic, wkładam szare szorty i czerwoną koszulkę. Trąc zaspane oczy, myję zęby. Na koniec maluję rzęsy i gwizdzę z uznaniem na swój widok. Mimo przejść takich jak podróż, alarm wymiotny i nieprzespana noc wyglądam jak człowiek. Zamykam pokój i kieruję się w stronę schodów. Na ich szczycie zatrzymuję się w pół kroku. Waham się przez dosłownie chwilkę. Zawracam.

Adam też wygląda na niewyspanego, ale na mój widok się rozpromienia.

– Hejkaaa – wita mnie, przeciągając głoski.

– Hej.

– Dobrze spałaś? – pyta.

Mruczę coś wymijająco.

Po jego uśmiezku trudno mi określić, czy cieszy go mój widok, czy spożytkował poranną erekcję, czy może śmieszy go moja mina po nocy spędzonej z wizją spuszczać mi się na głowę pajaków.

– Zaczekaj minutkę, też już schodzę – prosi, cofając się w głąb pokoju i otwierając drzwi.

Wchodzę, przymykając je lekko.

– Rozgość się – proponuje, wskazując łóżko.

Nie widzę w tym nic nienormalnego, bo to jedyny mebel w pokoju. Fotela i krzesła brak. Siadam na samym brzegu. Słyszę Adama myjącego zęby i wydaje mi się to równie krępujące, co słuchanie, jak ktoś sika albo puszcza bąka za ścianą. Chichoczę pod nosem, zakrywając usta.

– Gotowy. – Adam wyskakuje z toalety jak Filip z konopi.

– Okej – odpowiadam, wstając.

Na śniadanie docieramy jako ostatni. Wszyscy siedzą z pełnymi talerzami i patrzą się na nas jak na kosmitów. Parę osób obdarza nas nawet krzywymi uśmiezkami i mam nadzieję, że nie ubzdurali sobie powodu, dla którego prawie spóźnił się na śniadanie... Zagryzam wargi, modląc się, żeby nie puścić farby na blade policzki. Idę do szwedzkiego stołu i nakładam na talerz sałatkę grecką, pełnoziarniste tosty, twarożek i żółty ser. Adam ładuje na swój parówki, kajzerki i masło. AWF – myślę z przekąsem. Siadam obojętnie na krzesło obok biuściastej blondynki i sięgam po dzbanek z herbatą.

– Cześć, jestem Majka – blondynka wyciąga do mnie szczupłą dłoń.

– Milena. Cześć – mówię.

– Właściwie Marianna, ale Majka jakoś bardziej mi podchodzi – stwierdza, wykrzywiając pełne wargi w uśmiechu.

Nie wiem, czemu dziewczyny obdarzone urodą, na którą lecą faceci, oprócz dużych cycków i kształtnych tyłków, zawsze mają dodatkowo pełne usta, wielkie romantyczne oczy i mnóstwo pewności siebie.

Adam też podaje jej rękę. Udaję, że nie widzę spojrzenia, jakim mierzy jego lewą dłoń. Uśmiecham się pod nosem.

– Wolny, do wzięcia – wylatuje z moich ust, zanim zdążę pomyśleć, co robię.

Marianna vel Majka robi skonfundowaną minę. Adam wygląda na jeszcze bardziej zdziwionego. Może jednak jest żonaty, skoro tak się zdziwił... Wkładam do ust dobrze przypieczzonego tosta, unikając tłumaczenia się z czegokolwiek. Pieczywo parzy mnie w język. Mam ochotę wywiesić jęzor i powachlować nim jak białą flagą.

Majka po moim komentarzu zainteresowała się swoimi rozmokniętymi w mleku płatkami kukurydzianymi, a Adam gmera w talerzu, patrząc na mnie spod byka. Z trudem przełykam tost. Popijam go herbatą. Gorącą, żeby wyparzyła mi gębę...

Reszta śniadania upływa pod znakiem szczęknięcia sztućców i brzęczenia szklanek. Powstrzymuję się już od ciętych ripost. Po zjedzeniu zbieramy się w sali konferencyjnej. Naliczam trzydziestu dwóch uczestników. Kiedy sięgam po szklankę z wodą, na środek wyskakuje facecik w stylu Johnny'ego Bravo w opiętej

czarnej koszulce. Wita nas jowialnym tonem i błyska równymi zębami w kolorze świeżo wypucowanej porcelanowej toalety. Jasne włosy ma umiejętnie przylizane na lewą stronę, a dłonie wyglądają na bardziej zadbane niż moje.

Widząc miny dziewczyn, nie potrafię się nie uśmiechnąć, a nasz instruktor, któremu chyba wydaje się, że zrobił na nas wrażenie, pręży mięśnie i prostuje się cały.

– Nazywam się Marceli. Przez „i”. Przez te parę wspaniałych dni będę waszym instruktorem. Wierzę, że nasza współpraca będzie miła i owocna. Nie macie pojęcia, jakie macie szczęście, że trafiliście właśnie na mnie. Skończyłem ratownictwo medyczne na Uniwersytecie... – zaczyna mówić, a mi opadają powieki.

Nasz przewodnik po świecie pierwszej pomocy ma opięte spodnie i nudnawo-pompatyczny głos. Co drugie słowo okrasza żywą gestykulacją rąk, a co trzecie kwituje zarozumiałym uśmieszkiem, przez który mam ochotę rzucić w niego tenisówką.

Kiedy siadamy do stolików, a Adam podsuwa mi karteczkę z wyrysowaną planszą do gry w kółko i krzyżyk dochodzę do wniosku, że lubię go coraz bardziej, nawet jeśli jest kretynem, który chciał mnie tylko zaliczyć.

\*

Obiadokolację wsuwam jak szalona. Jestem okropnie głodna po całym dniu z Marcelim przez „i”. Gdyby chociaż nie był aż tak zarozumiały i pewny siebie, mogłabym nawet przełknąć ten jego pretensjonalizm, kiedy wypowiada swoje imię... Męczą mnie zbyt napuszeni ludzie, uważający się za ósmy cud świata i próbujący pokazać wszystkim swoją boskość.

– Powoli, nabawisz się nadkwasoty – śmieje się Adam.

Obdarzam go krzywym uśmiechem, nie przerywając jedzenia. Tym razem dostałam naleśniki ze szpinakiem. Reszta pospółstwa musi się zadowolić kaszą i klopsikami, które wyglądają jak kozie bobki. Gratuluję sobie w duchu wegetarianizmu, kiedy czuję aromatyczny zapach bazylii i majeranku dobiegający z mojego talerza. Wszyscy zazdrośnie spoglądają w moją stronę i mam nadzieję, że nie zadławię się przez to jedzeniem.

– Dziś integracja? – podsuwa Adam.

Kręcę odmownie głową.

– Jaki masz znowu powód? – wywraca oczami.

– Brak chęci na spoufalanie – odpowiadam.

– Nie przeszkadzało ci to w grze w kółko i krzyżyk na zajęciach – wypomina jak dziesięć lat.

– Zajmij się swoimi klopsami – radzę mu, biorąc do ust kęs naleśnika.

– Są ohydne i gumowate... – syczy mi do ucha.

Uśmiecham się szeroko.

– Za to moje naleśniki są genialne – klepię się po brzuchu. – Hej, dawaj to! – krzyczę, kiedy nabija na widelec mój obiad.

Dziewczyny z naprzeciwka mierzą nas spojrzeniem. Odsuwam się ostentacyjnie z krzesłem.

– Wiem. Te klopsy śmierdzą jak stare skarpety – Adam krzywi się z niesmakiem, puszczając mi oczko.

\*

Kolejny wieczór spędzam równie spokojnie. Z książką, herbatą i dla odmiany zamkniętym oknem. Telefon leży koło mnie. Milczy jak zakłęty. Po kolacji zadzwoniłam do babci, potem do Renaty.

– Jestem cała i zdrowa. No i nienaruszona – powiedziałam jej na wstępie.

– Uf. Kamień z serca.

Pogadałyśmy o Emilce (lojalnie tęskni za ciocią i pyta, co przywiozę jej z Mazur), pochichotałyśmy do telefonu, obgadując mojego nauczyciela w opiętych gaciach. Renata szybko zakończyła rozmowę. Musiała jeszcze odebrać Emilę od małej sąsiadki Kasi, a potem miała jej zrobić kąpiel z wielką ilością truskawkowo-waniliowej piany.

Jestem już w połowie książki i cieszę się, że przezornie zabrałam jeszcze dwa egzemplarze. Nikt nie puka do drzwi. Nikt nie pisze. Nie dzwoni. Trochę to dziwne. Jest cicho. Smutno. Ponuro. Przelatuję spis kontaktów, ale prócz babci, Igora i Renaty nie mam zbyt wielu znajomych. Do Beaty i Mariolki dzwonić nie zamierzam. Do Irenki z narzeczonym z nadwagą też nie. Przez chwilę myślę, czy nie odezwać się do paru koleżanek ze studiów, ale nie mam ochoty opowiadać swojego życiorysu z kilku lat. Przez kontakty na literę „K” przelatuję jak sprinterka. Nie będę myśleć o Kamilu... Trochę szkoda, że się nie odzywa. Mnie jest głupio pisać po tym, co między nami zaszło.

Dziwię się też, że Adam tak szybko odpuścił. Jestem prawie pewna, że właśnie ćwiczy pierwszą pomoc z Majką... Odrzucam książkę na bok. Idę pod prysznic. Korzystam z niego tak długo, aż kończy się ciepła woda. I bardzo dobrze – myślę w duchu. Nie będzie szalonego seksu pod prysznicem z blondi...

Wtedy klepię się w głowę, że przecież Adam ma zepsuty prysznic i że zapewne będzie chciał skorzystać z mojego... Jak na zawołanie ktoś puka do drzwi. Owijam się ręcznikiem jak mumia.

– Właśnie...

– Hejka! – Majka uśmiecha się szelmowsko. – Robimy małą imprezkę w altance. Wpadniesz?

– Eee, ja...

– Oj, daj spokój. Integracja – mówi, puszczając mi oczko.

– Jasne. Ogarnę się i zaraz przyjdę – obiecuję.  
– Czekamy – uśmiecha się sympatycznie. – Dasz znać swojemu koledze? –  
rzuca na odchodne.

- Możesz to zrobić sama – stwierdzam.
- Próbowałam. Zero reakcji... – wzrusza ramionami.
- Okej, zobaczę, co z nim.

Wracam do łazienki, by wysuszyć włosy i założyć długie spodnie dresowe i bluzę z kapturem. Lato latem, ale wieczory są chłodne. Zwłaszcza nad wodą. Jednak jakaś tu jest, choć nie do końca weryfikuje moje wyobrażenia o Krainie Jezior.

W pokoju zerkam na komórkę. Zero wiadomości. Dziwne, że Adam nie pyta, czy idę na imprezę... Czuję się nawet trochę skonfundowana, ale dziwne uczucie szybko mija. Podłączam telefon do ładowarki i wychodzę. Waham się pod drzwiami Adama. Przykładam nawet ucho do drzwi, ale nie słyszę żadnego dźwięku.

– Nie pchaj się tam, gdzie cię nie potrzebują. Nie narzucaj mu się. Nie naprzykrzaj – wyliczam sobie po cichu.

Okej. Grzeczne pytanie i spadam – mówię sobie po cichu i stukam do drzwi. Cisza. Zero reakcji. Pewnie poszedł już na dół – stwierdzam. Po chwili słyszę jakiś szmer za drzwiami. Drzwi się otwierają i widzę, że Adam jest trochę niewyraźny.

- Co jest? – pytam lekceważąco. – Ty nie na imprezie?
- Ósemka – mamrocze.
- Co?
- Ósemkaaaa – jęczy, wskazując na swoją szczękę.

Faktycznie wygląda na odrobinę spuchniętą.

- Może odrobina alko...
- Wziąłem ibuprom – mówi zbolalym głosem.
- Aha.

Patrzy na mnie wyczekująco.

- Aha – powtarzam znów.

Wiem, że powinnam zaoferować pomoc, wesprzeć go miłym słowem, ukoić szybkim numerkiem... Wiem to wszystko, ale bardzo, ale to bardzo nie chcę kusić losu...

– No to miłej imprezy – dodaje wreszcie, chwytając za drzwi.  
– Czekaj, czekaj! Już chcesz się mnie pozbyć? – stwierdzam i przechodzę pod jego wyciągniętą ręką.

Zamyka drzwi. Uśmiecha się leciutko.

- W zasadzie mam laptopa. Możemy obejrzeć jakiś film.
- A mają tu wi-fi? – pytam, rozgaszczając się na łóżku.
- Nie mam pojęcia. Ale mam parę filmów na dysku.

– Świetnie.

Rozsiadam się wygodniej. Adam podaje tytuły kolejnych filmów. Same strzelanki i filmy akcji. Unoszę w górę brew.

– Obojętne. Sam wybierz – mówię w końcu, bo wiem, że wszystkie te filmy są tak naprawdę do siebie bardzo podobne.

Włącza w końcu pierwszy lepszy film. Pojawiają się początkowe napisy. Adam sadowi się koło mnie. Łóżko nie jest duże i zaczynam z lekką obawą podchodzić do tak bliskiego kontaktu z ciałem Adama. Oczywiście – jestem podniecona. Skłamałabym, gdybym powiedziała inaczej. Jestem też zraniona i zawzięta, a swoją chuć umiem trzymać krótko na smyczy. Adam albo bardzo cierpi, albo wyczuwa moje negatywne fluidy, bo rączki trzyma wyjątkowo grzecznie przy sobie. Na szczęście. Może i jestem zdystansowana, ale dotyk akurat tego faceta działa na mnie jak pochodnia na lodowiec. Przez pierwszą połowę filmu nie mogę się połapać, o co chodzi, drugą zaczynam od szerokiego ziewnięcia.

– Nudzisz się?

– Trochę. Ale obejrzymy go do końca – stwierdzam.

– Na pewno?

– Na pewno.

Nie wyobrażam sobie innego scenariusza tego wieczoru. Rozmowa? Flirt? Seks? Film jest najbezpieczniejszą opcją. Końcowe napisy są dla mnie bramą do niebios. Wstaję, przeciągam się do chrupnięcia stawów i tłumię dłonią ziewnięcie.

– Idziesz już?

– Tak. Chcę się porządnie wyspać.

Dochodzę już do drzwi, kiedy słyszę ciche: „Milena”.

Odwracam się niepewnie. Nie rób tego. Proszę, nie.

– Dziękuję – mówi po prostu, a ja oddecham z ulgą.

– Nie ma za co – odpowiadam.

– Mogę przyjść rano pod prysznic? – pyta.

– Ach. Prysznic. No tak. Jasne, zapraszam.

– Odwdzięczę się. – Słyszę, zanim zamknę drzwi.

Lepiej nie – mruczę sobie cichutko pod nosem. Lepiej nie...

\*

Tę noc spędzam wyjątkowo miło. Szybko zasypiam, nie śnię o niczym głupim. Rano budzę się przed siódmą i drażni mnie leżenie. Wstaję i idę pod prysznic, żeby woda obudziła mnie do reszty. Czysta i pachnąca oczekuję na Adama, który według moich obliczeń zjawi się u mnie za trzy, dwa, jeden...

Otwieram drzwi, kiedy tylko słyszę pukanie.

– O – mówi zamiast dzień dobry.

– Wchodź – śmieję się.

- Nie mogłaś się już doczekać?
- Codziennie przychodzisz o tej samej porze – wywracam oczami.
- Wiem, wiem – puszcza mi oko.
- Jak ósemka?
- Jakbym jej nie miał – mówi, przekładając ręcznik na drugie przedramię.
- Okej. Korzystaj, póki jest ciepła woda – mówię.
- Tak jest – saltuje.

Parskam śmiechem. Po chwili słyszę jego nucenie przechodzące w też już znajomą piosenkę. Ma tak miły dla ucha głos, że nie przeszkadza mi nawet jego fałszywa nuta. Nic mi nie przeszkadza. Mogłabym słuchać go godzinami. Mogłabym, ale... Ale nagle, zupełnie nieoczekiwanie coś do mnie dociera. Dociera do mnie, że nie chcę go słuchać. Nie chcę słuchać jego nucenia, nie chcę słuchać jego głosu. I nie chcę słuchać jego obietnic. Czczych obietnic. Jasne. Adam wywołuje u mnie motyle w brzuchu i to na Adama feromony lecę. To on mi się śni, kiedy budzę się podniecona, to z nim poszłam do łóżka, to o nim nie mogę przestać myśleć.

Ale... Ale to głupie. To tylko motyle w brzuchu i kisiel w majtkach. No i nie czarujmy się. Adam nie zasługuje, żeby na niego lecieć. Jest zwykłym typem łowcy, który zalicza i idzie dalej polować. Może być teraz przyjacielski, może być miły, może puszczać mi oczko co pół godziny i może nawet wachlować mi chusteczką, kiedy bierze mnie na wymioty. Może być przystojny, pachnieć jak sto milionów i powodować miękkość w kolanach. Może być dobry w gadce i świetny w łóżku, ale...

Jest też dupkiem. I nic tego nie zmieni. Ani jego ładne oczy, ani jego smukłe ciało. Jest draniem i draniem będzie. Tak – jest wrażliwy. Tak – jest miły. Tak – jest dobry. Ale chociaż ludzi traktuje z szacunkiem, nie ma szacunku do siebie i do kobiet, które pokażą mu, że im na nim zależy. Nigdy nie poszanuje tego, co ma, bo zawsze będzie sobie szukał wrażeń. Nigdy nie potraktuje mnie z godnością, bo będzie we mnie widział obiekt pożądania, nie kobietę z krwi i kości. Nie leci na moją osobowość, charakter ani nawet nietypowe oczy. Leci na mój tyłek i na gibkie ciało, z którym można powyginać się na łóżku. Leci na moją naiwność i niewinną grzywkę opadającą na oczy. Leci na mnie, bo myśli, że można mnie przelecieć i zapomnieć o mnie na kolejne pół roku. Leci na mnie, bo myśli, że znów dam mu się podejść. Leci na mnie, bo nie wie, że jest w błędzie.

\*

Dałam się przekonać do integracji. Dziś ostatni wieczór w pensjonacie, jutro wszyscy się rozjedziemy. Trochę żałuję, że to już koniec. W końcu przez cztery dni zapoznałam się ze wszystkimi uczestnikami, a z niektórymi udało mi się nawet zamienić parę słów. Mam też numer do Majki, a podczas przerwy obiadowej



rozmawiałam z Grześkiem z Leszna, który wydaje się bardzo sympatyczny. Po piwie mam nawet lepszy humor i robię się bardziej wyluzowana. Pilnuję się więc, żeby nie wyluzować się za bardzo.

Adam trzyma się blisko mnie, co nie tyle mnie niepokoi, co drażni. Imprezowy nastrój udzielił się i mnie, a nie chcę później zrobić czegoś, czego będę żałować. Szukam sobie pretekstu, by przemieścić się na drugi koniec altanki, ale zanim się obejrzę, Adam jest koło mnie. Urządzam sobie spacer nad wodę – Adam też idzie się przejść. Wychodzę do łazienki – on też dziwny trafem idzie do pensjonatu. Łazi za mną jak cień, a chociaż wcześniej dałabym się pokroić za jego zainteresowanie, teraz mam go głęboko w poważaniu. Cały wieczór trzymam go na dystans, cały wieczór nie pozwalam się do siebie zbliżyć, cały wieczór praktycznie go zlewam.

Koło drugiej postanawiam wrócić do ośrodka. Jestem zmęczona, a w głowie nieprzyzwoicie mi szumi. Próbuję wybrać odpowiedni moment, ale Adam jest tak czujny, że od razu ewakuuje się razem ze mną. Żegnam się ze wszystkimi, z niektórymi nawet się ściskamy. Potem nie czekając na Adama, idę do pensjonatu. Dogania mnie na schodach.

– Bawisz się w Kopciuszka?  
– Nie. Północ już dawno minęła.  
– Cóż za drobiazgowość...  
– W końcu uczę w przedszkolu.  
– Uczysz dziewczynki, żeby udawały Królowe Lodu?  
– Tak, w ramach ćwiczeń zamieniamy chłopięce serca w bryłki z lodu.  
– Czy z takim poczuciem humoru można pracować z dziećmi?  
– Akurat dla dzieci i zwierząt mam dobre serce.  
– W sumie jakbym się uparł, to jestem zwierzakiem.  
– Oprócz słoni i pajaków – dodaję, uśmiechając się kołtuńsko i szukając klucza w kieszeni bluzy.

– Nie uciekaj jeszcze.  
– Wcale nie uciekam. Idę spać.  
– Milena...  
– Co ma oznaczać wypowiedziane dychawicznie moje imię?  
– Wiesz co.  
– Nie jestem wróżką.  
– A mimo to na mnie zadziałał twój czar.

Parskam mu w twarz.

– Nienawidzę takich tanich tekstów.  
– Nie daj się prosić...  
– Dobranoc – zamykam mu drzwi przed nosem.

Szybko zapalam światło i rzucam się na łóżko. Trę oczy, podrażnione przez

dym i kruszący się tusz do rzęs. I na co ja właściwie leciałam? Na jego kretyńskie teksty? Podnoszę się ociężale i idę pod prysznic. Potem kładę się spać z mokrą głową i dzięki krążącym we krwi procentom zasypiam, zanim zdążę pomyśleć cokolwiek związanego z facetami i ich głupotą.

\*

Ostatni dzień szkolenia ciągnie się jak flaki z olejem. W sali jest duszno i nie pomagają nawet otwarte na oścież okna. Za chwilę będziemy mogli nauczyć się pierwszej pomocy w praktyce... Marceli przez „i” ma dziś na sobie białą koszulkę, która leży na nim jak druga skóra. Niestety, jeśli myśli, że wygląda jak macho – jest w błędzie.

Siedzę i czekam na oficjalne zakończenie szkolenia. Adam jest trochę naburmuszony. Nie wiem, czy się nie wyspał, czy może liczył na pożegnalny seks. Majka szturcha mnie w bok, kiedy Marceli ogłasza praktyczny sprawdzian. Wszystkie dziewczyny dostają piątki bez mrugnięcia okiem, wszyscy faceci muszą się pocić nad fantomami, żeby zasłużyć na dobrą ocenę.

– Jednak hetero – szepcze mi Majka do ucha.

– Choć nie wygląda... – odpowiadam półgłosem.

Chichoczemy bezgłośnie, zakrywając usta dłońmi jak podlotki na lekcji WF-u z młodym nauczycielem.

Adam patrzy na nas z ukosa. Odpowiadam mu pewnym spojrzeniem. Pierwszy odwraca wzrok. Kiedy wszyscy ociekamy potem i zaczynamy wachlować się książkami do pierwszej pomocy, Marceli ogłasza krótką przerwę. Sączymy kawę przed pensjonatem, siedząc w cieniu budynku.

– O co chodzi z tobą i Adamem? – pyta mnie Majka, kiedy sięgam po biszkopta.

– Jak powiem, że nie wiem, co masz na myśli, odpuszczisz?

– Nie – strzela zabójczym uśmiechem.

– Nie jestem zbyt wylewna. Skłonna do zwierzeń ani tyle... – zaznaczam, mocząc ciastko w filiżance z małą czarną kawą.

– Spoko. Ja nie jestem zbyt dobra w udzielaniu męsko-damskich porad. Ale umiem dobrze słuchać.

Lubię szczerych ludzi. Majkę też lubię. To pewnie dlatego decyduję się zrobić dla niej wyjątek.

– Nasza znajomość jest krótka i dość burzliwa. Przespałam się z nim, kiedy prawie go nie znałam, wzdychałam do niego dniami i nocami, kiedy on milczał, a gdy w końcu dotarło do mnie, że jest kretynem, okazało się, że muszę z nim pracować.

– Hm – mówi krótko.

– Wspominałam, że znów zaczyna próbować zaciągnąć mnie do łóżka?

- Nie.
- No to wspominam.
- No to ciekawie.
- No to do dupy.
- Śmiejemy się głośno.
- Jest jeszcze coś... A właściwie ktoś – mówię, wzdychając.
- Oho. Dawaj.

Kiedy kończę opowiadać o Kamilu, Majka ma nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Wiem, że dla osoby, która nie wierzy w miłość i nie chce się wiązać, to pytanie jest głupie i naiwne, ale... czujesz coś do niego?

- Bardzo go lubię.
- Brakuje ci go?
- Tak.
- Chciałabyś znów mieć z nim kontakt?
- Tak, ale...
- Ale nie chcesz związku?
- Zdecydowanie.
- Coś jeszcze?
- Nie.
- Więc wiesz, co powinnaś zrobić?
- Nie.
- Ja też nie.

Znów się śmiejemy.

- Fajna jesteś, wiesz? – mówię do Majki.
- Wiem – odpowiada, siorbiąc kawę.
- Musisz mnie kiedyś odwiedzić – stwierdzam całkowicie szczerze.
- Nie ma sprawy. Mogę się nawet przespać za ciebie z Adamem – odpowiada.

Parskam śmiechem.

- No co? Mnie tam raz wystarczy... Dawno nie miałam faceta.
- Żartujesz? Z twoją urodą i pewnością siebie?
- Aaa, widzisz. Szminka na ustach i duże oczka o niczym nie przesądzą.
- O czym rozmawiacie, dziewczyny? – Grzesiek podchodzi do nas z talerzykiem pełnym delikcji.

– O planie zgwałcenia Adama – mówi Majka z pełnymi ustami.

Grzesiek dławi się czymś, co ma w ustach.

- Mnie też możecie – dodaje po chwili.
- Pomyślimy nad tym – odparowuje Majka.

Grzesiek kołysze się chwilę, po czym odchodzi z dziwną do zinterpretowania

miną.

– Jesteś niemożliwa – parskam śmiechem.

– Już to kiedyś słyszałam – obdarza mnie krzywym uśmiechem.

Sączymy nasze kawy, czując, że mimo cienia jesteśmy mokre od potu.

– Co dalej? – pyta zdawkowo po paru minutach ciszy.

Wzdycham wymownie.

– Sama nie wiem.

– Ale on ci się podoba, prawda? – dopytuje, patrząc mi porozumiewawczo

w oczy.

– Tak. Choć wiem, że jest dupkiem.

– I to rasowym – dodaje ona.

– Nawet z rodowodem...

– Wiesz, co myślę?

– Hm?

– Myślę, że na niego lecisz, ale jesteś zbyt rozsądna, żeby coś z tym zrobić.

Problem tylko w tym, że jeśli nie przekonasz się na dobre, że to kretyń, będziesz wciąż do niego wzdychać. I w końcu cię złamię.

– Nie zamierzam utrzymywać z nim kontaktu.

– Co nie znaczy, że on nie będzie próbował...

– Co nie znaczy, że mu się uda – mówię dobitnie, po czym dopijam resztkę

kawy.

\*

Ostatni szkoleniowy obiad zaczyna się od burzy. Niebo rozświecła się blaskiem błyskawic, pensjonat podskakuje przy każdym grzmocie.

– Mam nadzieję, że za chwilę przejdzie – mamrocze Adam do swojego schabowego z pieczarkami.

Planowo mamy wyjechać za dwie godziny. Dwie godziny na zjedzenie, spakowanie się i ruszenie w drogę.

– Coś mi się to nie widzi... – złowróży Sebastian, siedzący naprzeciwko mnie.

Nie mogę zaprzeczyć, widząc czarne chmury i czując wibracje pod nogami. Po obiedzie idę do pokoju. Przytykam nos do szyby i nie widzę, co dzieje się metr dalej. Prawdziwa nawałnica. Jeden wielki szum i hektolitry wody lecącej z nieba w szaleńczym tempie. Siadam markotnie na łóżku. Zwijam bezmyślnie skarpetki i wrzucam je do torby. Ktoś puka do drzwi.

– Proszę.

Majka otwiera drzwi łokciem. W rękach niesie szampana. Parskam śmiechem.

– Chyba zwariowałaś.

– Chyba nie sądzisz, że wyjedziemy stąd w taką pogodę?  
– Nie wiem, czy możemy zostać tu na kolejną noc.  
– Myślę, że nikt nas stąd nie wyrzuci – mówi z niezachwianą pewnością siebie, kokosząc się na moim łóżku.

Szampan przelewa się zachęcająco w butelce.

– Mamy jakieś kieliszki?

– Po co nam kieliszki? – macha lekceważąco dłonią.

Śmieję się, kiedy otwiera szampana. Trochę alkoholu ucieka z butelki i ścieka po palcach Majki na hotelową pościel. Zgodnie udajemy, że tego nie widzimy.

– Najwyżej pójdziesz spać do Adama – wzrusza ramionami.

Pokładamy się ze śmiechu na łóżku.

– Albo do mnie – Majka mruga, dając mi pociągnąć łyk z butelki.

Piję, choć to mój pierwszy alkohol pity z gwinta. Maja pociąga długi łyk.

– Wiesz, że miałam męża? – mówi w pewnym momencie.

Nie wiem, co odpowiedzieć. „Naprawdę?” zabrzmiałoby, jakbym była niepełnosprytka, a „Ooo” też wydaje się mało błyskotliwe.

Zamiast tego biorę z jej rąk szampana.

– Umarł dwa lata temu. Miał guza mózgu – opowiada swobodnie, jakbyśmy rozmawiały o kolorze ścian do pokoju.

Nie wiem, co powiedzieć, więc biorę ją za rękę. Spuszcza wzrok.

– Zanim odszedł, staraliśmy się o dziecko.

Przełykam ślinę.

– Poroniłam w trzecim miesiącu, chwilę po jego pogrzebie – ciągnie dalej monotonnym głosem.

– Współczuję – wyduszam z siebie, bo nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy.

– Nic mi po nim nie pozostało – mówi smętnie.

Ściskam ją mocniej.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – pyta mnie z goryczą, oddając mi butelkę.

Kręcę głową.

– Że latał za mną przez dwa lata, zanim zdecydowałam się dać mu szansę. Potem odwlekałam ślub, po ślubie odwlekałam dziecko. Dlatego teraz czas na moją skromną radę. Nie trać czasu, jeśli coś do kogoś czujesz. Nikt nie żyje wiecznie. I nie bój się zaryzykować.

Jej słowa nie brzmią żałośnie, choć siedzimy na łóżku z flaszką szampana. Majka nie wygląda jak bohaterka melodramatu, chociaż jej oczy są podejrzenie błyszczące.

– Czy mam wyciągnąć jakąś lekcję z twojej historii?

- Nie.
- Patrzę na swoje bose stopy z odprysniętym lakierem na paznokciach.
- Powinnam powiedzieć ci coś mądrego i motywującego?
- Nie.
- To co mam zrobić?
- Nie myśleć tak dużo.
- Hm?
- Nie analizuj, nie rozmyślaj i nie kombinuj – mówi, wyciągając z moich rąk butelkę.
- A co mam robić? – pytam, patrząc na nią spod byka.
- Żyj – oznajmia krótko i potrząsa butelką z jej zawartością. – Po prostu żyj.
- \*

Burza była koszmarna i skończyła się dopiero o trzeciej nad ranem. Do tej pory kręciłam się na łóżku i rozmyślałam, wsłuchując się w mocne uderzenia pioruna. Potem wstałam, poszłam się wykąpać i wyszłam przed hotel. Powietrze było chłodne i rześkie. Wokół pensjonatu walały się liście, patyki i gałęzie. Powdychałam chwilę naozowane powietrze, wróciłam do środka i zapukałam do Adama.

- Jestem gotowa – zakomunikowałam mu.
- Okej. Potrzebuję trzydziestu minut. Poczekasz?
- Tak. Posiedzę pod ośrodkiem.
- Jasne.

Zabrałam swoją torbę, wymeldowałam się, wzięłam do ręki kawę z automatu i wyszłam na zewnątrz. Napisałam esemesa do Majki. Parę sekund później była już na dole. W luźnych spodniach od piżamy i czarnej koszulce na ramiączkach. Ramiona miała pokryte gęsią skórką, na stopy miała wsunięte rozczłapane japonki. Siedziałyśmy razem na ławce, delektując się ciszą, spokojem i przejrzystym powietrzem. I wspólną kawą z jednorazowego kubeczka.

Adam wyszedł z budynku obiecane pół godziny później. Obie wstałyśmy równocześnie. Majka wyściskała się z Adamem, a potem przykleiłyśmy się do siebie jak bliźniaczki syjamskie.

- I stałyśmy tak co najmniej pięć minut.
- Napiszę – obiecuję, szepcząc jej do ucha.
- Miło było cię poznać – odpowiada szeptem.
- Wiem... – szczerzę się, odsuwając się od niej.

Parska wymuszonym śmiechem. Znów się ściskamy. Adam cierpliwie czeka. Wsiadam do samochodu, ale nie patrzę w stronę okna.

- Jedź – proszę cicho.
- Rusza delikatnie. Nie odwracam się, nie macham przez szybę. Wyjeżdżamy

na ulicę.

Poranek jest rześki i chłodny. Nakrywam się bluzą jak kocem. Adam widząc mój dziwny stan, papla coś głupiego pod nosem. Rzucam zdawkowe „yhm” i „aha”, choć tak naprawdę wcale go nie słucham. Chciałabym zasnąć, jak w drodze na szkolenie, ale pechowo wypita kawa pobudziła mnie na tyle, że nie jestem w stanie zamknąć powiek. Do Adama dociera w końcu, że go nie słucham i nastawia głośniejszą muzykę.

W połowie drogi robimy sobie przerwę na obiad. Wmuszam w siebie sałatkę grecką, Adam wsuwa kurczaka z frytkami. Gadamy chwilę niezobowiązująco. Adam wypija kawę, ja wlewam w siebie herbatę. Wracamy do auta. Kilkanaście kilometrów przed domem zaczyna padać. Kiedy zajeżdżamy pod mój blok, pioruny zaczynają swój koncert. Adam bez słowa wysiada ze mną z auta i wyciąga moje bagaże. Wdrapujemy się na trzecie piętro. Z trudem wcelowuję kluczem w zamek. W środku panuje dziwna duchota, choć wiem, że babcia przychodziła wietrzyć mieszkanie.

– Chcesz coś do picia? – pytam, kiedy Adam kładzie torbę w przedpokoju.

– Nie, dziękuję. Nie będę ci przeszkadzać. Ale chętnie skorzystam z łazienki, jeśli mogę.

Wywracam oczami, brodą wskazując mu drzwi łazienki. Wchodzę do kuchni i z radością rejestruję bukiet kwiatów na stole. Sięgam po naczynia i wodę. Kiedy Adam wraca, wręczam mu pełną szklankę. Bierze ją do ręki z miną mówiącą, że nie bardzo wie, co powinien zrobić.

– Saaaadaj – ciągnę go lekko za rękę, kiedy zaczyna pić na stojąco.

Siadam naprzeciw niego. Już mam otworzyć usta, kiedy dzwoni mój telefon.

Babcia.

– Właśnie weszłam do domu – mówię na wstępie.

– Właśnie idziemy cię przywitać, więc nawet nie mów, że jesteś zmęczona.

– Nie mam takiego zamiaru – śmieję się do słuchawki.

– Będziemy za dziesięć minut.

Odkładam telefon. Adam odkłada szklankę.

– Dziękuję za wodę.

– Dziękuję za transport.

– Myślałem, że pogadamy, ale z tego co słyszałem, spodziewasz się gości...

– Taaa... Mój prywatny komitet powitalny. Innym razem porozmawiamy – mówię, stawiając swoją szklankę na stole.

– To... do zobaczenia.

– Tak jest. Do zobaczenia.

Wychodzi, ociągając się lekko.

Zamykam za nim drzwi.

\*

Następnego dnia wstaję skoro świt głodna jak wilk, ale i solidnie wypoczęta. Jem porządne śniadanie, piję herbatę z cytryną, odkurzam mieszkanie. Koło dziesiątej wychodzę przed blok z butelką wody i babskim magazynem.

Ławka jest pusta, więc rozsiadam się na niej wygodnie. Spędzam uroczę przedpołudnie, od czasu do czasu sączę wodę i podczytuję co nieco.

Dzwonię do Majki i gadamy przez ponad godzinę. Potem rozłączam się i wracam do lektury. Na widok starszej sąsiadki w grubych jak denka od słoika okularach przebieram nerwowo nogami. Nie należy do największych plotkar, ale niewiniątkiem też nie jest. Mruczę „dzień dobry”, podnosząc głowę znad gazety.

– A dzień dobry, dzień dobry... – uśmiecha się tajemniczo i siada koło mnie.

Nie rozumiem tego fenomenu. Im mniejszą mam ochotę na rozmowę, tym bardziej wszyscy chcą mi dotrzymywać towarzystwa. Pani Basia poprawia na głowie słomkowy kapelusz, ocierając chusteczką zroszone potem czoło. Wzdycha lekko pod nosem i sięga do płóciennej torby po wodę. Wracam do lektury. Omijam artykuł o pięćdziesięciu sposobach na szybsze szczytowanie. Nie patrzę na tekst, jak zrobić dobrze ustami. Nie czytam o różnicy między orgazmem u mężczyzny a tym u kobiety. Biorę się za lekturę poradnika, jak spełniać swoje marzenia bez wygrania miliona w totka.

– Jak tam magia stokrotek? Zadziałała na panią czy nie? – pyta ni z tego, ni z owego sąsiadka.

Prostuję się gwałtownie. Wiedziałam, że jest trochę dziwna, ale żeby aż tak? Patrzę na nią przenikliwie. Może ma początki jakiejś choroby psychicznej? Na widok mojej miny śmieje się dobrodusznie.

– Nie zwariowałam. Pamiętam tylko pewnego młodzieńca, który czekał tu na panią i z którym uciełam sobie miłą pogawędkę.

Jej wzrok ucieka na trawnik, pełen pyszniących się główek stokrotek. Rzeczywiście nasze osiedle jest wyjątkowe pod względem ich ilości. Trawniki są w zasadzie białe, a nie zielone. Trybiki w moim mózgu obracają się powoli. Stokrotki. Młodzieniec. Pogawędka.

– Aaa – odpowiadam bardzo elokwentnie.

– Udało mu się przekazać stokrotkami to, co bał się powiedzieć na głos? – pyta znów.

Patrzę na nią zdezorientowana.

– Aha. Czyli się nie udało – kwituje z uśmiechem.

– Nie bardzo wiem, co ma pani na myśli.

Uśmiecha się jeszcze bardziej tajemniczo i wstaje z ławki.

– Miłego popołudnia – mówi na odchodne, zostawiając mnie z rozdziawioną gębą, pustą butelką po wodzie i masą stokrotek, bielących się wśród zieleni trawnika.



„Udało mu się przekazać stokrotkami to, co bał się powiedzieć na głos?” – dźwięczy mi w głowie i choć w żadną magię nie wierzę, nagle wiem, o co chodziło Kamilowi i ekscentrycznej sąsiadce.

Wstaję z ławki i wpadam jak bomba do mieszkania. Dzwonię do babci.

– Babciu, co w mowie kwiatów oznaczają stokrotki? – pytam na wdechu.

– Słucham?

– Co w mowie kwiatów oznaczają stokrotki? – powtarzam.

– Skarbie, mam problem z zasięgiem...

– Co oznaczają stokrotki w mowie kwiatów? – pytam kolejny raz.

– Nic... Milenko, coś mi...

W słuchawce zapada cisza, oznaczająca brak zasięgu. Włączam laptopa, ale Internet odmawia posłuszeństwa. Klnąc na złośliwość rzeczy martwych, wertuję swoją książkę o faunie i florze Polski. Zero informacji o mowie kwiatów. Sfrustrowana siadam na podłodze. Mowa kwiatów. Że też o tym nie pomyślałam...

Stokrotki miały coś znaczyć... Tylko co?

Zaspany Ginger człapie do mnie na swoich pałkowatych nóżkach. Miziam go chwilę po karku, a potem zakładam tenisówki i prawie wybiegam z domu. Jeśli w bibliotece nic nie znajdę, to już nie wiem, kto może się znać na mowie kwiatów...

\*

Szczęście w nieszczęściu, że pani Jasi nie ma w pracy. Jest za to młoda bibliotekarka z burzą rudych włosów i wiewiórczymi zębami. Ma twarz usianą piegami i ładne zielone oczy.

– Dzień dobry – mówi na mój widok.

– Dzień dobry – wyjąkuję.

Wygląda na intelektualistkę i trochę głupio mi pytać ją o coś tak nierealnego jak mowa kwiatów.

– Hm... Szukam czegoś o kwiatach – zdradzam ogólnikowo.

– Jakich? Doniczkowych?

– Mmmm... Raczej nie... Może o ciętych...

– Ciętych? – powtarza.

– Szukam informacji o różnych rodzajach kwiatów. Najbardziej ciekawi mnie, co oznaczają – dukam wreszcie.

– Chodzi pani o mowę kwiatów? – uśmiecha się promiennie.

– Coś w tym stylu... – mówię niewyraźnie.

Śmieje się z mojego zakłopotania.

– Nie ma powodów do wstydu – wzrusza ramionami, kierując się w stronę wysokich, uginających się pod ciężarem opasłych tomisk półek.

– Nie jestem typem nawiedzanej zielarki ani osoby wierzącej w magię

kwiatów – wywracam oczami.

Śmieje się jeszcze głośniej.

– Ale tu nie chodzi o magię. Chodzi o to, co osoba wręczająca nam kwiaty może chcieć nam przez nie przekazać.

– Dokładnie tego chcę się dowiedzieć.

– Zaraz wszystkiego się pani dowie – puszcza mi oczko, wkładając mi w dłoń wielką starą książkę.

– Voilà. Miłego czytania – mówi, zostawiając mnie samą w pustej alejce, pachnącej stęchlizną.

Siadam na zielonym jak mech dywanie. Stokrotka, stokrotka – nucę pod nosem, przelatując wzrokiem aneks. Strona dwieście dwudziesta druga. Stokrotka polna. Czytam, czerwienieję, czytam, blednę. Wpycham książkę na swoje miejsce, wołam w biegu „Dziękuję” i „Do widzenia”. Nigdzie nie widzę rudej czupryny. Wypadam przez budynek. Hamuję gwałtownie przed ulicą. I w sumie, co teraz?

\*

Jak nauczycielka może być tak nieogarnięta? – myślę sobie, rozcierając skronie. Siedzę w parku i przypatruję się przechodniom. Wydaje mi się, że wiem, co powinnam zrobić, ale wciąż nie poukładałam wszystkiego w swojej głowie. „Spokojnie” – nakazuję sobie w duchu. Ostatni raz pocieram skronie i wstaję z ławki. Przeglądam się w szybie jakiegoś seata. Jak wyglądam? Jak wypłosz. Mam włosy w nieładzie i dziwnie rozkojarzone spojrzenie. A w głowie mętlik i jeden wielki chaos. Przytłacza mnie całym ciężarem, kiedy naciskam klamkę i wchodzę do sklepu sportowego.

\*

Na powitanie oczy Adama rozświetlają się jak lampki na choince, a na jego twarz wpełza kołtuński uśmiezek. Podsuwa mi fotel zachęcającym gestem. Siadam, opierając się na przedramionach. Patrzę mu w oczy. On patrzy w moje. Uśmiecha się. Ja ani myślę wykrzywić wargi. W jego oczach widzę wszystko to, co zawsze chciałam zobaczyć. Wiem, że jednym gestem mogłabym mieć wszystko, a za kilka słów mogłabym mieć nawet więcej.

Ale słowa są tu niepotrzebne. Bo czasami słowa wszystko komplikują. Czasami powiedzieć mniej, to tak naprawdę powiedzieć więcej. Czasami wystarczy jedno słowo. Pomnożone przez cztery.

– Nic z tego, Adam – mówię więc na początek.

– Słucham?

– Nic z tego nie będzie – oznajmiam buńczucznie.

Siedzi, patrzy, patrzy, siedzi.

– Nigdy nie zrozumiem kobiet – przerywa ciszę Adam.

– Ty ich nie rozumiesz? – mrugam szybko oczami, czując się nieco zbity z pantałyku.

– Nie wiem, o co wam chodzi. O co tobie chodzi?

– Bo nie dałam znów zaciągnąć się do łóżka?

– Nie zaciągnąłem cię do łóżka.

– W sumie nie.

– No widzisz...

– ...zrobiliśmy to w samochodzie.

Wzdycha.

– Oboje tego chcieliśmy.

– Zdecydowanie – potakuję.

– Obojgu nam się podobało.

– Taaa... Podobała mi się idealna kompatybilność i dobra synchronizacja naszych ruchów. Nie podobało mi się to, że wyszedłeś ze mnie i otrzepałeś się, jakbyś wyszedł z szopy pełnej pajęczyn. Podoba mi się błysk w twoich oczach i uśmiech. Ale nie podoba mi się to, że jesteś kretyńcem.

Patrzy na mnie zdziwionymi oczami.

– Dzięki – mówi wreszcie.

– Nikt ci tego nigdy nie powiedział? – ironizuję.

– Jakoś nie.

– Dziwne. Najwyraźniej nie natrafiłeś nigdy na szczerą dziewczynę – wzruszam ramionami.

– Nie jestem stworzony do związku – odpowiada.

– Ja też. Ale nie traktuję przez to ludzi jak rzeczy.

– Nie...

– Potraktowałeś.

– Ja...

– Potraktowałeś!

– Przeprosiłem.

– A ja to zaakceptowałam.

– Ale nie chcesz mi tego zapomnieć – prychna.

– To nie to, że nie chcę. Nie mogę.

– Dlaczego?

– To skomplikowane.

– Mimo wszystko chciałbym wiedzieć.

Nie przeciągam, nie kombinuję, nie zastanawiam się głębiej nad tym, co mówię. Po prostu otwieram usta i pozwalam słowom płynąć.

– Nie mogę się do ciebie przekonać nie dlatego, że cię nie lubię. Ja cię lubię za bardzo, Adam. Lubię twój głos, zapach, lubię nawet twój cwaniacki uśmiech. Lubię na ciebie patrzeć, lubię z tobą rozmawiać, a już na pewno lubię z tobą

przebywać. Problem w tym, że dla ciebie jestem nikim i to mnie lekko mierzwi, wiesz?

Otwiera usta, ale zamykam mu dalszym ciągiem monologu.

– Działasz na mnie jak nikt inny i uwierz mi, że bardzo, ale to bardzo chętnie kontynuowałabym tę znajomość, gdyby nie to, że wiem, że to bez sensu. Nie mogę być dla ciebie zabawką, bo ty jesteś dla mnie kimś więcej. A nie możesz być dla mnie kimś więcej, skoro potraktowałeś mnie jak rzecz.

Marszczy lekko brwi.

– Czy właśnie powiedziałaś, że coś do mnie czujesz?

– Tak, ale nie przejmuj się tym. Nic z tego nie będzie. Za trzeźwo myślę.

– Ty też na mnie działasz. To nie tak, że chcę cię tylko zaliczyć.

– Bo już mnie zaliczyłeś. Odhacz mnie na liście i leć dalej – wstaję, odwracając się.

– Hej! Mogę coś powiedzieć?

– Nie. Miałeś swoje pięć minut. Nie skorzystałeś.

Otwieram drzwi.

– Czekaj. Daj mi chociaż powiedzieć słowo!

– Czekałam wystarczająco długo.

– Co ja ci takiego zrobiłem, że nie chcesz nawet dać mi szansy się usprawiedliwić?

– Nic. Nic nie zrobiłeś. I o to właśnie chodzi – mówię ostatecznie i wychodzę na zewnątrz.

Oddycham z lekkością, choć duszne powietrze znów zwiastuje burzę.

\*

Jeszcze nigdy nie prałam nic z takim zapałem. Kiedy tylko wpadłam do domu, praktycznie zerwałam bluzkę z wieszaka i wrzuciłam ją do miski. Stałam beznamiętnie, opierając się o futrynę, kiedy szaflik napełniał się gorącą wodą. Wlałam do miski płyn do płukania i prałam ją tak długo, aż moje ręce zrobiły się czerwone i piekące. Potem wycisnęłam ją, ile miałam sił w dłoniach, strzepnęłam i powiesiłam na sznurku. Patrzyłam, jak zastyga, przyczepiona drewnianymi spinaczami i jak ociężale kapią z niej wielkie krople wody.

Umyłam dłonie. Oparłam się o umywalkę. Wzięłam trzy głębokie wdechy i wyszłam na podwórko. Jeszcze nigdy nie zrywałam kwiatków w takim tempie. Ogólnie to nie pamiętam, żebym kiedykolwiek zrywała kwiatki. Może w przedszkolu? Albo przed Bożym Ciałem? W każdym razie musiało to być w okresie, kiedy dałam się jeszcze wcisnąć w białą zwiewną sukieneczkę z falbankami.

– A jednak... – Słyszę gdzieś z boku.

Zerkam spod byka, mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem. Sąsiadka kiwa

głową, opierając ręce na biodrach. Zdmuchuję z oczu grzywkę.

– Czyli nie przyjęłaś jego kwiatków – stwierdza, kiedy powiększam swój bukiet.

– Przyjęłam – mówię, przymykając oczy.

Czuję się trochę jak idiotka, klęcząc wśród stokrotek i powiększając plamę ziemi na jasnych dżinsach.

– Przyjęcie to nie wszystko – stwierdza, patrząc na ciemne chmury kłębiące się na niebie. – Trzeba jeszcze zrobić jakiś ruch.

– A myśli pani, że aż tak bardzo lubię nurzać się w ziemi i trawie? – pytam wreszcie, opierając dłonie na kolanach.

– Nie. Myślę, że wreszcie sobie to pani przemyślała i...

– Nie przemyślałam sobie tego – wchodzę jej w słowo.

– Nie?

– Nie.

– To co się stało?

– Po prostu zaczęłam żyć – mówię, podnosząc się z klęczek i biorąc w dłonie skromny biały bukiet.

Uśmiecha się do mnie porozumiewawczo i podnosi do góry dwa kciuki. Nie dziękuję jej na głos, ale myślę, że szczery, pełny uśmiech, którym ją obdarzam, wystarcza za wszystkie podziękowania świata.

\*

Pocą mi się dłonie. Poci mi się czoło. Cała się pocę. Wycieram twarz rękawem bluzki. Chmury dalej zbierają się na błękitnym niebie, ale dotychczas nie spadła ani jedna kropla. Ściskam stokrotki w dłoni i czekam.

Kwadrans. Dwa kwadransy. Trzy. Siadam ciężko na studziennicy. Wiem, że jeśli dobrze obliczyłam, Kamil powinien właśnie albo zaczynać, albo kończyć dyżur. Jedno z dwóch. I jedno, i drugie pozwoli mi go złapać. A potrzebuję jedynie paru sekund. Paru sekund na wręczenie mu stokrotek. Nie będę musiała nic mówić, nie będę się musiała tłumaczyć. Oszczędzę sobie melodramatów, obietnic i zobowiązań. Dam mu stokrotki i tym samym powiem mu to, co śmiało mogę mu powiedzieć, bez strachu, że pomyśli sobie nie wiadomo co.

Powinno się teraz puknąć w głowę, że wcześniej na to nie wpadłam. Że nie spytałam, nie sprawdziłam, nic nie zrobiłam. Na szczęście w związku z Adamem wykazałam się równą biernością i nicnierobieniem. To akurat bardzo mnie cieszy.

Na widok Kamila podrywam się ze studzienki. Na widok dziewczyny, z którą idzie, z powrotem na nią opadam. Zaciskam dłonie na łodyżkach. Zaciskam zęby. Zaciskam szczękę. Kamil stoi pod szpitalem i mówi coś do dziewczyny, uśmiechając się tym swoim szczerym uśmiechem.

Dziewczyna jest młoda. Wydaje się studentką albo praktykantką. Wygląda

też jak Miss Polonia i wygląda, jakby spijała słowa z jego ust. „Ciesz się moją obecnością” – przelatuje mi przez głowę, zanim porzucam na studzience lekko podduszone stokrotki i znikam, nim Kamil zdąży mnie zobaczyć.

\*

Wcale mnie to nie dziwi, wcale mnie to nie boli. Tylko trochę gniecie... Majka dzwoniła dwa razy, ale nie byłam w stanie odebrać. Igorowi wcisnęłam, że idę do koleżanki. Babci obiecałam, że jutro przyjdę na śniadanie.

Popijam rumianek i wystawiam nogi przez pręty na balkonie. Jest późny wieczór i duchota wreszcie ustała. Burzy ostatecznie nie było. Ginger bardzo się cieszy z tego powodu. Obecnie śpi na kanapie, zwinięty w precel i rozkoszny jak zawsze.

Opieram się o futrynę, gładzę rysę na kubku. Wiem, że życie to nie film ani nie bajka. Wiem, że gdybym wcześniej nie postanowiła spławić Kamila, dziś siedziałby tu ze mną. Wiem, że nie miał najmniejszego powodu, żeby czekać na mnie w nieskończoność. Wiem, że słowo „kocham” to zdecydowanie za dużo jak na moją osobę. I wiem, że chociaż wiem to wszystko, nie wiem, czemu wciąż ściska mnie w żołądku, jakby ktoś zawiązał mi supeł na przeponie.

\*

Chleb z makiem i powidła śliwkowe potrafią poprawić mój nastrój na tyle, że rozmawiam z babcią o prezencie dla Emilki, nie myśląc w ogóle o wczorajszym pełnym wrażeń dniu.

Za dwa tygodnie Emila ma urodziny i chcemy jej zrobić jakąś niespodziankę. Oprócz prezentu planujemy huczną imprezę urodzinową z masą kolorowych balonów i wielkim tortem z błękitnym lukrem *à la* Kraina Lodu.

Piję kawę zbożową z mlekiem i pozwalam babci mówić za nas dwie. Potem siadamy na kanapie i oglądamy zdjęcia, które Igor wczoraj wywołał. Na jednym z nich widać czubek głowy Kamila i muszę się mocno postarać, żeby przełknąć tę dziwnie twardą bryłę, którą poczułam w gardle na jego widok. Dziwi mnie, jak ktoś, kto ponoć nie był w stanie wywołać u mnie szczególnych uczuć, może zadziałać na moje zimne serce, kiedy da znak o swojej obecności, nie narzucając jej i nie naruszając moich granic bezpieczeństwa.

Babcia włącza swój serialik i nie protestuję, kiedy muszę oglądać z nią losy Ferdynanda i Lucecity. Oglądam z nią jeden, dwa, trzy odcinki i wciąż nie mam ochoty ruszyć się z kanapy. Na obiad babcia podsuwa mi pod nos knedle z truskawkami i kompot z porzeczek. Zjadam je posłusznie jak dziecko i znów zasiadam na kanapie. Po pięciu odcinkach brazylijskiej telenoweli mam mózg zlasowany od obco brzmiących imion i skomplikowanej fabuły pełnej zdrad, miłości i namiętności. Jestem wdzięczna reżyserowi za to, że przez cały dzień

udało mu się zająć mój umysł czymś innym niż rozmyślanie nad własnymi problemami.

\*

Budzi mnie głośnie łup, powtórzone trzykrotnie. Potrząsam głową, pozbywając się z niej resztek snu. W ustach wata, w głowie sieczka. Standardowo jestem średnio przytomna. Zegarek pokazuje trzynaście minut po siódmej. Próbuję wcelować nogami w kaptcie. Pukanie powtarza się jeszcze raz.

– Idę już... – burczę pod nosem, kapitulując i człapiąc do drzwi w jednym pantoflu.

Na ten jeden pantofel spada spojrzenie niebieskich oczu Kamila, który stoi na progu. Patrzę na niego jak na uciekiniera z więzienia.

– O – udaje mi się wydukać.

– Myślałem, że stokrotki są pod ochroną – mówi, wyciągając w moją stronę zmasakrowane kwiatki.

Łepki wiszą im smętnie, łodyżki wyglądają, jakby przejechał po nich walec. Mrugam przez chwilę oczami, patrząc bezmyślnie na mały bukiet.

– Cóż ci zrobiły te biedne kwiatki, że musiały je tak sponiewierać? – mówi pompatycznie, a ja jestem zbyt zaspana, żeby stwierdzić, czy mówi poważnie, czy ironizuje.

Patrzę na niego nieprzytomnym spojrzeniem. Jestem tak zaspana, że nie wiem, co powiedzieć. W końcu otwiera drzwi i bez zaproszenia wchodzi do środka. Rozsiada się w kuchni na swoim ulubionym taborecie. Opieram się o ladę, czując twardy ucisk gdzieś w okolicy krzyża. Ginger przychodzi zwabiony głosem Kamila. Łasi się do jego łydek, łaskocząc go po gołym ciele puszystą sierścią. A Kamil zaczyna mówić:

– Dzisiaj rano, zanim skończyłem dyżur, trafiła mi się pacjentka z wielkim limem na oku. Spadła, poobijała się, córka przywiozła ją do szpitala. Oprócz podzielenia się możliwością pooglądania ciekawego siniaka w dziwnym kolorze staruszka podzieliła się ze mną równie ciekawą historią. W trakcie kiedy mówiła, zaczynałem kojarzyć pewne fakty, jednak dopiero gdy skończyła, dodałem sobie dwa do dwóch – Kamil wstaje, nalewa sobie wodę do szklanki i znów siada przy stole. Patrzę na niego jak obłąkana. – Kiedy zrzuciłem swój strój ratownika i wyszedłem na zewnątrz, pierwsze co zauważyłem, to te nieszczęsne stokrotki, wyglądające jakby wyrzygał je łakomy mops mojej cioci z Anglii. – Na moje usta wpęłza lekki uśmiech. – Wtedy reszta układanki wskoczyła mi na właściwe miejsce i postanowiłem, że muszę przyjść do ciebie skoro świt, wyciągnąć cię z łóżka i powiedzieć ci coś bardzo, bardzo ważnego.

Przełykam głośno ślinę. Serce wali mi jeszcze głośniej. Patrzę na niego z niemym oczekiwaniem.

– Stokrotki jednak nie są pod ochroną – oznajmia Kamil beznamiętnym tonem.

Parskam śmiechem.

– Niemniej jednak – ciągnie dalej – nie powinnaś miętolić ich, doprowadzając je do takiego stanu nieużywalności – patrzy na mnie spod byka.

Uśmiecham się już prawie na całą rozpiętość swojej szczęki.

– Rozumiem, że wczoraj nie chciałaś mi robić wstydu przy naszej nowej stażystce, Marcie – kontynuuje, biorąc Gingera na kolana. – W końcu nie ma co pokazywać swoim znajomym z pracy, że za bardzo się z kimś spoufaliliśmy, czyż nie?

Potakuję szybko głową.

– Wypuść powietrze – mówi.

Po raz pierwszy słucham jego poleceń.

– Pani Basia powiedziała mi co nieco o mowie stokrotek i wiesz co? – Kamil patrzy na mnie pytająco.

– Yhm? – udaje mi się wychrypieć.

– Nie miałem pojęcia, że stokrotki coś znaczą. Spodobały mi się, bo są skromne, delikatne i bezpretensjonalne. Spodobały mi się, bo rosły pod twoim blokiem i nie musiałem iść do kwiaciarni. Spodobały mi się, bo nie pokłułem się przy ich zrywaniu. – Parskam śmiechem, klepiąc się w czoło. Kamil wstaje i podchodzi do mnie na wyciągnięcie ręki. – A teraz chcę zapytać, co masz na swoje usprawiedliwienie.

– Wszystko, co powiem, może zostać użyte przeciwko mnie i wszystko, co wymyślę, zabrzmi jak tani melodramat, więc...

Podchodzę bliżej niego, staję na palcach, opieram dłonie na jego barkach. Przystawiam usta do jego ucha i biorę wdech, szukając odpowiednich słów. Muszę wybrać wyjątkowo dobrane. Bo czasami słowa wszystko komplikują. Czasami powiedzieć mniej, to tak naprawdę powiedzieć więcej. Czasami wystarczy jedno słowo. Pomnożone razy pięć.

– Strasznie chce mi się spać... – mruczę, ziewając i robiąc przepraszającą minę.

Kamil śmieje się, przyciągając mnie do siebie. Znajomy zapach, znajomy głos, znajomy dotyk. Robi mi się przyjemnie ciepło na całym ciele.

– To pewnie nie najlepszy pomysł na początek, ale masz ochotę pójść ze mną do łóżka? – pytam, ziewając jeszcze bardziej rozdzierająco.

W odpowiedzi uśmiecha się szeroko, rozciągając wargi od jednego do drugiego tak samo lekko odstającego ucha.



## PODZIĘKOWANIA

Najważniejsza część, czyli komu, za co i dlaczego, a więc dziękuję:

Panu Sebastianowi Czekalskiemu za cierpliwość, wyrozumiałość i wysłuchiwanie litanii typu: „Ojej, wydaję książkę i chyba trochę się boję”.

Pani Katarzynie Dambiec, która bez problemu godziła się na moje fanaberie, jak zmiana koloru grzbietu książki czy czcionki.

Redakcji i całemu Wydawnictwu, bo nie każde nazwisko znam, a wiele osób pomogło przy tworzeniu książki w sposób, w jaki pewnie nie mam pojęcia.

Mamie, która ścigając mnie do porządków, na hasło: „Nie mogę, piszęeee”, wzdychała i mówiła: „Okej, pisz, ja to zrobię”.

Matce chrzestnej książki – Gosi, która jako jedyna miała okazję przeczytać co nieco przedpremierowo, była pierwszym krytykiem i poniekąd korektorem.

Ewie – towarzysze niedoli z pokoju numer piętnaście, która musiała znosić moje dziwne nastroje, kiedy dostałam e-maila z propozycją od Wydawnictwa i nie wiedziałam, co z tym fantem zrobić, z którą zsynchronizowałam zegar biologiczny do spania w ciągu dnia i którą wkurzałam gadaniem o głupotach, niegadaniem o tym, co chciała ze mnie wyciągnąć, i jedzeniem w pokoju. Ewciu, ten Twój wywrót oczami, kiedy na zadane przez Ciebie milionowe pytanie, z kim od niemal pół roku kręcę, ja zrobiłam wielkie oczy, spąsowiałam i myśląc, że uda mi się odwrócić Twoją uwagę, odparowałam: „Wydaję książkę, wiesz?” była BEZCENNA;).

Niestety, inne współlokatorki, przyjaciółki, znajome i koleżanki nie miały na mnie żadnego haka, więc nie zdradziłam się ani słowem. Zatem tym lizusowskim aktem uwzględnienia ich w podziękowaniach liczę na to, że wkupię się w ich łaski. Jestem wręcz prawie pewna, że jak dowiedzą się, że wydałam książkę, nic im nie mówiąc, strzelą focha z przytupem. Wybaczcie, wiecie, że jestem mało wylewna, jeśli chodzi o takie rzeczy;).

Tyle podziękowań, żeby Wam się w głowach nie przewróciło;).

*Nic zobowiązującego*

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-657-0

© Magdalena Kalisz i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Ewelina Ambroziak

KOREKTA: Elżbieta Zasempa

OKŁADKA: Anna Gręda

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: *InkPad.pl*

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: *sekretariat@novaeres.pl*, *http://novaeres.pl*

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej *zaczytani.pl*.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



